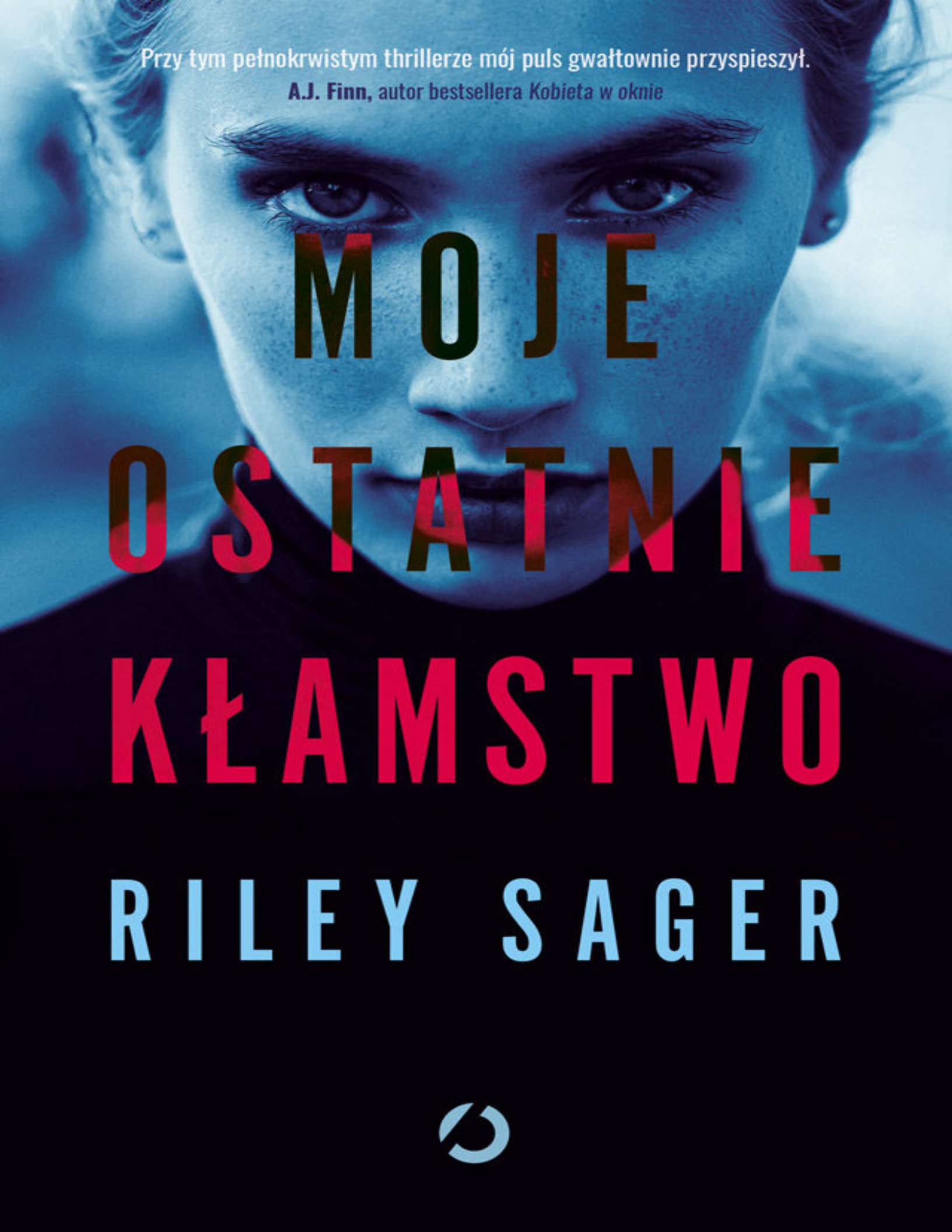
Przy tym pełnokrwistym thrillerze mój puls gwałtownie przyspieszył.
A.J. Finn, autor bestsellera Kobieta w oknie
MOJE
OSTATNIE
KŁAMSTWO
RILEY SAGER

RILEY SAGER

MOJE OSTATNIE KŁAMSTWO

TŁUMACZENIE ANNA DOBRZAŃSKA

OTWARTE
KRAKÓW 2020

Dla Mike’a, jak zawsze

Tak to się zaczyna.

Budzi cię światło słoneczne szepczące wśród drzew tuż za oknem. Jest blade, słabe i szare na brzegach. Świt nadal zrzuca skórę nocy. Jest jednak wystarczająco jasno, żebyś obróciła się na bok twarzą do ściany przy dźwiękach skrzypiącego materaca. Gdy to robisz, czujesz się zdezorientowana i przez moment nie wiesz, gdzie jesteś. Czasami tak się dzieje, kiedy człowiek budzi się z głębokiego, pozbawionego marzeń snu. Chwilowa amnezja. Widzisz słoje na ścianie z sosnowego drewna, czujesz we włosach zapach dymu z ogniska i wiesz już, gdzie jesteś.

Camp Nightingale.

Zamykasz oczy i próbujesz znów zasnąć, usilnie ignorując dobiegające z zewnątrz odgłosy przyrody. To irytujące, zakłócające spokój dźwięki – istoty nocy ścierające się z istotami światła. Wychwytujesz bzyczenie owadów, świergot ptaków, upiorny krzyk nura niosący się nad jeziorem.

Zgiełk na zewnątrz na chwilę maskuje ciszę w środku. Nagle stukanie dzięcioła ustaje i uświadamiasz sobie, jak bardzo jest cicho, a jedyne, co słyszysz, to twój własny, miarowy, ciężki od snu oddech.

Otwierasz oczy i nasłuchujesz innych – jakichkolwiek – odgłosów wewnątrz chatki.

Nic.

Dzięcioł podejmuje przerwaną pracę, a ty odwracasz się od ściany, by objąć wzrokiem całe pomieszczenie. Jest nieduże. Wystarczające, by zmieściły się w nim dwa łóżka piętrowe, stolik z lampką i stojące obok drzwi cztery kufry z drewna orzesznika. I na tyle małe, żebyś wiedziała, kiedy nikogo w nim nie ma.

Spoglądasz na łóżko piętrowe naprzeciwko. Na górze jest starannie zasłane z kołdrą rozciągniętą na całej długości. Na dole wręcz przeciwnie – pod zmiętymi kocami leży coś grudowatego.

W półmroku zerkasz na zegarek. Jest dwie minuty po piątej. Do pobudki została jeszcze prawie godzina. Na myśl o tym czujesz panikę, która wpełza ci pod skórę, swędząca i irytująca.

Rozmaite scenariusze przychodzą ci do głowy. Nagła choroba. Pilny telefon z domu. Próbujesz nawet przekonać samą siebie, że może musiały wyjść tak szybko, że nie zdążyły cię obudzić. A może próbowały, ale spałaś jak zabita. Albo nawet cię obudziły, a ty nic nie pamiętasz.

Klękasz przy kufrach z drewna orzesznika, na których wycięto imiona wcześniejszych obozowiczek, i otwierasz wszystkie oprócz tego, który należy do ciebie. Ich wyścielane satyną wnętrza są pełne ubrań, czasopism i zwykłych przedmiotów wykonanych podczas obozu W dwóch kufrach znajdujesz telefony komórkowe, wyłączone i nieużywane od kilku dni.

Tylko jedna z nich wzięła telefon.

Nie masz pojęcia, co to może znaczyć.

Pierwsze – i jedyne – miejsce, które przychodzi ci na myśl, to sanitariat. Prostokątny budynek z drewna cedrowego, tuż za chatkami na skraju lasu. Może jedna z nich musiała pójść do łazienki i pozostałe poszły razem z nią. Już wcześniej tak bywało. Sama brałaś udział w podobnych wyprawach. Tuląc się do siebie, przemykałyście wąską ścieżką oświetloną pojedynczym światłem latarki.

Starannie pościelone łóżko sugeruje jednak, że planowały wyjść. Na długo. Co gorsza, może tej nocy nikt w nim nie spał.

Wreszcie otwierasz drzwi chatki i niepewnie wychodzisz za próg. Jest szary, chłodny poranek, więc idąc w stronę pryszniców, obejmujesz się

ramionami. Sprawdzasz każdą kabinę. Wszystkie są puste. Ścianki pryszniców są suche. Umywalki również.

Wracając do chatki, zatrzymujesz się w połowie drogi, przechylasz głowę i wśród bzyczenia owadów, ptasich treli i chlupotania wody w jeziorze oddalonym o pięćdziesiąt metrów nasłuchujesz głosów dziewcząt.

Nic.

Obóz pogrążony jest w całkowitej ciszy.

Ogarnia cię uczucie odosobnienia i przez chwilę zastanawiasz się, czy wszyscy nie wyjechali, zostawiając cię samą. Kolejne straszne scenariusze przychodzą ci do głowy. Domki opuszczane w gorączkowym pośpiechu. I ty, która przesypiasz całe to zamieszanie.

Wracasz do chatek i obchodzisz je po cichu, nasłuchując odgłosów życia. Domków jest w sumie dwadzieścia, rozmieszczonych równomiernie na połaci wykarczowanego lasu. Krążysz wokół nich świadoma, jak niedorzecznie musisz wyglądać. Masz na sobie wyłącznie koszulkę i bokserki, igły sosnowe i gnijące liście lepią się do bosych stóp.

Każda chatka nosi nazwę jakiegoś drzewa. Wasza to Dereń. Obok stoi Klon. Sprawdzasz ich nazwy, próbując zgadnąć, do której mogły pójść. Wyobrażasz sobie spontaniczne piżama party. Zaczynasz zaglądać przez okna i uchylać drzwi, szukając na piętrowych łóżkach znajomych twarzy. Mieszkanka jednego z domków – Świerka – budzi się. Zrywa się do pozycji siedzącej, krzyk więźnie jej w gardle.

– Przepraszam – szepczesz i pospiesznie zamykasz drzwi. – Przepraszam, przepraszam.

Idziesz na drugi koniec obozu, który zwykle tętni życiem od wschodu do zachodu słońca. Lecz o tej porze wschód słońca jest niczym więcej jak tylko obietnicą, bladym różem barwiącym niebo na horyzoncie. Kierujesz się więc do stołówki. Za mniej więcej godzinę w powietrzu rozejdą się wonie

kawy i bekonu. Teraz jednak nie czuć zapachu jedzenia, nie słychać też żadnych odgłosów.

Próbujesz otworzyć drzwi. Są zamknięte.

Przyciskasz nos do szyby i widzisz tylko pogrążoną w ciemności jadalnię i długie rzędy stołów z leżącymi na nich odwróconymi krzesłami.

To samo jest w sąsiednim budynku, gdzie zazwyczaj odbywają się zajęcia plastyczno-rękodzielnicze.

Zamknięte drzwi.

I mrok.

Tym razem zaglądając przez okno, widzisz stojące w półkolu sztalugi z niedokończonymi pracami z wczorajszych zajęć. Malowałaś martwą naturę. Wazon polnych kwiatów obok miski pomarańczy. Teraz nie możesz pozbyć się uczucia, że obrazy nie zostaną skończone, że kwiaty już zawsze pozostaną namalowane w połowie, a miska nigdy nie doczeka się owoców.

Tyłem wycofujesz się spod okna, obracasz się powoli i zastanawiasz się, co teraz. Po prawej stronie widzisz wysypaną żwirem ścieżkę wyjazdową, biegnącą przez las aż do głównej drogi. Idziesz w przeciwną stronę do centrum obozu, gdzie na końcu okrągłego podjazdu stoi zbudowany z bali duży budynek.

To Dom.

Miejsce, w którym najmniej spodziewasz się je znaleźć.

To brzydka hybryda – bardziej pałac niż dom – która nieustannie przypomina obozowiczom o ich własnych, skromnych kwaterach. Teraz jest cicha. I ciemna. Jaśniejące niebo sprawia, że front budynku pogrążony jest w cieniu, więc ledwie dostrzegasz okna z ołowianymi ramkami, kamienne fundamenty oraz czerwone drzwi.

Część ciebie chce podbiec do tych drzwi i dobijać się tak długo, aż Franny otworzy. Musi wiedzieć, że dziewczyny zniknęły. Jest przecież

kierowniczką obozu. Odpowiada za nie.

Powstrzymujesz się jednak, bo może się mylisz. Może przeoczyłaś jakieś istotne miejsce, w którym mogły się ukryć, jakby to wszystko było zabawą w chowanego. Poza tym wolisz nie mówić nic Franny, dopóki nie będzie to konieczne.

Już raz ją zawiodłaś. Nie chcesz znów tego zrobić.

Zamierzasz wrócić do Derenia, gdy coś za Domem zwraca twoją uwagę. Pasek pomarańczowego światła za trawnikiem na tyłach domu.

Jezioro Midnight, w którym odbija się niebo.

„Proszę, bądźcie tam", myślisz. „Proszę, bądźcie całe i zdrowe. Niech was odnajdę".

Oczywiście nie ma ich tam. Bo i co miałyby tam robić? Wszystko to przypomina zły sen. Jeden z tych, których obawiasz się, kiedy wieczorem, kładąc się spać, zamykasz oczy. Tylko że ten sen się ziścił.

Może dlatego nie zatrzymujesz się, gdy docierasz na brzeg jeziora. Wchodzisz do wody, czujesz pod stopami gładkie kamienie. Niebawem woda sięga ci już do kostek. Zaczynasz drżeć, ale nie wiesz, czy z zimna, czy ze strachu, który trzyma cię w kleszczach, odkąd spojrzałaś na zegarek.

Obracasz się i rozglądasz dookoła. Za tobą jest Dom. Jego ściana od strony jeziora skąpana jest w promieniach wschodzącego słońca, szyby jarzą się różowym blaskiem. Brzeg ciągnie się w obie strony – skalista linia z rosnącymi wzdłuż niej pochylonymi drzewami zdaje się nie mieć końca. Patrzysz przed siebie na rozległą taflę. Woda jest gładka niczym lustro, jej powierzchnia odbija wyłaniające się powoli chmury i ostatnie gasnące gwiazdy. Jest też głęboka, chociaż podczas suszy jej poziom się obniżył, odsłaniając wzdłuż brzegu szeroki na trzydzieści centymetrów pas schnących na słońcu kamyków.

Jaśniejące niebo pozwala ci dostrzec przeciwległy brzeg, choć przypomina on tonącą we mgle ciemną smugę. Wszystko to – obóz, jezioro, otaczający je las – to prywatna posiadłość, która od pokoleń należy do rodziny Franny.

Tyle wody. Tyle ziemi.

Tyle miejsc, w których można zniknąć.

Dziewczyny mogą być wszędzie. Uświadamiasz to sobie, stojąc w wodzie i drżąc coraz bardziej. Są gdzieś tam. Znalezienie ich może potrwać kilka dni. Albo nawet tygodni. A może nigdy nie zostaną znalezione.

Przeraża cię to, choć w tej chwili nie potrafisz myśleć o niczym innym. Oczyma wyobraźni widzisz, jak potykając się, idą bez celu przez gęsty las i zastanawiają się, czy mech na drzewach rzeczywiście wskazuje północ. Wyobrażasz sobie, że są głodne, przerażone i trzęsą się z zimna. Że toną, zapadają się w błoto i machają rękami, na próżno próbując wydostać się na powierzchnię.

Myślisz o tych wszystkich rzeczach i zaczynasz krzyczeć.

CZĘŚĆ PIERWSZA

DWIE PRAWDY

1

Maluję dziewczyny w tej samej kolejności.

Najpierw Vivian.

Potem Natalie.

Alison jest ostatnia, chociaż to ona pierwsza opuściła chatkę, a więc formalnie rzecz biorąc, również pierwsza zaginęła.

Moje obrazy są duże. Naprawdę. Wielkie jak drzwi stodoły, jak mawia Randall. A jednak dziewczyny są zawsze małe. Nieistotne szczegóły na niepokojąco wielkim płótnie.

Ich pojawienie się zwiastuje drugą fazę malowania, którą poprzedza pojawienie się tła – ziemi i nieba – w odcieniach o stosownie mrocznych nazwach. Pajęcza czerń. Cienista szarość. Krwawa czerwień.

I, oczywiście, granat północy. W moich obrazach zawsze jest odrobina północy.

Później pojawiają się one. Czasami zbite w ciasną gromadkę, czasami rozproszone w różnych kątach obrazu. Ubieram je w białe sukienki, które rozszerzają się u dołu, jak gdyby dziewczyny przed czymś uciekały. Zwykle są odwrócone tyłem, więc widzimy tylko powiewające za nimi włosy. W tych rzadkich sytuacjach, kiedy decyduję się odsłonić fragmenty ich twarzy, maluję profile – ledwie płynne pociągnięcie pędzla.

Na końcu maluję las, szpachlą rozsmarowując farbę na płótnie długimi, niewprawnymi ruchami. Proces ten może trwać kilka dni, a nawet tygodni,

podczas których kręci mi się w głowie od wdychania oparów farby, gdy kolejne warstwy trafiają na płótno.

Słyszałam, jak Randall chwalił się potencjalnym kupcom, że moje prace fakturą przypominają obrazy van Gogha, a grubość farby dochodzi do dwóch i pół centymetra. Wolę myśleć, że bliżej im do natury, gdzie prawdziwa gładkość jest mitem, zwłaszcza w lasach. Wyszczerbione krawędzie kory drzew. Plamka mchu na kamieniu. Ziemia usłana kilkoma warstwami opadłych liści. Taką właśnie naturę próbuję uchwycić dzięki nierównościom i wybrzuszeniom.

Dlatego nakładam kolejne warstwy farby, zmieniając obrazy wielkości ściany w las będący wytworem mojej wyobraźni. Gęsty. Złowrogi. Pełen niebezpieczeństw. Drzewa strzelają w niebo, ciemne i groźne. Bluszcze nie tyle płożą się, ile wiją, tworząc pętle zdolne wydusić życie. Gęste zarośla porastają dno lasu, liście drzew przesłaniają niebo.

Maluję tak długo, aż na płótnie nie zostaje skrawek wolnego miejsca, a dziewczyny znikają w lesie niemal całkowicie ukryte pośród drzew, pnączy i liści. Dopiero wtedy wiem, że obraz jest gotowy, i drewnianą końcówką pędzla składam swój podpis w prawym dolnym rogu.

Emma Davis.

To samo nazwisko zapisane tym samym, niemal nieczytelnym charakterem widnieje teraz na ścianie galerii, witając gości przechodzących przez wysokie, rozsuwane drzwi dawnego magazynu w Meatpacking District. Na pozostałych ścianach wiszą moje obrazy. Moje obrazy. W sumie dwadzieścia siedem.

To moja pierwsza wystawa.

Randall dał z siebie wszystko, przygotowując ten wieczór i zamieniając galerię w miejski las. Są tu ściany w kolorze rdzy i kępy brzóz wyciętych i przywiezionych z New Jersey. W tle dyskretnie gra eteryczna muzyka.

Oświetlenie przywodzi na myśl październik, choć do dnia świętego Patryka pozostał jeszcze tydzień i ulice toną w błotnistej brei.

W galerii panuje tłok. Muszę to przyznać Randallowi. Kolekcjonerzy, krytycy i gapie przepychają się łokciami w stronę obrazów, z kieliszkami szampana w dłoniach, i od czasu do czasu sięgają po krokiety z grzybami i kozim serem. Zostałam już przedstawiona dziesiątkom osób, których imiona natychmiast zapomniałam. Ważnych osób. Na tyle ważnych, żeby przed powitaniem Randall szeptał mi do ucha ich nazwiska.

– Z „Timesa” – mówi o kobiecie ubranej od stóp do głów w różne odcienie fioletu. O mężczyźnie w skrojonym na miarę garniturze i jaskrawych czerwonych trampkach mówi: – Z Christie’s.

– Imponujące prace – mówi gość z Christie’s i posyła mi krzywy uśmiech. – Odważne.

W jego głosie pobrzmiewa zaskoczenie, jakby jego zdaniem kobiety nie były zdolne do śmiałości. A może zdumiewa go fakt, że ja nie sprawiam wrażenia odważnej. W porównaniu z innymi wielkimi osobistościami świata sztuki wydaję się skromna. Nie dla mnie fioletowe stroje czy buty w krzykliwych kolorach. Na dzisiejszy wieczór wybrałam małą czarną i czółenka na niskim obcasie w tym samym kolorze. Zwykle ubieram się w spodnie khaki i pochlapane farbą koszulki, a z biżuterii noszę wyłącznie srebrną bransoletkę modułową na lewym nadgarstku. Ozdabiają ją trzy przywieszki – maleńkie ptaszki z lakierowanego metalu.

Raz powiedziałam Randallowi, że ubieram się tak, bo chcę, żeby ludzie zwracali uwagę na moje obrazy, a nie na mnie. Tak naprawdę nie rozumiem ludzi, którzy wyrażają swoją śmiałość poprzez to, jak się ubierają.

Vivian była śmiała pod każdym względem.

A mimo to zniknęła.

Podczas tych spotkań uśmiecham się szeroko, wysłuchuję komplementów i powściągliwie odkładam na później nieuniknione pytania o kolejne plany.

Randallowi wyczerpały się już zapasy ludzi, którym należało mnie przedstawić, usuwam się więc na bok i siłą woli zmuszam się, by nie sprawdzać, na ilu obrazach pojawiła się charakterystyczna czerwona nalepka sygnalizująca, że zostały sprzedane. Zamiast tego popijam w kącie szampana, a gałąź ściętej niedawno brzozy obija mi się o ramię, gdy rozglądam się po pomieszczeniu, wypatrując ludzi, których naprawdę znam. Z ulgą stwierdzam, że jest ich wielu, choć dziwnie jest widzieć ich wszystkich razem w jednym miejscu. Przyjaciele z liceum rozmawiają z kolegami z agencji reklamowej, a kumple malarze stoją obok krewnych, którzy przyjechali pociągiem aż z Connecticut.

Wszyscy oni, poza jedną kuzynką, to mężczyźni.

To nie przypadek.

Ożywiam się, gdy w galerii stosownie spóźniony pojawia się Marc i uśmiechając się od ucha do ucha, rozgląda się po sali. Chociaż twierdzi, że nienawidzi świata sztuki, ze swoją brodą i uroczo potarganymi włosami pasuje do niego jak ulał. Na znoszoną koszulkę z Myszką Miki narzucił kraciastą sportową marynarkę. Do tego czerwone trampki, którym facet z Christie’s z rozczarowaniem rzuca wymowne spojrzenie. Lawirując w tłumie, Marc sięga po kieliszek szampana i po krokiecika, którego wrzuca do ust i przeżuwa w skupieniu.

– Ser jest w porządku – oznajmia. – Ale te wodniste grzyby to jakaś tragedia.

– Jeszcze ich nie próbowałam – mówię. – Za bardzo się denerwuję.

Marc kładzie mi rękę na ramieniu, jak wtedy, gdy mieszkaliśmy razem na studiach artystycznych. Każdy, zwłaszcza artysta, potrzebuje kogoś, kto

działa na niego uspokajająco. Dla mnie tym kimś jest Marc Stewart. Mój głos rozsądku. Mój najlepszy przyjaciel. Facet, za którego prawdopodobnie wyszłabym za mąż, gdyby nie fakt, że oboje lubimy mężczyzn.

Przyciągają mnie mężczyźni, którzy są dla mnie nieosiągalni. I tym razem nie jest to przypadek.

– Masz prawo się cieszyć, wiesz? – mówi.

– Wiem.

– I możesz być z siebie dumna. Nie ma powodu, żebyś czuła się winna. Od artystów wymaga się, żeby czerpali inspiracje z życiowych doświadczeń. Na tym polega kreatywność.

Oczywiście ma na myśli dziewczyny. Obecne na każdym obrazie. Poza mną tylko on jeden wie o ich istnieniu. Jedyne, czego mu nie powiedziałam, to dlaczego piętnaście lat później nadal każę im znikać.

Lepiej, żeby nie wiedział.

Nie zamierzałam malować w ten sposób. W akademii sztuk pięknych urzekała mnie prostota, zarówno koloru, jak i formy. Puszki zupy Andy’ego Warhola. Flagi Jaspera Johnsa. Zuchwałe kwadraty i surowe, czarne linie Pieta Mondriana. I wtedy kazano nam namalować portret kogoś, kogo znaliśmy i kto nie żyje.

Ja wybrałam dziewczyny.

Najpierw namalowałam Vivian, bo ona najbardziej wryła mi się w pamięć. Te jasne włosy jak z reklamy szamponu. Niesamowicie ciemne oczy, które we właściwym świetle wydawały się czarne. Zadarty nos upstrzony piegami, które pojawiały się na słońcu. Ubrałam ją w białą sukienkę z wymyślnym wiktoriańskim kołnierzem opinającym jej łabędzią szyję i podarowałam jej ten sam zagadkowy uśmiech, z którym wychodziła z chatki.

Jesteś na to za młoda, Em.

Następna była Natalie. Wysokie czoło. Kwadratowa broda. Włosy zaczesane do tyłu i upięte w koński ogon. Jej biała sukienka miała delikatny, koronkowy kołnierzyk, który odwracał uwagę od grubej szyi i szerokich ramion.

Na końcu przyszła kolej na Allison z jej zdrowym wyglądem. Rumianymi policzkami i wąskim nosem. Brwi dwa odcienie ciemniejsze od lnianych włosów, tak wąskie i idealne, że wyglądały, jakby narysowano je brązową kredką. Ozdobiłam jej szyję elżbietańską falbaniastą kryzą.

A jednak w gotowym obrazie było coś nie tak. Coś nie dawało mi spokoju aż do nocy poprzedzającej dzień, w którym mieliśmy oddać prace, kiedy obudziłam się o drugiej i zobaczyłam, że wszystkie trzy patrzą na mnie z drugiego końca pokoju.

Problem polegał na tym, że je widziałam.

Wyszłam z łóżka i podeszłam do płótna. Wzięłam pędzel, nabrałam brązowej farby i grubą krechą zamalowałam im oczy. Zasłoniłam je gałęzią. Po niej pojawiły się kolejne. Rośliny, pnącza i całe drzewa – spływały z pędzla na płótno, jak gdyby z niego wyrastały. Przed świtem większą część obrazu zajmował las, a po Vivian, Natalie i Allison zostały wyłącznie skrawki białych sukienek, fragmenty ciał i pukle włosów.

To był obraz Numer 1. Pierwszy z leśnej serii. Jedyny, na którym widać sylwetki dziewcząt. Tego płótna – za które dostałam najwyższą ocenę po tym, jak wyjaśniłam wykładowcy jego znaczenie – nie ma teraz w galerii. Wisi w moim loftowym mieszkaniu i nie jest na sprzedaż.

Większość pozostałych płócien jest wystawiona, a każde z nich zajmuje całą ścianę w kolejnych pomieszczeniach galerii. Teraz, kiedy widzę je razem, z sękatymi gałęziami i tętniącymi życiem liśćmi, mam świadomość obsesji, która stworzyła całe to przedsięwzięcie. Świadomość, że latami malowałam to samo, działa mi na nerwy.

– Jestem dumna – mówię Marcowi i upijam łyk szampana.

Jednym haustem opróżnia swój kieliszek i sięga po następny.

– No to o co chodzi? Wydajesz się strapiona.

Mówi to z piskliwym brytyjskim akcentem, naśladując Vincenta Price’a z kiczowatego horroru, którego tytułu oboje nie pamiętamy. Wiemy tylko, że byliśmy upaleni, kiedy oglądaliśmy go w telewizji, i usłyszawszy tę kwestię, wyliśmy ze śmiechu. Zbyt często powtarzamy ją sobie.

– Bo to wszystko jest dziwne. – Kieliszkiem wskazuję obrazy wiszące na ścianach, stojących przed nimi ludzi, Randalla, witającego pocałunkami w oba policzki parę smukłych Europejczyków, którzy chwilę temu weszli do galerii. – Nie spodziewałam się czegoś takiego.

Nie jestem skromna. To prawda. Gdybym spodziewała się wystawy, nadałabym swoim pracom jakieś tytuły. Zamiast tego ponumerowałam je w kolejności, w jakiej powstawały. Od Numeru 1 do Numeru 33.

Randall, galeria, całe to przyjęcie z okazji otwarcia wystawy – wszystko to jest jednym wielkim, szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Rezultatem bycia we właściwym miejscu o właściwej porze. Właściwym miejscem okazało się bistro Marca w West Village. Byłam wówczas artystką od czterech lat pracującą w agencji reklamy. Nie była to praca, która dawałaby mi satysfakcję, ale wystarczała na opłacenie czynszu za loftowe mieszkanie, na tyle duże, żeby zmieściły się w nim moje prace. Po tym, jak w bistro pękła rura, Marc potrzebował czegoś, co zakryłoby zaciek na ścianie. Pożyczyłam mu obraz Numer 8, bo był największy.

Właściwa pora nadeszła tydzień później, gdy właściciel niewielkiej galerii mieszczącej się kilka przecznic dalej wpadł do Marca na lunch. Zobaczył obraz i zaintrygowany zapytał o autora.

Niedługo potem jeden z moich obrazów – Numer 7 – został wystawiony w galerii. Sprzedał się w ciągu tygodnia. Marszand poprosił o kolejne.

Dałam mu trzy. Jeden z nich – szczęśliwy Numer 13 – zainteresował młodą miłośniczkę sztuki, która zamieściła na Instagramie jego zdjęcie. Obraz zauważyła jej pracodawczyni, aktorka telewizyjna i trendsetterka. Kupiła obraz, powiesiła w jadalni i podczas uroczystej kolacji pokazała grupie przyjaciół. Jeden z nich, redaktor „Vogue'a", powiedział o nim swojemu kuzynowi, właścicielowi większej i bardziej prestiżowej galerii. Tym kuzynem jest Randall, który przechadza się wśród gości i kolejno każdego z nich otacza ramieniem.

Nikt nie wie – ani Randall, ani tamta aktorka, ani nawet Marc – że te trzydzieści trzy płótna to jedyne, co namalowałam, nie licząc zleceń dla agencji reklamowej. W mojej głowie artystki nie kiełkują żadne świeże pomysły, nic mnie nie inspiruje. Rzecz jasna próbowałam innych rzeczy, ale robiłam to bardziej z poczucia obowiązku niż z autentycznej potrzeby. Jednak wciąż wracam do dziewcząt.

Wiem, że nie mogę malować ich bez końca i pozwalać, by raz za razem gubiły się w lesie. Dlatego obiecałam sobie, że nie namaluję kolejnego obrazu. Nie będzie Numerów 34, 46 ani – Boże broń – 112.

Dlatego nie odpowiadam, kiedy wszyscy pytają mnie, nad czym obecnie pracuję. Nie odpowiadam, bo nie wiem, co powiedzieć. Moja przyszłość jest – dosłownie – białym płótnem, które czeka, aż coś na nim namaluję. Jedynym dziełem w ciągu ostatnich sześciu miesięcy jest moja pracownia, której żonkilowe ściany przemalowałam na niebiesko.

Jeśli coś mnie trapi, to właśnie to. Jestem artystką jednego pomysłu. Odważną malarką, której dzieła życia wiszą na tych ścianach.

W efekcie czuję się bezradna, kiedy Marc zostawia mnie, żeby zagadnąć przystojnego kelnera, a Randall wykorzystuje moment, by chwycić mnie za rękę i powlec w stronę podziwiającej Numer 30 – największą z moich prac – szczupłej kobiety. Chociaż nie widzę jej twarzy,

wiem, że to ktoś ważny. Wszyscy, których poznałam do tej pory, podchodzili do mnie, a nie na odwrót.

– Oto i ona, moja droga – oznajmia Randall. – Artystka we własnej osobie.

Kobieta odwraca się i skupia na mnie przyjazne spojrzenie zielonych oczu, jakiego nie widziałam od piętnastu lat. To jedno z tych spojrzeń, które łatwo zapamiętać, bo gdy na tobie spocznie, czujesz się tak, jakbyś była najważniejszą osobą na świecie.

– Witaj, Emmo – mówi.

Zamieram, nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić. Nie wiem, jak się zachowa. Ani co powie. Nie wiem nawet, co tutaj robi. Wydawało mi się zawsze, że Francesca Harris-White nie chce mieć ze mną więcej do czynienia.

Ona jednak uśmiecha się ciepło, a zaraz potem przyciąga mnie do siebie, tak że muskamy się policzkami. To powitanie budzi w Randallu wyraźną zazdrość.

– Znacie się? – pyta.

– Tak – odpowiadam, wciąż zdumiona jej obecnością.

– Poznałyśmy się dawno temu, Emma była wtedy małą dziewczynką. Jestem dumna, widząc, na jaką wyrosła kobietę.

Posyła mi kolejne spojrzenie. Spojrzenie. I chociaż nadal nie otrząsnęłam się z zaskoczenia, uświadamiam sobie, jak bardzo cieszy mnie jej widok. Nie sądziłam, że coś takiego może się wydarzyć.

– Dziękuję, pani Harris-White – mówię. – To bardzo miłe z pani strony.

Ściąga brwi w udawanym gniewie.

– Jaka tam pani Harris-White? Mów mi Franny. Po prostu Franny.

To też pamiętam. Pamiętam, jak stała przed nami w spodenkach khaki i niebieskiej koszulce polo. Ciężkie pionierki sprawiały, że jej stopy wydawały się komicznie wielkie. *Proszę, mówcie do mnie Franny. Tutaj, w głuszy, wszystkie jesteśmy równe.*

To nie przetrwało. Później, kiedy gazety w całym kraju rozpisywały się o tym, co się wydarzyło, używano jej pełnego imienia i nazwiska. Francesca Harris-White. Jedyna córka Theodore'a Harrisa, potentata w handlu nieruchomościami. Jedyna wnuczka magnata przemysłu drzewnego Buchanana Harrisa. Młoda wdowa po spadkobiercy imperium tytoniowego Douglasie Whicie. Wartość jej majątku szacowano na miliard dolarów, przy czym większość pieniędzy pochodziła jeszcze z czasów wieku pozłacanego.

A teraz stoi przede mną na pozór nietknięta przez czas, choć przecież zapewne zbliża się do osiemdziesiątki. Wygląda dobrze jak na swoje lata. Skórę ma opaloną i promienną. Niebieska sukienka bez rękawów podkreśla jej nienaganną figurę. Włosy – ni to jasne, ni siwe – zaczesane do tyłu i zebrane w ciasny kok uwydatniają sznur pereł zdobiący jej szyję.

Znowu odwraca się w stronę obrazu i obejmuje go wzrokiem. To jedna z moich mroczniejszych prac, zdominowana przez czerń, granat i błotniste odcienie brązu. Płótno ją przytłacza, sprawia, że wygląda, jakby rzeczywiście stała w lesie, wśród drzew, które zdają się na nią napierać.

– Jest niesamowity – mówi. – Wszystkie one są niesamowite.

Coś pobrzmiewa w jej głosie. Coś drżącego i niepewnego, jak gdyby wśród zarośli, pod warstwą farby dostrzegała dziewczęta w białych sukienkach.

– Muszę przyznać, że przybyłam tu pod fałszywym pretekstem – wyznaje. Wciąż wpatruje się w obraz, jakby nie była w stanie oderwać od

niego wzroku. – Rzecz jasna interesuje mnie sztuka. Ale jest też inny powód. Mam coś, co można chyba nazwać ciekawą propozycją.

W końcu się odwraca i wbija we mnie spojrzenie zielonych oczu.

– Chciałabym przedyskutować to z tobą w wolnej chwili.

Zerkam na Randalla, który stoi dyskretnie za jej plecami. Jego usta układają się bezgłośnie w jedno słowo, które pragnie usłyszeć każdy artysta: zamówienie.

– Oczywiście – mówię bez zastanowienia. W innych okolicznościach od razu bym odmówiła.

– Wobec tego spotkajmy się jutro na lunchu. Powiedzmy, o wpół do pierwszej? U mnie. Dzięki temu będziemy miały okazję nadrobić zaległości.

Łapię się na tym, że kiwam głową, chociaż nie jestem pewna, co się właściwie dzieje. Niespodziewana wizyta Franny. Jeszcze bardziej niespodziewane zaproszenie na lunch. Przerażająca, a zarazem kusząca perspektywa namalowania obrazu na zlecenie. Kolejny surrealistyczny element i tak już dziwnego wieczoru.

– Oczywiście – powtarzam, bo nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

– Cudownie. – Franny się rozpromienia.

Wsuwa mi w dłoń wizytówkę – granatowe litery na grubym papierze welinowym – prostą, lecz elegancką. Jest na niej jej nazwisko, numer telefonu i adres przy Park Avenue. Przed wyjściem jeszcze raz obejmuje mnie, a zaraz potem odwraca się do Randalla i wskazując Numer 30, mówi:

– Biorę go.

2

Nietrudno znaleźć budynek należący do Franny, bo jest na nim jej nazwisko.

Harris.

Dom, podobnie jak jego mieszkańcy, wydaje się niepozorny. W przeciwieństwie do słynnego nowojorskiego budynku The Dakota nie ma tu okien mansardowych ani dwuspadowych dachów. To tylko niedoceniana architektura charakterystyczna dla okolic Park Avenue. Nad drzwiami widnieje wykuty w marmurze herb rodziny Harrisów. Przedstawia dwie skrzyżowane sosny tworzące X i otoczone wieńcem z bluszczu. Wydaje się adekwatny, zwłaszcza że rodzina dorobiła się na wycince tych drzew.

W ponurym wnętrzu budynku jest cicho jak w katedrze. Czuję się jak grzesznica przemykająca na paluszkach. Jak intruz. Ktoś, kto tu nie pasuje. A jednak portier wita mnie uśmiechem i zwraca się do mnie po imieniu, jak gdybym mieszkała tam od lat.

To nie koniec ciepłych powitań, bo kiedy wchodzę do windy, widzę kolejną znajomą twarz z Camp Nightingale.

– Lottie? – pytam.

W przeciwieństwie do Franny Lottie zmieniła się przez ostatnie piętnaście lat. Postarzała się. Zdaje się bardziej obyta w świecie. Spodenki i kraciastą koszulę, w których widziałam ją ostatni raz, zastąpiła ciemnoszarym spodniumem założonym na świeżo wyprasowaną białą

bluzkę. Jej włosy, niegdyś długie i mahoniowe, teraz obcięte na pazia i kruczoczarne, okalają bladą twarz. Ale uśmiech pozostał taki sam. Nadal jest ciepły i serdeczny, jak wtedy w Camp Nightingale.

– Emma – mówi i obejmuje mnie. – Boże, dobrze znów cię widzieć.

Odwzajemniam uścisk.

– Ciebie też, Lottie. Zastanawiałam się, czy nadal pracujesz dla Franny.

– Nie pozbyłaby się mnie, nawet gdyby chciała. Zresztą nigdy nie próbowała.

Rzadko widywałyśmy je osobno. Franny była kierowniczką obozu, a Lottie jej oddaną asystentką. Razem rządziły nie tyle żelazną ręką, co dłonią odzianą w aksamitną rękawiczkę, i nawet taka spóźnialska jak ja nie była w stanie wyprowadzić ich z równowagi. Jak dziś pamiętam pierwsze spotkanie z Lottie. Kiedy niespiesznie wyszła z Domu, po tym jak moi rodzice i ja przyjechaliśmy z kilkugodzinnym opóźnieniem. Powitała nas uśmiechem i szczerym: „Witamy w Camp Nightingale”.

Teraz skinieniem zaprasza mnie do windy i wciska górny guzik. Kiedy winda rusza, mówi:

– Zjecie lunch w szklarni. Zaczekaj, aż ją zobaczysz.

Kiwam głową z udawanym entuzjazmem, co nie uchodzi jej uwadze. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, świadoma moich sztywnych pleców, nerwowego przytupywania i przyklejonego do twarzy drżącego uśmiechu.

– Nie denerwuj się – mówi. – Franny już dawno ci wybaczyła.

Chciałabym w to wierzyć, bo chociaż w galerii była wobec mnie nadzwyczaj miła, mam pewne wątpliwości. Nie mogę pozbyć się uczucia, że to coś więcej niż przyjacielska wizyta.

Drzwi windy otwierają się i widzę hol prowadzący do apartamentu Franny. Ku mojemu zdziwieniu ścianę naprzeciw windy zdobi obraz

kupiony zaledwie wczoraj wieczorem. Jak widać, Francesca Harris-White nie uznaje czerwonych nalepek ani trwającego kilka tygodni oczekiwania. Randall pewnie nie zmrużył oka, organizując transport obrazu.

– Jest piękny – mówi o Numerze 30 Lottie. – Rozumiem, dlaczego zachwycił Franny.

Zastanawiam się, czy Franny nadal byłaby zachwycona, wiedząc, że przemyciłam w nim dziewczęta, które czekają, aż ktoś je odnajdzie. Zastanawiam się też, jak one same zareagowałyby na wieść, że oto znalazły się w luksusowym apartamencie Franny. Allison i Natalie pewnie miałyby to gdzieś. Ale Vivian? Byłaby kurewsko zachwycona.

– Po południu zamierzam zrobić sobie wolne, skoczyć do galerii i zobaczyć, co jeszcze namalowałaś – mówi Lottie. – Jestem z ciebie taka dumna, Emmo. Wszyscy jesteśmy.

Prowadzi mnie krótkim korytarzem w lewo, obok jadalni i dalej, przez pokój dzienny.

– Jesteśmy na miejscu. Szklarnia.

To słowo nie oddaje sprawiedliwości temu miejscu. Nazwanie go szklarnią to jak nazwanie Grand Central zwykłym dworcem. Oba obiekty urządzono z rozmachem, który przeczy skromnym nazwom.

Szklarnia Franny to tak naprawdę dwupoziomowa oranżeria utworzona w miejscu dawnego tarasu. Szyby z grubego szkła ciągną się od podłogi aż po sklepiony sufit, gdzieniegdzie w rogach wciąż jeszcze widać resztki śniegu. Wewnątrz znajduje się miniaturowy las. Są tu przysadziste sosny, kwitnące drzewa wiśni i płonące czerwienią krzewy różane. Na porośniętej mchem podłodze płożą się bluszcze. Jest tu nawet szumiący strumyk, który toczy swe wody po skalistym dnie. W samym środku tego baśniowego lasu mieści się wyłożone czerwoną cegłą patio. To tu zastajemy Franny, siedzącą przy nakrytym stoliku z kutego żelaza.

– Oto i ona – anonsuje mnie Lottie. – Jest pewnie głodna jak wilk, a to znaczy, że lepiej zacznę podawać.

Franny ponownie wita mnie półuściskiem.

– Cudownie znów cię widzieć, Emmo. Pięknie wyglądasz.

Nie miałam pojęcia, w co się ubrać, więc wybrałam najładniejszą rzecz z szafy – wzorzystą sukienkę od Diane von Furstenberg, którą dostałam na święta od rodziców. Moje obawy o to, że będę ubrana nie dość elegancko, jak się okazuje, były niepotrzebne. Czarne spodnie i biała koszula Franny sprawiają, że czuję się ubrana wręcz sztywno i formalnie, a do tego denerwuję się, bo wciąż nie wiem, po co mnie wezwano.

– Co sądzisz o mojej małej szklarni? – pyta Franny.

Rozglądam się dookoła, zatrzymując wzrok na szczegółach, których dotąd nie zauważyłam. Na posągu anioła niemal ukrytym pod bluszczem. Na żonkilach kwitnących nad strumykiem.

– Jest piękna – mówię. – Zbyt piękna, by opisać ją słowami.

– To moja oaza w wielkim mieście. Lata temu postanowiłam, że skoro nie mogę mieszkać wśród przyrody, będę musiała zaprosić przyrodę pod swój dach.

– Dlatego kupiłaś mój największy obraz? – pytam.

– Właśnie. Patrząc na niego, czuję się, jakbym stała w ciemnym lesie i musiała zdecydować, czy chcę się zapuścić głębiej. Odpowiedź, rzecz jasna, brzmi: tak.

Ja również bym tak odpowiedziała. Lecz w przeciwieństwie do Franny weszłabym w las tylko dlatego, że wiem, że gdzieś tam za linią drzew czekają na mnie one.

Na lunch jemy pstrąga w migdałach i sałatkę z rukoli, a wszystko to popijamy rieslingiem. Pierwszy kieliszek uspokaja moje nerwy. Drugi sprawia, że tracę czujność. Przy trzecim Franny wypytuje mnie o pracę,

życie osobiste, rodzinę. Odpowiadam szczerze – pracy nienawidzę, jestem singielką, na emeryturze rodzice zamieszkali w Boca Raton na Florydzie.

– Wszystko było przepyszne – mówię, zjadłszy na deser tartę cytrynową tak smaczną, że mam ochotę wylizać talerz.

– Cieszę się – mówi Franny. – Pstrąg pochodził z jeziora Midnight.

Na wspomnienie jeziora wzdrygam się. Franny zauważa moje zaskoczenie i dodaje pospiesznie:

– Wciąż możemy myśleć z czułością o miejscu, w którym wydarzyło się coś złego. Przynajmniej ja tak mam.

To zrozumiałe, że tak uważa. W końcu to jej rodzinna posiadłość. Tysiąc sześćset hektarów dziczy na południe od gór Adirondack, uratowane przez jej dziadka, Buchanana Harrisa, który w ciągu całego życia prowadził wycinkę lasów na pięciokrotnie większym terenie. Pewnie myślał, że w ten sposób odkupi swoje winy. Może nawet tak było, choć i tym razem ucierpiało środowisko naturalne. Rozczarowany po tym, jak nie mógł znaleźć miejsca z dużym zbiornikiem wodnym, dziadek Franny postanowił sam stworzyć taki zbiornik. Wybudował tamę na dopływie pobliskiej rzeki i dokładnie o północy w deszczową noc sylwestrową tysiąc dziewięćset drugiego roku nacisnął guzik i zamknął zapory. W ciągu kilku dni cicha, spokojna dolina zmieniła się w jezioro.

Historię jeziora Midnight opowiadano każdemu, kto przybywał do Camp Nightingale.

– Nic się tam nie zmieniło – ciągnie Franny. – Dom nadal stoi. Mój dom z dala od domu. Byłam tam w ubiegły weekend, stąd ten pstrąg. Sama go złowiłam. Chłopcom nie podoba się to, że bywam tam tak często. Zwłaszcza gdy jedziemy same z Lottie. Theo martwi się, że gdyby stało się coś złego, w pobliżu nie ma nikogo, kto by nam pomógł.

Na wspomnienie o synach Franny znów czuję się niezręcznie.

Theodore i Chester Harris-White. Wydumane imiona godne przedstawicieli amerykańskich białych elit. Obaj, podobnie jak ich matka, wolą zdrobnienia – Theo i Chet. Młodszego Cheta pamiętam jak przez mgłę. Kiedy przyjechałam do Camp Nightingale, był niespełna dziesięcioletnim chłopcem. Niespodzianką, owocem później adopcji. Nie pamiętam, żebym z nim rozmawiała, choć pewnie musiało się tak zdarzyć. Widywałam go, jak zbiegał boso po trawie za Domem w stronę jeziora.

Theo również był adoptowany. Na długo przed Chetem.

Pamiętam go. Może nawet za dobrze.

– Co u nich słychać? – pytam, choć nie mam prawa wiedzieć. Robię to tylko dlatego, że Franny patrzy na mnie wyczekująco, najwyraźniej czekając, że to zrobię.

– Obaj mają się dobrze. Theo wyjechał na rok do Afryki i pracuje dla Lekarzy bez Granic. Wiosną Chet będzie bronił tytułu magistra na Uniwersytecie Yale. Zaręczył się z uroczą dziewczyną. – Urywa, jakby czekała, aż dotrą do mnie jej słowa. Zapada wymowna cisza, która ma mi uświadomić, że jej rodzina ma się świetnie, pomimo tego, co im zrobiłam. – Myślałam, że wiesz. Że dowiedziałaś się pocztą pantoflową.

– Nie utrzymuję kontaktów z nikim z Camp Nightingale – mówię.

Oczywiście dziewczyny próbowały. Kiedy świat oszalał na punkcie Facebooka, otrzymałam od kilku byłych obozowiczek zaproszenia do grona znajomych. Zignorowałam wszystkie, bo nie wiedziałam, po co miałabym utrzymywać te kontakty. Nic nas nie łączyło poza tym, że spędziłyśmy dwa tygodnie w tym samym miejscu i w tym samym niefortunnym czasie. Mimo to dołączyłam do facebookowej grupy uczestników Camp Nightingale. Lata temu skasowałam wszystkie posty.

– Może mogłybyśmy to zmienić – mówi Franny.

– Jak?

– To chyba odpowiedni moment, żeby powiedzieć ci, po cię tutaj zaprosiłam – stwierdza i dodaje taktownie: – Oczywiście poza tym, że bardzo lubię twoje towarzystwo.

– Przyznaję, że jestem ciekawa – rzucam, choć naprawdę to mało powiedziane.

– Zamierzam na nowo otworzyć Camp Nightingale – oznajmia Franny.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – pytam bez zastanowienia. W moich słowach pobrzmiewa szyderstwo. Są zimne i niemal okrutne. – Przepraszam – mówię pospiesznie. – Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

Franny sięga ponad stołem, ściska mnie za rękę i mówi:

– Nie przepraszaj. Nie ty pierwsza reagujesz w ten sposób. Sama przyznaję, że to niezbyt rozsądne, ale czuję, że to właściwy czas. Wystarczająco długo obóz stał pusty.

Piętnaście lat. Tyle upłynęło czasu. Z jednej strony mam wrażenie, że cała wieczność, a z drugiej czuję się tak, jakby to było wczoraj.

Tamtego lata obóz został zamknięty wcześniej, bo zaledwie po dwóch tygodniach, przez co plany wielu rodzin pogrążyły się w chaosie. Ale nie było wyjścia. Nie po tym, co się wydarzyło. Moi rodzice wahali się między współczuciem a złością po tym, jak odebrali mnie dzień później niż pozostali. Przyjechaliśmy jako ostatni i jako ostatni wyjechaliśmy. Pamiętam, jak siedziałam na tylnej kanapie naszego volvo i patrzyłam na obóz malejący w oddali. Nawet w wieku trzynastu lat wiedziałam, że już na zawsze pozostanie zamknięty.

Inny obóz mógłby przetrwać kontrolę. Ale Camp Nightingale nie był zwykłym letnim obozem. To był letni obóz dla dzieci bogaczy mieszkających na Manhattanie. Miejsce, gdzie pokolenia dziewcząt z zamożnych rodzin spędzały wakacje, pływając, żeglując, plotkując. Była tam moja matka. I ciotka. W szkole nazywali go „obozem dla bogatych

suk”. Te słowa wypowiadano z pogardą, starając się ukryć zazdrość i rozczarowanie, że niektórych rodziców nie stać na posłanie tam swoich pociech. Choćby – jak w moim wypadku – na jedno lato.

Właśnie to lato, które wstrząsnęło reputacją obozu.

Ludzie, których dotyczyła sprawa, byli na tyle szanowani, żeby informacje o obozie pojawiały się w telewizji przez całe lato i pół jesieni. Natalie, córka najlepszego w mieście chirurga ortopedy. Allison, dziecko słynnej aktorki broadwayowskiej. I Vivian, córka senatora, której imię często pojawiało się w gazetach obok słowa „niezrównoważona”.

Prasa w większości przypadków zostawiła mnie w spokoju. W porównaniu z innymi byłam nikim. Córką zaniedbującego obowiązki bankiera i wysokofunkcjonującej alkoholiczki. Tyczkowatą trzynastolatką, której babka zmarła niedawno, pozostawiając jej dość pieniędzy, by mogła spędzić sześć tygodni na jednym z najbardziej ekskluzywnych letnich obozów w kraju.

Ostatecznie nienawiść mediów skupiła się głównie na Franny. Francesca Harris-White, niegdyś bogata dziewczyna, o której rozpisywano się w kronikach towarzyskich w związku z licznymi skandalami. W wieku dwudziestu jeden lat poślubiła człowieka, który mógłby być jej ojcem. Pochowała go przed trzydziestką. Mając czterdzieści lat, adoptowała pierwsze dziecko, a mając pięćdziesiąt – drugie.

Dziennikarze byli wobec niej bezwzględni. Rozpisywali się o tym, jak niebezpiecznym miejscem był Camp Nightingale, zwłaszcza że mąż Franny utonął w jeziorze tego roku, gdy otwarto ośrodek. Twierdzili, że obóz cierpiał na niedobór personelu, a jego uczestniczki były pozostawiane bez nadzoru. Pojawiały się artykuły, w których obwiniano Franny o to, że broniła syna, gdy padł na niego cień podejrzeń. Niektórzy insynuowali

nawet, że jest coś złowieszczego w Camp Nightingale, we Franny i jej rodzinie.

Pewnie poniekąd się do tego przyczyniłam.

A niech to. Wiem, że tak było.

Mimo to Franny nie okazuje niechęci, kiedy tak siedzi w swoim sztucznym lesie i roztacza przede mną wizję nowego Camp Nightingale.

– Oczywiście nie będzie tak jak kiedyś – mówi. – To niemożliwe. Piętnaście lat to szmat czasu, lecz to, co się stało, już zawsze będzie kładło się cieniem na obozie. Dlatego tym razem zamierzam zrobić inaczej. Założyłam fundusz charytatywny. Nikt nie zapłaci ani pensa za pobyt w Camp Nightingale. Obóz będzie całkowicie darmowy, oparty na kryteriach merytorycznych i przeznaczony dla dziewcząt z trzech stanów.

– To bardzo wspaniałomyślne – mówię.

– Nie potrzebuję niczyich pieniędzy. Z całą pewnością ich nie potrzebuję. Pragnę tylko, żeby miejsce to na powrót wypełniło się dziewczętami, które korzystałyby z jego uroków. I byłoby cudownie, gdybyś do mnie dołączyła.

Z trudem przełykam ślinę. Ja? Miałabym spędzić lato w Camp Nightingale? To nie to samo, co zlecenie, którego się spodziewałam. Propozycja jest tak dziwaczna, że przychodzi mi do głowy, że może się przesłyszałam.

– To wcale nie takie dziwne, jak mogłoby się wydawać – tłumaczy Franny. – Chciałabym, żeby na obozie odbywały się warsztaty malarskie. Owszem, dziewczęta będą pływać, podróżować i robić to, co zwykle robi się na obozie. Ale chcę również, żeby uczyły się sztuki pisania, fotografii i malowania.

– Chcesz, żebym uczyła je malować?

– Oczywiście – przytakuje. – Ale będziesz też miała mnóstwo czasu, żeby popracować. Nie ma lepszej inspiracji niż przyroda.

Nadal nie rozumiem, dlaczego ze wszystkich ludzi wybrała właśnie mnie. Powinnam być ostatnią osobą, z którą chciałaby mieć do czynienia. Franny naturalnie wyczuwa moje wahanie. Nie sposób go nie wyczuć, zwłaszcza że siedzę, jakbym kij połknęła, i nerwowo bawię się chusteczką, zawiązując na niej ciasne węzły.

– Rozumiem twój niepokój – mówi. – Na twoim miejscu czułabym to samo. Ale nie winię cię o to, co się wydarzyło, Emmo. Byłaś młoda i zdezorientowana, a sytuacja była straszna dla nas wszystkich. Naprawdę wierzę, że powinniśmy puścić to w niepamięć. Bardzo bym chciała zaprosić też inne obozowiczki. Pokazać wszystkim, że Camp Nightingale znów jest bezpiecznym, radosnym miejscem. Rebecca Schoenfeld już się zgodziła.

Becca Schoenfeld. Słynna dziennikarka. Zrobione przez nią zdjęcie zakrwawionej pary młodych syryjskich uchodźców trzymających się za ręce trafiło na pierwsze strony gazet na całym świecie. Jednak dla Franny ważniejsze jest to, że Becca również uczestniczyła w ostatnim turnusie Camp Nightingale.

Nie była jedną z tych dziewczyn, które próbowały znaleźć mnie na Facebooku. Zresztą wcale na to nie liczyłam. Becca stanowiła dla mnie zagadkę. Nie zgrywała nieprzystępnej ani wyniosłej. Była cicha, stroniła od ludzi i wolała patrzeć na świat przez obiektyw aparatu, który zawsze nosiła zawieszony na szyi, nawet gdy brodziła po pas w wodzie jeziora.

Wyobrażam sobie, jak siedzi przy tym stoliku z tym samym aparatem na materiałowym pasku, podczas gdy Franny próbuje przekonać ją, żeby wróciła do Camp Nightingale. Świadomość, że się zgodziła, wiele zmienia. Sprawia, że pomysł Franny wydaje się mniej szalony, a bardziej prawdopodobny. Chociaż nie dla mnie.

– To bardzo duże zobowiązanie – mówię.

– Oczywiście dostaniecie honorarium.

– Nie o to chodzi – rzucam pospiesznie. Skręcam serwetkę tak mocno, że wygląda jak lina. – Nie sądzę, żebym mogła tam wrócić. Nie po tym, co się stało.

– Może właśnie dlatego powinnaś to zrobić – tłumaczy Franny. – Ja też bałam się powrotu. Unikałam go przez dwa lata. Myślałam, że nie znajdę tam nic oprócz mroku i złych wspomnień. Ale okazało się, że jest tam tak pięknie jak zawsze. Przyroda leczy rany, Emmo. Jestem o tym głęboko przekonana.

Milczę. Trudno cokolwiek powiedzieć, gdy Franny wbija we mnie spojrzenie swoich zielonych oczu, uważne, pełne współczucia i, tak, odrobinę błagalne.

– Powiedz chociaż, że przynajmniej się zastanowisz – mówi.

– Dobrze – odpowiadam. – Pomyślę o tym.

3

Ja o tym nie myślę.

Ja mam na tym punkcie obsesję.

Propozycja Franny nie daje mi spokoju przez resztę dnia. Ale nie zastanawiam się nad tym tak, jak na to liczyła. Zamiast roztrząsać, jak cudownie byłoby wrócić do Camp Nightingale, myślę o wszystkich powodach, dla których nie powinnam tego robić. O przytłaczającym poczuciu winy, które nęka mnie od piętnastu lat. O starym, dobrym niepokoju. Myślę o tym, kiedy idę do bistro Marca, żeby zjeść tam z nim kolację.

– Uważam, że powinnaś jechać – mówi, przesuwając w moją stronę talerz ratatouille. To moje ulubione danie z karty, gorące i pachnące pomidorami i ziołami prowansalskimi. Normalnie już zabrałabym się do jedzenia, ale przez propozycję Franny straciłam apetyt. Marc to wyczuwa i stawia obok talerza duży kieliszek wina pinot noir wypełniony niemal po brzegi. – Dobrze ci to zrobi.

– Moja terapeutka miałaby pewnie odmienne zdanie.

– Wątpię. To podręcznikowy przypadek domknięcia.

Bóg jeden wie, że tego nie doświadczyłam. Nabożeństwa żałobne ciągnęły się kolejno przez pół roku w zależności od tego, kiedy rodziny porzuciły nadzieję. Pierwsi poddali się bliscy Allison. Później rodzina Natalie – jak zawsze w środku – a msza była skromną ceremonią wyłącznie dla najbliższych. Ostatnia była Vivian. Nabożeństwo żałobne w jej intencji

odbyło się w mroźny styczniowy dzień i było jedynym, w którym uczestniczyłam. Rodzice mówili mi, żebym nie szła, ale i tak to zrobiłam. Uciekłam ze szkoły, żeby usiąść w ostatniej ławce kościoła pełnego ludzi, byle dalej od zapłakanych rodziców Vivian. Było tam tylu senatorów i kongresmenów, że czułam się, jakbym oglądała kanał informacyjny C-SPAN.

Msza nie pomogła. Podobnie jak czytanie w internecie o nabożeństwach żałobnych w intencji Allison i Natalie. Głównie dlatego, że nadal istniała szansa, choć bardzo nikła, że wciąż żyją. Nie miało znaczenia, że po trzech latach stan Nowy Jork uznał je wszystkie za zmarłe. Dopóki nie znaleziono ciał, nie można było mieć pewności.

– Nie wiem, czy problemem jest domknięcie – mówię.

– Więc co, Em?

– To miejsce, w którym trzy osoby rozpłynęły się w powietrzu. Na tym polega problem.

– Rozumiem – mówi Marc. – Ale jest coś jeszcze. Coś, o czym mi nie mówisz.

– Dobra – wzdycham i wbijam wzrok w talerz parującego ratatouille. – Nie namalowałam nic od pół roku.

Marc wygląda na zbolałego, jakby mi nie wierzył.

– Poważnie? – pyta.

– Śmiertelnie poważnie.

– Masz problem.

– To mało powiedziane.

Mówię mu o wszystkim. O tym, że nie jestem w stanie malować niczego poza dziewczynami. Że za każdym razem zamalowuję ich ubrane na biało postaci, zakrywając je drzewami i pnączami. Że dzień po dniu

gapię się na ogromne płótno w swoim mieszkaniu i próbuję zmusić się, żeby namalować coś innego.

– Masz obsesję – stwierdza.

– Bingo – mruczę. Sięgam po kieliszek i upijam łyk wina.

– Nie chcę wyjść na niewrażliwca – mówi Marc. – A już na pewno nie chcę lekceważyć twoich uczuć. Czujesz, co czujesz, rozumiem to. Nie rozumiem jednak, dlaczego po tak długim czasie nadal prześladuje cię to, co wydarzyło się na obozie. Praktycznie nie znałaś tych dziewczyn.

Moja terapeutka mówiła to samo. Jakbym nie wiedziała, że to dziwne, że tak bardzo przejmuję się czymś, co wydarzyło się piętnaście lat temu, i że mam obsesję na punkcie dziewczyn, które znałam przez zaledwie dwa tygodnie.

– Były przyjaciółkami – mówię. – I czuję się podle przez to, co je spotkało.

– Czujesz się podle czy masz wyrzuty sumienia?

– Jedno i drugie.

Ja ostatnia widziałam je żywe. Mogłam powstrzymać je przed zrobieniem tego, co planowały. Albo powiedzieć Franny lub którejś z opiekunek zaraz po tym, jak wyszły. Zamiast tego poszłam z powrotem spać. Do dziś czasami słyszę we śnie ostatnie słowa Vivian.

Jesteś na to za młoda, Em.

– I boisz się, że powrót tam sprawi, że poczujesz się jeszcze gorzej – ciągnie Marc.

Zamiast odpowiedzieć, podnoszę do ust kieliszek. Na powierzchni wina widzę swoje falujące odbicie. Patrzę na siebie, zdumiona tym, jak dziwnie wyglądam. Czy naprawdę jestem taka smutna? Chyba tak, bo kiedy Marc się odzywa, głos ma łagodniejszy.

– To naturalne, że się boisz. Umarły twoje przyjaciółki.

– Zniknęły – poprawiam go.

– One nie żyją, Emmo. Wiesz o tym, prawda? Najgorsze, co mogło się wydarzyć, już się wydarzyło.

– Jest coś gorszego niż śmierć.

– Na przykład?

– Niewiedza – mówię. – Dlatego jestem w stanie malować wyłącznie je. A nie mogę tak dalej, Marc. Muszę się rozwijać.

Nie chodzi tylko o to. Chociaż Marc wie, co wydarzyło się tamtego lata, jest wiele rzeczy, o których mu nie powiedziałam. Rzeczy, które miały miejsce w Camp Nightingale. I takich, które wydarzyły się później. Jak choćby prawdziwy powód, dla którego zawsze noszę bransoletkę z przywieszkami, podzwaniającymi za każdym razem, gdy poruszę lewą ręką. Wypowiedzenie tego na głos, znaczyłoby, że to prawda. A ja nie chcę spojrzeć prawdzie w oczy.

Ktoś mógłby powiedzieć, że okłamywałam Marca. Że okłamywałam wszystkich dookoła. Ale przecież po powrocie z Camp Nightingale obiecałam sobie, że już nigdy nikogo nie okłamię.

Pomijanie. Oto moja taktyka. Zupełnie inny grzech.

– To jeszcze jeden powód, dlaczego powinnaś tam jechać. – Marc sięga ponad stołem i bierze mnie za ręce. Dłonie ma stwardniałe, palce poznaczone bliznami. Dłonie doświadczonego kucharza. – Może powrót tam to wszystko, czego potrzebujesz, żeby znowu zacząć malować inne rzeczy. Wiesz, jak mówią: czasami, żeby z czegoś wyjść, trzeba wejść w to jeszcze raz.

Po kolacji wracam do mieszkania i staję przed pustym płótnem. Jego biel szydzi ze mnie od tygodni. Rozległa pustka, która rzuca mi wyzwanie,

żebym ją wypełniła.

Sięgam po zniszczoną paletę w kolorach tęczy. Wyciskam na nią odrobinę farby, maczam w niej czubek pędzla i siłą woli zmuszam się, żeby coś namalować. Wszystko oprócz nich. Dotykam pędzlem płótna i zostawiam na nim smugę koloru.

Zaraz potem odsuwam się i z uwagą patrzę na swoje dzieło. Jest żółte. Lekko zakrzywione. Jak przechylone S. Uświadamiam sobie, że to włosy Vivian, jasne pasmo powiewające za jej plecami. To nie może być nic innego.

Chwytam najbliższą ściereczkę śmierdzącą terpentyną i trę żółtą farbę tak długo, aż zostaje po niej jedynie blada smuga. Łzy spływają mi na policzki, kiedy uświadamiam sobie, że ten niewyraźny zawijas to jedyna rzecz, jaką namalowałam od tygodni.

To żałosne. Ja jestem żałosna.

Wycieram oczy, bo coś przykuwa moją uwagę. Przy oknie. Jakiś ruch. Błysk.

Jasne włosy. Blada skóra.

Vivian.

Z mojego gardła dobywa się krzyk. Ciskam ścierkę i prawą ręką chwytam bransoletkę na lewym nadgarstku. Przekręcam ją, ptaszki zrywają się do lotu, kiedy obracam się, żeby spojrzeć na Vivian.

Tyle że to nie Vivian.

To moje odbicie w szybie. Na ciemnym od nocy szkle sprawiam wrażenie przestraszonej, słabej i, przede wszystkim, wstrząśniętej.

Wstrząśniętej świadomością, że myślę o nich i maluję je, chociaż to nie ma sensu. Że po piętnastu długich latach wiem tyle samo o tym, co się wydarzyło, co wtedy, gdy opuszczałam chatkę. Że po tym jak zniknęły,

jeszcze bardziej pogorszyłam sprawę. Dla Franny. Dla jej rodziny. Dla siebie.

W końcu mogę to zmienić. Wystarczy jedna mała wskazówka na temat tego, co się stało. Nie zmaże to moich grzechów, ale może uczyni je bardziej znośnymi.

Odwracam się od okna, sięgam po telefon i wybieram numer wydrukowany elegancką czcionką na wizytówce, którą wczoraj wieczorem dała mi Franny. Od razu włącza się poczta głosowa i głos Lottie prosi mnie, żebym zostawiła wiadomość.

– Tu Emma Davis. Przemyślałam ofertę Franny, żeby spędzić lato w Camp Nightingale. – Urywam, nie do końca wierząc w to, co zamierzam powiedzieć. – I moja odpowiedź brzmi „tak”. Zrobię to.

Rozłączam się, nie czekając, aż zmienię zdanie. Mimo wszystko kusi mnie, żeby zadzwonić jeszcze raz i wszystko odwołać. Przez chwilę wodzę palcem po ekranie telefonu. W końcu jednak dzwonię do Marca.

– Wracam do Camp Nightingale – oświadczam, zanim Marc zdąży cokolwiek powiedzieć.

– Cieszę się, że moje przemówienie motywujące podziałało – odpowiada. – Domknięcie to dobra rzecz, Em.

– Chcę spróbować odnaleźć dziewczyny.

W telefonie zapada cisza. Wyobrażam sobie, że Marc mruga i przeczesuje włosy palcami – zwykle tak właśnie reaguje, gdy nie jest w stanie czegoś pojąć. W końcu mówi:

– Wiem, że zachęcałem cię do wyjazdu, Em, ale to chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Dobry czy nie, po to tam jadę.

– Zastanów się. Co spodziewasz się znaleźć?

– Nie wiem – mówię. – Pewnie nic.

Z pewnością nie liczę, że odnajdę Vivian, Natalie i Allison. Zniknęły dosłownie bez śladu, więc nie wiem nawet, gdzie miałabym zacząć poszukiwania. No i to miejsce. Podczas gdy sam obóz zajmuje niewielki obszar, otaczające go tereny są rozległe. Przeszło piętnaście kilometrów kwadratowych lasów. Jeśli kilkusetosobowa grupa poszukiwawcza nie znalazła ich wiele lat temu, nie mam na co teraz liczyć.

– A gdyby jedna z nich coś tam zostawiła? – pytam. – Jakąś wskazówkę, dokąd się wybierały albo co zamierzały zrobić?

– I co z tego? – odpowiada Marc pytaniem na pytanie. – To i tak nie przywróci im życia.

– Rozumiem.

– Jest jeszcze jedno pytanie: dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

Milczę, zastanawiając się, jak wytłumaczyć coś, czego nie da się wyjaśnić. To niełatwe, zwłaszcza że Marc nie zna całej historii. Dlatego mówię tylko:

– Czy kiedykolwiek żałowałeś czegoś dniami, miesiącami, latami po tym, jak to zrobiłeś?

– Jasne – rzuca bez zastanowienia. – Chyba każdy z nas ma co najmniej jedną rzecz, której żałuje.

– Dla mnie taką rzeczą są wydarzenia tamtego lata. Piętnaście lat czekałam na wskazówkę. Jakiś drobiazg, który podpowie mi, co się z nimi stało. Teraz mam okazję wrócić tam i się rozejrzeć. To pewnie ostatnia szansa, żeby spróbować znaleźć odpowiedzi. Boję się, że jeśli tego nie zrobię, będę to sobie wyrzucała do końca życia.

Marc wzdycha, a to oznacza, że udało mi się go jednak przekonać.

– Tylko obiecaj, że nie zrobisz niczego głupiego – mówi.

– Na przykład?

– Nie narazisz się na niebezpieczeństwo.

– Jadę na letni obóz – przypominam mu. – Nie zamierzam przenikać w struktury mafii. Rozejrzę się, może zadam kilka pytań. Kto wie, może po sześciu tygodniach będę wiedziała, co się z nimi stało. A nawet jeśli nie, może już sam pobyt tam wystarczy, żebym się odblokowała i zaczęła malować coś innego. Sam mówiłeś, że czasami, żeby z czegoś wyjść, trzeba wejść w to jeszcze raz.

– Dobrze – mówi Marc i znowu wzdycha. – Zaplanuj wyjazd. Spróbuj się czegoś dowiedzieć. I wróć gotowa chwycić za pędzel.

Kończąc rozmowę, zerkam na swój pierwszy obraz dziewcząt. Numer 1, na którym wśród drzew dostrzegam sylwetki Vivian, Natalie i Allison. Podchodzę do niego i szukam kosmyka włosów albo skrawka sukienki.

Chociaż gałąź zakrywa ich oczy, wiem, że patrzą na mnie. Jakby od początku wiedziały, że pewnego dnia wrócę do Camp Nightingale. Nie wiem tylko, czy namawiają mnie do powrotu, czy błagają, żebym trzymała się z dala od tego miejsca.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

– Pobudka, słonko.

Ledwie minęła ósma, gdy mama weszła do mojego pokoju z oczami szklistymi po porannej Krwawej Mary. Uśmiechała się jak zawsze, kiedy zamierzała zrobić coś doniosłego. Nazywałam to uśmiechem Matki Roku. Taki widok zawsze budził mój niepokój, głównie dlatego, że między intencjami mojej matki a rzeczywistym rezultatem ziała przepaść. Tamtego ranka skuliłam się pod kołdrą, szykując się na przymusowe kilka godzin zacieśniania więzi między matką a córką.

– Gotowa? – spytała.

– Na co?

Spojrzała na mnie, bawiąc się kołnierzem szyfonowego szlafroka.

– Na obóz.

– Jaki obóz?

– Obóz letni – odparła z naciskiem na drugie słowo, żebym wiedziała, że tam, dokąd jadę, spędzę więcej niż dwa, trzy dni.

Usiadłam i odrzuciłam pościel.

– Nie mówiłaś o żadnym obozie.

– Ależ mówiłam, Emmo. Kilka tygodni temu. To to samo miejsce, w którym byłam ja i ciotka Julie. Chryste, nie mów, że zapomniałaś.

– Nie zapomniałam.

Z pewnością zapamiętałabym, gdyby mi powiedziała, że spędzę całe wakacje z dala od przyjaciół. Bardziej prawdopodobne, że moja matka tylko myślała, że mi powiedziała. W jej świecie myślenie o czymś było niemal tym samym co robienie tego. Wiedziałam o tym, ale i tak poczułam się, jakbym wpadła w zasadzkę. Przypominało to ekstremalne sytuacje, w których rodzice ćpunów wynajmowali pracowników centrów leczenia uzależnień, żeby uprowadzali ich dzieci.

– No to mówię ci teraz – oświadczyła. – Gdzie twoja walizka? Za godzinę musimy wyjechać.

– Za godzinę? – Na myśl o wszystkich wakacyjnych planach, które właśnie poszły w rozsypkę, poczułam ucisk w żołądku. Żadnego nicnierobienia w towarzystwie Heather i Marissy. Żadnych potajemnych wypadów na Coney Island, które planowałyśmy, siedząc w szkolnej świetlicy. Żadnego flirtowania z Nolanem Cunninghamem z sąsiedztwa, który może nie był tak słodki jak Justin Timberlake, ale był równie pewny siebie. No i teraz, kiedy zdjęto mi aparat ortodontyczny, w końcu zaczął zwracać na mnie uwagę. – Dokąd jedziemy?

– Camp Nightingale.

Obóz dla bogatych suk. Najwidoczniej czekał mnie dzień pełen niespodzianek.

To wszystko zmieniało.

Dwa lata błagałam rodziców, żebym mogła tam jechać, ale zawsze odmawiali. A teraz, kiedy porzuciłam nadzieję, okazało się, że wyjeżdżam. Za godzinę. To by tłumaczyło uśmiech Matki Roku. Chociaż raz był on uzasadniony.

Mimo wszystko nie chciałam, żeby mama wiedziała, jak bardzo się cieszę. Potraktowałaby to jako zachętę i podjęła kolejne próby nadrobienia straconego czasu. A to oznaczało podwieczorek w hotelu Plaza. I szał

zakupów u Saksa. Wszystko, co zagłuszyłoby wyrzuty sumienia, że nie interesowała się mną przez pierwszych dwanaście lat mojego życia.

– Nie jadę – oświadczyłam. Położyłam się i naciągnęłam kołdrę na głowę.

Zignorowała mnie i zaczęła przetrząsać moją szafę, mrucząc pod nosem:

– Spodoba ci się tam. To będzie lato, którego nie zapomnisz do końca życia.

Przebiegł mnie dreszcz oczekiwania. Camp Nightingale. Sześć tygodni pływania, czytania i pieszych wycieczek. Sześć tygodni z dala od dusznego mieszkania, braku zainteresowania ze strony matki i ojca, który przewracał oczami, widząc, jak żona nalewa sobie trzeci kieliszek chardonnay. Heather i Marissa umrą z zazdrości. Oczywiście najpierw będą udawały, że są na mnie wkurzone, bo zostawiam je na całe wakacje.

– Jak sobie chcesz – rzucam i prycham oburzona. – Pojadę, chociaż wcale nie mam ochoty.

To było kłamstwo.

Zaledwie pierwsze tego lata.

4

Podróż do Camp Nightingale zajmuje niemal całe popołudnie. Prawie pięć godzin, łącznie z przystankami na odpoczynek. Droga biegnie głównie na północ, wzdłuż zablokowanej przez ciężarówki autostrady I-87.

Zapomniałam już, jak to daleko, bo jadąc tam po raz pierwszy, siedziałam skulona na tylnym siedzeniu i słuchałam, jak rodzice obwiniali się nawzajem o to, że zapomnieli mi powiedzieć o obozie. Tym razem również siedzę na tylnym siedzeniu, ale kierowca samochodu, który wynajęła dla mnie Franny, praktycznie się nie odzywa. Ja jednak jestem równie zdenerwowana, jak wtedy. Mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Wtedy denerwowałam się, bo nie wiedziałam, co mnie czeka.

Teraz wiem, dokąd jadę.

I kogo spotkam na miejscu.

W miesiącach poprzedzających wyjazd nie miałam czasu na zdenerwowanie. Byłam zbyt pochłonięta załatwianiem urlopu w agencji i szukaniem kogoś, komu mogłabym podnająć mieszkanie. Dostałam urlop i w końcu znalazłam znajomą artystkę, która zgodziła się zamieszkać w lofcie. Maluje widoki gwiaździstego nieba rodem z narkotycznych wizji, używając wosku topionego w aluminiowych garnkach. Miałam okazję oglądać ją przy pracy, kiedy zawartość garnków bulgotała jak wywar w kotle czarownicy. Mam nadzieję, że nie puści mieszkania z dymem.

Przez cały czas dostawałam cotygodniowe maile od Lottie, w których podawała kolejne szczegóły dotyczące wyjazdu. Otwarty po latach Camp

Nightingale miał gościć około pięćdziesięciu pięciu obozowiczek, pięć opiekunek i pięć wyspecjalizowanych instruktorek, niegdysiejszych obozowiczek. Podobnie jak w przeszłości w żadnym z domków nie było prądu. Podczas obozu miały być monitorowane zagrożenia zakażeniem wirusem Zika, wirusem Zachodniego Nilu i innymi chorobami przenoszonymi przez komary. Powinnam więc pamiętać, żeby zabrać odpowiednie rzeczy.

To ostatnie wzięłam sobie do serca. Kiedy miałam trzynaście lat, nagła wiadomość o wyjeździe na obóz opóźniła nasz wyjazd o kilka godzin. Najpierw trzeba było znaleźć moją walizkę, która, jak się okazało, leżała za odkurzaczem na dnie szafy w korytarzu. Następnie przyszedł czas na pakowanie, a ponieważ nie miałam pojęcia, co z sobą zabrać, i nie poczyniłam żadnych przygotowań, musieliśmy jechać do Nordstromu po brakujące rzeczy. Tym razem przesadziłam i w sklepie sportowym zachowywałam się jak ogarnięta szałem zakupów bohaterka komedii romantycznej, która bez zastanowienia wrzuca do koszyka kolejne rzeczy. Większość z nich była mi potrzebna. Kilka par spodenek. Grube skarpety i porządne buty trekkingowe. Latarka ledowa z paskiem na nadgarstek. Inne nie, jak przeciwdeszczowe etui na iPhone’a, które wyglądało jak prezerwatywa.

No i byli jeszcze moi rodzice. Chociaż w przeszłości zaniedbywali swoje obowiązki, wiedziałam, że będą przeciwni mojemu powrotowi do Camp Nightingale. Dlatego im nie powiedziałam. Zadzwoniłam tylko, żeby oznajmić, że wyjeżdżam na sześć tygodni i żeby w razie czego kontaktowali się z Markiem. Mój ojciec słuchał jednym uchem, a matka bełkotliwym głosem życzyła mi „cudownego urlopu”.

Teraz nie pozostało mi nic więcej, jak tylko spróbować się uspokoić i przejrzeć rzeczy, które mogą mi pomóc w poszukiwaniach. Jest wśród

nich mapa jeziora Midnight i okolic, zdjęcia satelitarne obszaru ściągnięte z Google Maps i stos starych artykułów prasowych dotyczących wydarzeń sprzed piętnastu lat, które znalazłam w bibliotece i wydrukowałam z internetu. Dla inspiracji zabrałam nawet sfatygowany egzemplarz *The Bungalow Mystery* Nancy Drew.

Najpierw przyglądam się zdjęciom satelitarnym. Z góry jezioro przypomina przewrócony, gigantyczny przecinek. Ma nieco ponad trzy kilometry długości, a jego szerokość waha się od ośmiuset do czterystu metrów. Najwęższe jest na wschodzie, gdzie znajduje się tama, którą wybudował Buchanan Harris, by w zimną, deszczową noc o północy stworzyć jezioro. Stamtąd skręca na zachód, okrążając podnóże góry i nabierając kształtu doliny, w miejscu której powstało.

Camp Nightingale znajduje się na południu, przycupnięty w samym środku łagodnego zakola jeziora. Na mapie to tylko mały, czarny, nieoznakowany kwadracik, jakby fakt, że przez piętnaście lat stał zapomniany, czynił go niewartym najmniejszej wzmianki.

Na zdjęciach satelitarnych widać więcej szczegółów, a wszystko to w rozmaitych odcieniach zieleni. Sam obóz to prostokąt soczystej zieleni, na której brązem odcinają się zabudowania. Dom jest widoczny jak na dłoni, podobnie jak chatki, sanitariat i pomieszczenia gospodarcze. Widzę nawet pomost wcinający się w wodę i dwie białe kropki zacumowanych przy nim motorówek. Szara linia drogi prowadzi od obozu na południe i trzy kilometry dalej łączy się z drogą krajową.

Jedna teoria dotycząca zniknięcia dziewczyn jest taka, że dotarły do głównej drogi i złapały stopa. Do Kanady. Do Nowej Anglii. Do bezimiennych grobów, kiedy wsiadły do szoferki obłąkanego kierowcy ciężarówki.

A jednak nie zgłosił się nikt, kto widział trzy młode dziewczyny stojące przy drodze w środku nocy, nawet po tym, jak o ich zniknięciu zaczęto trąbić w wiadomościach. Nie było żadnych anonimowych zgłoszeń od kierowców, którzy by je podrzucili. W kabinach kierowców aresztowanych za brutalne zbrodnie nie znaleziono śladów DNA. Poza tym w obozie zostały należące do dziewczyn rzeczy, starannie poukładane w kufrach z orzesznika. Ubrania. Gotówka. Kolorowe telefony marki Nokia, na które zdaniem moich rodziców byłam zbyt młoda i nieodpowiedzialna.

Nie sądzę, żeby planowały zniknąć na długo. Z całą pewnością nie na zawsze.

Odkładam mapę i sięgam po wycinki z gazet i artykuły z internetu, w których nie ma niczego nowego. Szczegóły zniknięcia są równie mało konkretne jak piętnaście lat temu. Vivian, Natalie i Allison zniknęły wczesnym porankiem piątego lipca. Ich zaginięcie zgłosiłam ja sama nieco przed szóstą rano. Poszukiwania, które tego ranka odbyły się na terenie obozu, nie przyniosły rezultatu. Po południu kierowniczka obozu Francesca Harris-White skontaktowała się z nowojorską policją stanową i rozpoczęły się oficjalne poszukiwania. Ponieważ rodzice dziewcząt byli ważnymi personami – zwłaszcza rodzice Vivian – do poszukiwań włączyły się tajne służby i FBI. Ekipy poszukiwawcze złożone z agentów federalnych, policjantów stanowych i miejscowych ochotników przeczesywały lasy. Helikoptery krążyły nad czubkami drzew. Psy tropiące niezmordowanie węszyły na terenie obozu. Znaleziono niewiele. Żadnych śladów prowadzących do lasu. Ani włosów zaczepionych o niskie gałęzie.

Kolejna ekipa przeszukiwała jezioro, co nie było łatwe. Zalegające na dnie powalone drzewa i pozostałości dawnej doliny uniemożliwiały bezpieczne nurkowanie. Mogli jedynie pływać wzdłuż i wszerz na policyjnych łodziach ratowniczych, wiedząc, że nie ma kogo ratować. Jeśli

dziewczyny były w jeziorze, ich ciała z pewnością zostaną znalezione. Tak jak się spodziewano, łodzie wróciły z niczym.

Jedynym tropem była bluza sportowa.

A dokładnie bluza sportowa Vivian. Biała z pomarańczowym napisem „Princeton”. Widziałam, jak miała ją na sobie przy ognisku kilka dni wcześniej, i dlatego wiedziałam, że należała do niej.

Znaleziono ją rankiem po zniknięciu dziewcząt. Leżała w lesie kilka kilometrów od obozu, po drugiej stronie jeziora, niemal naprzeciw Camp Nightingale. Członek ekipy poszukiwawczej, który ją znalazł – miejscowy emeryt i dziadek sześciorga wnuków, który nie miał powodu kłamać – twierdził, że była starannie złożona, jak ubrania na oknach wystawowych w GAP-ie. Podczas analizy laboratoryjnej wykryto na bluzie komórki skóry zgodne z DNA Vivian. Nie znaleziono jednak żadnych rozdarć, uszkodzeń ani śladów krwi, które mogłyby sugerować, że dziewczyna została napadnięta. Wyglądało na to, że bluza została porzucona przez Vivian w drodze do miejsca, do którego się udawała.

Najdziwniejsze jest to, że wychodząc z domku, Vivian nie miała jej na sobie.

Podczas przesłuchań śledczy w kółko pytali mnie, czy jestem pewna, że nie miała bluzy zawiązanej w pasie albo zarzuconej na ramiona, z rękawami związanymi z przodu, jak mieli w zwyczaju nosić bluzy uczniowie Princeton.

Nie.

Jestem tego pewna.

Mimo to potraktowano bluzę jako światło latarni morskiej i poszukiwania przeniosły się na wzgórza. Odwołano akcję na jeziorze i wszyscy zaczęli przeczesywać pobliskie lasy. Na próżno. Nikt – a już na pewno nie ja – nie miał pojęcia, po co dziewczyny miałyby oddalać się od

obozu. Lecz w tej sprawie nic nie miało sensu. Był to jeden z nielicznych przypadków, które przeczą wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi.

Jedynym podejrzanym był starszy syn Franny, Theo Harris-White, choć nic z tego nie wynikło. Na bluzie Vivian nie znaleziono jego DNA, a w jego rzeczach nie natrafiono na żadne obciążające dowody. Chłopak miał nawet alibi – tamtej nocy był z Chetem i do późnej nocy uczył młodszego brata grać w szachy. Skoro więc nie było żadnych dowodów, że doszło do przestępstwa, Theo nie został oskarżony. A to znaczyło, że nie został też oficjalnie oczyszczony z zarzutów. Nawet dziś, guglując jego imię i nazwisko, natrafia się na strony dotyczące prawdziwych zbrodni, które sugerują, że to on zabił dziewczyny i uniknął odpowiedzialności.

Poszukiwania nie tyle zostały zakończone, ile wyhamowały. Ekipy poszukiwawcze pracowały jeszcze przez kilka tygodni, ich liczba malała jednak z dnia na dzień, aż w końcu nikt już nie szukał. W telewizji również przestano mówić o tym zniknięciu, a dziennikarze zajęli się nowymi głośnymi sprawami.

Pustkę wypełniały mroczne historie. Takie, na które natrafia się w najciemniejszych zakątkach Reddit* i na stronach poświęconych rozmaitym teoriom spiskowym. Chodziły plotki, że dziewczyny zostały zamordowane przez szaleńca mieszkającego w lasach. Że zostały porwane – przez ludzi albo przez obcych, w zależności od tego, jaką stronę się czytało. Że przydarzyło się im coś znacznie, znacznie gorszego. Pisano o wiedźmach. Wilkołakach. O gwałtownej dezintegracji komórek.

Nawet byłe obozowiczki nie uchroniły się od plotek, o czym przekonuję się, kiedy przeglądam na Facebooku posty z grupy Camp Nightingale. Najpierw pojawia się zdjęcie wrzucone godzinę wcześniej przez Casey Anderson, niską, rudowłosą opiekunkę, którą poznałam na obozie zaraz po przyjeździe. Tak się złożyło, że to ona pierwsza próbowała odszukać mnie

na Facebooku i chociaż naprawdę ją lubiłam, zignorowałam jej zaproszenie podobnie jak pozostałe. Teraz patrzę na zdjęcie domków z jeziorem Midnight lśniącym w tle.

„No i wróciłam – napisała. – Nic się tu nie zmieniło”.

Zdjęcie dostało pięćdziesiąt lajków i doczekało się kilku komentarzy.

Erica Hammond: Cudownego lata!

Lena Gallagher: Oooo. Wracają wspomnienia.

Felecia Wellington: Nie wierzę, że tam wróciłaś. Ja bym nie wróciła, nawet gdyby Franny proponowała mi milion dolarów.

Casey Anderson: Pewnie dlatego cię nie zaprosiła. Ja jestem tu szczęśliwa.

Maggie Collins: Zgadzam się z Felecią. To miejsce zawsze mnie przerażało.

Hope Levin Smith: Też się z nią zgadzam. To bardzo zły pomysł.

Casey Anderson: Czemu?

Hope Levin Smith: Bo to miejsce i to jezioro są straszne. Wszyscy słyszeliśmy legendę. I wiemy, że jest w niej ziarno prawdy.

Lena Gallagher: OMG, legenda! Pamiętam, jak mnie wtedy przeraziła.

Hope Levin Smith: Miałaś wszelkie prawo się bać.

Casey Anderson: Jesteście śmieszne.

Hope Levin Smith: Casey, to ty najwięcej o niej mówiłaś! Nie mów, że to bzdura, tylko dlatego, że tam wróciłaś.

Felecia Wellington: Nie zapominaj, że wszystkie wiemy, że to, co się stało z Viv, Ally i Natalie, to nie był wypadek. Sama tak mówiłaś.

Brooke Tiffany Sample: Kto jeszcze tam będzie?

Casey Anderson: Z ludzi, których znam, oprócz mnie, Becca Schoenfeld i Emma Davis.

Brooke Tiffany Sample: Emma?!? Ja pierdolę!

Maggie Collins: Po tym wszystkim, co nagadała o Theo?

Hope Levin Smith: Ojacie.

Lena Gallagher: To... ciekawe.

Felecia Wellington: Chciałabym wiedzieć, jak to się stało. Uważaj na siebie, Casey. LOL.

Casey Anderson: Bądźcie miłe. Cieszę się, że się z nią zobaczę.

Erica Hammond: Kim jest Emma Davis?

Zamykam Facebooka i wyłączam telefon. Nie mam ochoty czytać kolejnych plotek i zwariowanych teorii. Nie przypominam sobie, żebym będąc na obozie, poznała którąkolwiek z tych kobiet, oprócz Casey. Nie słyszałam też historii o tym, że jezioro jest przeklęte albo nawiedzone. Wszystko to bzdury.

Tylko w jednym mają rację. To, co stało się z Vivian, Natalie i Allison, to nie był wypadek.

Wiem, bo przyczyniłam się do tego.

Chociaż ich los pozostaje tajemnicą, jestem pewna, że to, co je spotkało, to wyłącznie moja wina.

---

* Reddit – serwis internetowy prezentujący linki do rozmaitych informacji, które pojawiły się w sieci (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

5

Podrywam się z półleżącej pozycji na tylnym siedzeniu, kiedy na horyzoncie pojawiają się zaokrąglone szczyty gór Adirondack. Ich widok sprawia, że serce bije mi szybciej i czuję w piersi dziwne kłucie, które staram się ignorować. Uczucie narasta, gdy kierowca zjeżdża z autostrady i oznajmia:

– Jesteśmy prawie na miejscu, panno Davis.

Po chwili samochód zaczyna podskakiwać na wyboistej, żwirowej drodze. Im dalej wjeżdżamy, tym coraz gęstszy i ciemniejszy zdaje się rosnący wokół las. Sękate konary wyciągają się jedne ku drugim, tworząc nad naszymi głowami plątaninę gałęzi. Strzeliste sosny rozpraszają światło słoneczne. Podszycie to istna gęstwina liści, łodyg i ciernistych krzewów. Zupełnie, jakby jeden z moich obrazów obudził się do życia.

Niebawem docieramy do bramy z kutego żelaza – prowadzi przez nią jedyny wjazd do Camp Nightingale. Szeroko otwarta zaprasza, byśmy przez nią przejechali. Lecz zarówno brama, jak i to, co znajduje się za nią, nie wyglądają zachęcająco. Po obu stronach drogi wznosi się wysoki na metr kamienny mur, za którym rozciąga się las. Ozdobny łuk, również z kutego żelaza, sprawia, że czuję się, jakbyśmy wjeżdżali na cmentarz.

Obóz wyłania się stopniowo. Kolejne budynki pojawiają się niczym dekoracje ustawione na scenie przez pracowników planu. To pozostałości po czasach, gdy miejsce to było wiejskim ustroniem rodziny Harrisów, zanim przerobiono je na potrzeby obozu. Niski, urokliwy budynek,

w którym odbywają się zajęcia plastyczno-rękodzielnicze, był niegdyś stajnią. Pomalowano go na biało i ozdobiono wymyślnymi wykończeniami. Na klombie z przodu rosną krokusy i lilie tygrysie. Obok mieści się stołówka. Nie jest zbyt ładna. Raczej praktyczna. To przerobiona stodoła na siano. Przez otwarte na oścież boczne drzwi pracownicy wnoszą skrzynie z jedzeniem, które wyciągają z pracującej na jałowym biegu ciężarówki dostawczej.

Nieco dalej po mojej prawej ręce znajdują się domki, ledwie widoczne pomiędzy drzewami. Z samochodu dostrzegam tylko krawędzie omszałych dachów i fragmenty sosnowych ścian. Tu i ówdzie migają mi obozowiczki. Gołe nogi. Szczupłe ramiona. Lśniące włosy.

Na pierwszy rzut oka obóz wygląda jak wtedy, gdy wyjeżdżałam z niego piętnaście lat temu. To dziwne uczucie, jakbym cofnęła się w czasie. A jednak coś jest nie tak. Atmosfera zaniedbania spowija wszystko niczym pajęczyny. Im dłużej tu przebywam, tym bardziej jestem świadoma, co się zmieniło w ciągu ostatnich piętnastu lat. Kort tenisowy i strzelnica łucznicza stoją puste i zaniedbane. Powierzchnię kortu tu i ówdzie porastają kolczaste chwasty. Trawa na strzelnicy sięga do kolan, widać gnijące bele siana, na których kiedyś wisiały tarcze.

Na dachu pracowni malarsko-rękodzielniczej konserwator przybija gont. Widząc nadjeżdżający samochód, zamiera z młotkiem w ręku i patrzy na mnie z góry. Twarz ma czerwoną i pucołowatą. Ja również na niego patrzę. Pamiętam go sprzed piętnastu lat. Często kręcił się po obozie, majsterkując i naprawiając różne rzeczy. Oczywiście był wtedy młodszy. Przystojniejszy. Miał w sobie tę ponurą powagę, która jednych onieśmielała, a innych intrygowała.

Chętnie pobawiłabym się jego narzędziem – stwierdziła raz Vivian podczas lunchu, na co wszystkie zgodnie przewróciłyśmy oczami.

Macham do niego, zastanawiając się, czy on także mnie rozpoznaje. On jednak odwraca wzrok, unosi młotek i przybija kolejny gont.

Samochód wjeżdża na okrągły podjazd przed Domem. „Domem z dala od domu”, jak nazywa go Franny. Tym właśnie miał być, odkąd zbudował go jej dziadek na brzegu jeziora, które również stworzył. Letniskowy dom dla rodziny, która od Newport wolała obcowanie z naturą. Jak większość starych budynków również ten sprawia wrażenie ciężkiego i posępnego. Myślę o tych wszystkich latach, które przetrwał. O porach roku, burzach i sekretach.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia kierowca i zatrzymuje się przed czerwonymi drzwiami. – Wyciągnę pani torby z bagażnika.

Wysiadam z samochodu – nogi mam sztywne, plecy obolałe – i oddycham świeżym powietrzem. Zapomniałam już, jak pachnie. Czystością i sosnami. Żadnymi tam spalinami. Budzi setki wspomnień, o których również zdążyłam już zapomnieć. Jak chodziłam po lesie za Vivian albo siedziałam sama, mocząc nogi w jeziorze, i myślałam o wszystkim i o niczym. Ten zapach wabi mnie, pcha do przodu niczym niewidzialna ręka. Zaczynam iść, chociaż nie jestem pewna, dokąd.

– Zaraz wrócę – mówię do kierowcy, który wyciąga z bagażnika moją walizkę i pudło z przyborami do malowania. – Muszę rozprostować nogi.

Okrążam Dom i wychodzę na porośnięty trawą, opadający łagodnie stok. Dopiero teraz widzę, dokąd przywiodło mnie świeże powietrze.

Jezioro Midnight.

Jest większe, niż je zapamiętałam. W moich wspomnieniach upodobniło się do jeziora w Central Parku. Zbiornika, który można było kontrolować. W rzeczywistości to rozległa, mieniąca się tafla wody, która dominuje nad krajobrazem. Rosnące na brzegu drzewa pochylają się w stronę wody, gałęzie zwisają nad nią.

Schodzę ze wzniesienia i po chwili docieram do pomostu. Przycumowano do niego dwie motorówki. Nieopodal na brzegu umieszczono dwa stojaki, na których odwrócone do góry dnem piętrzą się kajaki.

Wchodzę na pomost. Skrzypienie desek niesie się echem nad wodą. Zatrzymuję się na końcu i spoglądam na oddalony o jakieś osiemset metrów przeciwległy brzeg. Las jest tam gęstszy – przywodzi na myśl połyskującą w słońcu ścianę z liści, zapraszającą, a zarazem złowrogą.

Nadal gapię się na odległy brzeg, kiedy ktoś się zbliża. Słyszę kroki na trawie, a zaraz potem skrzypienie desek pomostu. Za moimi plecami rozlega się głos, który brzmi jak unoszony wiatrem ptasi trel.

– Tu jesteś!

Głos należy do dwudziestokilkuletniej kobiety, która zmierza w moją stronę. Za nią, na trawniku, stoi mężczyzna mniej więcej w tym samym wieku. Oboje są młodzi, opaleni i wysportowani. Gdyby nie koszulki polo z logo Camp Nightingale, można by ich pomylić z modelami J.Crew. Wyglądają, jakby cały wolny czas spędzali na słońcu.

– Emma, tak? – pyta kobieta. – Hurra! Przyjechałaś!

Wyciągam rękę, żeby się przywitać, ona jednak obejmuje mnie mocno. Żadnych półuścisków jak w przypadku Franny.

– Tak miło cię poznać – dodaje i nieco zdyszana wypuszcza mnie z objęć. – Jestem Mindy. Narzeczona Cheta.

Wskazuje mężczyznę na brzegu i potrzebuję chwili, żeby dotarło do mnie, że ma na myśli Chestera, młodszego syna Franny. Wyrósł na przystojnego młodzieńca, szczupłego, gibkiego i wysokiego. Tak wysokiego, że chociaż pochyla się skrępowany, góruje nad nami obiema. W niczym nie przypomina niskiego, patykowatego dzieciaka, którego widziałam, jak biegał po obozie. A jednak wciąż ma coś z tamtego chłopca.

Te same rudawozłotawe włosy, które opadają mu na twarz, zasłaniając jedno oko. I nieśmiały uśmiech, przemykający po jego twarzy, gdy woła:

– Cześć.

– Właśnie witałam się z jeziorem – mówię, chociaż sama nie wiem, czy to prawda. Nie mogę pozbyć się uczucia, że było odwrotnie i że to jezioro chciało przywitać się ze mną.

– Oczywiście – rzuca Mindy. Chyba tylko z uprzejmości nie wspomina, jakie to dziwne, że właśnie tu przyszłam najpierw. – Jest piękne, prawda? Chociaż pogoda mu nie sprzyja. Nie padało od tygodni i moim zdaniem jezioro wygląda na trochę umęczone.

Dopiero kiedy o tym wspomina, zauważam oznaki suszy wokół jeziora. Łodygi roślin niegdyś częściowo zanurzonych w wodzie są zbrązowiałe. Kiedy byłam tu pierwszy raz, również panowała susza. Przez dwa tygodnie nie spadła ani kropla deszczu. Pamiętam, jak wchodziłam do kajaka – moje trampki zostawiały ślady na pasie spieczonej słońcem ziemi między brzegiem jeziora a wodą.

Spoglądam na taki sam pas wyschniętej ziemi, kiedy Mindy bierze mnie za rękę i prowadzi na brzeg.

– Cieszymy się, że wróciłaś, Emmo – szczebioce. – Zwłaszcza Franny. To będzie cudowne lato. Jestem o tym przekonana.

Zszedłszy z pomostu, podchodzę do Cheta i podaję mu rękę.

– Emma Davis – mówię. – Pewnie mnie nie pamiętasz.

To pobożne życzenie. Nadzieja, że nie pamięta niczego, co wiązałoby się ze mną. Ale brew nad jedynym widocznym okiem Cheta unosi się nieznacznie.

– Ależ pamiętam cię bardzo dobrze – odpowiada.

– Zanim się rozgościsz, Franny chce się z tobą spotkać – mówi Mindy.

– O co chodzi?

– Jest niewielki problem z zakwaterowaniem. Ale nie przejmuj się. Franny się wszystkim zajmie.

Nie zwracając uwagi na Cheta, bierze mnie pod rękę i prowadzi pod górę w stronę Domu. Pierwszy raz wchodzę do środka i dziwię się, że nie wygląda tak, jak się tego spodziewałam. Dawniej patrząc na niego, wyobrażałam sobie wnętrza rodem z magazynu „Architectural Digest". Jako urządzoną ze smakiem daczę w stylu rustykalnym, jedną z tych, w których gwiazdy filmowe spędzają święta w Aspen.

On jednak tak nie wygląda. Ciemne wnętrza pachną stęchlizną, a w powietrzu unosi się zapach opalanych drewnem kominków. Hol, w którym stoimy, prowadzi do części mieszkalnej zagraconej wysłużonymi meblami. Na ścianach wiszą poroża, skóry zwierząt i przedziwna zbieranina antycznej broni. Strzelb. Noży myśliwskich o grubych ostrzach. Włóczni.

– Wszystko jest tutaj takie stare, prawda? – mówi Mindy. – Lubię antyki, ale niektóre z tych rzeczy to prawdziwe starocie. Kiedy Chet przywiózł mnie tu po raz pierwszy, czułam się, jakbym spała w muzeum. Nadal się nie przyzwyczaiłam. Ale jeśli muszę spędzić wakacje, pracując w obozie, żeby zaimponować przyszłej teściowej, niech i tak będzie.

Straszna z niej gaduła. Jest męcząca, ale może się przydać. Kiedy mijamy niewielki pokój po lewej, zatrzymuję się i pytam:

– Co tam jest?

– Gabinet.

Wyciągam szyję, żeby zajrzeć do środka. Jedna ze ścian jest obwieszona zdjęciami oprawionymi w ramki. Przy drugiej stoi regał z książkami. Przechodząc, dostrzegam jeszcze róg biurka, telefon z tarczą i abażur od Tiffany'ego.

– Ładuję tu swój telefon – oświadcza Mindy. – Też możesz. Tylko nie pozwól, żeby Franny cię nakryła. Chce, żebyśmy zapomnieli o technologii

i żyli w zgodzie z naturą.

– Jak tu jest z zasięgiem?

Mindy prycha z pogardą.

– Fatalnie. Zwykle jedna kreska. Naprawdę nie wiem, jak te dziewczyny to wytrzymają.

– Obozowiczki nie mogą używać telefonów?

– Mogą, dopóki nie wyczerpią się im baterie. W domkach nie ma prądu, pamiętasz? Zarządzenie Franny.

Po prawej stronie są schody prowadzące na piętro, ich stopnie są małe i wąskie. Pod schodami mieszczą się drzwi wyglądające jak część ściany. Ich obecność zdradzają jedynie mosiężna klamka i staromodna dziurka od klucza.

– A to co? – pytam.

– Piwnica – odpowiada Mindy. – Nigdy tam nie byłam. Zresztą i tak pewnie nie ma tam nic oprócz starych mebli i pajęczyn.

Idziemy dalej. Mindy niczym przewodnik opowiada mi o rozmaitych pamiątkach rodzinnych. O portrecie Buchanana Harrisa, który mógł wyjść spod pędzla Johna Singera Sargenta, mówi z powagą:

– Jest wart fortunę.

Niebawem docieramy na taras za domem, który ciągnie się na całej jego długości. Wzdłuż balustrady ustawiono drewniane skrzynki z kwiatami. Na tarasie jest kilka stoliczków z obowiązkowymi – również czerwonymi, podobnie jak drzwi wejściowe – krzesłami ogrodowymi Adirondack. Na dwóch z nich siedzą Franny i Lottie.

Obie mają na sobie szorty khaki i koszulki polo z logo Camp Nightingale, takie same jak Mindy i Chet. Franny spogląda na jezioro z wysokości tarasu, podczas gdy Lottie uderza palcem w ekran iPada. Widząc mnie i Mindy, podnosi wzrok.

– Emma – rzuca. Rozpromienia się i obejmuje mnie. To chyba piąta osoba, która tego dnia wita się ze mną w ten sposób. – Nie masz pojęcia, jak miło znów widzieć cię.

– Tak – zgadza się Franny. – Cudownie.

W przeciwieństwie do Lottie nie wstaje, żeby się ze mną przywitać. Zdumiewa mnie to, lecz nagle dostrzegam, jak bardzo jest zmęczona. Nie widziałam jej od wspólnego lunchu kilka miesięcy temu i zmiana jest zdumiewająca. Byłam przekonana, że powrót nad ukochane jezioro Midnight doda jej sił i wigoru, ale jest wręcz odwrotnie. Wygląda – nie wiem, jak inaczej to określić – staro.

Franny chwyta moje spojrzenie i mówi:

– Wyglądasz, jakby coś cię trapiło, moja droga. Nie myśl, że nie widzę. Nie obawiaj się. Jestem po prostu zmęczona tym całym zamieszaniem. Zapomniałam już, jak wyczerpujący potrafi być pierwszy dzień obozu. Nie ma chwili odpoczynku. Jutro będę zdrowa jak ryba.

– Musisz odpocząć – mówi Lottie.

– Właśnie to robię – rzuca cierpko Franny.

Odchrząkuję.

– Chciałaś się ze mną zobaczyć?

– Tak. Obawiam się, że mamy mały problem.

Franny nieznacznie marszczy brwi. To samo zrobiła piętnaście lat temu, gdy volvo moich rodziców w końcu podjechało pod Dom. Powitała nas wówczas z tą samą miną, którą widzę teraz. Powiedziała wtedy: *Nie spodziewałam się ciebie. Kiedy nie przyjechałaś z resztą, pomyślałam, że zrezygnowałaś.*

– Problem? – pytam z niepokojem.

– To chyba za dużo powiedziane – mówi Franny. – Bardziej dylemat.

– Dylemat? – powtarzam.

– Gdzie cię ulokować.

– Och – bąkam. Jestem pewna, że tak samo zareagowałam, gdy piętnaście lat temu Franny powiedziała mi podobną rzecz.

Wtedy wszystkiemu winne było moje spóźnienie. Rankiem dziewczęta pogrupowano według wieku i zakwaterowano w poszczególnych domkach. A ponieważ w chatkach moich rówieśniczek nie było już miejsca, zamieszkałam z dziewczynami starszymi ode mnie o kilka lat. I tak oto trafiłam do domku Vivian, Natalie i Allison, onieśmielona dzielącą nas różnicą wieku, ich twarzami pozbawionymi trądziku i kobiecymi krągłościami.

Teraz Franny mówi mi, że jest wręcz przeciwnie.

– Chciałam, żeby instruktorki miały trochę prywatności. Żebyście miały uroczą chatkę tylko dla siebie. Ale zrobiło się zamieszanie i okazało się, że przyjedzie więcej obozowiczek, niż się spodziewałyśmy.

– O piętnaście – dodaje Lottie.

– A to znaczy, że wszystkie nasze instruktorki będą zmuszone mieszkać z obozowiczkami.

– Czemu nie można ich umieścić w jednym domku?

– Zapytałam ją o to samo – odpowiada Lottie.

– To ładnie brzmi w teorii – tłumaczy Franny. – Ale jest was pięć, a w każdym domku są tylko cztery łóżka. W tej sytuacji jedna osoba i tak musiałaby mieszkać z dziewczętami. Co byłoby wobec niej nie w porządku.

– Czy zamiast tego nie mogłybyśmy zamieszkać w Domu?

– Dom jest wyłącznie dla członków rodziny – odzywa się Mindy, która przysłuchuje się naszej rozmowie oparta o balustradę. Mówiąc to, pokazuje palec serdeczny i zdobiący go masywny pierścionek zaręczynowy. Wiadomość nie jest subtelna, ale klarowna. Ona jest jedną z nich. Ja nie.

– Mindy chciała powiedzieć – wyjaśnia Franny – że chociaż chętnie pozwoliłabym wam zamieszkać razem z nami, w Domu nie ma wystarczająco dużo miejsca. Wiem, że z zewnątrz wygląda na całkiem spory, ale prawda jest taka, że nie mamy na tyle wolnych pokoi. Zwłaszcza dla pięciu instruktorek. A wiesz, że nie mogę nikogo faworyzować. Przykro mi.

– W porządku – zapewniam ją, chociaż wcale tak nie uważam. Mam dwadzieścia osiem lat i przez następne sześć tygodni będę zmuszona mieszkać z obcymi dziewczynami dwa razy młodszymi ode mnie. Nie pisałam się na coś takiego, ale wygląda na to, że nie mam wyjścia.

– Nie, to wcale nie jest w porządku – mówi Franny. – To niezręczna sytuacja i przepraszam, że tak się stało. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś wsiadła do samochodu i kazała się odwieźć do domu.

Może bym tak zrobiła, gdybym miała dokąd wracać. Ale artystka, której podnajęłam mieszkanie, pewnie właśnie się do niego wprowadza, a wszystko jest załatwione i opłacone do połowy sierpnia. Jest jak jest, jak mawia Marc.

– Mogę przynajmniej wybrać domek?

– Większość obozowiczek pewnie już się rozpakowuje, ale myślę, że możemy pójść ci na rękę. Który domek miałaś na myśli?

Dotykam bransoletki i obracam ją.

– Chciałabym zamieszkać w Dereniu.

To chatka, w której mieszkałam piętnaście lat temu.

Chociaż Franny milczy, wiem, co myśli. Wyraz jej twarzy zmienia się tak szybko, jak słoneczne refleksy tańczące na tafli jeziora. Wyraża zakłopotanie, chwilę później zrozumienie, a w końcu dumę.

– Jesteś pewna?

Nie jestem nawet pewna, czy chcę tutaj być. Mimo to zdecydowanie kiwam głową, próbując przekonać nie tylko Franny, ale także samą siebie. Najwyraźniej wierzy mi, bo patrzy na Lottie i mówi:

– Proszę, zorganizuj wszystko tak, żeby Emma mogła zamieszkać w Dereniu. – Po tych słowach zwraca się do mnie: – Jesteś albo bardzo odważna, albo bardzo niemądra, Emmo. Sama nie wiem.

Ja również. Przypuszczam, że po części i jedno, i drugie.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Gdy dźwięk silnika volvo stopniowo ucichł pośród odgłosów nocy, dowiedziałam się dwóch rzeczy: że Francesca Harris-White jest niezmiernie bogata i że ma spojrzenie gwiazdy filmowej.

To pierwsze było tylko lekko onieśmielające. W okolicach Upper West Side nieprzyzwoite bogactwo było widoczne na każdym kroku. Ale to spojrzenie? Paraliżowało mnie.

Było tak przenikliwe. Jej zielone oczy pochwyciły mnie niczym bliźniacze reflektory, oświetlając mnie i przyglądając mi się z uwagą. Nie było to jednak okrutne spojrzenie. Było w nim ciepło. Łagodna ciekawość. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz rodzice patrzyli na mnie w ten sposób, i tym chętniej stałam bez ruchu, pozwalając, by taksowała mnie wzrokiem.

– Muszę przyznać, moja droga, że nie mam bladego pojęcia, gdzie cię zakwaterować – wyznała Franny i odwróciła wzrok, żeby spojrzeć na stojącą za jej plecami Lottie. – Mamy jeszcze jakieś miejsce w domku dla młodszych dziewcząt?

– Wszystkie są pełne – odparła Lottie. – W każdym mamy trzy obozowiczki i jedną opiekunkę. Zostało już tylko miejsce w domku starszych dziewcząt. Mogłybyśmy przenieść tam jedną z opiekunek, ale to chyba nie jest najlepsze rozwiązanie. No i w tej sytuacji jedna z chatek dla młodszych dziewcząt zostałaby bez nadzoru.

– Wolałabym tego nie robić – stwierdziła Franny. – W którym domku jest jeszcze miejsce?

– W Dereniu.

Franny znów przeniosła na mnie spojrzenie zielonych oczu i uśmiechnęła się.

– A zatem zamieszkasz w Dereniu. Lottie, bądź tak uprzejma i zawołaj Theo, żeby wziął bagaże panny Davis.

Lottie zniknęła w ogromnym domu za naszymi plecami. Minutę później zobaczyłam młodego mężczyznę. Ubrany w workowate szorty i obcisłą koszulkę miał nieprzytomne spojrzenie kogoś wyrwanego ze snu i potargane brązowe włosy. Na nogach miał japonki, które mlaskały przy każdym kroku.

– Theo, to Emma Davis, nasza spóźnialska – przedstawiła mnie Franny. – Zamieszka w Dereniu.

Tym razem to ja się gapiłam, bo nigdy dotąd nie widziałam kogoś takiego jak Theo. Nie był słodki jak Nolan Cunningham. Był przystojny. Miał duże, brązowe oczy, wydatny nos i krzywy uśmieszek, który skrzywił się jeszcze bardziej, kiedy rzucił do mnie:

– Cześć, spóźnialska. Witamy w Camp Nightingale. Chodźmy do twojego domku.

Franny życzyła mi „dobrej nocy”, a my z Theo ruszyliśmy w głąb obozu. Bałam się, że usłyszy, jak mocno wali mi serce. Po trosze dlatego, że byłam w obcym miejscu wśród obcych ludzi, a po trosze przez Theo. Nie mogłam oderwać od niego wzroku, kiedy szedł kilka kroków przede mną. Przyglądałam mu się tak, jak Franny przyglądała się mnie, obejmując wzrokiem jego wysoką sylwetkę, długie, równe kroki, jego plecy i ramiona pod znoszoną koszulką. Na ręce, w której niósł moją walizkę, wyraźnie rysował się biceps. Żaden chłopak, którego znałam, nie miał takich ramion.

Jakby tego było mało, okazał się miły i co rusz zerkał przez ramię, wypytując mnie, skąd jestem, jakiej słucham muzyki i czy byłam już kiedyś

na obozie. Odpowiadałam cichym głosem, ledwie słyszalnym ponad dudnieniem serca. Moje zdenerwowanie musiało być widoczne jak na dłoni, bo gdy dotarliśmy do domku, Theo odwrócił się i powiedział:

– Nie denerwuj się. Spodoba ci się tu.

Zapukał do drzwi i chwilę później usłyszeliśmy dobiegający z wnętrza chatki głos:

– Kto tam?

– Theo. Nie śpicie? Mogę wejść?

– Nie śpimy – odparł ten sam głos. – A co do wchodzenia...

Theo wręczył mi walizkę i zachęcająco skinął głową.

– No dalej, wchodź. I pamiętaj, nie są takie groźne, na jakie wyglądają.

Odszedł, mlaskając japonkami, a ja nacisnęłam klamkę i weszłam za próg. W domku panował półmrok, który rozświetlał jedynie lampion stojący przy oknie naprzeciwko drzwi. W złocistym blasku ujrzałam dwa łóżka piętrowe i siedzące na nich trzy dziewczyny.

– Jestem Vivian – przedstawiła się ta, która leżała rozwalona na górnym łóżku po prawej. Wskazała ręką drugie łóżko. – To Allison. A tam na dole to Natalie.

– Cześć – rzuciłam, zatrzymując się tuż za progiem i bojąc się wejść dalej.

– Twój kufer stoi przy drzwiach – powiedziała Natalie. Miała szerokie kości policzkowe i mocno zarysowaną szczękę. – Możesz schować tam swoje rzeczy.

– Dzięki.

Otworzyłam skrzynię z orzesznika i zaczęłam przekładać do niej kupione w pośpiechu ubrania. Wszystkie oprócz koszuli nocnej, którą wyjęłam, zanim wsunęłam walizkę pod łóżko.

Vivian zeskoczyła z łóżka. Miała na sobie kusą koszulkę i majtki, przez co poczułam się jeszcze bardziej skrępowana.

– Trochę jesteś młoda. Jesteś pewna, że dobrze trafiłaś? – Odwróciła się do pozostałych dziewczyn. – Nie mogłybyśmy jej odesłać do jakiegoś domku dla dzieciaków?

– Mam trzynaście lat – odparłam. – I nie jestem już dzieckiem.

Vivian przerażała mnie i olśniewała. Jak one wszystkie. Wyglądały jak kobiety, podczas gdy ja byłam dziewczynką. Chudą ciamajdą z pozdzieranymi kolanami i płaską piersią.

– To twoja pierwsza noc poza domem? – spytała Allison. Była szczupła i ładna, z włosami koloru miodu.

– Nie – skłamałam, bo do tej pory nocowałam tylko u przyjaciółek kilka przecznic od domu, a to przecież nie to samo.

– Chyba nie będziesz płakała, co? – odezwała się Vivian. – Nowicjusze zawsze płaczą na początku. To takie kurewsko przewidywalne.

Swoboda, z jaką użyła słowa na „k”, sprawiła, że zamarłam. Brzmiało inaczej w ustach Heather czy Marissy, kiedy rozpaczliwie próbowały udawać dorosłe. Ona wypowiedziała je z łatwością, która sugerowała, że używa go często. I która mówiła mi, że te dziewczyny są starsze, mądrzejsze i twardsze. Żeby przetrwać, musiałam być taka jak one. Nie miałam wyjścia.

Zamknęłam wieko kufra i odwróciłam się w stronę Vivian.

– Jeśli będę płakała, to dlatego, że muszę mieszkać tu z wami, zdziry.

Minęła chwila, podczas której żadna z nas się nie odzywała. Nie trwała długo, lecz miałam wrażenie, że czas zwolnił, i zastanawiałam się, czy są rozbawione, czy złe, i czy naprawdę będę płakać, bo, prawdę mówiąc, tłumiłam łzy, odkąd moi rodzice wyjechali z obozu w chmurze pyłu unoszącego się nad drogą. Nagle zauważyłam, że Natalie i Allison

podciągnęły koce aż pod brodę, żeby ukryć fakt, że chichoczą. Vivian uśmiechnęła się od ucha do ucha i pokręciła głową, jakby właśnie usłyszała z moich ust niebywały komplement.

– Nieźle, dzieciaku.

– Nie nazywaj mnie dzieciakiem – odparłam, zgrywając twardzielkę, chociaż nadal chciało mi się płakać, tyle że tym razem z ulgi. – Mam na imię Emma.

Vivian wyciągnęła rękę i zmierzwiła mi włosy.

– Cóż, Emmo, witamy w Camp Nightingale. Jesteś gotowa pomóc nam przejąć kontrolę nad tym miejscem?

– Jasne – odparłam. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś tak fajny zwraca na mnie uwagę. W szkole trzymałam z Heather i Marissą, a starsze dziewczyny zupełnie nas ignorowały. Tymczasem Vivian patrzyła na mnie i chciała, żebym dołączyła do jej paczki.

– Super – rzuciła. – Bo jutro rozwalimy system.

6

Z zewnątrz domek wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam. Te same brązowe ściany z nieheblowanego drewna. Ten sam kryty zielonym gontem dach upstrzony sosnowymi szyszkami. Ta sama tabliczka z nazwą. Spodziewałam się, że trochę się zmieni. Że będzie starszy. Bardziej zniszczony. Że przypomni mi, że mam piętnaście lat więcej od dziewczynki, która jako ostatnia opuściła to miejsce.

Tymczasem czuję się tak, jakby między wtedy a teraz nie upłynął żaden czas. Jakby ostatnie piętnaście lat mojego życia było niczym więcej, jak tylko snem. To dezorientujące uczucie. I odrobinę przerażające. Mimo to gapię się na chatkę ogarnięta nie strachem, lecz czymś innym. Czymś silniejszym.

Ciekawością.

Chcę wejść do środka, rozejrzeć się i przekonać, jakie wspomnienia wypłyną na powierzchnię. W końcu po to tu przyjechałam. Kiedy jednak naciskam klamkę, czuję, że ręka mi drży. Nie wiem, czego się spodziewam. Pewnie duchów.

Zamiast tego widzę trzy dziewczyny, wszystkie jak najbardziej żywe i wylegujące się na łóżkach. Patrzą na mnie zaskoczone moim nagłym wtargnięciem.

– Cześć – rzucam.

Głos mam potulny, niemal przepraszający, jakby było mi głupio, że wchodzę na ich teren, wlokąc za sobą walizkę. Nie byłam sama z grupą

nastolatek od... pierwszego pobytu w Camp Nightingale. Po tym, co się tutaj wydarzyło, zaczęłam przyjaźnić się z chłopakami. Nieśmiałymi nerdami. Lubiącymi matmę, science fiction, uczestnikami warsztatów teatralnych, szykującymi się do ujawnienia własnej orientacji. Stali się moim plemieniem. Nadal nim są. Czuję się dobrze w ich obecności.

Tak, chłopcy potrafią łamać serca i zdradzać, ale nie są tak perfidni jak dziewczyny.

Odchrząkuję.

– Jestem Emma.

– Cześć, Emmo. Jestem Sasha.

Dziewczynka, która to mówi, wygląda na najmłodszą z nich, ma jakieś trzynaście lat. Siedzi na górnym łóżku po lewej, machając chudymi nogami. Ma przyjazną twarz – szeroki uśmiech, pucołowate policzki i błyszczące oczy, które wydają się jeszcze większe za szkłami okularów w czerwonych oprawkach. Jej obecność nieco mnie uspokaja. Przynajmniej jedna z nich jest miła.

– Miło cię poznać, Sasho.

– Jestem Krystal – odzywa się dziewczyna rozciągnięta na łóżku niżej. – Pisane przez K.

Kilka lat starsza i kilka kilogramów cięższa od Sashy niemal ginie w przydużej bluzie z kapturem i workowatych szortach. Białe skarpetki z niebieskim paskiem wokół ściągacza ma podciągnięte do kolan. Na łóżku obok niej leży stary miś, a na kolanach komiks. Kapitan Ameryka.

– Krystal przez K. Rozumiem.

Odwracam się do trzeciej dziewczyny w pokoju, która leży na boku na górnym łóżku z głową wspartą na ręce. Obserwuje mnie w milczeniu, a jej migdałowe oczy wyrażają pogardę i zaciekawienie. Płatek jej nosa zdobi kolczyk z brylantem. Dziewczyna wygląda na szesnaście lat i, jak

większość jej rówieśniczek, sprawia wrażenie znudzonej wszystkim, co ją otacza.

– Miranda – mówi. – Zajęłam łóżko na górze. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

– Mogę spać na dole – mówię i kładę walizkę na materacu, którego sprężyny jęczą pod jej ciężarem.

Miranda schodzi z łóżka i przeciąga się. Jej ramiona i nogi są tak szczupłe, że patrząc na nie, człowiek czuje ukłucie zazdrości. Koszulkę polo z logo obozu związała w pasie, eksponując umięśniony brzuch. Następny kolczyk z brylantem zdobi jej pępek. Nie przestaje się przeciągać, wiem jednak, że chodzi o coś więcej. To cicha deklaracja. Jest samicą alfa. Znaczy swój teren. I daje jasno do zrozumienia, że z nas wszystkich to ona jest najbardziej atrakcyjna. Stara sztuczka Vivian.

Czuję się dokładnie tak jak wtedy, gdy pierwszy raz weszłam do tego domku. Naiwna. Przestraszona. Nie mam pojęcia, co robić, podczas gdy one patrzą na mnie wyczekująco. To znaczy Sasha i Krystal, bo Miranda z dramatycznym westchnieniem wraca na łóżko.

– Uprzedzili was, że będę tu mieszkać, tak? – pytam.

– Mówili, że ktoś się wprowadzi – odpowiada Krystal. – Ale nie powiedzieli kto.

– Nie powiedzieli też, że będziesz taka stara. – Z góry dobiega głos Mirandy.

– Przepraszam, że was rozczarowałam.

– Jesteś naszą opiekunką? – pyta Sasha.

– Chyba niańką – rzuca Krystal.

– Albo strażniczką.

– Jestem artystką – tłumaczę. – Będę prowadziła zajęcia z malarstwa.

– A jeśli nie chcemy malować? – pyta Sasha.

– Nie musicie, jeśli nie chcecie.

– Ja lubię rysować – wyznaje Krystal i sięga pod łóżko, gdzie leży kilka wysłużonych notatników. Bierze jeden z nich i wyciąga w moją stronę. – Widzisz?

Na kartce jest rysunek superbohaterki. Kobiety o ognistych oczach i nabrzmiałych mięśniach kulturysty. Na granatowym, obcisłym kostiumie widnieje zielona czaszka. Oczy czaszki płoną czerwienią.

– Ty to narysowałaś? – pytam ze szczerym podziwem. – Jest naprawdę dobry.

Nie kłamię. Twarz kobiety jest idealna. Ma kwadratową szczękę, ostry nos i pogardliwe spojrzenie. Włosy opadają jej na ramiona niczym czarne macki. Kilkoma pociągnięciami ołówka Krystal oddała jej siłę, odwagę i determinację.

– To Łamiczaszka. Potrafi gołymi rękami zabić człowieka.

– Sama lepiej bym tego nie zrobiła – mówię. – A ponieważ już jesteś artystką, pozwolę ci rysować, podczas gdy reszta będzie malować.

– Super. – Krystal przystaje na taki układ z uśmiechem.

Razem z Sashą obserwują, jak się rozpakowuję, czekając, aż powiem coś jeszcze.

– Czemu chciałyście przyjechać na obóz? – pytam, bo czuję się wyjątkowo niezręcznie.

– Doradczyni zawodowa w mojej szkole podsunęła mi ten pomysł – mówi Sasha. – Powiedziała, że skoro jestem taka dociekliwa, będzie to dla mnie ciekawe doświadczenie.

– Tak? A czym się interesujesz? – pytam.

– Nooo... wszystkim.

– Aha, rozumiem.

– Mój tata chciał, żebym pojechała – mówi Krystal. – Miałam do wyboru albo to, albo smażenie burgerów.

– Myślę, że podjęłaś właściwą decyzję.

– Ja nie chciałam tu przyjeżdżać – odzywa się Miranda. – Zmusiła mnie babcia. Powiedziała, że jeśli zostanę w domu, wpakuję się w jakieś kłopoty.

Patrzę na nią i pytam:

– Myślisz, że miała rację?

– Pewnie tak. – Miranda wzrusza ramionami.

– Posłuchajcie, bez względu na to, czy chcecie tu być, czy nie, jedno niech będzie jasne: nie zamierzam wam matkować. Tak jak nie zamierzam być waszą niańką. – Zerkam na Mirandę. – Ani strażniczką. Nie chcę w żaden sposób was ograniczać.

W odpowiedzi słyszę zgodny jęk.

– No co, nikt już tak nie mówi?

– Nie – oświadcza stanowczo Krystal.

– Zdecydowanie nie – dodaje Sarah.

– Dobra, jakkolwiek teraz na to mówicie, chcę, żebyście wiedziały, że nie po to tu jestem. Mam pomóc wam się uczyć, jeśli będziecie chciały. Albo, jeśli wolicie, możemy tylko rozmawiać. Traktujcie mnie jak starszą siostrę. Chcę tylko, żebyście się dobrze bawiły.

– Mam pytanie – mówi Sasha. – Są tutaj niedźwiedzie?

– Pewnie tak – odpowiadam. – Ale bardziej boją się nas niż my ich.

– Przed wyjazdem sprawdziłam to i owo i wyczytałam, że to nieprawda.

– Pewnie nie – mówię. – Ale miło przynajmniej wyobrażać sobie, że tak jest.

– A węże?

– Co z nimi?

– Jak myślisz, ile ich jest w lasach? I ile z nich jest jadowitych?

Patrzę na Sashę, zdumiona jej dociekliwością. Cóż za rozkosznie dziwna dziewczynka z okularami w grubych oprawkach przycupniętymi na czubku małego nosa i oczami powiększonymi przez szkła.

– Szczerze? Nie wiem – mówię. – Ale myślę, że nie musimy przejmować się wężami.

Sasha nasuwa okulary wyżej na nos.

– Czyli bardziej powinnyśmy się martwić lejami krasowymi? Czytałam, że setki tysięcy lat temu cały ten obszar pokryty był lodowcami, które głęboko w ziemi pozostawiły warstwę lodu. W końcu ten lód stopniał i podmył piaskowiec, tworząc głębokie jaskinie. Jeśli staniesz nad taką jaskinią, w momencie gdy ziemia się zapadnie, wpadniesz tak daleko w głąb ziemi, że nikt cię nie znajdzie.

Urywa lekko zdyszana.

– Myślę, że nic nam nie będzie – mówię. – Prawdę mówiąc, musicie tylko uważać na sumaka jadowitego.

– I żeby nie zgubić się w lesie – dodaje Sasha. – Według Wikipedii to bardzo powszechne. Ludzie bez przerwy znikają.

Kiwam głową. W końcu coś, z czym mogę się zgodzić.

I coś, czego nie potrafię zapomnieć.

7

Kiedy nadchodzi pora kolacji, wymawiam się, mówiąc, że muszę się rozpakować i przebrać w spodenki i koszulkę polo. Prawda jest jednak taka, że choć przez chwilę chcę pobyć w domku zupełnie sama.

Stoję pośrodku i wolno obracam się dookoła, chłonąc każdy szczegół. Jest inaczej niż piętnaście lat temu. Chatka wydaje się mniejsza i ciaśniejsza. Jak wagon sypialny, w którym ja i Marc podróżowaliśmy kiedyś z Paryża do Nicei. Jednak więcej jest tu podobieństw niż różnic. Pachnie tak samo – sosnami, ziemią i dymem drzewnym. Trzecia deska podłogowa od drzwi nadal skrzypi. Wykończenie wokół jedynego okna wciąż nosi ślady spłowiałej niebieskiej farby. Odrobina szaleństwa, którą zauważyłam już za pierwszym razem.

Wspomnienia głosów dziewczyn wracają do mnie niczym echo echa. Skrawki wydarzeń, o których nie pamiętałam aż do dziś. Allison śpiewająca *I Feel Pretty* i wirująca w przydużej koszulce polo. Natalie siedząca na skraju dolnego łóżka z nogami pokrytymi mieszaniną tlenku cynku i wody wapiennej.

Te komary się na mnie uwzięły – mówiła. – *Muszę mieć coś we krwi, że tak im smakuje.*

To chyba tak nie działa – odparłam.

No to czemu mnie gryzą, a was nie?

To twój pot – oświadczyła Vivian. – *Robale go uwielbiają. Lepiej zacznij używać Teen Spirit.*

Głęboko w kieszeni dzwoni mój telefon. Jego dźwięk wyrywa mnie z zamyślenia. Wyciągam go i widzę, że to Marc próbuje połączyć się ze mną przez FaceTime’a. Wątpię, czy to się uda przy jednej kresce zasięgu.

– Hej, Weroniko Mars* – rzuca na powitanie. – Jak tam śledztwo?

– Dopiero zaczęłam. – Siadam na skraju łóżka i wyciągam rękę tak, żeby widział całą moją twarz. – Nie mogę rozmawiać za długo. Mają tu fatalny zasięg.

W odpowiedzi Marc wydyma wargi. Jest w kuchni swojego bistro, a za jego plecami widzę prowadzące do chłodni lśniące drzwi ze stali nierdzewnej.

– Jak tam Camp Crystal Lake**?

– Na razie nie widziałam żadnych zamaskowanych morderców.

– To chyba dobrze.

– Ale mieszkam w domku z trzema nastolatkami.

– To nie twój problem – przypomina mi Marc. – Jakie są?

– Powiedziałabym, że upierdliwe, ale to słowo wyszło już chyba z użycia.

– Za to słowo „pyskaty” jest ciągle w modzie. Jak dżinsy. Albo wódka. To łóżko piętrowe?

– Tak. Jest takie wygodne, na jakie wygląda.

Grymas na twarzy Marca zmienia się w przerażenie.

– Cholera. Przepraszam, że namówiłem cię na ten wyjazd.

– Nie namówiłeś. Tylko troszkę mnie zachęcałeś.

– Nie robiłbym tego, gdybym wiedział, że w grę wchodzą łóżka piętrowe. – Jego obraz na chwilę traci ostrość. Kiedy porusza głową, wiedzę kwadraciki pikseli.

– Znikasz – mówię, chociaż wiem, że to moja wina. Sygnał spadł z jednej kreski do zera. Na ekranie twarz Marca nieruchomieje, przywodząc na myśl rozmazaną smugę. Mimo to nadal go słyszę. Jego głos pojawia się i znika, przez co dociera do mnie co drugie słowo.

– Tam... nudzić... dobra?

Chwilę później rozmowa zostaje przerwana, a ekran telefonu robi się czarny i zamiast twarzy Marca widzę w nim swoje odbicie. Zdumiewa mnie to, jak bardzo wydaję się zmęczona. Bardziej niż zmęczona. Wymizerowana. Nic dziwnego, że Miranda rzuciła kąśliwą uwagę na temat mojego wieku. W porównaniu z nimi wyglądam jak staruszka.

Zastanawiam się, jak wyglądałyby dziś pozostałe mieszkanki Derenia. Allison pewnie nadal byłaby słodka i drobna, jak jej matka, którą widziałam kilka lat temu w remake'u musicalu *Sweeney Todd*. Przez całe przedstawienie zastanawiałam się wyłącznie nad tym, jak często myśli o córce, czy w garderobie ma zdjęcie Allison i czy jej widok napawa ją smutkiem.

Natalie nadal byłaby wysportowana.

A Vivian? Jestem pewna, że wyglądałaby tak samo. Szczupła. Elegancka. Piękność granicząca z wyniosłością. Wyobrażam sobie, że patrzy na mnie taką, jaka jestem dziś, i mówi: *Musimy porozmawiać o twoich włosach. I garderobie.*

Chowam telefon z powrotem do kieszeni i otwieram walizkę. Szybko przebieram się w szorty i jedną z koszulek polo, które dostałam pocztą dwa tygodnie temu. Resztę rzeczy przenoszę do skrzyni przy drzwiach. To ten sam kufer, w którym trzymałam ubrania piętnaście lat temu. Poznaję po szarawej plamie na satynowej wyściółce.

Zamykam skrzynię i wodzę dłońmi po wieku, czując nierówności i rowki wyrytych w drewnie imion. Wraca do mnie kolejne wspomnienie.

Oto ja pierwszego dnia rano klęczę przed tym właśnie kufrem, ściskając w dłoni tępy scyzoryk.

Wyryj swoje imię – ponaglała Allison.

Wszystkie dziewczyny to robią – dodała Natalie. – *To tradycja.*

Podtrzymałam tę tradycję i wyryłam swoje inicjały. Dwie litery odcinające się bielą na ciemnym drewnie.

ED

Gdy to robiłam, Vivian stała obok mnie i szeptała mi do ucha słowa zachęty. *Zostaw po sobie znak. Niech przyszłe pokolenia wiedzą, że tu byłaś. Że żyłaś.*

Patrzę w drugi koniec chatki na dwa kufry stojące przy drzwiach. Jeden należał do Natalie, a drugi do Allison. Ich imiona zblakły z czasem i prawie nie różnią się od innych wyciętych dookoła. Chwilę później spoglądam na skrzynię obok mojej. Należała do Vivian. Wyryła swoje imię na samym środku wieka literami większymi od pozostałych.

VIV

Otwieram jej kufer, chociaż wiem, że to teraz kufer Mirandy i że nie znajdę w nim ubrań Vivian ani flakonika perfum Obsession, których zapach jej zdaniem maskował woń sprayu na owady. Zamiast nich widzę ubrania Mirandy – kolekcję obcisłych szortów, koronkowych staników i stringów kompletnie nienadających się na obóz. W rogu leży imponujący stos książek. *Zaginiona dziewczyna*, *Dziecko Rosemary* i kilka kryminałów Agathy Christie.

Wyściółka z bordowej satyny jest taka jak u mnie. Jedyną różnicą oprócz szarej plamy jest długie na piętnaście centymetrów rozdarcie. Biegnie pionowo po lewej stronie, a brzegi materiału strzępią się.

Skrytka Vivian. Chowała w niej łańcuszek z przywieszką, który zdejmowała do snu. Złoty medalion w kształcie serca z tkwiącym pośrodku maleńkim szmaragdem.

Wiem o tej kryjówce tylko dlatego, że widziałam, jak Vivian korzysta z niej pierwszego dnia po przyjeździe. Kucałam przy swoim kufrze, szukając szczoteczki do zębów, kiedy ona uklękła przed swoim. Rozpięła łańcuszek i przez chwilę trzymała go w złączonych dłoniach.

Ładny – powiedziałam. – *To pamiątka rodzinna?*

Należał do mojej siostry.

Należał?

Ona umarła.

Przykro mi. – Lęk ścisnął mnie za serce. Nigdy dotąd nie poznałam nikogo, kogo rodzeństwo by nie żyło, i nie wiedziałam, jak się zachować. – *Nie chciałam poruszać tego tematu.*

Nie poruszyłaś – odparła Vivian. – *Ja to zrobiłam. Dobrze jest o tym rozmawiać. Tak mówi moja terapeutka.*

Znowu ścisnęło mnie w sercu. Nieżyjąca siostra oraz terapia? W tamtej chwili Vivian była najbardziej egzotycznym stworzeniem, jakie miałam okazję spotkać.

Jak umarła?

Utonęła.

Och – bąknęłam, zbyt zaskoczona, by powiedzieć coś więcej.

Vivian też nic nie dodała. Po prostu wsunęła palce w rozdarcie w materiale i ukryła w nim łańcuszek. W przeciwieństwie do niej ja nigdy nie zdejmowałam swojej bransoletki. Nawet do snu. Nawet kiedy malowałam. Dlatego jest taka zniszczona. Każdy maleńki ptaszek nosi zadrapania, które wyglądają jak blizny. Na dziobkach mają plamki zaschniętej farby.

Wyciągam prawą rękę i wsuwam dłoń w rozdarcie. Nitki materiału łaskoczą mnie w nadgarstek, kiedy palcami badam spód skrzyni. Nie oczekuję, że cokolwiek znajdę. A już na pewno nie łańcuszek, który Vivian miała na szyi, kiedy ostatni raz wychodziła z domku. Robię to, bo tylko dzięki temu będę wiedziała, że nie został tu po niej żaden ślad.

A jednak.

Coś tam jest, leży na dnie wciśnięte między drewno i materiał. Złożony na pół skrawek papieru. Muskam palcem zgięcie, sprawdzając jego długość, a zaraz potem ostrożnie chwytam karteczkę kciukiem i palcem wskazującym i wyciągam.

Czas sprawił, że papier pożółkł i nabrał mdławej barwy, która przywodzi na myśl wyschnięte żółtko jajka. Kartka szeleści, kiedy ją rozkładam. W środku znajduje się fotografia, która na pierwszy rzut oka wydaje się jeszcze starsza niż papier.

Najpierw przyglądam się zdjęciu. Jest zadziwiająco stare. Prędzej spodziewałabym się znaleźć je w muzeum niż w drewnianej chatce w środku lasu. Jest w kolorze sepii, podniszczone na brzegach i przedstawia młodą kobietę w prostej sukience. Kobieta siedzi na tle ściany, odwrócona tak, że widać jej długie ciemne włosy, które opadają jej na plecy i znikają poza kadrem.

Kobieta trzyma w dłoni dużą srebrną szczotkę do włosów, którą przyciska do piersi, niczym cenny skarb. Jest w tym geście coś dziwnie ujmującego, choć ktoś inny mógłby go uznać za przejaw próżności. Pomyśleć, że kobieta spędza całe dnie na szczotkowaniu swych niedorzecznie długich włosów i wygładzaniu ich. Jednak jej mina podpowiada mi, że nie o to tu chodzi. I chociaż kobieta sprawia wrażenie, jakby odpoczywała, w jej twarzy próżno jest szukać spokoju. Usta ma

zaciśnięte w wąską kreskę. Twarz ściągniętą. Oczy ciemne i dzikie, pełne smutku, samotności i czegoś jeszcze. Uczucia, które znam aż za dobrze.

Bólu.

Patrzę w nie i znajduję w nich coś niepokojąco znajomego. Widziałam to samo w swoich oczach. Niedługo po tym, jak opuściłam Camp Nightingale, jak mi się wówczas zdawało, na zawsze.

Na odwrocie zdjęcia widnieją imię i nazwisko zapisane wyblakłym atramentem.

Eleanor Auburn.

W głowie kłębią mi się pytania. Kim jest ta kobieta? Kiedy zrobiono to zdjęcie? I, przede wszystkim, skąd wzięło się u Vivian i dlaczego ukryto je w należącym do niej kufrze?

Zawartość kartki nie przynosi żadnych odpowiedzi. Zamiast tego widzę prosty rysunek na papierze w linie wyrwanym z jakiegoś notatnika. Jego głównym elementem jest niewyraźny kształt, który przypomina dziwny, bezkształtny szal. Otaczają go setki ciemnych kresek narysowanych tak szybko i energicznie, że od samego patrzenia boli mnie ręka. Pod szalem, pomiędzy kreskami widzę kilka kształtów. Niezdarnych. Ani okrągłych, ani kwadratowych. Na lewo od nich dostrzegam następny koło-kwadrat. Ten jest jednak większy od pozostałych.

Nagle uświadamiam sobie, na co patrzę, i wydaję stłumiony krzyk.

Z niewiadomych powodów Vivian narysowała Camp Nightingale.

Szal to w rzeczywistości jezioro Midnight, dominujące w krajobrazie i domagające się uwagi. Kreski to otaczające je lasy. A koło-kwadraty – domki. Jest ich dwadzieścia, tak jak w rzeczywistości. Największy z nich to oczywiście Dom zajmujący południowy brzeg jeziora.

Vivian narysowała jeszcze jeden kolisto-kwadratowy kształt po drugiej stronie jeziora, niemal dokładnie naprzeciw obozu, tuż nad wodą. Tyle że

po drugiej stronie jeziora nie ma żadnych budynków. A przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Szkic jest równie tajemniczy jak zdjęcie. Próbuję zrozumieć, po co Vivian miałaby go rysować, lecz nic nie przychodzi mi do głowy. Przyjeżdżała tutaj przez trzy lata z rzędu, więc nie potrzebowała mapy obozu, żeby się po nim poruszać.

Bo tak to wygląda. Jak mapa. Nie tylko jeziora, ale całego obozu. Przypomina zdjęcia satelitarne, które przeglądałam w drodze do Camp Nightingale. Całe jezioro Midnight widoczne jak na dłoni.

Podnoszę rysunek do oczu i skupiam się nie na obozie, lecz na obszarze po drugiej stronie jeziora. Tuż za tajemniczą budowlą znajduje się coś, co niemal ginie pośród otaczających je kresek.

X.

Mały, ale zauważalny znak przycupnął obok grupki postrzępionych trójkątów, które przypominają góry narysowane przez przedszkolaka. Rysując go, Vivian jeszcze mocniej przycisnęła ołówek do kartki, bo dwie skrzyżowane kreski niemal przebijają na drugą stronę.

To znaczy, że był dla niej ważny.

Że znajdowało się tam coś, co ją interesowało.

Wsuwam zdjęcie w złożoną kartkę i chowam do swojego kufra. Przychodzi mi do głowy, że skoro Vivian zadała sobie tyle trudu, żeby je ukryć, powinnam zrobić to samo.

W końcu to był jej sekret.

A ja mam wprawę w dochowywaniu tajemnic.

---

* Bohaterka amerykańskiego serialu kryminalnego dla młodzieży.

** Nawiązanie do horroru *Piątek, trzynastego*.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

– Jest jedna rzecz, którą musisz wiedzieć o tym miejscu – powiedziała Vivian. – Nigdy nie przychodź nigdzie na czas. Albo bądź wcześniej, albo przychodź ostatnia.

– Nawet na posiłki? – spytałam.

– Zwłaszcza na posiłki. Nie masz pojęcia, jak niektórym z tych kretynek odwala podczas jedzenia.

Był ranek pierwszego dnia i obie wyszłyśmy spod pryszniców, kierując się w stronę stołówki. Chociaż dzwonek wzywający na śniadanie rozbrzmiał piętnaście minut temu, Vivian wcale się nie spieszyła. Szła powoli, trzymając mnie pod rękę, przez co ja również musiałam zwolnić.

Kiedy w końcu dotarłyśmy do stołówki, zauważyłam dziewczynę z kędzierzawymi włosami i aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi, stojącą przed budynkiem, w którym miały się odbywać zajęcia malarsko-rękodzielnicze. Ona też nas dostrzegła, bo zobaczyłam w jej oczach błysk. Sprawiała wrażenie, jakby nas rozpoznała. Albo jakby się nas obawiała. Trwało to tylko sekundę, bo zaraz potem podniosła aparat i wymierzyła w nas niebiesko-czarny obiektyw.

– Kim jest dziewczyna, która zrobiła nam zdjęcie? – spytałam.

– Becca? – rzuciła Vivian. – Nie przejmuj się nią. Jest nikim.

Po tych słowach wzięła mnie za rękę i pociągnęła w głąb pomieszczenia, gdzie garstka kucharek w siatkach na włosy stała przy

tacach z gorącym jedzeniem. Ponieważ byłyśmy jednymi z ostatnich, nie musiałyśmy czekać. Vivian miała rację. Jak zawsze.

Jedyną osobą, która przyszła później od nas, była uśmiechnięta rudowłosa opiekunka z imieniem „Casey” wyszytym na koszulce. Była niska – praktycznie mojego wzrostu – i miała figurę gruszki, co jeszcze bardziej podkreślały obszerne kieszenie jej szortów bojówek.

– Proszę, proszę, czyż to nie Vivian Hawthorne we własnej osobie? – zwróciła się do Vivian. – Rok temu mówiłaś, że więcej tu nie przyjedziesz. Zmieniłaś zdanie?

– Miałabym zrezygnować z okazji uprzykrzania ci życia przez kolejne sześć tygodni? – odparła Vivian. Wzięła dwa banany i położyła jednego z nich na mojej tacy. – Nie ma mowy.

– A już myślałam, że w tym roku będzie fajnie. – Opiekunka spojrzała na mnie. Wydawała się zaskoczona i trochę zmieszana, widząc mnie w towarzystwie Vivian. – Jesteś nowa, prawda?

Vivian zamówiła dwa talerze grudkowatej owsianki i znów oddała mi jeden.

– Emmo, to Casey. Niegdyś obozowiczka, a teraz opiekunka i zmora mojego życia. Casey, poznaj Emmę.

Mając zajęte ręce, podniosłam i opuściłam tacę w geście powitania.

– Miło mi panią poznać.

– To moja protegowana – oświadczyła Vivian.

– Przerażające. – Casey odwróciła się w moją stronę i położyła mi rękę na ramieniu. – Przyjdź do mnie, jeśli zacznie cię za bardzo demoralizować. Mieszkam w Brzozie.

Po tych słowach podeszła do dzbanka z kawą i stojącego obok talerza z pączkami. Ja z kolei zamówiłam jeszcze to, na co naprawdę miałam

ochotę – tosta i kilka plastrów bekonu. Vivian zmierzyła je wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

W drodze do stolika mijałyśmy podzwaniające sztućcami, siorbiące dziewczyny siedzące w podobnych konfiguracjach, jakie pamiętałam ze szkolnej stołówki. Młodsze po jednej stronie. Starsze po drugiej. Tego dnia złamałam obowiązujące zasady. Kilka dziewczyn w moim wieku zauważyło, jak razem z Vivian idę do części stołówki okupowanej przez starsze dziewczyny, i patrzyło na mnie z zazdrością. Vivian pomachała do niektórych, inne zignorowała i chwilę później usiadłyśmy przy stoliku razem z Allison i Natalie.

Nie spałam już, kiedy wyszły z domku, żeby się umyć. I chociaż namawiały mnie, żebym poszła z nimi, zostałam, czekając, aż Vivian wstanie. Chciałam, żeby to ona pokazała mi, co i jak, bo chociaż Allison i Natalie były miłe, za bardzo przypominały mi dziewczyny z mojej szkoły. Były jak nieco starsze wersje Heather i Marissy.

Vivian była inna. Nie znałam nikogo, kto byłby do niej podobny. Dla takiej nieśmiałej dziewczyny jak ja jej uwaga była równie ciepła i przyjemna, jak promienie słońca.

– Ranne ptaszki – rzuciła. – Dobrze spałyście?

– Jak zwykle – odparła Allison, sięgając po miseczkę sałatki owocowej. – A ty, Emmo?

– Świetnie – rzuciłam.

Kłamałam. W domku panował zaduch i nieprzyjemna cisza. Brakowało mi klimatyzacji i odgłosów ulicy – ryku klaksonów i wycia syren w oddali. W Camp Nightingale słychać było wyłącznie brzęczenie owadów i plusk wód jeziora omywających brzeg. Zakładałam jednak, że z czasem się przyzwyczaję.

– Dzięki Bogu, że nie chrapiesz, Emmo – odezwała się Vivian. – W ubiegłym roku spała z nami dziewczyna, która chrapała jak zarzynana krowa.

– Nie było aż tak źle – rzuciła Natalie. Na jej tacy znajdowały się dwie porcje bekonu i lepkie resztki naleśników. Ugryzła kawałek bekonu i przeżuwając go, dodała: – Jesteś złośliwa, bo już jej nie lubisz.

Już wcześniej zauważyłam panujące wśród nich dziwne napięcie. Vivian była przywódczynią, a wysportowana i nieco szorstka Natalie często się z nią nie zgadzała. Ładnej, zwykle markotnej Allison przypadła rola rozjemczyni, rola, w którą wcieliła się tamtego ranka.

– Opowiedz nam o sobie, Emmo – poprosiła. – Nie chodzisz do naszej szkoły, prawda?

– Pewnie, że nie – rzuciła Vivian. – Gdyby tak było, wiedziałybyśmy. Połowa naszej szkoły przyjeżdża tutaj na wakacje.

– Chodzę do Douglas Academy – powiedziałam.

Allison nadziała na widelec kawałek melona, podniosła go do ust, po czym opuściła rękę.

– Fajnie tam jest?

– Chyba fajnie. Jak na szkołę, w której są same dziewczyny.

– W naszej też – odparła Vivian. – I przysięgam, że dałabym się pokroić, żeby tylko spędzić wakacje z dala od niektórych z tych ździr.

– Czemu? – odezwała się Natalie. – Przecież kiedy tu jesteśmy i tak udajesz, że nie widzisz połowy z nich.

– Tak jak teraz udaję, że nie widzę, jak opychasz się bekonem – odgryzła się Vivian. – Jedz tyle, a za rok pojedziesz na obóz dla grubasów.

Natalie westchnęła i odłożyła na wpół zjedzony plasterek bekonu z powrotem na talerz.

– Chcesz, Allison? – spytała.

Allison pokręciła głową i odsunęła od siebie prawie nietkniętą sałatkę.

– Jestem pełna – bąknęła.

– Żartowałam – rzuciła Vivian, a na jej twarzy odmalowała się prawdziwa skrucha. – Przepraszam, Nat. Naprawdę. Wyglądasz... dobrze.

Uśmiechnęła się. Ostatnie słowo zawisło w powietrzu niczym obelga, którą przecież było.

Do końca posiłku zerkałam na talerz Vivian i jadłam owsiankę tylko wtedy, kiedy ona to robiła, nabierając na łyżkę takie same, niewielkie porcje. Nie tknęłam banana, dopóki ona nie sięgnęła po swojego. A gdy zostawiła połowę na tacy, zrobiłam to samo. Bekon i tost pozostały nietknięte.

Wmawiałam sobie, że tylko na tym zyskam.

Vivian, Natalie i Allison wyszły ze stołówki przede mną, żeby przygotować się na zajęcia z łucznictwa dla zaawansowanych, w których mogły brać udział wyłącznie starsze obozowiczki. Ja miałam uczestniczyć w zajęciach przeznaczonych dla mojej grupy wiekowej. Z góry założyłam, że będą nudne. Oto, co zrobiła ze mną jedna noc w Dereniu.

Idąc na zajęcia, minęłam dziewczynę z aparatem. Zastąpiła mi drogę i zatrzymała mnie.

– Co ty wyprawiasz?

– Ostrzegam cię – odparła. – Przed Vivian.

– To znaczy?

– Nie daj się zwieść. W końcu obróci się przeciwko tobie.

Zrobiłam krok do przodu, próbując zgrywać twardzielkę, tak jak zrobiłam to poprzedniego wieczora.

– Dlaczego?

Dziewczyna z aparatem uśmiechnęła się, lecz w jej uśmiechu nie było wesołości. Była w nim gorycz. Szyderstwo.

– Przekonasz się – odparła.

8

Wchodząc do stołówki w porze obiadowej, zastaję Franny stojącą u szczytu stołu i wygłaszającą mowę powitalną. Wygląda lepiej. Widać, że jest w swoim żywiole, gdy ubrana jak na wielkie wyjście stoi przed tłumem dziewcząt i wychwala uroki obozowego życia. Przemawiając, wodzi oczami po twarzach zgromadzonych i na moment zatrzymuje wzrok na każdej z nich, żeby powitać jedną po drugiej z osobna. Kiedy dostrzega mnie przy drzwiach, mruży oczy, zupełnie jakby chciała do mnie mrugnąć.

Przemówienie brzmi dokładnie tak jak tamto, które słyszałam piętnaście lat temu. Całkiem możliwe, że tak właśnie jest i że Franny wyciągnęła je z odmętów pamięci. Opowiedziała już o tym, jak jezioro zostało stworzone przez jej dziadka dawno temu w noc sylwestrową, i teraz rozwodzi się nad historią samego obozu.

– Przez lata miejsce to służyło mojej rodzinie jako prywatne, wiejskie ustronie. W dzieciństwie spędzałam tu każde lato, a także kilka zim, wiosen i jesieni, odkrywając ziemię, która szczęśliwie należała do mojej rodziny. Po śmierci rodziców stała się moją własnością. Dlatego w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku postanowiłam przekształcić ustronie Harrisów w obóz dla dziewcząt. Rok później swe podwoje otworzył Camp Nightingale, do którego zjeżdżały kolejne pokolenia młodych kobiet.

Urywa, by zaczerpnąć powietrza. Ale w tej krótkiej ciszy zawarte są lata przemilczanej historii. Historii moich przyjaciółek, wstydu, którym

okrył się obóz i który doprowadził do jego zamknięcia.

– Dziś obóz wita was – ciągnie Franny. – W Camp Nightingale nie chodzi o tworzenie elit, o to, kto jest bardziej lubiany i popularny ani o poczucie wyższości. Chodzi o was. O was wszystkie. Pragniemy podzielić się z wami doświadczeniami, które będziecie wspominać jeszcze długo po tym, jak lato dobiegnie końca. Jeśli więc czegoś potrzebujecie, nie wahajcie się poprosić Lottie, moich synów czy Mindy, która niedawno dołączyła do naszej rodziny.

Mówiąc to, wskazuje na lewo, gdzie oparty o ścianę stoi Chet, udając, że nie zauważa maślanych oczu połowy dziewcząt na sali. Towarzysząca mu Mindy uśmiecha się i macha jak królowa piękności. Rozglądam się po pomieszczeniu, szukając wzrokiem Theo, a kiedy go nie dostrzegam, czuję ulgę zmieszaną z rozczarowaniem.

Franny splata dłonie i delikatnym skinieniem głowy daje znać, że przemówienie dobiegło końca. Wiem jednak, że to nieprawda. Została jeszcze jedna część, dokładnie zaplanowana, która zostanie odegrana z polotem godnym wytrawnego polityka.

– A, jeszcze jedno – podejmuje, jakby dopiero teraz na to wpadła. – Nie chcę, by którakolwiek z was zwracała się do mnie „pani Harris-White”. Mówcie mi Franny. Nalegam. Tu, na łonie natury, wszyscy jesteśmy równi.

Stojąca pod ścianą Mindy zaczyna klaskać. Chet również, choć z mniejszym entuzjazmem. Niebawem wszyscy klaszczą, podczas gdy Franny, ich dobrodziejka, kolejny raz kłania się pospiesznie. Zaraz potem wychodzi z sali bocznymi drzwiami, które otwiera przed nią Lottie.

Podchodzę do stanowisk z jedzeniem, gdzie kilka kucharek w białych fartuchach wydaje ociekające tłuszczem hamburgery, frytki i surówkę coleslaw tak rzadką, że na talerzu zbiera się przypominający mleko sok.

Zamiast dołączyć do Sashy, Krystal i Mirandy, stojących w otoczeniu innych obozowiczek, kieruję się w stronę stołu przy drzwiach, przy którym siedzi osiem kobiet. Pięć z nich to młode dziewczyny, pewnie studentki. To opiekunki. Pozostałe trzy mają od trzydziestu kilku lat do prawie sześćdziesięciu. Moje koleżanki-instruktorki. Oprócz Rebekki Schoenfeld.

Rozpoznaję tylko jedną z nich – Casey Anderson. Prawie się nie zmieniła. Nadal ma figurę gruszki i rude włosy, które muskają jej ramię, kiedy ucieszona moim widokiem przechyla głowę. Obejmuje mnie nawet i mówi:

– Dobrze znów cię widzieć, Emmo.

Pozostałe instruktorki witają mnie skinieniem głów, a opiekunki ledwie zerkają w moją stronę. Uświadamiam sobie, że one wszystkie nie tylko wiedzą, kim jestem, ale też, co się wydarzyło, kiedy byłam tu ostatni raz.

Casey przedstawia mnie pozostałym instruktorkom. Kurs pisania kreatywnego prowadzi Roberta Wright-Smith, która trzykrotnie spędzała wakacje w Camp Nightingale, w tym w sezonie inauguracyjnym. To pulchna, wesoła kobieta, która patrzy na mnie przez okulary przycupnięte na czubku nosa. Paige McAdams, która przyjeżdżała do Camp Nightingale pod koniec lat osiemdziesiątych, jest siwa, smukła i ma kościste palce, którymi nieco za mocno ściska moją dłoń. Będzie uczyła garncarstwa, co tłumaczy siłę jej uścisku.

Casey informuje mnie, że została wyznaczona do prowadzenia podstawowych zajęć z malarstwa i rękodzielnictwa. W roku szkolnym pracuje jako nauczycielka angielskiego w ósmej klasie. Mogła przyjechać do Camp Nightingale, bo dwójka jej dzieci wyjechała na obóz i to jej pierwsze wakacje po rozwodzie z mężem.

Rozwód, jak się okazuje, jest głównym tematem rozmów wśród instruktorek. Casey nie chciała spędzać sześciu tygodni w pustym domu.

Paige musiała gdzieś wyjechać do czasu, aż jej wkrótce już były mąż wyprowadzi się z ich mieszkania na Brooklynie. A Roberta, profesor pisania kreatywnego w Syracuse, szukała spokojnego miejsca, w którym mogłaby dojść do siebie po niedawnym rozstaniu ze swoją dziewczyną poetką. Wygląda na to, że ja jedna nie mam byłego męża czy nawet chłopaka, którego mogłabym obwiniać za przyjazd do Camp Nightingale. Nie wiem, czy to bardziej wyzwalające, czy żałosne.

Myślę, że więcej łączy mnie z opiekunkami, studentkami, które nie zaznały jeszcze życiowych rozczarowań. Wszystkie są ładne, nijakie i każdą z nich można by wymienić na drugą. Włosy związane w końskie ogony. Usta pociągnięte różowym błyszczykiem. Gładkie, lśniące twarze. Uświadamiam sobie, że to typ dziewczyn, które będąc nastolatkami, przyjeżdżałyby do Camp Nightingale, gdyby tylko obóz działał.

– Kogo jeszcze przeraża to miejsce? – pyta jedna z nich. Myślę, że ma na imię Kim. Albo Danica. Ich imiona uleciały mi z głowy pięć sekund po tym, jak je poznałam. – Bo mnie na pewno.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – ciągnie Casey. – To znaczy, cieszę się, że mogłam pomóc, ale nie rozumiem decyzji Franny, żeby po tylu latach z powrotem otworzyć obóz.

– Nie uważam, że to dziwne – mówię. – Raczej zaskakujące.

– Też mnie to dziwi – odzywa się Paige. – No bo czemu akurat teraz?

– A czemu nie? – pyta Mindy, która niepostrzeżenie podeszła do naszego stolika. Odwracam się i widzę, że stoi za moimi plecami, ramiona ma skrzyżowane. Nie wiem, co dokładnie słyszała, ale to wystarczyło, żeby jej przyklejony uśmiech zadrżał. – Czy Franny potrzebuje powodu, żeby spełnić dobry uczynek? – ciągnie, kierując pytanie do Roberty, Paige, Casey i do mnie. – Nie wiedziałam, że jest coś złego w tym, żeby nowe pokolenie dziewczyn mogło doświadczyć tego, co wy kiedyś.

Jeśli próbuje przemawiać jak Franny, kiepsko jej to wychodzi. Przemówienia Franny mogą być starannie przygotowane, lecz stojące za nimi emocje są prawdziwe. Człowiek wierzy w każde jej słowo. Tymczasem ton Mindy jest inny. Jest tak przesłodzony i świętoszkowaty, że nie mogę się powstrzymać i mówię:

– Ja nie chciałabym, żeby ktokolwiek przeżywał to, co ja.

Mindy kręci głową. Najwyraźniej ją rozczarowałam. Kładzie dłoń na sercu i mówi:

– Spodziewałam się po tobie więcej, Emmo. Franny wykazała się niezwykłą odwagą, zapraszając cię tu ponownie.

– A Emma wykazała się odwagą, przyjmując jej zaproszenie. – Casey przychodzi mi z pomocą.

– Tak – zgadza się Mindy. – I właśnie dlatego liczyłam, że pokaże nieco więcej charakteru.

– Naprawdę? – pytam i przewracam oczami.

– Dobrze. – Mindy opada na puste krzesło, a z jej gardła dobywa się jęk, który przywodzi na myśl powietrze uchodzące z przebitej opony. – Lottie powiedziała mi, że musimy przygotować grafik obchodu domków.

No tak, obchód domków. Codzienne wieczorne sprawdzanie chatek, żeby mieć pewność, że nikogo nie brakuje i wszystko jest w porządku. Rzecz jasna dla Vivian była to główna atrakcja.

– Co wieczór potrzebujemy dwóch osób, które sprawdzą domki, żeby opiekunki i instruktorki nie musiały mieszkać z obozowiczkami – tłumaczy Mindy. – Kto pierwszy zgłasza się na ochotnika? I gdzie jest Rebecca?

– Pewnie śpi – mówi Casey. – Widziałam się z nią wcześniej. Mówiła, że podróż tak ją wykończyła, że musi się zdrzemnąć. Była w Londynie i przyjechała prosto z lotniska.

– W takim razie wpiszemy ją później – oświadcza Mindy. – Kto dziś wieczorem zrobi obchód?

Podczas gdy one spierają się o grafik, ja widzę, jak podwójne drzwi otwierają się i do stołówki wchodzi Rebecca Schoenfeld. W przeciwieństwie do Casey zmieniła się. I to bardzo. Pozbyła się aparatu ortodontycznego i dziecięcego tłuszczyku. Jest szczuplejsza i nosi się światowo. Niegdyś niesforne, kędzierzawe włosy zazwyczaj spięte gumką, teraz są krótkie i lśniące. Dodatek do szortów i koszulki polo stanowi kolorowa apaszka. Poniżej wisi aparat, który kołysze się z każdym krokiem Rebekki. Również jej ruchy się zmieniły. Zamiast powłóczącej nogami nastolatki widzę idącą szybkim krokiem kobietę – kobietę z misją. Przecina stołówkę, podchodzi do stołów z jedzeniem i bierze jabłko. Wracając, wgryza się w nie, po czym zatrzymuje się, kiedy dostrzega mnie w drugim końcu sali.

Posyła mi spojrzenie, z którego nie sposób cokolwiek wyczytać. Nie wiem, czy jest zaskoczona, szczęśliwa czy zdumiona moją obecnością. Odgryza kolejny kęs jabłka, po czym odwraca się i wychodzi.

– Muszę iść – rzucam.

Mindy znowu wzdycha jak opona, z której uchodzi powietrze.

– Co z grafikiem obchodu domków?

– Wpiszcie mnie, kiedy chcecie.

Wstaję od stołu i zostawiam tacę z prawie nietkniętym jedzeniem. Wyszedłszy ze stołówki, rozglądam się dookoła, szukając wzrokiem Bekki, lecz nigdzie jej nie widzę. Przed stołówką i stojącą obok pracownią malarsko-rękodzielniczą nie ma żywej duszy. W oddali widzę Franny i Lottie, które niespiesznie idą w stronę Domu. Za Domem, na trawniku prowadzącym nad jezioro dostrzegam konserwatora, który naprawiał dach, kiedy przyjechałam. Tym razem pcha taczkę w stronę rozchwierutanej

szopy na narzędzia stojącej na skraju trawnika. Tyle się dzieje, wciąż jednak nie widzę śladu Bekki.

Kieruję się w stronę domków, kiedy słyszę, jak ktoś mówi:

– Emma?

Zamieram. Dobrze wiem, do kogo należy ten głos.

Theo Harris-White.

Woła do mnie z otwartych drzwi pracowni malarsko-rękodzielniczej. Jego głos, podobnie jak przemowa Franny, nie zmienił się nic a nic. Na jego dźwięk wracają kolejne wspomnienia. Bolesne. Są niczym strzały, które ktoś wystrzelił prosto w mój brzuch.

Dzień, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Theo i nieśmiało podałam mu dłoń, udając, że nie widzę mięśni rysujących się pod materiałem koszulki. Przyjemne ciepło, które na jego widok rozlało się po całym moim ciele.

Theo stojący po pas w wodzie, ze skórą złocistą od słońca, ja w jego objęciach, praktycznie drżąca pod jego dotykiem, kiedy powoli kładzie mnie na wodzie.

Vivian popychająca mnie w stronę szczeliny w ścianie sanitariatu, zza której dobiegał szum wody i głos Theo nucącego piosenkę zespołu Green Day. *No, dalej* – szepnęła Vivian. – *Popatrz sobie. On nigdy się nie dowie.*

– Emma – powtarza Theo, jednak tym razem nie brzmi to jak pytanie. Wie, że to ja.

Odwracam się powoli, nie wiedząc, czego się spodziewać. Jednak część mnie chce zobaczyć rumianego, łysiejącego faceta z pokaźnym brzuszkiem. A druga pragnie, żeby wyglądał tak samo.

Rzeczywistość znajduje się gdzieś pomiędzy. Postarzał się, to oczywiste. Nie jest już postawnym dziewiętnastolatkiem, którego pamiętam. Jego młodzieńczy blask przygasł i zmienił się w coś bardziej mrocznego, bardziej intensywnego. A jednak wygląda dobrze. Prawdę

mówiąc, zbyt dobrze. Jest nieco bardziej zwalisty, ale to wszystko mięśnie. Pasma siwizny w ciemnych włosach i kilkudniowy zarost pasują mu. Podobnie jak ogorzała od słońca twarz. Kiedy się uśmiecha, wokół jego oczu i ust pojawia się kilka drobnych zmarszczek. Irytuje mnie to, że dodają mu one uroku.

– Cześć.

To kiepskie powitanie, ale nie stać mnie na nic więcej. Zwłaszcza że wraca do mnie niezbyt przyjemne wspomnienie. Wspomnienie, które przyćmiewa pozostałe.

Theo stoi przed chatą. Jest zmęczony i potargany po tym, jak przez cały dzień przeszukiwał lasy. Podbiegam do niego i płacząc, uderzam pięściami w jego pierś. *Gdzie one są?* – krzyczę. – *Co im zrobiłeś?*

To były ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziałam. Aż do dziś.

A teraz, kiedy znów stoi przede mną, spodziewam się, że będzie zgorzkniały albo zły o to, że oskarżyłam go wtedy. Mam ochotę obrócić się na pięcie i uciec, podobnie jak Rebecca wyszła ze stołówki, tylko szybciej. Stoję jednak bez ruchu, podczas gdy Theo podchodzi do mnie i – o dziwo – obejmuje mnie. Odsuwam się w obawie, że zbyt długi kontakt fizyczny przywoła kolejne wspomnienia.

Theo cofa się o krok, patrzy na mnie i kręci głową.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. Mama mówiła, że przyjeżdżasz, ale nie wierzyłem, że to prawda.

– A jednak.

– Czas obchodzi się z tobą łaskawie. Świetnie wyglądasz.

Próbuje być miły. Widziałam swoje odbicie w czarnym ekranie telefonu i wiem, jak wyglądam.

– Ty też – mówię.

– Słyszałem, że jesteś malarką. Mama mówiła, że kupiła jeden z twoich obrazów. Jeszcze nie miałem okazji go zobaczyć. Dwa dni temu wróciłem z Afryki.

– Franny wspominała coś o tym. Jesteś lekarzem?

Theo wzrusza ramionami i drapie się po brodzie.

– Tak. Pediatrą. Przez ostatni rok pracowałem dla Lekarzy bez Granic. Ale na kolejne sześć tygodni zostałem zdegradowany do pielęgniarki obozowej.

– W takim razie ja jestem chyba malarką obozową.

– A skoro o tym mowa, przygotowywałem twoją pracownię. – Theo wskazuje głową budynek, w którym będą odbywały się zajęcia. – Chcesz zobaczyć?

– Teraz? – pytam zaskoczona tym, że naprawdę chce zostać ze mną sam na sam.

– Nie odkładaj na jutro, co masz zrobić dziś – odpowiada. Przechyla głowę, na jego twarzy ciekawość miesza się z zakłopotaniem. Uświadamiam sobie, że tak samo patrzyła na mnie Franny na tarasie za Domem.

– Dobra – rzucam. – Prowadź.

Wchodzę za nim do środka i widzę przestronne pomieszczenie. Ściany pomalowano na radosny błękit. Wykładzina i listwy przypodłogowe są zielone jak trawa. Trzy kolumny, które ciągną się od podłogi aż po sufit, oddalone od siebie w równych odstępach, pomalowano tak, by przypominały drzewa. W miejscach, gdzie stykają się z sufitem, umieszczono sztuczne gałęzie obsypane papierowymi liśćmi. Czuję się, jakbym weszła do książeczki z obrazkami – radosnej i kolorowej.

Po lewej znajduje się pracownia Bekki z nowiuteńkimi aparatami cyfrowymi, stacjami ładującymi i kilkoma smukłymi laptopami do obróbki

zdjęć. Pośrodku mieści się pracownia rękodzielnicza, a w niej okrągłe stoły, przegródki i szafki pełne sznureczków, paciorków i skórzanych opasek w kolorze siodła. Widzę też kilkanaście laptopów gotowych na prowadzone przez Robertę zajęcia z pisania kreatywnego i koła garncarskie dla Paige.

– Jestem pod wrażeniem – mówię. – Franny odwaliła kawał dobrej roboty.

– Właściwie to wszystko robota Mindy – wyjaśnia Theo. – Bardzo zaangażowała się w powtórne otwarcie obozu.

– Nic dziwnego. Jest...

– Pełna entuzjazmu?

– Miałam powiedzieć „oszałamiająca”, ale to też może być.

Theo prowadzi mnie w drugi koniec pomieszczenia, gdzie ustawione w półkolu stoją sztalugi. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnie się półka z tubkami farb olejnych i pędzlami w słoikach. Czyste palety wiszą tuż przy oknie, przez które wpada do środka naturalne światło.

Podchodzę do jednej ze sztalug i muskam palcami stojące na niej puste płótno. Na półce z farbami widzę setki rozmaitych kolorów pogrupowanych odcieniami. Lawendowy i zielonożółty, wiśniowy i szafirowy.

– Położyłem twoje rzeczy tam. – Theo wskazuje pudełko, które przywiozłam z sobą. – Pomyślałem, że sama będziesz chciała je rozpakować.

Prawdę powiedziawszy, nie ma po co. Jest tu wszystko, czego mogłabym potrzebować. Mimo to podchodzę do pudełka i zaczynam wyciągać swoje rzeczy. Zniszczone pędzle. Wyciśnięte tubki farby. Paletę tak upstrzoną rozmaitymi kolorami, że przypomina obraz Jacksona Pollocka.

Theo staje po drugiej stronie pudła i przygląda mi się. Przygasające promienie padają na jego twarz, oświetlając coś, czego z pewnością nie

było na niej piętnaście lat temu. Coś, czego nie zauważyłam aż do teraz.

Bliznę.

Na jego lewym policzku widzę trzycentymetrową szramę, biegnącą w stronę ust. Jest o odcień jaśniejsza od reszty jego twarzy, dlatego wcześniej jej nie widziałam. Teraz, kiedy już wiem, że tam jest, nie mogę przestać na nią patrzeć. Zamierzam zapytać Theo, skąd ją ma, ale on zerka na zegarek i mówi:

– Muszę pomóc Chetowi przy ognisku. Przyjdziesz?

– Jasne – rzucam. – Za nic nie przepuszczę okazji pieczenia s’mores.

– To dobrze. Dobrze, że przyjdziesz. – Odchodzi niechętnie, powoli wlokąc się w stronę drzwi. W progu odwraca się jeszcze i mówi: – Emmo...

Podnoszę wzrok zaniepokojona nagłą powagą w jego głosie. Podejrzewam, że powie coś o naszym ostatnim spotkaniu, bo z całą pewnością o nim myśli. Napięcie między nami jest jak przetarta lina, która lada chwila może się zerwać.

Theo otwiera usta, ale po chwili zastanowienia zamyka je z powrotem. Kiedy się w końcu odzywa, w jego głosie słychać szczerość.

– Cieszę się, że tu jesteś. Wiem, że to niełatwe. Ale to wiele znaczy dla mojej mamy. I dla mnie.

Po tych słowach wychodzi, zostawiając mnie samą, bym mogła zastanowić się, co właściwie miał na myśli. Czy mój przyjazd znaczy dla niego wiele, bo uszczęśliwił Franny? A może moja obecność przypomina mu lepsze czasy, zanim obóz został zamknięty w atmosferze skandalu?

W końcu uznaję, że ani jedno, ani drugie.

Prawdę mówiąc, myślę, że chciał powiedzieć, że mi wybacza.

Teraz tylko sama sobie muszę wybaczyć.

9

Najwyraźniej dla Mindy „kiedy chcecie” oznacza „dziś wieczorem”, bo po ognisku rozpoczynam obchód domków. Chociaż nie jestem zachwycona, cieszę się, że przynajmniej towarzyszy mi Casey. Razem chodzimy od chatki do chatki, zaglądamy do środka, liczymy dziewczyny i pytamy, czy czegoś nie potrzebują.

Czuję się dziwnie, zwłaszcza w towarzystwie Casey. Kiedy sama byłam na obozie, Casey pukała do drzwi, a zaraz potem wchodziła, jakby próbowała przyłapać nas na czymś niestosownym. Patrzyłyśmy na nią oczami niewiniątek, trzepocząc rzęsami. Teraz patrzą tak na mnie i ta surrealistyczna zamiana ról sprawia, że po części zazdroszczę im ich młodości, a po części irytuje mnie ona.

W dwóch domkach zastaję dziewczynki, które skulone na łóżkach płaczą z tęsknoty za domem. Vivian myliła się, mówiąc, że wszystkie nowicjuszki zawsze płaczą pierwszej nocy, ale zdarzają się i takie. Poświęcam każdej z nich kilka minut, tłumacząc, że chociaż teraz przeraża je to miejsce, niedługo je pokochają i nie będą chciały wracać do domu.

Mam nadzieję, że to prawda.

Ja nie miałam szansy się o tym przekonać.

Po sprawdzeniu wszystkich domków Casey i ja zaglądamy za sanitariat. Panującą tam ciemność potęguje las, który zaczyna się zaledwie metr dalej. Między drzewami tłoczą się cienie, a wśród nich tu i ówdzie tańczą

świetliki. Wokół lampy zamontowanej przy kabinach prysznicowych kłębią się owady.

Casey wyciąga papierosa z pomiętej paczki ukrytej w kieszeni spodni i zapala go.

– Nie wierzę, że muszę się kryć z paleniem. Czuję się, jakbym znów miała czternaście lat.

– Lepsze to niż narazić się na gniew Mindy.

– Zdradzić ci sekret? – pyta Casey. – Naprawdę ma na imię Melinda. Ale przedstawia się jako „Mindy”, bo chce upodobnić się do Franny.

– Mam wrażenie, że Franny za nią nie przepada.

– Nawet wiem dlaczego. To jedna z tych dziewczyn, którym w liceum wolałam schodzić z drogi. – Casey wydmuchuje chmurę dymu i patrzy, jak leniwie wzbija się w powietrze. – Chociaż to chyba dobrze, że tu jest. Gdyby nie ona, miałybyśmy sezon łowiecki na Cheta. Te dziewczyny zjadłyby go żywcem.

– Są takie młode.

– Jestem nauczycielką – rzuca Casey. – Wierz mi, dziewczyny w tym wieku zmagają się z taką samą burzą hormonów jak chłopcy. Zapomniałaś, jaka byłaś w ich wieku? Pamiętam, jak przymilałaś się do Theo. Nie żebym cię za to winiła. Był przystojnym młodzieńcem.

– Widziałaś go teraz?

Casey powoli kiwa głową.

– Czemu mężczyźni z wiekiem wyglądają coraz lepiej? To cholernie niesprawiedliwe.

– Ale nadal jest taki miły – mówię. – Nie spodziewałam się tego.

– Przez to, co mu wtedy powiedziałaś?

– I przez to, co mówią teraz ludzie. Czytałam niektóre komentarze pod postem, który zamieściłaś na Facebooku. Były naprawdę wredne.

– Ignoruj je. – Casey macha ręką, jakby próbowała rozwiać dym unoszący się znad papierosa. – Większość z tych kobiet to dorosłe wersje sukowatych nastolatek, którymi były, kiedy przyjechały do Camp Nightingale.

– Kilka z nich twierdziło, że to miejsce przyprawia je o gęsią skórkę – mówię. – Wspominały o jakiejś legendzie.

– To głupia bajeczka do opowiadania przy ognisku.

– Czyli słyszałaś o niej?

– To ja ją opowiedziałam – mówi Casey. – Ale to nie znaczy, że wierzę, że to prawdziwa historia. Naprawdę jej nie słyszałaś?

– Chyba nie byłam tutaj wystarczająco długo.

Casey patrzy na mnie z papierosem w ustach, a dym sprawia, że mruży oczy.

– Chodzą słuchy, że kiedyś była tu wioska – mówi. – Zanim powstało jezioro. Niektórzy twierdzą, że jej mieszkańcy byli głusi. Ja słyszałam, że była to kolonia trędowatych.

– Kolonia trędowatych? Stary cmentarz indiański był zbyt banalny?

– Nie wymyśliłam tej historii – burka Casey. – Chcesz ją usłyszeć czy nie?

Chcę, bez względu na to, jak niedorzeczna może się wydawać. Dlatego kiwam głową, pokazując, żeby mówiła dalej.

– Nieważne, wioska głuchych czy kolonia trędowatych, reszta opowieści jest taka sama – ciągnie Casey. – Chodzi o to, że dziadek Franny zobaczył osadę i z miejsca postanowił, że właśnie tutaj stworzy swoje jezioro. Był tylko jeden problem. Wioska znajdowała się w samym centrum doliny. Kiedy Buchanan Harris zaproponował mieszkańcom, że kupi ich

ziemię, ci odmówili. Byli małą, zżytą społecznością usuniętą poza nawias społeczeństwa. To był ich dom i nie mieli zamiaru go sprzedawać. Ich odmowa rozjuszyła pana Harrisa. Był człowiekiem przyzwyczajonym, że dostaje to, co chce. Kiedy więc zaoferował więcej, a mieszkańcy wioski znów odmówili, wykupił ziemie wokół osady. Następnie wybudował tamę i równo o północy zalał dolinę, wiedząc, że woda zmyje wioskę, a wszyscy jej mieszkańcy utoną.

Casey ścisza głos i mówi powoli, jak wytrawna gawędziarka.

– Wioska nadal tu jest, głęboko na dnie jeziora Midnight. A ludzie, którzy utonęli, nawiedzają lasy i jezioro. Pojawiają się o północy, wyłaniają się z jeziora i wędrują po lasach. Każdy nieszczęśnik, który się na nich natknie, zostaje zawleczony nad jezioro i wciągnięty pod wodę, a potem staje się jednym z nich i błąka się po lasach w poszukiwaniu kolejnych ofiar.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Ludzie myślą, że to właśnie przytrafiło się Vivian, Natalie i Allison?

– Tak naprawdę nikt w to nie wierzy – mówi Casey. – Ale już wcześniej działy się tu dziwne rzeczy. Na przykład mąż Franny. Był świetnym pływakiem. Niewiele brakowało, a wziąłby udział w igrzyskach olimpijskich. A jednak utonął. Słyszałam, że babka Franny, pierwsza żona Buchanana Harrisa, również tu utonęła. Kiedy więc Vivian i pozostałe dziewczyny zniknęły, niektórzy ludzie zaczęli gadać, że to duchy z jeziora. Albo ci, którzy przeżyli.

– Jak to?

– Mówi się, że garstka mieszkańców wioski zdołała uciec i ukryła się na wzgórzach. Podobno osiedlili się tam i zbudowali osadę w leśnych ostępach, gdzie nikt ich nie znajdzie. Przez cały czas żywili urazę do rodziny Harrisów, która przechodziła z pokolenia na pokolenie. Ich

potomkowie nadal gdzieś tam są i kryją się w lasach. Podczas pełni księżyca schodzą ze wzgórz, wracają na ziemię, która należała niegdyś do ich przodków, i mszczą się. Vivian, Natalie i Allison padły ich ofiarą.

Okazuje się, że Casey jest wyśmienitą gawędziarką, bo gdy kończy, czuję w powietrzu chłód. Lekki dreszcz przebiega mi po plecach i spoglądam na las za jej plecami, jakbym spodziewała się zobaczyć widmową postać albo zmutowanego dzikusa wyłaniającego się spomiędzy drzew.

– Jak myślisz, co się naprawdę z nimi stało? – pytam.

– Myślę, że zabłądziły w lasach. Vivian lubiła oddalać się od obozu. – Casey wyrzuca papierosa i gasi go pod podeszwą trampka. – Dlatego zawsze czułam się współodpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Byłam opiekunką. Moim zadaniem było dopilnować, żeby żadnej z was nic się nie stało. Żałuję, że nie poświęcałam więcej uwagi wam i temu, co działo się w waszym domku.

Patrzę na nią zaskoczona.

– Działo się tam coś, o czym nie wiedziałam?

– Nie wiem – rzuca Casey i sięga do kieszeni po następnego papierosa. – Może.

– Na przykład? Przyjaźniłaś się z Vivian. Na pewno coś zauważyłaś.

– Nie powiedziałabym, że się przyjaźniłyśmy. Kiedy przyjechała tu po raz pierwszy, byłam w grupie starszych dziewczyn, a dwa lata później wróciłam jako opiekunka. Vivian zawsze sprawiała kłopoty, ale była wystarczająco czarująca, żeby uniknąć kary.

Wiem o tym aż za dobrze. Vivian była mistrzynią czarowania. Czarowania i kłamania.

– Ale tamtego lata wydawała się jakaś inna – ciągnie Casey. – Różnica nie była wielka. Ktoś, kto znał ją pobieżnie, niczego by nie zauważył. Ale

nie była taka sama. Wydawała się rozkojarzona.

Myślę o dziwnej mapie, którą narysowała Vivian, i o jeszcze dziwniejszym zdjęciu kobiety z długimi włosami.

– Czym rozkojarzona?

Casey wzrusza ramionami, odwraca wzrok i poirytowana wydmuchuje chmurę dymu.

– Nie wiem, Emmo. Jak już mówiłam, nie byłyśmy sobie aż tak bliskie.

– Ale zauważałaś pewne rzeczy.

– Drobne rzeczy – prostuje Casey. – Widziałam, jak kilka razy chodziła sama wokół obozu. Wcześniej nigdy tego nie robiła. Vivian zawsze otaczała się ludźmi. Może po prostu chciała, żeby dali jej spokój. Albo...

Urywa i zaciąga się papierosem.

– Albo co?

– Albo coś kombinowała – kończy Casey. – Drugiego dnia przyłapałam ją, jak próbowała wślizgnąć się do Domu. Czaiła się na schodach z tyłu, gotowa w każdej chwili wbiec do środka. Powiedziała, że szuka Franny, ale jej nie uwierzyłam.

– Po co miałaby włamywać się do Domu?

Casey znowu wzrusza ramionami. Jest w tym geście nuta rozdrażnienia, jakby żałowała, że podjęła temat Vivian.

– Wiem tyle samo, co ty – rzuca.

Kiedy na końcu zaglądam do Derenia, dziewczyny leżą już w łóżkach z telefonami w rękach i twarzami skąpanymi w niebieskawym świetle ekranów. Sasha z okularami na czubku nosa gra w Candy Crush albo inną równie irytującą, bezsensowną grę. Z jej telefonu dobiega kakofonia poćwierkiwań i piknięć.

Leżąca na łóżku niżej Krystal przebrała się w workowate spodnie dresowe. Wysłużony miś siedzi w zagięciu jej łokcia, podczas gdy ona ogląda w telefonie któryś z filmów Marvela. W uszach ma słuchawki, z których dobiegają stłumione dźwięki. Słyszę terkot broni maszynowej i charakterystyczny dźwięk rozłupywanej czaszki.

W drugim końcu domku Miranda leży na górnym łóżku ubrana w obcisłą koszulkę i czarne spodenki, tak skąpe, że praktycznie nie zasługują na to miano. Trzyma telefon blisko twarzy i wydymając usta, robi kilka zdjęć.

– Nie powinnyście używać telefonów – mówię, chociaż sama wcześniej robiłam to samo. – Oszczędzajcie baterie.

Krystal wyjmuje słuchawki z uszu.

– A co mamy robić? – pyta.

– Mogłybyśmy, no wiecie, porozmawiać – proponuję. – Może nie uwierzycie, ale kiedyś ludzie to robili, zanim zaczęli tracić czas na gapienie się w telefony.

– Widziałam, jak po obiedzie rozmawiałaś z Theo – odzywa się Miranda. W jej głosie niewinność miesza się z oskarżeniem. – To twój chłopak?

– Nie, to...

Nie wiem, jak nazwać Theo. Kilka różnych etykietek przychodzi mi do głowy.

Przyjaciel? Niekoniecznie.

Jeden z pierwszych chłopaków, w których się podkochiwałam? Możliwe.

Osoba, którą oskarżyłam o to, że zrobiła coś strasznego Vivian, Natalie i Allison?

Z pewnością.

– Znajomy – mówię.

– Masz chłopaka? – dopytuje Sasha.

– Obecnie nie.

Mam mnóstwo przyjaciół facetów, ale większość z nich to geje albo single niegotowi na poważny związek. Moje relacje z mężczyznami są zwykle krótkotrwałe. Mężczyznom podoba się pomysł bycia w związku z artystką, ale tylko nieliczni są w stanie przyzwyczaić się do tego, jak naprawdę wygląda taki związek. Do dziwnych godzin spotkań, zwątpienia w siebie i poplamionych dłoni cuchnących farbami olejnymi. Ostatni gość, z którym się spotykałam – uroczy księgowy z konkurencyjnej agencji reklamowej – wytrzymał cztery miesiące, zanim uznał, że nic z tego nie będzie.

Ostatnio moje życie uczuciowe ogranicza się do sporadycznych spotkań z francuskim rzeźbiarzem, do których dochodzi, kiedy akurat przyjeżdża do miasta w interesach. Spotykamy się na drinka, rozmowę i seks, który przez swoją sporadyczność jest jeszcze bardziej namiętny.

– Więc skąd znasz Theo? – pyta Krystal.

– Z czasów, kiedy byłam tu na obozie.

Miranda rzuca się na tę wiadomość, jak rekin na foczkę. Rozciąga usta w uśmiechu, a w jej oczach pojawia się błysk. Tak bardzo przypomina mi Vivian, że czuję w sercu bolesne ukłucie.

– To znaczy, że byłaś już wcześniej w Camp Nightingale? – pyta. – To musiało być dawno temu.

Nie czuję się urażona, zamiast tego uśmiecham się. Jej zawoalowana złośliwość jest godna podziwu. To przebiegła dziewczyna. Vivian byłaby nią zachwycona.

– Tak – mówię.

– Podobało ci się tu? – pyta Sasha. Z jej telefonu płyną pompatyczne dźwięki, a eksplodujące cukierki odbijają się w szkłach okularów.

– Na początku tak. Później nie bardzo.

– Więc czemu wróciłaś? – odzywa się Krystal.

– Żeby mieć pewność, że będziecie bawiły się lepiej niż ja.

– A co się stało? – pyta Miranda. – Coś strasznego?

Nachyla się do przodu i czekając na moją odpowiedź, chwilowo zapomina o telefonie. To podsuwa mi pewien pomysł.

– Wyłączcie telefony – nakazuję. – Mówię poważnie.

Wszystkie trzy jęczą. Najgłośniej Miranda, ale ona także wyłącza telefon. Siadam po turecku na podłodze, opierając się o łóżko, i poklepuję rękami podłogę, pokazując im, żeby usiadły obok.

– Co robimy? – pyta Sasha.

– Gramy w grę. Nazywa się dwie prawdy i kłamstwo. Mówicie o sobie trzy rzeczy. Dwie z nich muszą być prawdziwe, a jedna to kłamstwo. Pozostałe osoby muszą zgadnąć, co jest nieprawdą.

Podczas mojego krótkiego pobytu w Camp Nightingale często grałyśmy w tę grę. Zaczęłyśmy już pierwszego wieczoru. Leżałyśmy na łóżkach w zupełnej ciemności, nasłuchując cykania świerszczy i rechotania żab, gdy Vivian powiedziała:

Dwie prawdy i kłamstwo, drogie panie. Ja zaczynam.

Po tych słowach wypowiedziała trzy zdania, albo zakładając, że znamy reguły, albo wcale o to nie dbając.

Jeden: raz spotkałam prezydenta. Miał spocone dłonie. Dwa: moi rodzice zamierzali się rozwieść, ale kiedy tata został wybrany, zmienili zdanie. Trzy: raz na wakacjach w Australii miś koala zrobił na mnie kupę.

Trzecie – odparła Natalie. – *Mówiłaś to samo w ubiegłym roku.*

Wcale nie.

Właśnie, że tak – przyznała Allison. – *Tylko wtedy mówiłaś, że cię obsikał.*

I tak co noc. We cztery siedziałyśmy po ciemku i opowiadałyśmy o rzeczach, których nigdy nie zdradziłybyśmy za dnia. Konstruowałyśmy nasze kłamstwa tak, że brzmiały wiarygodnie. Dzięki temu dowiedziałam się, że Natalie całowała się raz z kolegą z drużyny hokejowej i że Allison próbowała sabotować popołudniowy spektakl *Nędzników*, oblewając kostium mamy sokiem z winogron pięć minut przed podniesieniem kurtyny.

To była ulubiona gra Vivian. Twierdziła, że kłamstwa mówią o człowieku więcej niż prawda. Wtedy jej nie wierzyłam. Teraz wierzę.

– Ja zacznę – mówi Miranda. – Jeden: raz podczas pasterki całowałam się z ministrantem w konfesjonale. Dwa: każdego roku czytam sto książek, głównie kryminałów. Trzy: kiedyś zwymiotowałam po przejażdżce rollercoasterem na Coney Island.

– Drugie – mówi Krystal.

– Na pewno – dodaje Sasha.

Miranda udaje zdenerwowaną, chociaż wiem, że w duchu jest z siebie zadowolona.

– To, że wyglądam jak milion dolarów, nie znaczy, że jestem analfabetką. Takie dziewczyny też czytają.

– Więc co jest kłamstwem? – pyta Sasha.

– Nie powiem. – Miranda uśmiecha się figlarnie. – Powiedzmy, że nigdy nie byłam na Coney Island, ale często chodzę na mszę.

Następna jest Krystal, która mówi, że jej ulubionym superbohaterem jest Spider-Man, że na drugie imię również ma Krystal, ale pisane przez „C”, i że ona też zwymiotowała po przejażdżce kolejką górską na Coney Island.

– Drugie – mówimy zgodnie.

– To aż tak oczywiste?

– Przykro mi – rzuca Miranda – ale Krystal Crystal? Żaden rodzic nie zrobiłby czegoś takiego swojemu dziecku.

Kiedy przychodzi jej kolej, Sasha nerwowo nasuwa okulary wyżej na nos i w skupieniu marszczy brwi. Najwyraźniej nie jest przyzwyczajona do kłamania.

– Hmm... moje ulubione jedzenie to pizza – mówi. – To numer jeden. Numer dwa: moje ulubione zwierzę to hipopotam karłowaty. I numer trzy: chyba nie dam rady. Kłamanie jest złe, dziewczyny.

– W porządku, rozumiem – mówię. – To dobrze, że jesteś z nami szczera.

– Ona kłamie – mówi Miranda. – Prawda, Sasho? Trzecie zdanie to kłamstwo.

Sasha wzrusza ramionami, udając niewiniątko.

– Nie wiem. Będziecie musiały zaczekać i się przekonać.

– Twoja kolej, Emmo – mówi Krystal. – Dwie prawdy i kłamstwo.

Biorę głęboki oddech i próbuję zyskać na czasie. Chociaż wiedziałam, że w końcu padnie na mnie, nic rozsądnego nie przychodzi mi do głowy. Jest tyle rzeczy, które mogłabym wyjawić, i tak niewiele, które chciałabym zdradzić.

– Jeden: mój ulubiony kolor to niebieskofioletowy – mówię. – Dwa: byłam w Luwrze. Dwukrotnie.

– Jeszcze jedno – przypomina Miranda.

Czekam chwilę. Rozważam różne możliwości, aż w końcu decyduję się na coś, co nie jest ani prawdą, ani kłamstwem.

– Latem, kiedy miałam trzynaście lat, zrobiłam coś strasznego.

– Ostatnie, na bank – mówi Miranda, a Krystal i Sasha przytakują. – Gdybyś naprawdę zrobiła coś strasznego, nie przyznałabyś się do tego.

Uśmiecham się, udając, że mają rację. Żadna z nich nie rozumie, że w tej grze nie chodzi o to, żeby pozostali uwierzyli w twoje kłamstwa.

Lecz o to, żeby nie uwierzyli w prawdę.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Moja druga noc w Camp Nightingale była równie bezsenna jak pierwsza. Albo jeszcze gorsza. Brak elektryczności w domkach oznaczał brak klimatyzacji, wentylatora czy czegokolwiek, co schłodziłoby gorące czerwcowe powietrze. Obudziłam się przed świtem spocona i zagubiona, czując między nogami coś wilgotnego. Wsunęłam w majtki palec wskazujący, a gdy go wyjęłam, był czerwony od krwi.

Ogarnięta paniką nie wiedziałam, co robić. Oczywiście słyszałam o miesiączce. Rok temu dziewczyny z mojej klasy miały na ten temat pogadankę, co oszczędziło mojej matce niezręcznych rozmów. Dowiedziałyśmy się, dlaczego tak się dzieje. I jak to się odbywa. Ale nauczycielka WF-u, panna Baxter, zapomniała nam powiedzieć, kiedy to się stanie.

Przerażona wygrzebałam się z pościeli i wspięłam się po drabince na łóżko wyżej, starając się trzymać złączone nogi. Zamiast unosić jedną nogę za drugą, chwytałam się szczebli i podskakiwałam, przez co trzęsłam całym łóżkiem. Zanim dotarłam na górę, Vivian zdążyła się już przebudzić, a jej rzęsy pod opadającymi na twarz kosmykami jasnych włosów trzepotały gwałtownie.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Krwawię – wyszeptałam.

– Co?

– Krwawię – powtórzyłam z naciskiem.

– No to weź plaster.

– Między nogami.

Vivian otworzyła oczy i odgarnęła włosy z twarzy.

– Masz na myśli...

Pokiwałam głową.

– To twój pierwszy raz?

– Tak.

– Cholera – mruknęła i westchnęła częściowo ze złości, a częściowo ze współczucia. – Chodź, w sanitariacie są tampony.

Wyszłam za nią i kołysząc się jak kaczka, ruszyłam ścieżką w stronę pryszniców. W pewnym momencie obejrzała się na mnie i rzuciła:

– Nie idź tak. Wyglądasz jak idiotka.

Na miejscu zapaliła światło i poprowadziła mnie do najbliższej kabiny, po drodze biorąc tampon z dozownika na ścianie. Stałam zamknięta w kabinie, a ona zza drzwi mówiła mi, co mam robić.

– Nie jestem pewna, ale chyba dałam radę – szepnęłam.

– Gdyby coś było nie tak, wiedziałabyś.

Tkwiłam za drzwiami upokorzona i nie bardzo wiedziałam, co powinnam czuć. Myśl o tym, że oficjalnie stałam się kobietą, napełniała mnie smutkiem. I strachem. Zaczęłam płakać, wylewając z siebie wszystkie wstrzymywane dotąd łzy. Nie mogłam nic na to poradzić.

Słysząc mnie, Vivian spytała:

– Płaczesz?

– Nie.

– Właśnie, że tak. Wchodzę.

Zanim zdążyłam zaprotestować, była już w kabinie i zamykała za sobą drzwi, szturchając mnie biodrem, żeby usiąść obok mnie na sedesie.

– No już – rzuciła. – To nie takie straszne.

– Skąd wiesz? Jesteś tylko... trzy lata starsza ode mnie.

– Trzy lata to bardzo dużo. Zaufaj mi. Zapytaj starszą siostrę.

– Jestem jedynaczką.

– Szkoda – odparła. – Starsze siostry są świetne. Przynajmniej moja była.

– Zawsze chciałam mieć siostrę – przyznałam. – Taką, która pokazałaby mi, co i jak.

– Na przykład, jak co miesiąc wkładać tampon w cipkę?

Roześmiałam się mimo strachu i zakłopotania. Prawdę mówiąc, śmiałam się tak bardzo, że na chwilę zapomniałam zarówno o jednym, jak i drugim.

– Od razu lepiej – uznała Vivian. – Koniec z płaczem. Płacz jest zakazany. A ponieważ i tak zrobiłam więcej, niż powinnam, oferuję swoje usługi jako przybrana starsza siostra. Przez następne sześć tygodni możesz rozmawiać ze mną dosłownie o wszystkim.

– O chłopakach też?

– Och, tak się składa, że w tej materii mam całkiem spore doświadczenie. – Zachichotała ze smutkiem. – Wierz mi, Em, chłopaki to same kłopoty.

– Jak spore masz doświadczenie?

– Jeśli pytasz o to, czy uprawiałam seks, to odpowiedź brzmi: tak.

Odsunęłam się od niej onieśmielona. Nigdy nie poznałam dziewczyny, która już to robiła.

– Wyglądasz na zgorszoną – zauważyła Vivian.

– Ale masz dopiero szesnaście lat.

– To wystarczająco dużo.

– Podobało ci się?

Po twarzy Vivian przemknął szelmowski uśmieszek.

– Było super.

– Kochałaś go?

– Czasami nie chodzi o miłość – odparła. – Czasami widzisz kogoś i po prostu chcesz iść z nim do łóżka.

Pomyślałam o Theo. O tym, jaki jest przystojny, jaki umięśniony. Że patrząc na niego, czuję się rozkosznie niezrównoważona. Zamknięta w ciasnej kabinie razem z Vivian zrozumiałam, że na widok Theo doświadczałam pierwszych przypływów pożądania.

Na myśl o tym znowu zachciało mi się płakać. Powstrzymałam się tylko dlatego, że w tej samej chwili skrzypnęły drzwi i usłyszałyśmy mlaskanie japonek na wykładanej kafelkami podłodze. Vivian zerknęła przez szczelinę w drzwiach, odwróciła się w moją stronę i rzuciła bezgłośnie:

– Jasna cholera.

– Kto to? – zapytałam równie cicho.

– Theo! – wyszeptała podekscytowana.

Zaraz potem usłyszałyśmy szum wody w kabinie prysznicowej na końcu. Zakręciło mi się w głowie, bo podobnie jak zeszłej nocy mój mózg wrzał do emocji. Czułam ciepło. Szczęście. Wstyd. Byłam w jednym budynku z chłopakiem, który brał prysznic!

Nie, nie z chłopakiem. Z mężczyzną.

I to nie byle jakim. Z Theo Harrisem-White’em.

– Co robimy? – szepnęłam do Vivian.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego wyszła z kabiny i ruszyła w stronę drzwi, ciągnąc mnie za sobą. Nie byłyśmy w stanie wyjść po cichu, Vivian

chichotała jak szalona. Ja potknęłam się i uderzyłam ramieniem w dozownik papierowych ręczników.

– Stać! – zawołał Theo. – Kto tam?

Vivian i ja spojrzałyśmy na siebie. Jestem pewna, że wyglądałam jak spanikowana sarna oślepiona reflektorami samochodu. Ona była wyraźnie rozbawiona.

– To ja, Vivian – odparła nieśmiało, celowo przeciągając swoje imię.

– Cześć, Viv.

Theo powiedział to tak swobodnie, że poczułam ukłucie zazdrości. Ależ miała szczęście. Theo ją znał i powitał ją z taką serdecznością. Vivian najwyraźniej zauważyła moją zazdrość, bo dodała pospiesznie:

– Jest ze mną Emma.

– Jaka Emma?

– Emma Davis. Jest nowa.

– A, ta Emma. Panna spóźnialska.

Pisnęłam zachwycona i zdumiona, że Theo wie, kim jestem. Że pamięta, jak ciemną nocą prowadził mnie do domku. Że zwrócił na mnie uwagę.

Vivian szturchnęła mnie łokciem w żebra, dając znać, żebym się przywitała.

– Cześć, Theo.

– Czemu wstałyście tak wcześnie? – zapytał.

Zamarłam i chwyciłam Vivian za nadgarstek, po cichu błagając ją, żeby nie mówiła prawdy. Nie byłam pewna, czy trzynastolatka może umrzeć ze wstydu, ale z pewnością nie chciałam się o tym przekonać.

– Szłyśmy do łazienki – odparła. – Pytanie brzmi, co ty tutaj robisz? W Domu nie ma prysznica?

– Ciśnienie wody jest tam kiepskie – wyjaśnił Theo. – Rury są stare. Dlatego zwlekam się z wyra wcześniej, żeby zdążyć przed wami.

– My byłyśmy wcześniej – rzuciła Vivian.

– I byłbym wdzięczny, gdybyście już poszły, żebym mógł się w spokoju wykąpać.

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się znacząco i szepnęła:

– Chce sobie zwalić konia.

Było to tak wulgarne i niestosowne, że parsknęłam śmiechem. Theo usłyszał to i warknął:

– Mówię poważnie. Nie mam na to całego dnia.

– W porządku – burknęła Vivian. – Już nas nie ma.

Chichocząc i wciąż trzymając się za ręce, wyszłyśmy, wirując w budzący się dzień. Kręciłyśmy się tak długo, aż dostałam zawrotów głowy i wszystko – obóz, sanitariat, twarz Vivian – zlały się w jedną radosną smugę.

10

Mijają godziny, a wciąż nie udaje mi się zasnąć. Dla moich uszu przyzwyczajonych do zgiełku Manhattanu cisza kolejny raz wydaje się zbyt przytłaczająca. Kiedy w końcu zasypiam, śnią mi się koszmary. W jednym z nich – najbardziej wyrazistym – widzę długowłosą kobietę ze zdjęcia, które znalazłam w kufrze Vivian. Spoglądam w te pełne bólu oczy i nagle dociera do mnie, że nie na zdjęcie patrzę, lecz na lustro.

To ja jestem kobietą ze zdjęcia. To moje niedorzecznie długie włosy opadają na podłogę i to moje zasnute ciemną mgłą oczy wpatrują się we mnie.

Świadomość tego wyrywa mnie ze snu. Siadam, oddech mam ciężki, a skórę wilgotną od potu. Nagle czuję, że muszę się wysikać, i niechętnie wychodzę z łóżka. Uważając, żeby nie zbudzić swoich współlokatorek, szukam w ciemności latarki i nowo zakupionych butów, które zaraz za progiem wkładam na bose stopy. Nie włączam latarki i zachwycona wpatruję się w nocne niebo. Zapomniałam, jak wyglądają tutejsze noce. Pozbawione spalin, świateł i ruchu powietrznego niebo przywodzi na myśl pomalowane ciemnogranatową farbą płótno, do którego ktoś przykleił gwiazdy. Księżyc wisi nisko nad horyzontem, powoli staczając się za las na zachodzie. Widok jest tak piękny, że mam ochotę go namalować. Już samo to oznacza jakiś postęp.

W toalecie wciskam włącznik światła przy drzwiach. Fluorescencyjne lampy nad moją głową z brzęczeniem budzą się do życia, kiedy idę do

najbliższej kabiny. Tej samej, do której Vivian zaprowadziła mnie tamtej okropnej nocy.

Nadal zdumiewa mnie, jak to możliwe, że wchodząc tu, czułam jedno, a wychodząc zupełnie coś innego. Idąc do toalety, byłam przerażona tym, jak potrafi zdradzić mnie moje własne ciało. Tymczasem wychodziłam, zaśmiewając się do łez i ściskając Vivian za rękę. Pamiętam, jak bardzo byłam szczęśliwa. Jak bardzo czułam się żywa.

Na samo wspomnienie wzdycham i zbieram się do wyjścia, gdy słyszę, jak drzwi do toalety się otwierają. Z początku myślę, że to znowu może być Theo. Jeśli się nad tym zastanowić, to smutne i głupie. Ale nie niemożliwe, skoro oboje wróciliśmy tu po tylu latach.

Zamiast tego, kiedy zaglądam przez szczelinę w drzwiach, widzę dziewczynę. Długie gołe nogi. Mignięcie jasnych włosów. Stoi przy rzędzie umywalek i przegląda się w lustrze. Ja również patrzę. Przesuwam się nieco, żeby lepiej widzieć jej odbicie. Dostrzegam ciemne oczy, zadarty nos i spiczasty podbródek.

Wydaję stłumiony krzyk i otwieram drzwi, wołając ją po imieniu.

– Vivian?

Dziewczyna przy umywalce odwraca się zaskoczona, lecz już wcześniej do mnie dociera, że się pomyliłam. Jej włosy nie są tak jasne, jak myślałam. Skórę ma bardziej opaloną. Kiedy staje przodem do mnie, widzę błysk kolczyka w nosie.

– Kim, do diabła, jest Vivian? – pyta Miranda.

– Nikim... – zaczynam i urywam. – Kiedyś była tutaj na obozie.

– Nieźle mnie przestraszyłaś.

Nie wątpię. Samej sobie napędziłam stracha. Patrzę na swoje ręce i widzę, że zaciskam dłoń na bransoletce. Zmuszam się, żeby ją puścić.

– Przepraszam – zwracam się do Mirandy. – Jestem zdezorientowana. I zmęczona.

– Nie możesz spać?

Kręcę głową.

– A ty?

– Też.

Mówi to z wymuszoną swobodą, w której natychmiast wyczuwam kłamstwo. Znam się na tym. Uczyłam się od najlepszych.

– Wszystko w porządku?

Miranda przytakuje, a zaraz potem kręci głową. Dopiero teraz zauważam jej zaczerwienione oczy i niknące, lśniące ślady na policzkach. Ślady łez.

– Co się stało?

– Właśnie rzucił mnie chłopak – mówi. – To dla mnie nowość. To ja rzucam chłopaków. Zawsze.

Podchodzę do sąsiedniej umywalki i odkręcam wodę. Strumień, który chlusta z kranu, jest cudownie zimny. Moczę papierowy ręcznik i przykładam go do policzków i szyi. Uczucie jest wspaniałe – woda paruje w kontakcie z moją skórą, pozostawiając po sobie przyjemne mrowienie.

Miranda obserwuje mnie z nadzieją, że ją pocieszę. Nagle uświadamiam sobie, że to również część mojej pracy. Taka, na którą jestem żałośnie nieprzygotowana. A jednak wiem, jak to jest mieć złamane serce. Aż zbyt dobrze.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pytam.

– Nie – bąka Miranda, a zaraz potem dodaje: – To nie było nic poważnego. Spotykaliśmy się od miesiąca. I rozumiem. Wyjechałam na sześć tygodni, a on chce się zabawić.

– Ale...

– Ale zerwał ze mną SMS-em. Jaki palant tak robi?

– Najwyraźniej taki, który na ciebie nie zasługuje.

– Problem w tym, że naprawdę go lubiłam. – Wierzchem dłoni ociera oczy, powstrzymując łzy. – Zwykle jest inaczej. Zwykle to ja mam gdzieś chłopaków, którym się podobam. Ale on był inny. Pewnie myślisz, że dzieciak ze mnie.

– Myślę, że zostałaś zraniona – mówię. – Ale poczujesz się lepiej szybciej, niż myślisz. Zanim wrócisz z obozu, on będzie z jakąś...

– Zdzirą – kończy Miranda.

– Właśnie. Będzie z jakąś zdzirą, a ty będziesz się zastanawiać, co w nim widziałaś.

– Pożałuje, że mnie rzucił. – Miranda przegląda się w lustrze i uśmiecha się z zadowoleniem. – Bo z opalenizną będę wyglądała jeszcze bardziej zajebiście.

– I o to chodzi! – mówię. – A teraz wracaj do domku. Zaraz przyjdę.

Idąc do wyjścia, Miranda macha do mnie zalotnie. Kiedy drzwi się za nią zamykają, ochlapuję twarz zimną wodą i staram się uspokoić. Nie mogę uwierzyć, że wzięłam ją za Vivian. Nie chcę znów przeżywać tego samego. Tamte dni należą do przeszłości. Nie, dziękuję. Dziękuję temu miejscu i wspomnieniom, które wracają jak złe nawyki.

Kiedy wychodzę, nawet niebo wygląda znajomo – szaroniebieskie, takie, jakie malowałam na swoich obrazach. Stonowane, melancholijne i budzące nadzieję. Miało tę samą barwę, gdy Vivian i ja przed świtem wybiegłyśmy z toalety, zaśmiewając się, podczas gdy reszta obozu spała pogrążona w ciszy. Czułam się wtedy tak, jakbyśmy były jedynymi istotami na Ziemi.

Ale ktoś jeszcze nie spał, o czym wkrótce przypomniała mi Vivian.

Chodź – szepnęła, stając z łokciem przyciśniętym do cedrowej ściany sanitariatu. – *Jest coś, co na pewno będziesz chciała zobaczyć.*

Z uśmiechem wskazała dwie deski w zewnętrznej ścianie budynku. Jedna z nich była lekko wypaczona, tworząc szczelinę, przez którą sączyło się światło. Od czasu do czasu światło przygasało, zasłonięte przez kogoś po drugiej stronie.

Tym kimś był Theo. Nadal pod prysznicem. Słyszałam szum wody i jego stłumiony głos, kiedy nucił piosenkę Green Day.

Skąd o tym wiesz? – spytałam.

Vivian uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Odkryłam ją rok temu. Wiem o niej tylko ja.

Chcesz, żebym podglądała Theo?

Nie – odparła. – *Chcę zobaczyć, czy ośmielisz się go podglądać.*

Ale to nie w porządku.

Daj spokój. Popatrz sobie. On nigdy się nie dowie.

Czując nagłą suchość w ustach, z trudem przełknęłam ślinę. Podeszłam do ściany. Chciałam lepiej widzieć i jednocześnie wstydziłam się tego. A jeszcze bardziej wstydziłam się tego, jak bardzo chcę przypodobać się Vivian.

To nic – zapewniła mnie. – *Jeśli masz okazję popatrzeć, nie ma nic złego w tym, że to zrobisz.*

No i popatrzyłam. Chociaż wiedziałam, że to, co robię, jest złe. Nachyliłam się i zbliżyłam twarz do szczeliny między deskami. Z początku nie widziałam nic oprócz kłębów pary i zachlapanej wodą ściany prysznica. I nagle pojawił się Theo. Skórę miał mokrą. Ciało gładkie, gdzieniegdzie porośnięte ciemnymi włosami. To była najpiękniejsza, a zarazem najbardziej przerażająca rzecz, jaką widziałam w całym swoim życiu.

Nie przyglądałam mu się długo. Kilka sekund później dotarło do mnie, co właściwie wyrabiam, i odwróciłam się. Kręciło mi się w głowie, czułam, że płoną mi policzki. Vivian stała za mną i kręciła głową w taki sposób, że nie wiedziałam, czy jej zdaniem napatrzyłam się za bardzo, czy może nie dość długo.

I jak było? – spytała, kiedy wracałyśmy do domku.

To obrzydliwe – rzuciłam.

Masz rację. – Trąciła mnie biodrem. – *Totalnie obrzydliwe.*

Jestem w połowie drogi do domku, gdy dziwny dźwięk zwraca moją uwagę. Szelest, jakby gdzieś na lewo ode mnie ktoś szedł po trawie.

Od razu przypomina mi się historia Casey o ludziach, którzy utonęli w jeziorze Midnight. Dostrzegam kogoś kątem oka i przez sekundę myślę, że to jeden z duchów, gotowy wciągnąć mnie do podwodnej mogiły. Albo potomek tych, którzy ocaleli, ściskający w dłoni siekierę. Włączam latarkę i kieruję snop światła w stronę, skąd dobiega dźwięk.

Okazuje się, że to lis przemykający w stronę lasu. Trzyma coś w pyszczku – jakieś martwe stworzonko. Widzę tylko zakrwawione futerko. Pochwycony w światło latarki lis zatrzymuje się, jego ciało zastyga, zielonkawe oczy błyszczą, kiedy patrząc na mnie, próbuje zdecydować, czy stanowię dla niego zagrożenie. Nie stanowię. Nawet on to widzi. Chwilę później podejmuje swoją wędrówkę – z łapką martwego stworzonka kołyszącą się upiornie – i znika pośród drzew.

Ja również ruszam dalej. Trochę się boję i jest mi cholernie głupio. Mój nastrój pogarsza się, kiedy docieram do domku, bo właśnie wtedy, kiedy kładę rękę na klamce, dostrzegam coś dziwnego.

Światełko. Maleńkie i czerwone. Żarzące się jak końcówka papierosa.

Lśni na tylnej ścianie sąsiedniej chatki. Dębu. Albo Jawora. Kieruję na nie światło latarki i widzę czarny prostokąt wciśnięty we wnękę pod

szczytem spadzistego dachu. Cienki kabel ciągnie się po ścianie aż do ziemi.

Kamera przemysłowa. Taka, jakie instalują w sklepach.

Wyłączam latarkę i patrzę w migające w ciemności oko kamery. Stoję bez ruchu.

Odczekuję pięć sekund, po czym macham latarką nad głową.

Czerwone światełko reaguje na ruch i znowu błyska. Zakładam, że dzieje się tak za każdym razem, gdy ktoś wchodzi do domku albo z niego wychodzi.

Nie mam pojęcia, od jak dawna jest tutaj ta kamera, po co ją zainstalowano i czy na terenie obozu jest ich więcej. Wiem tylko, że Franny, Theo albo ktoś inny związany z obozem zdecydował, że dobrze będzie mieć oko na to, co dzieje się w Dereniu.

Niepokoi mnie ironia całej tej sytuacji.

Piętnaście lat później ktoś podgląda mnie.

11

Po powrocie do domku wciąż nie mogę zasnąć. Przebieram się w kostium kąpielowy i wzorzysty, jedwabny szlafrok, kupiony dawno temu podczas wycieczki na Cozumel. Wyjmuję z kufra ręcznik i po cichu wychodzę z chatki. Przed drzwiami staram się nie patrzeć na kamerę. Nie chcę widzieć, jak jej czerwone światełko budzi się do życia, ani spoglądać w jej oko. Na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował, odwracam głowę i mijam ją pospiesznie, udając, że nie wiem o jej istnieniu.

W drodze nad jezioro zerkam na inne domki, wypatrując na nich kamer. Nie widzę żadnej. Nie widzę ich też na lampach, których słabe światło pada na dróżkę wiodącą do serca obozu. Ani na drzewach.

Staram się tym nie przejmować.

Rozkładam ręcznik na spękanym od słońca brzegu jeziora, zdejmuję szlafrok i ostrożnie wchodzę do wody. Jest zimna, rześka. W niczym nie przypomina tej w podgrzewanym basenie, w którym pływam każdego ranka. Jest też bardziej mętna. Chociaż sięga mi ledwie do kolan, moje stopy wydają się rozmazane i zielonkawe. Kiedy nabieram odrobinę wody w złączone dłonie, widzę wirujące drobinki alg.

Biorę głęboki wdech i nurkuję, uderzam wodę nogami z rękami wyciągniętymi przed siebie. Wynurzam się dopiero, kiedy czuję ucisk w piersi, a moje płuca pęcznieją. Płynę na drugą stronę jeziora. Pasma mgły unoszą się tuż nad wodą, rozrywając się, kiedy wpływam między nie. Okonie czmychają na wszystkie strony.

Zatrzymuję się na środku jeziora, mniej więcej czterysta metrów od brzegu. Nie mam pojęcia, jak głęboka jest tu woda. Może na dziesięć metrów. Może na trzydzieści. Myślę o tym, że wszystko, co znajduje się pode mną, było niegdyś suchym lądem. Doliną pełną drzew, skał i zwierząt. Wszystko to nadal tam jest. Gnijące drzewa. Porośnięte algami kamienie. Zwierzęta obgryzione do kości przez ryby.

Nie jest to pocieszająca myśl.

Myślę o historii, którą opowiedziała mi Casey. O wiosce na dnie jeziora i jej szkieletowych mieszkańcach skulonych na łóżkach.

To jeszcze mniej pocieszające.

Pływając w miejscu, odwracam się w stronę obozu. O tej porze jest cichy i wyludniony, skąpany w różowawym blasku wschodzącego słońca, które wyłania się zza gór na wschodzie. W pewnym momencie dostrzegam samotną postać – ktoś obserwuje mnie ze skraju pomostu.

Nawet z tej odległości poznaję, że to Becca Schoenfeld. Widzę jej kolorową apaszkę zawiązaną na szyi i niewyraźny kształt aparatu, który podnosi na wysokość twarzy.

Becca nie rusza się, kiedy płynę w stronę brzegu. Obiektyw jej aparatu jest wycelowany we mnie. Staram się nie zwracać uwagi na cykanie, które niesie się ponad wodą. Zamiast tego coraz mocniej przebieram rękami. Jeśli Becca zamierza patrzeć, niech ma chociaż na co.

To kolejna lekcja, jaką dało mi to jezioro.

Kilka metrów od brzegu staję na nogi i resztę drogi pokonuję, brodząc w wodzie. Becca zeszła z pomostu i stoi teraz naprzeciwko mnie, pokazując, żebym się zatrzymała. Robię, o co mnie prosi, i stoję po kolana w wodzie, czekając, aż zrobi kilka zdjęć.

– Przepraszam – rzuca na koniec. – Było tak idealne światło, że nie mogłam się powstrzymać. Przepiękny wschód słońca.

Kiedy się wycieram, podstawia mi aparat pod nos i przewija kolejne zdjęcia. Patrzy na ostatnie i mówi:

– To jest najlepsze.

Na zdjęciu wychodzę z jeziora, a woda ścieka mi z ciała oświetlonego przez wschodzące słońce. Myślę, że chciała uchwycić coś mocnego i inspirującego. Wychodzącą z wody zwycięską kobietę, gotową podbić ląd. Sęk w tym, że nie sprawiam wrażenia silnej, wyglądam na zagubioną. Jakbym ocknęła się w wodzie, zaskoczona tym, jak się w niej znalazłam. Czuję się tak skrępowana, że pospiesznie sięgam po szlafrok i otulam się nim szczelnie.

– Proszę, usuń je.

– Ale jest świetne.

– Dobrze – mówię. – Tylko obiecaj, że nie ukaże się na okładce „National Geographic”.

Siadamy na trawie i wpatrujemy się w wodę, która tak idealnie odbija różowawo-pomarańczowe niebo, że trudno powiedzieć, które z nich jest prawdziwe. Przynajmniej tu Becca miała rację. Wschód jest przepiękny.

– A więc jesteś artystką – odzywa się. – Czytałam o wystawie twoich prac.

– A ja widziałam twoje zdjęcia.

Po tych słowach zapada między nami krępująca cisza. Udaję, że poprawiam rękawy szlafroka. Becca bawi się paskiem aparatu. Obie podziwiamy niebo na wschodzie, na którym pojawiły się teraz smugi złota.

– Nie wierzę, że tu wróciłam – mówi w końcu Becca. – Nie wierzę, że ty tu wróciłaś.

– Że obie wróciłyśmy.

– Posłuchaj, przepraszam, że wczoraj dziwnie się zachowywałam. Zobaczyłam cię w stołówce i spanikowałam. Sama nie wiem czemu.

– Ale ja wiem – odpowiadam. – Na mój widok odżyły w tobie wspomnienia, a niektórym z nich nie byłaś gotowa stawić czoło.

– Właśnie.

– Ja mam tak często – przyznaję. – Prawie cały czas. Gdziekolwiek spojrzę, czają się różne wspomnienia.

– Zakładam, że Franny cię tu zwabiła – mówi Becca.

Kiwam głową, chociaż to nie do końca prawda.

– Ja zgłosiłam się na ochotnika – wyznaje. – To znaczy wiedziałam, że Franny i tak mnie zapyta. Jakimś cudem namierzyła mnie, gdy akurat byłam w Nowym Jorku, i zaprosiła mnie na lunch. Kiedy tylko zaczęła mówić o Camp Nightingale, zrozumiałam, co planuje. Postanowiłam zatem skorzystać z okazji.

– Ja nie od razu się zgodziłam.

– A ja tak. Przez ostatnie trzy lata żyłam na walizkach, więc perspektywa zatrzymania się gdzieś na sześć tygodni wydała mi się kusząca. – Becca wyciąga się na trawie, jak gdyby chciała udowodnić, jak bardzo jest odprężona. – Nawet nie przeszkadza mi, że mieszkam z trzema nastolatkami. Jeśli tylko zainspiruję je i sprawię, że sięgną po aparat. Poza tym po całym tym syfie, jaki ostatnio widziałam, to prawie jak wakacje.

Zwraca twarz ku słońcu i zamyka oczy. Kiedy widzę, jak zaciska powieki, dociera do mnie, że ona również zmaga się z demonami. Różnica między nami polega na tym, że ona wróciła do Camp Nightingale, żeby zapomnieć. Ja jestem tu, żeby pamiętać.

– Wczoraj, kiedy zobaczyłam cię w stołówce, chciałam cię o coś spytać.

– Niech zgadnę – rzuca Becca. – Chodzi o tamto lato.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Dużo pamiętasz?

– Pytasz o tamto lato czy o...?

Nie kończy zdania. Zupełnie jakby bała się wypowiedzieć na głos to słowo. Ja się nie boję.

– O zniknięcie – dopowiadam. – Tamtego wieczoru, zanim to się stało, zauważyłaś coś dziwnego? Albo rankiem, kiedy uświadomiłam sobie, że zniknęły?

Wraca do mnie wspomnienie. Złe. Stoję nad jeziorem i mówię Franny o ich zaginięciu, podczas gdy dookoła nas gromadzą się obozowiczki. Jest wśród nich Becca, obserwuje sytuację przez obiektyw aparatu i robi kolejne zdjęcia.

– Pamiętam ciebie – mówi. – Byłaś rozgorączkowana i przerażona.

– Poza tym nie pamiętasz niczego dziwnego?

– Nie – odpowiada odrobinę zbyt szybko nieco zbyt piskliwym głosem, który brzmi jak ptasi świergot. – Niczego.

– Jak dobrze je znałaś?

– Masz na myśli Allison, Natalie i Vivian?

– Tak. Wszystkie byłyście tutaj rok wcześniej. Pomyślałam, że pewnie je znasz.

– Nie znałam. Nie, zupełnie.

– Nawet Vivian? – Myślę o ostrzeżeniu, którego udzieliła mi pierwszego dnia rano. *Nie daj się zwieść. W końcu obróci się przeciwko tobie.* – Myślałam, że się przyjaźniłyście.

– No, ją znałam – mówi Becca. – Wszyscy tu znali Vivian. I każdy miał na jej temat zdanie.

– Jakie?

– Szczerze? Że jest sukowata.

Ton jej głosu sprawia, że się wzdrygam. Jest tak ostry, że każda inna reakcja wydaje się nieodpowiednia. Becca zauważa to i dodaje:

– Przepraszam. To było okrutne.

– Rzeczywiście – przyznaję.

Spodziewam się, że odpuści albo chociaż przeprosi raz jeszcze. Ale ona nie odpuszcza. Zamiast tego prostuje się, wbija we mnie wzrok i ciągnie:

– Daj spokój, Emmo. Przy mnie nie musisz udawać. Vivian nie stanie się dobrym człowiekiem tylko przez to, co się jej przydarzyło. Powinnaś wiedzieć o tym najlepiej.

Wstaje i otrzepuje spodenki. Zaraz potem odchodzi powoli, w milczeniu, nie oglądając się za siebie. Ja zostaję, rozmyślając o dwóch prawdach, które właśnie zdradziła mi Becca.

Pierwsza jest taka, że Becca ma rację. Vivian nie była dobrym człowiekiem i fakt, że przepadła jak kamień w wodę, nie zmieni tego.

Druga jest taka, że Becca pamięta więcej, niż jest skłonna przyznać.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Plaża w Camp Nightingale – mieszanina piasku i kamyków rozsypana nad brzegiem jeziora dziesiątki la temu – wyglądała na niewygodną i taka była. Nawet leżąc na dwóch ręcznikach, czuło się kamyki, które wbijały się w ciało. Mimo to uśmiechnęłam się i próbując jakoś znieść tę niewygodę, patrzyłam, jak kolejne grupy obozowiczek wchodzą na palcach do wody.

Tylko Natalie i Allison postanowiły do nich dołączyć, chociaż wszystkie cztery przebrałyśmy się w kostiumy kąpielowe. Natalie pływała jak urodzona sportsmenka, mocno pracując ramionami, i bez trudu dotarła do piankowych boi wyznaczających granicę, za którą nie wolno było się zapuszczać. Allison popisywała się, wykonując przewroty niczym pływaczka synchroniczna.

Ja zostałam na brzegu, zdenerwowana w swoim jednoczęściowym kostiumie. Vivian siedziała obok i smarowała moje ramiona olejkiem do opalania Coppertone o przesadnie słodkim kokosowym zapachu.

– To karygodne, jaka jesteś śliczna – powiedziała.

– Wcale nie czuję się śliczna.

– Ale jesteś – upierała się. – Mama nigdy ci tego nie mówiła?

– Matka poświęca mi minimum uwagi. Tak samo jak ojciec.

Vivian uśmiechnęła się współczująco.

– Zupełnie jak moi starzy. Aż dziw bierze, że w dzieciństwie nie umarłam z zaniedbania. Ale obie z siostrą nauczyłyśmy się, jak sobie

radzić. To ona uświadomiła mi, jaka jestem ładna. Teraz ja uświadomię to samo tobie.

– Wcale nie jestem ładna.

– Właśnie, że jesteś – obstawała przy swoim. – A za rok, dwa będziesz boska. Widzę to. Masz w domu chłopaka?

Pokręciłam głową, wiedząc, że chłopcy z sąsiedztwa w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Rozkwitłam jako jedna z ostatnich. Byłam płaska jak deska. A nikogo nie interesują deski.

– To się zmieni – zapewniła mnie Vivian. – Przygruchasz sobie takiego przystojniaka jak Theo.

Wskazała na wieżyczkę ratowniczą kilka metrów dalej, gdzie Theo stał w czerwonych kąpielówkach. Gwizdek, który miał zawieszony na szyi, ginął we włosach na piersi. Za każdym razem, gdy zerkałam na Theo – czyli często – starałam się nie myśleć o tym, co wydarzyło się rano w toalecie. O tym, jak go podglądałam. Jak go pragnęłam. Tymczasem nie byłam w stanie myśleć o niczym innym.

– Czemu nie wchodzicie do wody? – zawołał do nas.

– A po co? – odkrzyknęła Vivian.

– Nie umiem pływać – wyznałam.

Theo rozciągnął usta w uśmiechu.

– Cóż za zbieg okoliczności. Moim celem na dziś jest nauczyć kogoś pływać.

Zeskoczył z wieżyczki i zanim zdążyłam zaprotestować, wziął mnie za rękę i poprowadził w stronę wody. Zatrzymałam się, kiedy poczułam pod stopami omszałe kamienie. Były śliskie i przestraszyłam się, że poślizgnę się i pójdę na dno. Mętna woda jeszcze bardziej potęgowała moje obawy. Tuż pod powierzchnią unosiły się brązowe drobinki. Kiedy dotknęły mojej kostki, wzdrygnęłam się.

Theo zacisnął palce na mojej ręce.

– Spokojnie. Algi jeszcze nikomu nie zrobiły krzywdy.

Wchodziłam za nim coraz głębiej i głębiej, woda sięgała mi coraz wyżej. Do kolan. Do ud. Niebawem stałam w niej po pas. Była tak zimna, że na chwilę zabrakło mi tchu. A może powodem nie był chłód. Może chodziło o to, jak promienie słońca lśniły na szerokich ramionach Theo. Albo o jego krzywy uśmiech, który stał się jeszcze szerszy, gdy sama z własnej woli zrobiłam kolejny krok.

– Świetnie, Em – pochwalił mnie. – Świetnie ci idzie. Ale musisz się odprężyć. Woda to twój przyjaciel. Pozwól, żeby cię uniosła.

Bez ostrzeżenia stanął za mną i wziął mnie na ręce. Jedną ręką podtrzymywał moje plecy, a drugą wsunął pod kolana. Miejsca, w których jego skóra dotykała mojej, natychmiast zrobiły się gorące, jakby przeszedł je prąd.

– Zamknij oczy – poradził mi.

Zrobiłam, co mi kazał, a on opuścił mnie na wodę, aż nie byłam w stanie powiedzieć, gdzie kończą się jego ramiona, a zaczyna tafla jeziora. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że stoi obok mnie. Ręce skrzyżował na piersi. Sama unosiłam się na powierzchni.

Theo się uśmiechnął, oczy mu błyszczały.

– Unosisz się na wodzie, moja droga.

W tej samej chwili usłyszałam dźwięk, który poniósł się nad wodą. Plusk. Gwałtowny i spanikowany. Kilka dziewczyn zaczęło krzyczeć, tłukły ramionami wodę niczym kaczki niemogące poderwać się do lotu. Za nimi zobaczyłam wymachujące wściekle ręce, które pojawiały się i znikały. Z czubków palców skapywały krople wody. Czyjaś twarz pojawiła się nad wodą, zaczerpnęła powietrza i zniknęła pod powierzchnią.

Vivian.

Theo zostawił mnie i rzucił się w jej stronę. Bez niego zaczęłam opadać, aż poczułam pod stopami dno jeziora. Wiedziona instynktem poruszałam rękami i nogami, prąc ku górze, aż w końcu wynurzyłam się na powierzchnię. Pływałam.

Rozglądając się dookoła, spojrzałam najpierw na Vivian, która wciąż rozpaczliwie młóciła wodę, a potem na Natalie i Allison, pobladłe i zamarłe z przerażenia. Patrzyłam, jak obserwują Theo, a on dotarł do Vivian i objął ją w pasie. Razem z nią popłynął do brzegu, nie zatrzymując się, dopóki oboje nie znaleźli się na kamienistej plaży.

Vivian zakasłała, a z jej ust wyciekła strużka wody. Po jej pąsowych policzkach płynęły łzy.

– Ja... ja nie wiem, co się stało – wykrztusiła. – Poszłam na dno i nie mogłam się wynurzyć. Myślałam, że umrę.

– Utonęłabyś, gdyby mnie tam nie było – odparł Theo. Był zdyszany, a w jego głosie słychać było zdenerwowanie. – Chryste, Viv, myślałem, że umiesz pływać.

Vivian usiadła prosto i nie przestając płakać, pokręciła głową.

– Zobaczyłam, jak uczysz Emmę, i pomyślałam, że spróbuję. To wszystko wydawało się takie proste.

Kilka metrów dalej stała Becca z aparatem zawieszonym na szyi, chociaż miała na sobie kostium kąpielowy. Zrobiła zdjęcie Vivian leżącej na brzegu. Chwilę później odwróciła się w stronę jeziora i z tłumu oszołomionych obozowiczek wyłowiła moją twarz. Uśmiechnęła się i wypowiedziała bezgłośnie dwa słowa, które bez problemu wyczytałam z ruchu jej warg:

Mówiłam ci.

12

Leżę nadal na plaży, gdy z zamontowanego na dachu stołówki wiekowego głośnika rozlegają się dźwięki pobudki. Muzyka przepływa obok mnie i niesie się nad jeziorem aż na drugi brzeg. Zaczął się pierwszy pełny dzień obozu.

Znów.

Zamiast walczyć z hordą nastolatek o miejsce pod prysznicem, wlokę się do stołówki w mokrym szlafroku i mlaskających japonkach. Dzięki Bogu budynek jest niemal pusty. Oprócz mnie i pracowników kuchni nie ma w nim nikogo. Jeden z nich – gość z ciemnymi włosami i pstrokatą bródką – gapi się na mnie, zaraz jednak odwraca wzrok.

Ignoruję go i sięgam po pączka, banana i filiżankę kawy. Banan znika w mgnieniu oka. Zjedzenie pączka zajmuje mi nieco więcej czasu. Z każdym kęsem przypominam sobie Vivian – jej zmrużone oczy i zaciśnięte usta. Pełne dezaprobaty spojrzenie. Odkładam pączka, wzdycham, podnoszę go z powrotem i wkładam do ust, po czym popijam kawą. Cieszy mnie ten spóźniony o piętnaście lat przejaw nieposłuszeństwa.

W drodze do domku mijam dziewczęta spieszące do stołówki. Są świeżo wykąpane i pozostawiają za sobą woń rozmaitych zapachów. Pudru dla niemowląt. Kremu Noxzema. Szamponu o truskawkowym zapachu.

Jeden zapach jest szczególnie wyczuwalny. Ciężki i kwiatowy. Zapach perfum.

Ale nie byle jakich perfum.

To Obsession.

Używała ich Vivian. Dwa razy dziennie spryskiwała nim szyję i nadgarstki. Raz o poranku. I drugi raz po południu. Woń perfum wypełniała chatkę i pozostawała w niej jeszcze długo po wyjściu Vivian.

Teraz czuję to samo. Jak gdyby była tu chwilę temu i pozostał po niej tylko zapach. Rozglądam się dookoła, szukając w tłumie jej twarzy, chociaż wiem, że jej tu nie ma. Dotykam bransoletki i muskam palcem dzióbek metalowego ptaszka. Tak na wszelki wypadek.

Dziewczyny mijają mnie, zabierając z sobą woń perfum. Mam nieprzyjemne uczucie, że coś pełznie mi po szyi, i kiedy wchodzę do domku, żeby się przebrać, przebiega mnie dreszcz. Przez chwilę węszę w powietrzu, szukając śladu perfum, lecz czuję jedynie mocny zapach dezodorantu.

W sanitariacie widzę Mirandę, Krystal i Sashę, które razem z innymi maruderkami stoją przy umywalkach. Miranda spogląda w lustro i poprawia włosy.

– Możemy już iść? – pyta Sasha. – Umieram z głodu.

– Sekunda – rzuca Miranda. Dokonuje ostatnich poprawek, po czym oświadcza: – Już. Teraz możemy iść.

Macham do nich, zmierzając do jedynej wolnej kabiny prysznicowej na samym końcu pomieszczenia. Podobnie jak pozostałe ma ściany z drewna cedrowego, a drzwi z przydymionego szkła. Pośrodku drzwi błyszczy punkcik białego światła. Za mną to samo światło wlewa się przez szczelinę w cedrowej ścianie.

Ogarnia mnie niepokój, który ustępuje chwilę później, gdy uświadamiam sobie, na co patrzę. To światło słoneczne, które przeciska się

przez niewielką szparę w ścianie prysznica. Tę samą, przez którą piętnaście lat temu podglądałam Theo.

Oddycham z ulgą. Jest mi głupio, że nie zorientowałam się wcześniej, i cieszę się, że nie jest to nic gorszego, na przykład kamera. Jedna wystarczy, żeby wpędzić mnie w paranoję. Do tego stopnia, że zastanawiam się, czy nie zaczekać, aż zwolni się któraś z pozostałych kabin. Porzucam jednak ten pomysł z prostego powodu – jestem już pod prysznicem, a ledwie ciurkająca woda wcale nie robi się cieplejsza.

Poza tym Vivian jako jedyna wiedziała o tej szczelinie. Sama tak mówiła.

Dlatego zostaję i najszybciej jak mogę biorę prysznic. Pospiesznie wmasowuję szampon i jeszcze szybciej go spłukuję, zamykając oczy, gdy piana spływa mi po twarzy. Cieszy mnie ta chwilowa ślepota. Dzięki niej mogę udawać przez chwilę, że znów mam trzynaście lat i pierwszy raz odwiedzam Camp Nightingale. Że Vivian, Natalie i Allison siedzą bezpiecznie w Dereniu, a wydarzenia sprzed piętnastu lat nigdy nie miały miejsca.

To miłe uczucie. Do tego stopnia, że jeszcze przez chwilę nie mam ochoty wychodzić spod prysznica. Ale woda robi się coraz zimniejsza i z letniej zmienia się w nieprzyjemnie chłodną. Za minutę, dwie będzie równie zimna jak ta w jeziorze.

Kończę spłukiwać włosy i otwieram oczy.

Punkcik światła na drzwiach zniknął.

Obracam się gwałtownie i sprawdzam cedrową ścianę za plecami. Przez szczelinę nie prześwieca żadne światło. Zniknęło, zasłonięte przez coś na zewnątrz.

Nie, nie przez coś.

Przez kogoś.

Przez kogoś, kto stoi po drugiej stronie.

Kto mnie podgląda.

Wydaję stłumiony krzyk i gorączkowo sięgam po ręcznik i szlafrok. Kiedy otwieram drzwi kabiny, światło powraca, przeświecając przez szczelinę i kładąc się na przeciwległej ścianie. W pośpiechu wychodzę z pustego teraz sanitariatu z nadzieją, że przyłapię podglądacza.

Ale na zewnątrz nie ma nikogo. Mniej więcej sto metrów dalej widzę dwie dziewczyny spieszące na śniadanie. Ich upięte w końskie ogony włosy kołyszą się na boki.

Jestem tu sama.

Na wszelki wypadek okrążam budynek, lecz nikogo nie dostrzegam. Wracając do drzwi, zastanawiam się, czy przypadkiem się nie pomyliłam. Może ktoś oparł się o ścianę i zasłonił szczelinę, nawet o tym nie wiedząc.

To jednak mnie nie przekonuje. Gdyby rzeczywiście ktoś zrobił to nieumyślnie, nie uciekłby zaraz po tym, jak odkryłam jego obecność. Stałby tam, zastanawiając się, dlaczego wybiegłam z resztkami piany na wilgotnej skórze.

Rozważam więc inne możliwości. Może przelatujący nisko ptak przesłonił na chwilę szparę. Albo któraś z dziewczyn spieszących na śniadanie. A może nic jej nie zasłoniło. Próbuję sobie przypomnieć, na jak długo zniknął świetlny punkcik. Na krótką chwilę, ledwie ułamek sekundy. Znacznie dłużej miałam zamknięte oczy. Kiedy je otworzyłam, potrzebowałam sekundy albo dwóch, żeby przyzwyczaić wzrok do mroku panującego w kabinie. Może tylko mi się zdawało i to wzrok spłatał mi figla.

W drodze do chatki uznaję, że tak właśnie było. Złudzenie optyczne. Iluzja.

Przynajmniej tak sobie tłumaczę.

Okłamuję się.

To jedyne kłamstwo, na jakie mnie stać.

Pierwsze zajęcia odbywają się na zewnątrz, z dala od budynku i tłumu obozowiczek. Chociaż wmawiam sobie, że nic się nie stało, wciąż jestem poruszona wydarzeniem pod prysznicem. Paranoja oblepia mnie niczym zimny pot, przez co nawet przelotne spojrzenia budzą mój niepokój.

Kiedy Sasha proponuje, żebyśmy namalowały jezioro, od razu się zgadzam. Na chwilę zapominam o swoich obawach i pozwalam dwunastu dziewczętom biorącym udział w zajęciach namalować coś innego niż martwa natura.

Teraz stoją przy sztalugach, które rozstawiłyśmy na trawniku za Domem. Z paletami w dłoniach nerwowo spoglądają na puste płótna i w zamyśleniu muskają palcami pędzle wystające im z kieszeni spodni. Ja również się denerwuję, a powodem nie jest wyłącznie poranny stres. To, jak na mnie patrzą, licząc, że udzielę im wskazówek, przeraża mnie. Marc miał rację. To nie jest moja bajka.

Pociesza mnie fakt, że są tu dziewczyny z Derenia, a wśród nich Krystal ze szkicownikiem i ołówkami. Ich znajome twarze dodają mi nieco pewności siebie.

– Dzisiejsze zadanie polega na tym, żebyście namalowały to, co widzicie – zaczynam. – Spójrzcie na jezioro i namalujcie je tak, jak tylko wy je widzicie. Używajcie dowolnych kolorów i technik. To nie szkoła. Wasze prace nie będą oceniane. Jedynymi osobami, którym mają się podobać, jesteście wy same.

Kiedy malują, spaceruję między nimi i sprawdzam postępy. Obserwowanie ich uspokaja mnie. Niektóre – jak Sarah z jej idealnie równymi liniami – zapowiadają się naprawdę dobrze. Inne – jak Miranda,

dla której każde pociągnięcie pędzla jest przejawem buntu – nie. Ale przynajmniej malują. To więcej niż ja robiłam przez ostatnie pół roku.

Kiedy podchodzę do Krystal, widzę, że narysowała superbohaterkę w obcisłym spandeksowym kombinezonie i powiewającej za jej plecami pelerynie. Kobieta ma moją twarz, lecz jej umięśnione ciało z pewnością nie należy do mnie.

– Chyba nazwę ją Monet – mówi Krystal. – Za dnia jest malarką, za to w nocy tropi przestępców.

– Na czym polega jej supermoc?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Na pewno coś wymyślisz.

Zajęcia dobiegają końca, gdy umieszczony na dachu stołówki dzwonek ogłasza przerwę na lunch. Dziewczyny odkładają pędzle i rozbiegają się, zostawiając mnie samą z płótnami i sztalugami. Zbieram płótna i nie chcąc rozmazać wciąż jeszcze świeżej farby, odnoszę po dwa naraz do budynku, gdzie odbywają się zajęcia. Kiedy wracam po sztalugi, widzę, że ktoś je już zbiera.

Tym kimś okazuje się konserwator, którego widziałam na dachu budynku. Wyszedł z szopy na narzędzia na skraju trawnika. Za otwartymi na oścież drzwiami dostrzegam kosiarkę do trawy, piłę ręczną i łańcuchy wiszące na ścianie.

– Pomyślałem, że przyda się pani pomoc – mówi.

Głos ma szorstki z wyraźnym akcentem rodem z Maine.

– Dzięki – mówię i wyciągam rękę. – Tak przy okazji, jestem Emma.

Zamiast uścisnąć moją dłoń, kiwa głową i rzuca zwięźle:

– Wiem.

Nie mówi, skąd zna moje imię. Nie musi. Był tutaj piętnaście lat temu. Wie, co się wtedy wydarzyło.

– Był pan tutaj wcześniej, prawda? – pytam. – Rozpoznałam pana po przyjeździe.

Mężczyzna składa kolejną sztalugę i odkłada na stos piętrzący się na trawie.

– Tak – mruczy.

– Czym się pan zajmował, kiedy obóz był zamknięty?

– Nie jestem pracownikiem obozu. Pracuję dla rodziny. Nie ma znaczenia, czy obóz jest otwarty, czy zamknięty. I tak tu jestem.

– Rozumiem.

Żeby nie stać bezużytecznie, składam ostatnią sztalugę, podaję mu i patrzę, jak bierze je wszystkie naraz, po sześć pod każdą pachę. Imponujące, zwłaszcza że ja odnosiłabym je po jednej, najwyżej po dwie.

– Może pomogę? – pytam.

– Poradzę sobie.

Schodzę mu z drogi i dopiero teraz widzę plamy farby na trawie. Białe, błękitne, a wśród nich kilka plamek szkarłatu, które do złudzenia przywodzą na myśl krople krwi. Konserwator również je dostrzega i burczy z dezaprobatą:

– Pani dziewczyny narobiły bałaganu.

– Takie rzeczy zdarzają się podczas malowania. Szkoda, że nie widział pan mojej pracowni.

Uśmiecham się do niego z nadzieją, że to go ułagodzi. Tak się nie dzieje, wyciągam więc z kieszeni szmatkę i zaczynam ścierać plamy.

– To powinno pomóc – mówię, chociaż jest wręcz odwrotnie i na trawie zamiast plam pojawiają się kolorowe smugi.

– Pani Harris-White nie lubi bałaganu – mruczy znów mężczyzna.

Po tych słowach odchodzi, zabierając z sobą sztalugi, jak gdyby nic nie ważyły. Ja zostaję i bezskutecznie próbuję zetrzeć plamy z trawy. A gdy to nie pomaga, wyrywam źdźbła, wyrzucam je w powietrze i patrzę, jak niesione wiatrem szybują w stronę jeziora.

13

Przed pójściem na lunch wracam do budynku, w którym odbywają się zajęcia plastyczne, i przetrząsam zapasy Casey. Nie znalazłszy tego, czego szukam, wśród kubków z klejem do drewna i kolorowymi mazakami, idę na stanowisko garncarskie Paige. Na jednym z kół garncarskich znajduję grudkę gliny wielkości dziesięciocentówki. Jest wprost idealna.

– Nie powinnaś być na lunchu?

Odwracam się i widzę w drzwiach Mindy. Ramiona ma skrzyżowane, głowę przechyloną. Posyła mi nieco zbyt szeroki uśmiech i wchodzi do środka. Udaje życzliwą.

Ja również się uśmiecham i podobnie jak ona udaję.

– Miałam tu coś do zrobienia.

– Prowadzisz też zajęcia z garncarstwa?

– Podziwiałam pracownię – mówię i zaciskam palce na grudce gliny. Wolałabym nie tłumaczyć Mindy, co zamierzam z nią zrobić. I tak jest już wystarczająco podejrzliwa. – Wygląda niesamowicie.

Mindy dziękuje skinieniem głowy.

– Włożyliśmy w nią mnóstwo pracy i pieniędzy.

– Widać.

Dodatkowy komplement najwyraźniej spełnia swoje zadanie, bo sztuczny uśmiech Mindy topnieje i zaczyna wyglądać niemal ludzko.

– Dzięki – mówi. – Przepraszam za moją podejrzliwość, ale teraz, kiedy sezon trwa w najlepsze, muszę mieć oczy dookoła głowy.

– Oczywiście. Rozumiem.

– Wszystko musi być w jak najlepszym porządku – dodaje Mindy. – I dlatego powinnaś teraz udać się do stołówki. Jeśli obozowiczki zobaczą, że cię nie ma, pomyślą, że one również mogą odpuszczać sobie lunch. Musimy świecić przykładem, Emmo.

Najpierw ostrzegł mnie dozorca. A teraz Mindy. Bo to niewątpliwie jest ostrzeżenie. Powinnam mieć się na baczności i niczego nie spaprać. Czyli robić wszystko odwrotnie niż ostatnim razem.

– Jasne – rzucam. – Już idę.

To kłamstwo. Ale uzasadnione.

Zamiast udać się do stołówki, kieruję się w stronę sanitariatu. Przed drzwiami stoi kilka dziewczyn, czekających na przyjaciółki, żeby razem pójść na lunch. Kiedy się oddalają, obchodzę budynek i szukam szpary w ścianie, a gdy ją znajduję, wciskam między deski odrobinę gliny i zatykam szczelinę.

Nie umyka mi ironia tego, co robię. Piętnaście lat temu zaglądałam przez tę szparę i podglądałam Theo bez jego wiedzy i zgody. Chciałabym zrzucić to na karb młodości i naiwności, lecz nie mogę. Miałam trzynaście lat. Byłam więc wystarczająco duża, żeby wiedzieć, że podglądanie Theo jest nie w porządku. A jednak to zrobiłam.

Teraz nikt nie może zajrzeć do środka. Jedna pokuta odprawiona. Ale tyle ich jeszcze pozostało.

W końcu docieram do stołówki i zastaję tam Theo czekającego na mnie przed wejściem. U jego stóp stoi wiklinowy koszyk. To dość

niespodziewany widok. Przychodzi mi do głowy irracjonalna myśl, że to ja wezwałam tu Theo, wspominając swój dawny grzech. Że po tylu latach odkrył, że go podglądałam. Zatrzymuję się kilka kroków od niego i szykuję się na konfrontację. Tymczasem Theo oświadcza:

– Idę na piknik i pomyślałem, że może chciałabyś się przyłączyć.

– Co to za okazja? – pytam.

Wskazuje głową drzwi do stołówki.

– Potrzeba okazji, żeby uciec przed tym, co tam podają?

Mówiąc to, unosi brwi. Sili się na swobodę, lecz nadal wyczuwam między nami to samo napięcie, co wczoraj. On chyba też je czuje. Wiem to, bo kąciki jego ust drgają nerwowo. Poczucie winy ciąży mi na żołądku niczym kamień. Teraz wiem już na pewno, że mi wybaczył. Nie rozumiem tylko dlaczego.

Mimo to perspektywa pikniku wydaje się kusząca. Zwłaszcza że nie spodobałaby się Mindy.

– Wchodzę w to – mówię. – Moje kubki smakowe są ci wdzięczne.

Theo podnosi kosz i we dwoje oddalamy się od stołówki. Zakładałam, że pójdziemy nad brzeg jeziora, tymczasem minąwszy domki i sanitariat, kierujemy się w stronę lasu.

– Dokąd mnie zabierasz?

Theo uśmiecha się tylko i zaraz potem wchodzi w las.

– Do wyjątkowego miejsca.

W lesie nie ma ścieżki, jednak Theo idzie pewnym krokiem, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza. Ja wlokę się za nim, przechodząc nad połamanymi gałęziami i depcząc opadłe liście. Gdyby coś takiego przydarzyło mi się w wieku trzynastu lat, byłabym wniebowzięta. Nawet teraz serce bije mi nieco mocniej, kiedy pomyślę, że mogłabym mu się podobać. Młoda Emma na pewno by tak pomyślała, ale cyniczna, dorosła ja

szczerze w to wątpi. To niemożliwe. Nie po tym wszystkim, co zrobiłam. A jednak jesteśmy tu i we dwoje idziemy przez las.

W końcu docieramy do małej polanki, która pojawia się tak nagle, że mrugam, by upewnić się, iż jest prawdziwa. To niewielki krąg wolny od opadłych liści i krzaków, których miejsce zastąpiła miękka trawa tu i ówdzie upstrzona kępkami leśnych kwiatów. Przez prześwity w koronach drzew wlewają się promienie słońca. Wirujące w nich drobinki przywodzą na myśl maleńkie płatki śniegu. Na środku polany stoi okrągły stolik podobny do tego, który widziałam w oranżerii w domu Franny. I tak jak wtedy, tak i teraz przy stoliku siedzi Franny z serwetką rozłożoną na kolanach.

– Tu jesteście – mówi z ciepłym uśmiechem. – W samą porę, bo zrobiłam się głodna.

– Cześć – rzucam. Mam nadzieję, że mój głos nie zdradza, jak bardzo jestem zaskoczona. Czuję na twarzy uderzenie gorąca. Jestem też rozczarowana, że piknik nie jest romantycznym gestem ze strony Theo, i zażenowanie, że w ogóle coś takiego przyszło mi do głowy. Czuję też coś jeszcze. Obawę. Niespodziewana obecność Franny mówi mi, że nie jest to spontaniczne spotkanie. Coś się kroi.

Mój niepokój potęguje sześć marmurowych posągów ustawionych na obrzeżach polany i niemal wciśniętych w drzewa jak milczący świadkowie. Każdy z nich przedstawia do połowy ubraną kobietę zastygłą w nienaturalnej pozie. Jedne mają uniesione ramiona i otwarte dłonie, jakby czekały, aż ptaki przycupną na ich delikatnych palcach. Inne dźwigają kosze pełne winogron, dojrzałych jabłek i kłosów pszenicy.

– Witamy w ogrodzie rzeźb – ciągnie Franny. – Jednym z dziwacznych pomysłów mojego dziadka.

– Jest uroczy – mówię, chociaż wcale tak nie uważam. Polana, która z daleka wydaje się piękna, z bliska, kiedy stoi się w samym jej środku, sprawia upiorne wrażenie. Lata wystawienia na działanie warunków atmosferycznych odcisnęły swe piętno na posągach. Fałdy ich szat są przybrudzone. Gdzieniegdzie pojawiły się pęknięcia, a marmurowe ciała tu i ówdzie są wyszczerbione. Twarz jednej z kobiet porasta mech. Wszystkie mają puste oczy, jak gdyby zostały oślepione. Ukarane za to, że widziały coś, czego nie powinny były oglądać.

– Nie musisz być miła – rzuca Theo. Stawia kosz na stole i zaczyna go rozpakowywać. – To cholernie przerażające miejsce. Przynajmniej ja tak uważam. Nienawidziłem przychodzić tu jako dziecko.

– Przyznaję, że nie każdemu się podoba – odzywa się Franny. – Ale mój dziadek był z niego dumny. Tak więc musi tu zostać.

Po tych słowach wzrusza bezradnie ramionami, a ja skupiam uwagę na posągu za jej plecami. Ma przepiękną twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i delikatnie zarysowaną brodą. Ktokolwiek go wyrzeźbił, zaklął w tej twarzy dodatkowe emocje. Pozbawione życia marmurowe oczy są większe, niż powinny być, a wykute nad nimi brwi przypominają uniesione dramatycznie bliźniacze łuki. Usta posągu są lekko rozchylone, nie wiem jednak, czy w ekstazie, czy może z zaskoczenia. Skłaniam się ku temu drugiemu. Z braku lepszego słowa powiedziałabym, że rzeźba wygląda na przestraszoną.

– Podano lunch – oznajmia Theo, wyrywając mnie z zamyślenia. Dopiero teraz zauważam stojący przede mną talerz z kanapką z wędzonym łososiem, crème fraîche, kaparami i koprem. Z pewnością nie jest to posiłek, który będzie serwowany dziś w stołówce. Kiedy Theo nalewa mi kieliszek prosecco, upijam spory łyk i próbuję opanować zdenerwowanie.

– Teraz, kiedy już wszyscy wygodnie siedzimy, najwyższy czas, żebyś wreszcie dowiedziała się, dlaczego cię tu sprowadziliśmy – wyjaśnia Franny. – Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli odbędziemy tę rozmowę w jakimś względnie zacisznym miejscu.

– Rozmowę?

– Tak. Theo i ja chcielibyśmy porozmawiać z tobą o czymś ważnym.

– Och – bąkam. Zaczynam kroić kanapkę, udając, że jestem spokojna, chociaż wcale tak nie jest. Z nerwów ściska mnie w żołądku. – O co chodzi?

– O kamerę przed twoim domkiem – tłumaczy Franny.

Zamieram. Widelec z kawałkiem łososia zatrzymuje się w połowie drogi do moich ust.

– Wiemy, że ją widziałaś – dodaje Theo. – Dziś rano oglądaliśmy nagranie.

– Prawdę mówiąc, liczyliśmy na to, że nikt jej nie zauważy – ciągnie Franny. – Skoro jednak już się tak stało, mam nadzieję, że pozwolisz nam wytłumaczyć, dlaczego została zamontowana.

Odkładam widelec na talerz. Jeśli miałam apetyt, w jednej chwili go straciłam.

– Byłoby miło. W całym obozie nie zauważyłam innych kamer.

– Bo to jedyna, moja droga – odpowiada Franny.

– Od jak dawna tam jest?

– Od wczorajszego wieczoru – odzywa się Theo. – Ben zainstalował ją podczas ogniska.

Z początku imię nic mi nie mówi. I nagle przypominam sobie konserwatora. Teraz rozumiem, dlaczego zachowywał się tak dziwnie, kiedy zbieraliśmy sztalugi.

– Dlaczego ją tam zamontował?

– To jasne – rzuca Franny. – Żebyśmy mieli oko na Dereń.

Skoro mówimy o podglądaniu, kusi mnie, żeby powiedzieć jej, że być może ktoś obserwował mnie rano pod prysznicem. Milczę jednak, bo nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak było. Gdybym to zrobiła, musiałabym również powiedzieć, skąd wiem o szczelinie w ścianie. A tego chciałabym uniknąć za wszelką cenę.

Zamiast tego mówię:

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

A właściwie jest. Tyle że nikt nie wypowiedział jej na głos, żebym sama wyciągnęła wnioski. Kamera jest skierowana na Dereń, bo ja w nim mieszkam. Dlatego zainstalowano ją wczoraj wieczorem. Do mojego przyjazdu nie wiedzieli, gdzie będę spała.

Franny patrzy na mnie ponad stolikiem, głowę ma przechyloną, w jej zielonych oczach widzę troskę.

– Jesteś zła. I pewnie czujesz się urażona. Wcale ci się nie dziwię. Powinniśmy byli powiedzieć ci od razu.

Czuję w skroniach delikatne pulsowanie, coś jak początek bólu głowy. To pewnie z powodu zamieszania i prosecco wypitego zbyt szybko na pusty żołądek. Ale Franny ma rację. Jestem zła i urażona.

– Nadal nie powiedzieliście mi, co ona tam robi – mówię. – Szpiegujecie mnie?

– Szpiegowanie to chyba za dużo powiedziane. – Franny cmoka z dezaprobatą, jakby słowo, które wypowiedziała chwilę temu, zostawiło w jej ustach nieprzyjemny posmak. I żeby się go pozbyć, upija łyczek prosecco. – Wolę myśleć, że to dla twojej ochrony.

– Przed czym?

– Przed tobą samą – odpowiada Theo.

Na dźwięk jego głosu wydaję stłumiony jęk.

– Przygotowując się do otwarcia obozu, sprawdziliśmy wszystkich, którzy mieli tu przyjechać – tłumaczy Franny, okazując nieco więcej delikatności niż jej syn. – Nie sądziłam, że to konieczne, ale moi prawnicy się uparli. Instruktorki. Pracowników kuchni. Nawet obozowiczki. U nikogo nie znaleźliśmy niczego niepokojącego. Tylko u ciebie.

– Nie rozumiem – bąkam, chociaż rozumiem aż za dobrze. Wiem, co się zaraz wydarzy.

Po twarzy Franny przebiega zbolały grymas. Myślę, że jej reakcja jest nieco przesadzona i nie do końca szczera. Jakby chciała pokazać mi, jak bardzo boli ją to, co zaraz powie.

– Wiemy, Emmo – odzywa się po chwili. – Wiemy, co działo się z tobą po tym, jak opuściłaś Camp Nightingale.

14

Nie rozmawiam o tym.

Nawet z Markiem.

Jedynymi osobami, które wiedzą, co się wydarzyło, są moi rodzice, którzy ochoczo unikają rozmów o tych koszmarnych sześciu miesiącach, kiedy miałam czternaście lat.

Byłam wciąż w szkole, kiedy to się zaczęło. Tyczkowata pierwszoklasistka, która rozpaczliwie próbowała wpasować się w środowisko. Nie było to proste. Nie po tym, co stało się w tamte wakacje. Wszyscy wiedzieli o zniknięciu dziewczyn z Camp Nightingale, przez co zyskałam złą sławę kogoś, z kim nikt nie chce mieć do czynienia. Przyjaciele zaczęli się ode mnie odsuwać. Nawet Heather i Marissa. Czułam się, jakbym żyła w więziennej izolatce. Weekendy spędzałam zamknięta w swoim pokoju. Podczas przerw na lunch siedziałam sama.

I kiedy wydawało się, że gorzej już być nie może, zobaczyłam dziewczyny i wszystko trafił szlag.

Było to podczas klasowej wycieczki do Metropolitan Museum of Art. Setka uczennic chichoczących na korytarzach – parada kraciastych spódnic i niepewności. Odłączyłam się od grupy w skrzydle z dziewiętnastowiecznym malarstwem europejskim i błąkałam się labiryntem korytarzy, oczarowana obrazami Gauguina, Renoira i Cézanne’a.

Jedna z sal była pusta, nie licząc trzech dziewczyn stojących przed obrazem Gustave’a Courbeta. *Young Ladies of the Village*. To sporych rozmiarów pejzaż namalowany w odcieniach zieleni i złota, a na nim cztery postacie kobiece. Trzy z nich wydają się niemal dorosłe. To tytułowe damy w szykownych sukienkach i czepkach, z parasolkami. Czwarta dziewczyna jest młodsza. To wieśniaczka. Jest bosa, na głowie ma chustkę, a w pasie zawiązany fartuch.

Gapiłam się, lecz nie na obraz. Bardziej interesowały mnie dziewczyny, które go podziwiały. Miały na sobie proste białe sukienki. Stały wyprostowane i nieruchome, jak kobiety z obrazu Courbeta. Zupełnie jakby z niego wyszły i patrzyły z zaciekawieniem, jak wygląda bez nich.

Jest piękny – powiedziała jedna. – *Nie sądzisz, Em?*

Nie odwróciła się. Nie musiała. Wiedziałam w duchu, że to Vivian, tak jak wiedziałam, że dwie pozostałe to Natalie i Allison. Nie obchodziło mnie, czy to one, ich duchy czy wytwory mojej wyobraźni. Ich obecność wystarczyła, żeby mnie przerazić.

Wydajesz się zaskoczona – powiedziała Vivian. – *Pewnie do głowy ci nie przyszło, że możemy interesować się sztuką.*

Nie byłam w stanie nic odpowiedzieć. Strach ścisnął mnie za gardło. Zdołałam jedynie cofnąć się o krok, próbując zwiększyć dzielącą nas odległość. Zrobiłam jeden krok, a zaraz potem drugi i trzeci. Nogi niosły mnie same, sznurowane półbuty stukały głośno na parkiecie. Dopiero wyszedłszy z pomieszczenia, obejrzałam się za siebie.

Vivian, Natalie i Allison wciąż tam były, tyle że teraz stały odwrócone w moją stronę. Zanim zdążyłam uciec, Vivian puściła do mnie oko i rzuciła: *Do zobaczenia*.

I rzeczywiście zobaczyłam ją. Kilka dni później w trakcie popołudniowego przedstawienia *Jersey Boys*, na które zawlokła mnie matka

podczas jednego z nielicznych napadów matczynej troski. Kiedy minutę przed antraktem wymknęła się z sali, żeby nie stać w kolejce do baru, jej miejsce zajęła Vivian. Światła na widowni zapaliły się i oto była w swojej białej sukience.

Do dupy ta sztuka – stwierdziła.

Nie miałam odwagi na nią spojrzeć. Siedziałam bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w scenę. Vivian też się nie ruszyła, przypominając widzianą kątem oka białą smugę.

Nie jesteś prawdziwa – mruknęłam tak cicho, by nikt inny mnie nie usłyszał. – *Ty nie istniejesz.*

No coś ty, Em. Obie wiemy, że sama w to nie wierzysz.

Czemu to robisz?

Niby co?

Prześladujesz mnie.

Dobrze wiesz dlaczego.

Nie sprawiała wrażenia zagniewanej. W jej głosie nie pobrzmiewało oskarżenie. Raczej wydawała się smutna. Tak potwornie smutna, że ścisnęło mnie w gardle. Usta mi drżały, pod powiekami czułam piekące łzy.

Oszczędź mi łez – rzuciła Vivian. – *Wiesz równie dobrze jak ja, że nie są szczere.*

Po tych słowach zniknęła. Odczekałam pięć minut, zanim zdobyłam się na odwagę, żeby wstać i pójść do toalety. Przesiedziałam w niej cały drugi akt. Po przedstawieniu powiedziałam matce, że nie czułam się najlepiej. Była zbyt nawalona wódką z tonikiem, żeby zrozumieć, że kłamałam.

Później pojawiały się często. W drodze do szkoły widziałam Natalie stojącą po drugiej stronie ulicy. Pewnego dnia zobaczyłam Allison, która przyglądała mi się z drugiego końca stołówki. Wszystkie trzy przechadzały się po sklepie z bielizną w Macy’s, kiedy próbowałam kupić biustonosz dla

moich rosnących gwałtownie piersi. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Bałam się, że nikt mi nie uwierzy.

Wszystko ciągnęłoby się miesiącami, gdybym pewnej nocy nie obudziła się i nie zobaczyła Vivian, która jak gdyby nigdy nic siedziała na skraju mojego łóżka.

Tak się zastanawiam, Em, czy naprawdę myślałaś, że ci się upiecze? – zapytała.

Mój wrzask obudził rodziców. Kiedy wpadli do mojego pokoju, kuliłam się pod kołdrą. Przez resztę nocy tłumaczyłam im, że widuję dziewczyny, że nawiedzają mnie i boję się, że chcą zrobić mi krzywdę. Nasza rozmowa ciągnęła się godzinami, lecz większość z tego, co mówiłam, mnie samej wydawało się bez sensu. Rodzice uznali, że miałam bardzo rzeczywisty koszmar. Ja jednak wiedziałam, że to nieprawda.

Po tamtej nocy nie chciałam wychodzić z mieszkania. Opuszczałam lekcje. Udawałam chorobę. Przez trzy dni siedziałam zamknięta w pokoju, nie brałam prysznica ani nie myłam zębów. Rodzice nie mieli wyboru i zabrali mnie do psychiatry, który orzekł, że w istocie miewam halucynacje.

Zdiagnozowano u mnie zaburzenie podobne do schizofrenii, a właściwie bardzo do niej zbliżone. Lekarz dał jasno do zrozumienia, że nie jest ono spowodowane tym, co wydarzyło się w Camp Nightingale. Że w moim mózgu od jakiegoś czasu dochodziło do zaburzenia równowagi między neuroprzekaźnikami, a zniknięcie dziewczyn uwolniło je niczym lawę z uśpionego wulkanu.

Powiedział też, że owo zaburzenie ma zwykle charakter tymczasowy. Podobno ci, którzy na nie cierpią, zwykle dochodzą do siebie po odpowiednim leczeniu. I tak oto trafiłam na pół roku do szpitala

psychiatrycznego, który specjalizował się w leczeniu nastoletnich dziewczyn.

Szpital był czysty, wygodny, profesjonalny. Żadnych śliniących się, gadających do siebie wariatek. Żadnych dramatów rodem z *Przerwanej lekcji muzyki*. Tylko garstka dziewczyn w moim wieku, które robiły wszystko, żeby wrócić do zdrowia. Ja wróciłam. Dzięki połączeniu terapii, leków i staroświeckiej cierpliwości.

To w szpitalu zaczęłam malować. Na zajęciach z arteterapii. Posadzili mnie przed białym płótnem, wcisnęli w rękę pędzel i powiedzieli, żebym namalowała swoje uczucia. Namalowałam smugę błękitu. Terapeutka, patykowata kobieta o siwych włosach i łagodnym usposobieniu, zdjęła płótno ze sztalugi, odłożyła je na bok i zastąpiła nowym.

Namaluj, co widzisz, Emmo – powiedziała.

Namalowałam dziewczyny.

Vivian, Natalie i Allison.

Dokładnie w tej kolejności.

Ten obraz różnił się od następnych. Był prymitywny, dziecinny i brzydki. Dziewczyny nie wyglądały tak, jak w rzeczywistości. Były jak czarne gryzmoły wystające z trójkątnych sukienek. Wiedziałam jednak, kim są, i to wystarczyło, żebym zaczęła wracać do zdrowia.

Pół roku później wróciłam do domu, chociaż nadal musiałam brać leki przeciwpsychotyczne i raz w tygodniu chodzić na terapię. Lekarstwa brałam przez kolejne pięć lat, na terapię chodzę aż do dziś. Pomaga mi, chociaż nie tak, jak sesje w szpitalu psychiatrycznym z miłą, niebywale cierpliwą doktor Shively. Ostatniego dnia podarowała mi bransoletkę z przyczepionymi do niej trzema delikatnymi ptaszkami.

Niech będzie dla ciebie jak talizman – powiedziała, zapinając mi ją na nadgarstku. – *Pamiętaj, jak wielką siłę ma pozytywne myślenie. Jeśli kiedyś*

znowu doświadczysz halucynacji, chcę, żebyś jej dotknęła i powiedziała sobie, że to, co widzisz, nie jest prawdziwe, że nie ma nad tobą żadnej władzy i jesteś silniejsza, niż mogłoby się wydawać.

Zamiast do mojej starej szkoły, rodzice wysłali mnie do najbliższej szkoły publicznej. Nawiązałam nowe przyjaźnie. Zaczęłam poważnie interesować się sztuką. Zaczęłam kwitnąć.

Nigdy więcej nie widziałam dziewczyn.

Tylko na moich obrazach.

Myślałam, że to poufne informacje. Mój sekret. A jednak Franny jakimś cudem dowiedziała się o tym. Nie jestem zaskoczona. Myślę, że ktoś, kto ma tyle pieniędzy, potrafi otworzyć każde drzwi. Teraz ona i Theo gapią się na mnie z ciekawością, zastanawiając się pewnie, czy przypadkiem zaraz mi nie odbije.

– To było dawno temu – mówię.

– Tak, oczywiście – rzuca Theo.

– Absolutnie nie chcemy, żebyś czuła się w jakikolwiek sposób usunięta poza nawias czy ukarana – dodaje Franny. – I dlatego powinniśmy byli od razu powiedzieć ci o kamerze.

Nie mam pojęcia, do czego zmierzają. Czy chcą mi powiedzieć, że mi wybaczyli? Że mają prawo mnie podglądać z powodu tego, czego doświadczyłam w liceum?

– Rozumiem – mówię zduszonym głosem. – Lepiej dmuchać na zimne. W końcu nie chcemy powtórki tamtego lata, prawda?

Przeprosiwszy, wstaję od stołu i odchodzę, mijając po drodze dwa posągi. Oba odprowadzają mnie wzrokiem. Ich puste oczy niczego nie widzą, ale wiedzą wszystko.

Theo idzie za mną. Słyszę za sobą jego szeleszczące kroki, szybsze od moich, pewne kroki kogoś, kto zna okolicę. Przyspieszam, wiem jednak, że wkrótce mnie dogoni. Chcę, żeby się trochę natrudził. Próbuję wyprowadzić go w pole i bez ostrzeżenia skręcam gwałtownie w lewo. Przedzieram się przez zarośla, a gdy słyszę, że podąża moim śladem, kolejny raz skręcam w lewo.

– Nie złość się, Emmo! – woła za mną.

Znów skręcam, zmieniając kierunek marszu. Nagle zahaczam stopą o wystający korzeń. Potykam się i żeby nie upaść, robię kilka coraz bardziej chwiejnych kroków.

Cierpi na tym wyłącznie moja duma. Lądуję na czworakach, a warstwa liści zalegających na miękkiej, omszałej ziemi amortyzuje mój upadek. Dźwigając się na nogi, widzę kolejną polanę. Ta nie jest tak dobrze utrzymana jak ogród rzeźb. Jest ciemniejsza, bardziej pierwotna, jak gdyby na powrót miała się stać częścią lasu.

Odwracam się powoli i rozglądam, próbując zorientować się, gdzie właściwie jestem.

To wtedy zauważam zegar słoneczny.

Stoi na środku polany – miedziane koło na szczycie przechylonej marmurowej kolumny. Z czasem miedź nabrała niebieskawej barwy, przez co wyryte na jej powierzchni cyfry rzymskie są jeszcze bardziej widoczne. Pośrodku tarczy wyryto łacińską inskrypcję.

Omnes vulnerant, ultima necat.

Pamiętam ją z lekcji łaciny w liceum, choć nie dlatego, że lubiłam ten język. Wręcz przeciwnie. Zapadła mi w pamięć dlatego, że kiedy dowiedziałam się, co znaczy, przeszedł mnie dreszcz. Sentencja dotyczy godzin.

Wszystkie ranią, ostatnia zabija.

Dotykam zegara i wodzę palcami po inskrypcji, a wtedy Theo w końcu mnie dogania. Nieco zdyszany wychodzi spomiędzy drzew, włosy ma zmierzwione.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – mówię.

– Posłuchaj, masz prawo być zła. Powinniśmy byli powiedzieć ci o wszystkim. Postąpiliśmy niewłaściwie.

– Tu się akurat z tobą zgadzam.

– Chcę mieć pewność, że czujesz się lepiej – ciągnie. – Jako twój przyjaciel.

– Nic mi nie jest.

– W takim razie przepraszam. Moja matka również.

Przeprosiny są bardziej wymuszone niż szczere, co jeszcze bardziej mnie złości.

– Skoro mi nie ufacie, po co mnie tu zaprosiliście?

– Bo matka chciała, żebyś tu była – odpowiada Theo. – Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Minęło piętnaście lat, Emmo. Ludzie się zmieniają. Nie wiedzieliśmy, jaka będziesz, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło, kiedy byłaś tu ostatni raz. To była kwestia bezpieczeństwa, nie zaufania.

– Bezpieczeństwa? Myślisz, że mogłabym zrobić coś tym dziewczynom?

– Może to samo, co według ciebie zrobiłem Vivian, Allison i Natalie.

Zataczam się do tyłu i opieram o zegar. Miedź pod moimi palcami jest zimna i gładka.

– To przez to, prawda? – pytam. – Ta kamera. Grzebanie w mojej dokumentacji medycznej. Wszystko dlatego, że lata temu oskarżyłam cię o to, że zrobiłeś im krzywdę.

Theo wyraźnie poirytowany przeczesuje włosy palcami.

– Nic podobnego. Ale skoro już o tym wspomniałaś, wiedz, że to, co wtedy zrobiłaś, było podłe.

– Tak – przyznaję. – I latami to sobie wyrzucałam. Ale byłam młoda, skołowana i przerażona.

– A myślisz, że ja nie? – odcina się Theo. – Szkoda, że nie widziałaś, jak przesłuchiwała mnie policja. Mieliśmy tu gliniarzy z policji stanowej i pieprzone FBI i wszyscy oni chcieli, żebym powiedział im prawdę. Zrobili mi badanie wariografem. Chetowi też. Podpięli dziesięciolatka do wykrywacza kłamstw. Przepłakał potem cały tydzień. A wszystko przez to, o co mnie oskarżyłaś.

Twarz mu poczerwieniała, przez co blada blizna na policzku zrobiła się teraz bardzo wyraźna. Jest wściekły i przesadza, żeby uświadomić mi, jak wielką wyrządziłam mu krzywdę.

– Nie wiedziałam, co zrobić – mówię.

– Tu chodzi o coś więcej – rzuca Theo. – Byliśmy przyjaciółmi, Em. Jak mogłaś pomyśleć, że miałem z tym coś wspólnego?

Patrzę na niego osłupiała. Fakt, że w ogóle pyta, dlaczego go oskarżyłam, sprawia, że znowu wzbiera we mnie złość. Może nie przyczynił się do zniknięcia Vivian i pozostałych, ale na pewno nie jest niewinny. Oboje nie jesteśmy bez winy.

– Dobrze wiesz dlaczego – odpowiadam i odchodzę, zostawiając Theo samego na polanie. Wracając, kilka razy skręcam w złą stronę i kolejny raz potykam się o zdradzieckie korzenie, ale w końcu odnajduję drogę do obozu. Idę między domkami, gotując się z wściekłości. Jestem zła na Franny. A jeszcze bardziej na Theo. Najbardziej jednak jestem zła na siebie, bo uwierzyłam, że powrót tutaj to dobry pomysł.

Otwieram drzwi do chatki, a wtedy coś podrywa się z podłogi i wzbija w powietrze. Przy oknie widzę ciemne kształty i słyszę łopot skrzydeł.

Ptaki.

Trzy.

Kruki. Poznaję po atramentowoczarnych piórach.

Latają spłoszone, skrzecząc i tłukąc się o sufit. Jeden opada wprost na mnie i czuję, jak szpony zahaczają mi o włosy. Drugi leci wprost na moją twarz. Czarne ślepka. Ostry, otwarty dziób.

Padam na podłogę i nakrywam głowę rękami. Kruki wciąż latają. Kraczą. Tłuką się o ściany domku. Wyciągam rękę, chwytam za klamkę i otwieram drzwi na oścież. Ruch sprawia, że ptaki rzucają się w przeciwną stronę. Do okna, gdzie z głuchym odgłosem uderzają o szybę.

Pełznę w ich stronę. Prawą ręką zasłaniam oczy, a lewą macham w powietrzu, żeby je przegonić. Bransoletka podskakuje na moim nadgarstku. Trzy metalowe ptaszki kołyszą się wściekle. Udaje się. Jeden z kruków zauważa otwarte drzwi i wylatuje na zewnątrz, a zaraz za nim drugi.

Trzeci kracze wściekle po raz ostatni, jego pióra muskają sufit. Chwilę później on także znika, a w domku zapada cisza.

Leżę na podłodze, dyszę i próbuję się uspokoić. Rozglądam się po chatce, żeby upewnić się, że żaden ptak nie czeka, żeby się na mnie rzucić. Wiem, że nie zrobiły tego celowo. Były przestraszone, bo nie potrafiły się wydostać. Zakładam, że ciekawskie i głodne wleciały przez okno i nie wiedziały, którędy wylecieć, więc spanikowały.

Rozumiem je. Sama przez to przechodziłam.

Ale nagle przypominam sobie straszny dźwięk, z jakim obijały się o szybę. Siadam i patrzę na okno.

Przez cały czas było zamknięte.

15

Potrzebuję dziesięciu minut, żeby pozbierać wszystkie pióra zgubione przez kruki. Na podłodze leży ich ponad tuzin, a jeszcze więcej na łóżkach Mirandy i Sashy. Przynajmniej nie znajduję żadnych ptasich odchodów, co uznaję za swoiste zwycięstwo.

Sprzątając, zastanawiam się, w jaki sposób ptaki mogły dostać się do chatki, skoro okno było zamknięte. Pierwsza teoria jest taka, że wpadły przez dziurę w dachu, umiejscowioną gdzieś w kącie, gdzie trudno ją zauważyć. Według drugiej, bardziej logicznej, dziewczyny, wychodząc, zostawiły otwarte drzwi, przez które ptaki wleciały do środka. Ktoś, kto przechodził w pobliżu, zamknął drzwi, a tym samym uwięził kruki w Dereniu.

Kiedy jednak wychodzę, żeby wyrzucić pióra, trzecia opcja przychodzi mi do głowy – ktoś przyniósł ptaki i celowo wypuścił je w domku. Jest ona równie ponura jak myśl, że ktoś być może podglądał mnie pod prysznicem. Poza tym, kto zrobiłby coś takiego? I po co? Tak jak w wypadku podglądania w kabinie prysznicowej tłumaczę sobie, że najbardziej niewinne wyjaśnienie jest również najbardziej logiczne.

Mimo to po powrocie do domu nie mogę pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak. Cały dzień jestem podenerwowana i nie chodzi tu o kamerę, o to, co wydarzyło się pod prysznicem, czy o ptaki. Jestem bardzo spięta i czuję, że muszę na chwilę wyjść. Przejść się. Odrobina ruchu może wystarczy, żeby przegnać z mojej głowy dziwne myśli.

Zaglądam do kufra w poszukiwaniu butów trekkingowych i widzę złożoną na pół kartkę papieru, którą Vivian ukryła w swojej skrzyni. Sięgam po nią drżącymi rękami. Tłumaczę sobie, że to stres związany z wydarzeniami dzisiejszego dnia. Ale znam prawdę.

Kartka sprawia, że zaczynam się denerwować. Podobnie działa fotografia, która z niej wypada.

Patrzę na kobietę na zdjęciu i wzdrygam się na widok znajomych oczu. Zastanawiam się, o czym ta kobieta – Eleanor Auburn – myślała, kiedy robiono jej zdjęcie. Czy obawiała się, że traci zmysły? Widziała coś, czego tak naprawdę wcale nie było?

Odkładam zdjęcie na bok i kolejny raz przyglądam się mapie narysowanej przez Vivian. Obejmuję wzrokiem całą kartkę. Obóz. Jezioro. Namalowany byle jak las na przeciwległym brzegu. Zatrzymuję wzrok na małym znaku X, który niemal przebija na drugą stronę. Vivian narysowała to nie bez powodu. Coś tam jest.

A nie dowiem się co, dopóki sama tam nie pójdę.

I właśnie to zamierzam zrobić. To idealna sposobność, żeby wyjść z domku i zacząć szukać informacji. Dzięki temu upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Zaczynam zbierać rzeczy i chować je do plecaka. Krem z filtrem przeciwsłonecznym i płyn do dezynfekcji rąk. Telefon. Butelkę wody. Na koniec pakuję mapę i zamykam plecak. Wychodząc, spoglądam wyzywająco w oko kamery z nadzieją, że Theo i Franny zobaczą to później.

Po drodze wstępuję do stołówki, żeby napełnić butelkę wodą i wziąć banana i batonik z ziarnami, gdybym zgłodniała. Przed budynkiem widzę dwie kobiety i mężczyznę. To pracownicy kuchni, którzy w przerwie między lunchem a obiadem palą papierosy w cieniu pod dachem. Jedna z kobiet macha ręką. Mężczyzna obok niej to ten sam gość z bródką, który

gapił się na mnie dziś rano. Jeśli wierzyć plakietce przypiętej do jego fartucha, ma na imię Marvin.

Teraz Marvin patrzy jakby przeze mnie na widoczne w oddali jezioro, gdzie odbywają się popołudniowe zajęcia nauki pływania. Na brzegu pełno jest dziewczyn w mniej lub bardziej odważnych strojach kąpielowych. Widząc, że mu się przyglądam, posyła mi uśmiech tak obleśny, że mam ochotę wyciągnąć z plecaka płyn do dezynfekcji.

– Patrzenie nie jest zabronione – rzuca.

Po tych słowach Marvin wskakuje na sam szczyt mojej listy potencjalnych podglądaczy. Właściwie jest jedynym podejrzanym. A do tego kiepskim. Przecież Marvin pracował w stołówce, zanim wyszłam stamtąd, żeby wziąć prysznic. I chociaż mógł za mną pójść, to wątpię, by nikt nie zauważył jego zniknięcia.

Poza tym może nikt wcale mnie nie podglądał.

Może.

– Może i nie jest zabronione, Marvinie. – Kładę nacisk na jego imię, żeby wiedział, że je znam. – Ale te dziewczyny mogłyby być twoimi córkami.

Marvin wyrzuca papierosa, gasi go pod podeszwą buta i wchodzi do środka. Kobiety chichoczą. Jedna z nich w milczeniu kiwa głową, jakby chciała mi podziękować.

Idę w stronę jeziora z plecakiem zarzuconym na ramię. Obok wieżyczki ratownika zauważam Mirandę ubraną w kostium, który ma odsłaniać jak najwięcej ciała.

Tego popołudnia ratownikiem jest Chet, co tłumaczy obecność Mirandy. Trzeba przyznać, że w swoich ray-banach i z gwizdkiem zawieszonym na szyi Chet prezentuje się znakomicie. Miranda gapi się na niego i śmieje się głośno z czegoś, co właśnie powiedział. Okręca na palcu kosmyk włosów

i stopą kreśli koła na piasku. Najwyraźniej zapomniała już o chłopaku, który złamał jej serce i zerwał z nią, wysyłając SMS-a. Lepiej, żeby Mindy jej nie zobaczyła, bo raczej nie uzna flirtowania z Chetem za przejaw dobrej zabawy.

Nieco dalej Sasha i Krystal leżą na dużym kocu plażowym. Ubrane w spodenki i koszulki polo kartkują bez entuzjazmu komiksy. Podchodzę do nich i na chwilę zasłaniam im słońce.

– Czy któraś z was zostawiła otwarte drzwi do domku?

– Nie – odpowiada Sasha. – Jak człowiek zostawi otwarte drzwi, wejdą robale powodujące różne choroby.

– To może uchylone?

– Nie – potwierdza Krystal. – Czemu pytasz?

Teraz, kiedy uprzątnęłam pióra, nie widzę powodu, żeby mówić im o ptakach. Sasha tylko by się przejęła. Dlatego pospiesznie zmieniam temat:

– Czemu nie pływacie?

– Bo nie chcę – rzuca Krystal.

– A ja nie umiem – przyznaje Sasha.

– Mogę cię nauczyć, jak będziesz chciała.

Sasha marszczy nos, a jej okulary unoszą się i opadają.

– W tej brudnej wodzie? Nie, dziękuję.

– Gdzie idziesz? – pyta Krystal, patrząc na mój plecak.

– Popływać kajakiem.

– Sama? – W głosie Sashy słychać niepokój.

– Taki mam plan.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Co roku około osiemdziesiąt siedem osób traci życie w wypadkach na kanu i kajakach. Sprawdzałam.

– Dobrze pływam. Myślę, że nic mi nie będzie.

– Bezpieczniej będzie, jeśli ktoś popłynie z tobą.

Krystal zatrzaskuje komiks i wzdycha.

– Panna Wikipedia próbuje powiedzieć, że chcemy płynąć z tobą. Nudzi nam się i nigdy dotąd nie pływałyśmy kajakiem.

– Tak – przytakuje Sasha. – Właśnie to miałam na myśli.

– To chyba nie jest dobry pomysł. To kawał drogi. No i trzeba będzie wędrować.

– Nigdy nie wędrowałam – mówi z ożywieniem Krystal. – Proszę, możemy pójść z tobą?

Sasha trzepocze rzęsami zza okularów.

– Prosimy!

Zamierzałam przeprawić się na drugą stronę jeziora i znaleźć miejsce, które Vivian zaznaczyła na swojej mapie. Sasha i Krystal tylko mnie spowolnią. A jednak odzywa się we mnie poczucie obowiązku. Franny mówiła, że otworzyła Camp Nightingale, żeby dziewczęta mogły doświadczyć czegoś nowego. W tej kwestii nic się nie zmieniło, nawet jeśli jestem na nią wściekła.

– Dobrze – mówię. – Włóżcie kamizelki ratunkowe i pomóżcie mi z kajakiem.

Sasha i Krystal robią, co im każę. Sięgają po brudne kamizelki wiszące z boku stojaków na kajaki. Wkładają je i pomagają mi zdjąć jedną z łódek. Jest cięższa, niż mogłoby się wydawać, i tak nieporęczna, że prawie ja upuszczamy. Przedstawiamy żałosny widok, kiedy chwiejąc się jak kaczki, niezgrabnie idziemy na brzeg jeziora. Krystal idzie z przodu, ja z tyłu, a Sasha pośrodku ukryta pod obróconym do góry dnem kajakiem, przez co widać tylko jej patykowate nogi.

Nasze wysiłki ściągają na nas uwagę Mirandy, która na chwilę traci zainteresowanie Chetem. Podchodzi do nas i pyta:

– A wy dokąd?

– Idziemy popływać kajakiem – odpowiada Sasha.

– I powłóczyć się – dodaję z nadzieją, że zniechęci ją perspektywa wędrówki.

Tymczasem Miranda ściąga brwi.

– Beze mnie?

– Chcesz płynąć z nami?

– Niezupełnie, tylko...

Urywa, ale dobrze wiem, o co jej chodzi. Nie chce być tą, którą się zostawia. Znam to uczucie.

– Idź się przebierz – mówię. – Zaczekamy na ciebie.

Kolejna osoba oznacza kolejny kajak. Kiedy więc Miranda biegnie do domku, żeby założyć szorty i tenisówki, Krystal, Sasha i ja przyciągamy na brzeg drugą łódkę. Miranda i Krystal siadają w jednym kajaku, a Sasha i ja w drugim. Wiosłami odpychamy się od brzegu i wypływamy na jezioro.

W naszym kajaku wiosłuję głównie ja. Siedzę z tyłu i zanurzam wiosło to z jednej, to z drugiej strony. Siedząca przede mną Sasha trzyma wiosło na kolanach i tylko od czasu do czasu zanurza je w wodzie.

– Jak myślisz, jak głębokie jest to jezioro? – pyta.

– Miejscami naprawdę głębokie.

– Trzydzieści metrów?

– Może.

Oczy dziewczynki powiększają się za szkłami okularów, a jej ręka odruchowo zaciska się na kamizelce.

– Dobrze pływasz, prawda?

– Tak – uspokajam ją. – Chociaż znam ludzi, którzy pływają lepiej.

Przepłynięcie na drugi brzeg zajmuje nam pół godziny. Zwalniamy, kiedy rosnące wzdłuż brzegu wysokie sosny kładą się cieniem na powierzchni jeziora. Ich postrzępione odbicia wydają się niegościnne. Tuż pod powierzchnią czają się resztki drzew zatopionych, kiedy woda wdarła się do doliny. Ich gałęzie, bezlistne i pobielałe niczym kości, zdają się wyciągać ku powietrzu, które jest poza ich zasięgiem. To niepokojący widok. Wszystkie te blade, splątane konary, między którymi przemykają brązowe jak błoto ryby. Ponieważ z powodu suszy poziom wody obniżył się, czasem gałęzie ocierają się o dno łódek jak paznokcie drapiące wieko trumny.

Z wody przed nami wyrastają kolejne drzewa. Choć nazwanie ich drzewami nie jest chyba szczególnie fortunne. Bardziej przypominają duchy drzew. Nagie i zbielałe od słońca. Uwięzione w otchłani pomiędzy wodą i ziemią. Pozbawione kory, liści, gałęzi, smutne, łamliwe patyki.

Minąwszy cmentarzysko drzew, dopływamy do brzegu. Tu, w przeciwieństwie do równiny, na której zbudowano Camp Nightingale, teren wznosi się gwałtownie ku widocznym w oddali zaokrąglonym szczytom. Tutejsze drzewa górują nad wodą. To głównie sosny, ich gałęzie splatają się, tworząc jasnozieloną ścianę, lekko falującą na bryzie wiejącej od strony jeziora.

Na prawo od nas z wody wystaje sterta kamieni. Wyglądają dziwnie nie na miejscu, jakby jeden po drugim stoczyły się z góry i zatrzymały właśnie tutaj. Za nimi widzę klif z ziemią nadgryzaną przez żywioły. Małe, nieustępliwe pnącza czepiają się jego ściany, a spomiędzy nich wyglądają pasy złóż mineralnych. Na szczycie klifu rosną drzewa; niektóre z nich pochylają się do przodu, jakby zamierzały skoczyć.

– Coś widzę – mówi Miranda i wskazuje niszczejącą budowlę nieco dalej nad brzegiem jeziora.

Ja też ją widzę. To altana. Albo raczej coś, co kiedyś nią było. Teraz to rozchwierutana konstrukcja z rozszczepionego drewna powoli zarastająca chwastami. Deski podłogowe zapadły się. Dach lekko się przechylił. Nie jestem pewna, ale to może być domek, który Vivian zaznaczyła na swojej mapie.

Zaczynam wiosłować w jego stronę. A za mną Miranda. Na brzegu wychodzimy z łódek, odkładamy wiosła i zdejmujemy kamizelki. Wciągamy kajaki na brzeg, żeby podmyte przez wodę nie odpłynęły bez nas. Biorę plecak i wyciągam mapę.

– Co to? – pyta Sasha.

– Mapa.

– Dokąd prowadzi?

– Jeszcze nie wiem.

Ściągam brwi i patrzę na las przed nami. Jest gęsty i ciemny. Pełen ciszy i cieni. Teraz, kiedy dotarłyśmy na drugi brzeg jeziora, nie mam pojęcia, co robić. Mapa Vivian nie jest szczegółowa, a jej dokładność pozostawia wiele do życzenia.

Wodzę palcem od miejsca, które może-ale-niekoniecznie-musi-być-altaną, do postrzępionych trójkątów w pobliżu. Zakładam, że to skały. To znaczy, że musimy kierować się na północny-wschód, a gdy do nich dojdziemy, skręcimy na północ, aż dotrzemy do miejsca oznaczonego X.

Ruszamy więc. Otwieram kompas w aplikacji, którą ściągnęłam rankiem w dniu, kiedy wyjeżdżałam na obóz, i obracam telefon, aż wskazuje północ. Chwilę później zrywam garść kwiatów i wszystkie cztery wchodzimy do lasu.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

– Idziemy – powiedziała Vivian.

– Dokąd?

Leżałam skulona na łóżku, czytając sfatygowany egzemplarz *Nostalgii anioła*, który przywiozłam z domu. Podniosłam wzrok znad książki i zobaczyłam Vivian stojącą przy drzwiach. Miała na szyi czerwoną apaszkę, a na głowie słomkowy kapelusz Allison.

– Po przygodę – odparła. – Poszukać zakopanego skarbu.

Zamknęłam książkę i zwlokłam się z łóżka. Bo cóż innego mogłabym zrobić? Byłam tu od niedawna, ale zdążyłam się już przekonać, że Vivian zawsze dostaje to, co chce.

– Allison będzie potrzebowała kapelusza – zauważyłam. – Wiesz, jak chroni głowę przed słońcem.

– Allison nie idzie. Natalie też. Tylko ty i ja.

Nie raczyła powiedzieć, dokąd właściwie się wybieramy, a ja, nie pytając, poszłam za nią. Wsiadłyśmy do kajaka i popłynęłyśmy na drugi brzeg jeziora. Przez całą drogę zmagałam się z wiosłem.

– Coś mi mówi, że nigdy dotąd nie pływałaś kajakiem – odezwała się Vivian.

– Ale pływałam łodzią wiosłową – odparłam. – To się liczy?

– To zależy. Po jeziorze?

– Po stawie w Central Parku. Raz, z Heather i Marissą.

Mało brakowało, a opowiedziałabym jej, jak rozkołysałyśmy łódkę tak mocno, że Heather wpadła do wody, ale w porę przypomniałam sobie, że siostra Vivian utonęła. Vivian nie powiedziała mi, gdzie to się stało. Ani jak. Ani nawet kiedy. Mimo to nie chciałam poruszać tego tematu nawet w niewinnej rozmowie. Milczałam, aż dopłynęłyśmy do trawiastego brzegu, na którym rosły lilie tygrysie.

Vivian zrobiła z nich bukiet. Kiedy weszłyśmy do lasu, zaczęła obrywać płatki i rzucać je na ziemię.

– Zawsze znacz ścieżkę okruchami chleba – powiedziała. – Żebyś znalazła drogę powrotną. Tego nauczyła mnie Franny, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy. Chyba bała się, że się zgubię.

– Dlaczego?

– Bo często oddalałam się od obozu.

To mnie nie zaskoczyło. Osobowość Vivian była zbyt duża, żeby zdołała zmieścić się w ciasnej przestrzeni obozu. Te wszystkie lekcje gry w tenisa i rękodzielnictwa. Zauważyłam, jak na takie pomysły reagowała znudzonym westchnieniem.

Upuściła na dróżkę kolejny płatek, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam inne, znaczące naszą drogę. Były jak małe pomarańczowe ślady, które zostawiałyśmy za sobą i które w końcu zaprowadzą nas do domu.

– Dwie prawdy i kłamstwo – powiedziała Vivian, obrywając kolejny płatek i upuszczając go na ziemię. – Ja pierwsza. Jeden: raz w metrze zboczeniec pokazał mi fiuta. Dwa: mam piersiówkę z whiskey ukrytą pod materacem. Trzy: nie umiem pływać.

– Drugie – odparłam. – Zauważyłabym, gdybyś ukradkiem coś popijała.

Pomyślałam o matce i o tym, jak czuć było od niej alkoholem, kiedy odbierała mnie ze szkoły. Guma miętowa nie była w stanie zamaskować

woni wina. A nawet gdyby, i tak już wtedy bez problemu rozpoznawałam jej lekko zamglony wzrok, kiedy wypiła za dużo.

– Spostrzegawcza jesteś – zauważyła Vivian. – Dlatego chciałam, żebyś to zobaczyła.

Dotarłyśmy do potężnego dębu, którego silne, rozłożyste gałęzie tworzyły gęsty baldachim. W korze wycięto znak X równie duży i wyraźny, jak ten, który wyryła Vivian na wieku swojego kufra. Pod drzewem leżała sterta liści, a pod nią coś jeszcze.

Vivian odgarnęła liście, odsłaniając stare, gnijące, drewniane pudełko. Czas zdarł z wieka lakier, pozwalając, by woda i słońce dokończyły dzieła zniszczenia, przez co tu i ówdzie na drewnie pojawiły się plamy wilgoci i przebarwienia. W rezultacie pudełko wyglądało niczym kolorowy patchwork.

– Fajne, nie? – spytała Vivian. – Takie stare.

Musnęłam palcami wieko i poczułam żłobienia w drewnie. Z początku pomyślałam, że to kolejne uszkodzenia, które powstały z upływem czasu. Lecz kiedy przyjrzałam się bliżej, zauważyłam wyryte w drewnie dwie litery. Były tak niewyraźne, że trudno je było zauważyć. Dopiero gdy się pochyliłam i poczułam w nosie woń pleśni i gnijącego drewna, zdołałam je odczytać.

CC

– Gdzie to znalazłaś?

– Rok temu woda wyrzuciła pudełko na brzeg.

– To wtedy oddaliłaś się od obozu?

Vivian uśmiechnęła się znacząco najwyraźniej zadowolona z siebie.

– Oczywiście. Bóg jeden wie, ile czasu przeleżało w jeziorze. Przeniosłam je tutaj, w bezpieczne miejsce. No, dalej, otwórz je.

Uniosłam wieko. Drewno było tak delikatne i nasiąknięte wodą, że bałam się, że rozpadnie mi się w rękach. Wnętrze skrzyni wysłane było materiałem, który kiedyś mógł być zielonym aksamitem. Nie miałam pewności, bo teraz był w strzępach i wyglądał jak ciemne, skórzaste pasy.

W środku leżało kilka par nożyczek. Starych, z ozdobnymi otworami na palce i cienkimi ostrzami zwężającymi się ku czubkom jak bocianie nogi. Podejrzewałam, że wykonano je ze srebra, choć spatynowane miały kolor oleju silnikowego. Śrubki pokryły się rdzą. Wzięłam jedne z nożyczek i spróbowałam je otworzyć, lecz ani drgnęły. Czas sprawił, że stały się bezużyteczne.

– Jak myślisz, do kogo należały?

– Do jakiegoś szpitala albo coś. Na dole jest nazwa. – Zamknęła wieczko i podniosła pudełko. Kiedy odwróciła je do góry dnem, nożyczki zagrzechotały niczym odłamki potłuczonego szkła. – Widzisz?

Na spodzie pudełka maleńkimi, niemal niewidocznymi literami wyryto słowa: *Własność Peaceful Valley*.

– Ciekawe, jak się tu znalazło.

Vivian wzruszyła ramionami.

– Pewnie ktoś wrzucił je do jeziora. Dziesiątki lat temu.

– Pytałaś o nie Franny?

– Nie ma mowy. Chcę, żeby pozostało tajemnicą. Wiem o nim tylko ja. I teraz ty.

– Czemu mi je pokazałaś?

Spojrzałam na pudełko. Kosmyk włosów opadł mi na twarz. Vivian pochyliła się i zatknęła mi go za ucho.

– Jestem twoją wakacyjną starszą siostrą, pamiętasz? – odparła. – Tak robią starsze siostry. Dzielimy się rzeczami. Rzeczami, o których nikt inny nie wie.

16

Idę przez las jako pierwsza, staram się nie skręcać i co rusz zerkam na drgającą igłę kompasu. Kiedy nie patrzę na aplikację, rozglądam się dookoła, wypatrując miejsc, w których ktoś mógłby się ukryć. Chociaż jesteśmy daleko od obozu, nie opuszcza mnie uczucie, że ktoś nas obserwuje. Patrzę podejrzliwie na każde zarośla i jestem nieufna wobec każdego cienia, który rozciąga się na ziemi. Na dźwięk ptasiego skrzeku mam ochotę się skulić.

„Weź się w garść, Em – powtarzam sobie. – Poza waszą czwórką nie ma tu nikogo”.

Nie wiem tylko, czy świadomość ta sprawia, że czuję się lepiej, czy gorzej.

Nawet jeżeli dziewczyny zauważają moją nerwowość, to nie odzywają się ani słowem. Krystal i Sasha idą za mną. Od czasu do czasu Sasha wykrzykuje nazwy rozpoznawanych drzew.

Na końcu idzie Miranda, obrywa płatki zebranych przeze mnie kwiatów i w regularnych odstępach upuszcza je na ziemię.

– Czemu muszę to robić? – pyta.

– Zawsze znacz ścieżkę okruchami chleba – odpowiadam. – Dzięki temu znajdziemy drogę powrotną.

– Skąd? – pyta Krystal.

– Rozpoznam to miejsce, kiedy je znajdę.

Teren wznosi się. Z początku nieznacznie, tak że nie sposób tego dostrzec pod warstwą opadłych bursztynowych liści z ubiegłej jesieni. O tym, że idziemy pod górę, przypominają nam tylko ból mięśni i coraz cięższe oddechy. Niebawem jednak robi się bardziej stromo i idziemy pochylone do przodu, przygarbione na lekko ugiętych nogach. Po drodze mijamy giętkie, młode drzewka i chwytając się ich, przemy pod górę.

– Chcę wracać – marudzi zdyszana Krystal.

– Ja też – wtóruje jej Sasha.

– Uprzedzałam was, że czeka nas wędrówka – przypominam im. – Hej, zagrajmy w coś. Zamiast w dwie prawdy i kłamstwo zagrajmy w prawdę. Powiedzcie mi, tylko szczerze, co chciałybyście robić za dwadzieścia lat.

Zerkam przez ramię na Sashę, która szybko opada z sił.

– Ty pierwsza – zwracam się do niej. – Wiesz już, co chciałabyś robić?

– Mnóstwo rzeczy – odpowiada i poprawia okulary. – Chcę być profesorem. Naukowcem. Może astronautką, jeśli do tej pory nie skolonizujemy Marsa. Lubię mieć różne opcje.

– A ty, Krystal?

Krystal nie musi się zastanawiać. Odpowiedź jest oczywista.

– Chcę pracować dla Marvela. Mam nadzieję, że będę ilustratorką komiksów o superbohaterce, którą sama wymyślę.

– Czemu tak bardzo lubisz komiksy? – pyta Sasha.

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że większość superbohaterów to na początku normalni ludzie, tacy jak my. Nudni i nieśmiali.

– Mów za siebie – wtrąca Miranda.

– Jak wszyscy oprócz ciebie – poprawia się Krystal, próbując ją ugłaskać. – Dopiero jakieś wydarzenie sprawia, że ci zwykli ludzie

uświadamiają sobie, że są silniejsi, niż im się wydawało. Nagle zaczynają wierzyć, że mogą wszystko. I postanawiają pomagać innym.

– Wolę normalne książki – rzuca Miranda. – Wiecie, takie bez obrazków.

W drodze na górę wyprzedziła Krystal i Sashę i idzie obok mnie. Z nas wszystkich ona jedna nie wydaje się zmęczona wspinaczką.

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby zostać pisarką? – pytam ją. – Skoro tak dużo czytasz.

– Będę policyjnym detektywem jak mój wujek – mówi. – Po co pisać o zbrodniach, skoro można ich tajemnice rozwiązywać w prawdziwym życiu?

– To się nazywa superbohater – mruczy z satysfakcją Krystal.

Miranda wyrywa naprzód do miejsca, gdzie teren w końcu nieco się wyrównuje, i czeka na nas cierpliwie. Dotarłszy na szczyt, zatrzymujemy się, żeby złapać oddech i rozejrzeć się po okolicy. Na prawo skrawki błękitnego nieba przeświecają spomiędzy gałęzi. Odruchowo ruszam w ich stronę, podążając za światłem, które wylewa się zza drzew na wąski pasek skalistej ziemi. Nieco dalej teren opada gwałtownie i przez jedną przyprawiającą o zawrót głowy chwilę myślę, że zaraz runę w dół. Chcąc odzyskać równowagę, chwytam się najbliższego drzewa i spoglądam na swoje stopy, żeby upewnić się, że stoję na pewnym gruncie.

Kiedy dziewczyny dołączają do mnie, jedna z nich – myślę, że Miranda – gwiżdże z podziwem.

– Ooojaaacie – mówi Krystal, przeciągając samogłoski. Słychać, że jest zachwycona.

Spoglądam na horyzont i widzę to, co one. Uświadamiam sobie, że jesteśmy na szczycie wzgórza, które widziałam z łódki, tego, które góruje nad kamiennym klifem. Widok przed nami zapiera dech w piersi. W dole

rozciąga się jezioro Midnight upstrzone słonecznymi cętkami. Z tej wysokości widzę kształt linii brzegowej, która skręca do wewnątrz, i miejsce, w którym zwęża się w stronę tamy.

Naprzeciw nas gdzieś w oddali majaczy niewyraźny Camp Nightingale. Z tej odległości obóz wydaje się taki mały. Wręcz miniaturowy. Jak coś umieszczonego w samym środku makiety.

Wyciągam mapę z kieszeni i rzucam na nią okiem. Vivian nie zaznaczyła na niej klifu, na którym stoimy. Patrząc na prymitywne oznaczenia, wnioskuję, że jesteśmy niedaleko trójkątnych skał. I rzeczywiście, kiedy się odwracam i patrzę na północ, widzę gęsty las, a w nim skały.

Zbliżam się, choć nadal nie wiem do czego.

Skały na mapie Vivian różnią się od tych, które widzę. W rzeczywistości to głazy. Są ich dziesiątki. Ogromne kamienie, które z każdym krokiem zdają się rosnąć w oczach. Wyglądają na tak ciężkie, że zastanawiam się, jak to możliwe, że ziemia utrzymuje ich ciężar. Leżą jeden obok drugiego, pnąc się w górę wzniesienia podobnego do tego, na które właśnie weszłyśmy.

Dziewczyny wyglądają przy nich jak dzieci na placu zabaw dla olbrzymów.

– Założę się, że kiedyś były częścią szczytu górskiego – mówi Sasha i wdrapuje się na kamień dwukrotnie od niej większy. – Woda w szczelinach zamarzła i rozsadziła je, a lodowce zabrały je na dół. Stąd się tu wzięły.

Mimo wszystko niepokoją mnie te głazy. Patrząc na nie, myślę o ludziach, którzy uszli z życiem z doliny. Wyobrażam ich sobie podczas pełni księżyca, jak wypełzają zza kamieni i ruszają na poszukiwanie

nowych ofiar. Chcąc odegnać od siebie te myśli, zerkam na kompas i na mapę, żeby upewnić się, że jesteśmy we właściwym miejscu. Jesteśmy.

– Hej, dziewczyny – rzucam. – Musimy iść dalej.

Przeciskam się między dwoma głazami i omijam następny. Dopiero wtedy dostrzegam kolejną skałę nieco wyżej wzniesienia. Jest większa od pozostałych. To monolit.

Wysoki niemal na dwa piętra wyrasta z ziemi jak ogromny nagrobek. Jego bok, ten, na który patrzę, jest niemal płaski. Kamienna tafla przecięta ukośną szczeliną, nieco szerszą u góry. Ze szczeliny wyrasta drzewo, jego korzenie owijają się wokół skały w poszukiwaniu gleby. Obok drzewa, zaglądając pomiędzy jego gałęzie, stoi Sasha.

Krystal podchodzi do głazu i ogląda się na mnie.

– Hej – rzuca.

– Co tam robicie?

– Eksplorujemy – odzywa się Sasha.

– Wolałabym, żebyście tam nie wchodziły – mówię. – Gdzie Miranda?

– Tutaj.

Głos Mirandy dobiega z północno-zachodniej strony wielkiego głazu. Wydaje się rozmyty niczym echo. Podążam za nim, podczas gdy Sasha i Krystal schodzą po drugiej stronie monolitu. Z tej strony też jest pęknięcie. Biegnie prostą linią i rozszerza się ku dołowi. Trzydzieści centymetrów od ziemi tworzy dziurę na tyle szeroką, że bez problemu mógłby wpełznąć do niej człowiek.

Albo też, jak w przypadku Mirandy, wypełznąć. Dziewczyna podnosi się z ziemi, na kolanach i łokciach ma plamy błota.

– Chciałam zobaczyć, co tam jest.

– Pewnie niedźwiedzie albo węże – mruczy Sasha.

– Właśnie – przytakuję. – Koniec z eksplorowaniem. Zrozumiano?

– Tak, psze pani – rzuca Krystal.

– Zrozumiano – dodaje Sasha.

Miranda prostuje się i opiera ręce na biodrach.

– A nie po to tutaj przyszłyśmy? – pyta.

Nie odpowiadam, zbyt zajęta patrzeniem w dal. Zaciekawiona przechylam głowę i mrużę oczy. W oddali, za plecami Mirandy widzę coś, co przypomina ruiny. Dostrzegam zmurszałą kamienną ścianę i skierowaną w niebo złamaną, drewnianą belkę.

Zaczynam iść w ich stronę. Słyszę za sobą kroki dziewcząt. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że to pozostałości dawnej stodoły albo wiejskiego domu. Ściany obróciły się w stertę kamieni, wśród których wciąż można odróżnić prostokąt fundamentów. W środku spomiędzy tego, co pozostało po dachu i podłodze, wyrastają sosny.

W znacznie lepszym stanie jest piwniczka do przechowywania zbiorów stanowiąca część pobliskiego zbocza. Nie ma dachu, tylko lekko zaokrąglony kopiec ziemi. W zbudowanej z polnych kamieni ścianie frontowej mieszczą się drewniane drzwi. Są na głucho zamknięte zardzewiałą zasuwą.

– Trochę tu upiornie – mówi Sasha.

– Właśnie, że fajnie – rzuca Miranda.

– Fajnie i upiornie – odzywa się Krystal. – Wygląda jak domek hobbita z *Władcy pierścieni*.

Ja jednak myślę o innej, znacznie bardziej złowieszczej bajce. Opowieści o zatopionej dolinie i nielicznych ocalałych, którzy ukryli się w lesie, pałając żądzą zemsty. Może w legendzie, którą opowiedziała mi Casey, jest ziarno prawdy. Ktoś bowiem mieszkał na tych wzgórzach. Świadczą o tym fundamenty i piwniczka w ziemi. I choć nie ma dowodów

na to, że byli to ludzie z opowieści Casey, czuję na skórze nieprzyjemne mrowienie i dostaję gęsiej skórki.

– Powinnyśmy...

Iść. Oto, co zamierzałam powiedzieć. Urywam jednak na widok potężnego dębu pięćdziesiąt metrów dalej. Drzewo jest wielkie, a jego grube konary rozłożyste. Na jego pniu widnieje znajoma litera.

X

Od razu wiem, że to nie to samo drzewo, do którego przyprowadziła mnie Vivian piętnaście lat temu. Zapamiętałabym ruiny i piwniczkę w ziemi. Nie, to inne drzewo i inny X. A jednak mam wrażenie, że oba znaki wycięła w drewnie ta sama ręka.

– Zostańcie tu – zwracam się do dziewczyn. – Zaraz wrócę.

– Możemy zajrzeć do domu hobbita? – pyta Miranda.

– Nie. Nigdzie się nie ruszajcie.

Pałętają się bez celu w pobliżu ruin, podczas gdy ja podchodzę do drzewa i oglądam jego pień. Przy kolejnym kroku słyszę pod stopami stłumiony, pusty dźwięk.

Coś tam jest.

Upadam na kolana i zaczynam rozgarniać rękami nagromadzone przez lata suche liście, aż w końcu czuję pod palcami chłodną ziemię, spod której stopniowo wyłania się coś brązowego i wilgotnego.

Drewno. Sosnowa deska, zbrązowiała po przeszło dziesięciu latach leżenia w ziemi. Kopię jeszcze przez chwilę, po czym wsuwam palce pod deskę i wyciągam ją. Jej spód pokryty jest pleśnią i błotem. Widzę kilka robaków, które czmychają przerażone. Pod deską w dziurze wielkości pudełka na buty znajduję żółtą reklamówkę, w którą zawinięto prostokątny przedmiot.

Sięgam do reklamówki i czuję pod palcami plastik. To woreczek do zamrażania ze strunowym zamknięciem. Przez przezroczystą folię dostrzegam skórzaną, zieloną oprawę i krawędzie kartek zabezpieczone podwójną warstwą plastiku.

Książka.

Zaglądam do żółtej reklamówki i sprawdzam, czy nie ma w niej czegoś jeszcze. Znajduję drugi woreczek do zamrażania, pusty i zmięty, oraz kosmyk włosów. Odkładam go na ziemię, ostrożnie otwieram drugi woreczek i wyjmuję książkę. Wydaje się wiotka i miękka po tym, jak przez piętnaście lat leżała w ziemi, która zamarzała, tajała i znowu zamarzała. Mimo to udaje mi się otworzyć ją na pierwszej stronie, na której widnieje czyjeś chaotyczne, pełne zawijasów pismo.

Pismo Vivian.

– Co robisz? – woła Miranda.

Zamykam książkę i chowam ją do plecaka z nadzieją, że skutecznie zasłaniam dziewczynom widok na to, co robię.

– Nic – odkrzykuję. – Nie tego szukałam. Wracajmy.

Wkładam puste woreczki z powrotem do dziury, którą przykrywam deską. Stopą nagarniam na nią ziemię i liście, bardziej z szacunku dla Vivian niż z ostrożności. Chcę, żeby jej sekret był bezpieczny. Bo cokolwiek jest w książce, zdaniem Vivian było na tyle ważne, że postanowiła to ukryć na drugim brzegu jeziora, byle dalej od ciekawskich oczu i Camp Nightingale.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

– Dwie prawdy i kłamstwo – powiedziała Vivian, kiedy wiosłując, wracałyśmy do obozu. – Twoja kolej.

Zanurzyłam wiosło w wodzie i napięłam mięśnie rąk. Vivian nie tylko była ode mnie starsza, była też silniejsza. Z każdym pociągnięciem jej wiosła musiałam pracować jeszcze mocniej, żeby dotrzymać tempa. A i tak mi się to nie udawało. W rezultacie nasz kajak zamiast płynąć prosto, posuwał się zygzakiem.

– Musimy to robić teraz? – spytałam między kolejnymi oddechami.

– Nie musimy – odparła. – Tak jak nie muszę mówić Allison i Natalie, że bałaś się zagrać, chociaż pewnie i tak to zrobię.

Wierzyłam jej i dlatego postanowiłam zagrać. Nie dbałam o to, co myślą o mnie Allison i Natalie. Liczyła się wyłącznie opinia Vivian. A ostatnie, czego chciałam, to żeby pomyślała, że czegokolwiek się boję.

– Jeden: raz moja matka upiła się tak bardzo, że straciła przytomność w windzie budynku, w którym mieszkamy – zaczęłam. – Dwa: nigdy nie całowałam się z chłopakiem. I trzy: uważam, że Theo jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam.

– Oszukujesz – rzuciła Vivian śpiewnym głosem. – Wszystko to prawda.

Właściwie miała rację. Moja matka odpłynęła, czekając na windę. Znalazłam ją leżącą twarzą do ziemi w korytarzu. Chrapała, a z jej ust sączyła się na wykładzinę strużka śliny.

– Ale niech ci będzie – ciągnęła Vivian. Wyjęła wiosła z wody i odłożyła je na bok. – Tylko ten jeden raz. I tylko dlatego, że wcześniej nie zgadłaś mojego kłamstwa.

– Nie sądzę – bąknęłam. – Jestem pewna, że nie trzymasz piersiówki pod materacem. Poza tym widziałam, że nie umiesz pływać.

– No to patrz.

Nagle wstała, a kajak zachybotał się, kiedy zaczęła zrzucać ubrania. Nie miała pod nimi kostiumu kąpielowego. Tylko perłowy stanik i majtki w tym samym kolorze, jedwabne i błyszczące w promieniach zachodzącego słońca. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wskoczyła do jeziora, kołysząc łódką tak bardzo, że przez chwilę pomyślałam, że ja także wpadnę do wody. Krzyknęłam, chwyciłam się burty i czekałam, aż kajak przestanie się kołysać.

Dopiero po chwili zobaczyłam, że Vivian tnie wodę niczym nóż. Jej ruchy były szybkie, płynne i eleganckie. Opalone plecy zdawały się płaskie, podczas gdy ramiona wznosiły się i opadały. Stopy uderzały w taflę wody silnymi, krótkimi ruchami. Włosy Vivian przypominały śmietankę na powierzchni kawy. Wyglądała jak syrena.

Kiedy w końcu wynurzyła się, żeby zaczerpnąć powietrza, była trzy metry od kajaka.

– Zaczekaj – rzuciłam. – Naprawdę potrafisz pływać?

Uśmiechnęła się. Był to krzywy, szelmowski uśmieszek, zaróżowiony od błyszczyka.

– No, ba – odparła.

– Ale tamtego dnia...

Zamilkłam, bo Vivian na powrót zniknęła pod wodą. Zaraz potem wynurzyła się, a z jej zaciśniętych ust niczym fontanna wystrzelił w górę strumyczek wody.

– Powiedziałaś Theo, że nie umiesz – dokończyłam.

– Nie możesz wierzyć we wszystko, co ci mówię, Em.

Wróciłam wspomnieniami do tego, co wydarzyło się tamtego dnia nad jeziorem. Do paniki. Plusku. Vivian, która wodząc dookoła przerażonym wzrokiem, młóciła wodę rękami. Przypomniałam sobie Beccę. Obiektyw jej aparatu wycelowany był w to, co działo się na jeziorze, ale jej uwaga skupiona była na mnie.

Mówiłam ci.

– Myślałam, że toniesz – warknęłam. – Wszyscy myśleliśmy. Po co miałabyś kłamać?

– A czemu nie?

– Bo to nie była jedna z twoich głupich gierek!

Vivian westchnęła i zaczęła płynąć z powrotem do łódki.

– Wszystko jest grą, Em. Czy o tym wiesz, czy nie. A to znaczy, że czasami kłamstwo jest czymś więcej niż tylko kłamstwem. Czasami to jedyny sposób, żeby wygrać.

17

Kolacja jest torturą, nie tylko z powodu paskudnego jedzenia – gumowatej pizzy i frytek. Chociaż nie jadłam nic przez cały dzień, nie jestem w stanie przełknąć niczego oprócz ociekających tłuszczem frytek. Myślę wyłącznie o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domku i dowiedzieć się, co jest w książce zakopanej przez Vivian. A to wymaga prywatności, która w Camp Nightingale jest towarem deficytowym.

Gdybym opuściła kolację, dziewczynki nabrałyby jeszcze większych podejrzeń. W drodze powrotnej przez jezioro zasypywały mnie pytaniami o mapę, skały i o to, dlaczego tak bardzo oddaliłyśmy się od obozu. Moje zdawkowe, niechętne odpowiedzi bynajmniej nie zaspokoiły ich ciekawości. Dlatego zmuszam się do pójścia do stołówki i odkładam czytanie książki do czasu, aż moje współlokatorki pójdą na ognisko.

Idę z tacą do stolika, który zdążył już zdobyć miano „stołu dla dorosłych”. Dziś wieczorem stołówka jest pełna. Są w niej wszystkie opiekunki i instruktorki, nawet Becca. Siedzi z dala od innych z nosem w telefonie. Chyba myśli, że nie ma mi nic więcej do powiedzenia. Ja tak nie uważam.

Zajmuję miejsce w drugim końcu stołu, gdzie Casey przysłuchuje się opiekunkom grającym w „zaliczyć, porzucić, poślubić”. Dobrze pamiętam tę grę, bo piętnaście lat temu grałam w nią z Vivian, Natalie i Allison. Tyle że Vivian nazwała ją bardziej brutalnie – „przelecieć, poślubić, ukatrupić”.

Opiekunki dokonują wyboru między mężczyznami z Camp Nightingale, a ja rzucam Casey spojrzenie, które zdaje się mówić: „Czy to nie głupia, seksistowska gra?”. Podejrzewam jednak, że ona również zastanawia się nad odpowiedziami, podobnie jak ja.

– Zaliczam Cheta, porzucam dozorcę, a poślubiam Theo – oświadcza opiekunka imieniem Kim albo Danica.

– To chyba konserwator – zauważa inna.

– Dozorca – wyjaśnia Casey. – Od lat pracuje dla rodziny. Jest trochę przerażający, ale ma w sobie coś pociągającego. To jego bym zaliczyła.

Obie opiekunki sprawiają wrażenie zgorszonych i zdumione rozdziawiają usta.

– Wolisz jego od Cheta i Theo?

– Jestem realistką. Mindy nawet na chwilę nie spuszcza Cheta z oka. – Mówiąc to, szturcha mnie łokciem. – A Emma zagięła parol na Theo.

– Bzdura – rzucam. – Jest wasz.

– Ale chodzą słuchy, że wybraliście się na piknik do lasu.

Siedząca przy drugim końcu stołu Becca podnosi głowę. Patrzy na mnie odrobinę za długo, po czym z powrotem wbija wzrok w telefon.

– Nadrabialiśmy zaległości – tłumaczę. – Nie widzieliśmy się od lat.

– Jasne – rzuca Casey, a zaraz potem nachyla się w moją stronę i szepcze: – Później będziesz mogła opowiedzieć mi wszystko z najbardziej pikantnymi szczegółami.

Widzę Mindy, która wchodzi do stołówki i kieruje się w naszą stronę. Uśmiecha się, co niekoniecznie oznacza dobre wieści. Zdążyłam się już przekonać, że Mindy to jedna z tych dziewczyn, których uśmiech bywa ostry i niebezpieczny jak kosa.

– Cześć, Emmo – rzuca bez śladu życzliwości. – Następnym razem, kiedy postanowisz zniknąć na całe popołudnie, będę wdzięczna, jeśli komuś o tym powiesz. Franny również. Zmartwiła się, kiedy usłyszała, że opuściłaś obóz z grupą dziewcząt, nie mówiąc nikomu, dokąd się udajecie.

– Nie wiedziałam, że to konieczne.

– Bo tak nie jest – cedzi Mindy. – Ale tego wymaga uprzejmość.

– Skoro interesuje was, z kim i dokąd się wybieram, to informuję, że wybrałam się na kajaki z dziewczętami z mojej chatki.

Zakładam, że Mindy wie o kamerze i o całej reszcie. Zwłaszcza kiedy mówi:

– Trudno nie zauważyć, kiedy grupa obozowiczek nagle znika. O czym sama dobrze wiesz.

Stoi tam zadowolona z siebie, a jej kolejny krok uzależniony jest od tego, jak zareaguję. Wiem, bo tak samo robiła Vivian. Postanawiam więc zrobić coś, czego kompletnie się nie spodziewa.

– Usiądź z nami – mówię nienaturalnie radosnym tonem. – Zjedz frytki. Są taaakie pyszne.

Wyciągam w jej stronę zwiędłą frytkę, z której skapuje tłuszcz. Mindy patrzy na nią z nieumiejętnie skrywanym obrzydzeniem. Podejrzewam, że od gimnazjum nie tknęła tłuszczów trans.

– Nie, dzięki. Muszę wracać do Domu.

– Nie spróbujesz nawet jednej? – szczebiocę. – Jeśli przejmujesz się kaloriami, to niepotrzebnie. Wyglądasz... dobrze.

Wieczorem czekam, aż dziewczyny pójdą na ognisko, i dopiero wtedy kładę się na łóżku z marną kolekcją przekąsek wyjętych z plecaka.

Pogryzając w zamyśleniu batonika z granoli, otwieram książkę zakopaną w ziemi przez Vivian.

Na pierwszej stronie widzę datę zapisaną jej charakterem pisma.

Pierwszy dzień obozu. Piętnaście lat temu.

To nie książka. To pamiętnik.

Pamiętnik Vivian.

Wstrzymuję oddech, a zaraz potem wypuszczam powietrze i zaczynam czytać.

22 lipca

No i proszę, wróciłam do Camp Nightingale na kolejne sześć tygodni. Nie powiem, że się cieszę, w przeciwieństwie do Pana Senatora i Pani Senatorowej, którzy wprost NIE POSIADALI SIĘ ZE SZCZĘŚCIA, kiedy powiedziałam im, że wolę spędzić wakacje tutaj, zamiast łajdaczyć się w Europie z Brittney, Patricią i Kelly. Gdyby tylko wiedzieli, że zrobiłabym wszystko, żeby razem z nimi być w Amsterdamie i migdalić się z jakimś nieogolonym niedoszłym DJ-em za lufkę zioła.

Wszyscy myślą, że uwielbiam to miejsce. Nic podobnego. To miejsce mnie przeraża. Przeraża mnie, odkąd przyjechałam tu po raz pierwszy. Jest w nim coś upiornego.

Ale muszę tu być. Jeszcze to jedno lato. Jak mawiają w tych gównianych filmach, które tak bardzo lubi oglądać Pan Senator: „mam tu pewne niedokończone sprawy”. Tylko czy uda mi się je dokończyć? Oto pytanie, które kładzie się cieniem na całym lecie. Przed wyjazdem zadałam je głupiej magicznej kuli numer 8, którą tak bardzo kochała Katherine. Wszystko wskazywało na to, że „tak”.

Tymczasem jutro będę miała przyjemność wysłuchać, jak F po raz setny wygłasza swoje przeklęte przemówienie. To takie żałosne, kiedy dokłada wszelkich starań i próbuje zgrywać równą babkę, choć przecież wszyscy wiedzą, jaka jest bogata. Nie oszukasz nas, kurwa! A przynajmniej nie na długo.

Nat i Ali już tu są. Nadal czekamy na czwartą współlokatorkę. Mam nadzieję, że dolne łóżko pozostanie puste. To znacznie ułatwi nam sprawę, zwłaszcza mnie. Jeśli nie, przystanę na Theodore'a. Mogłabym spać nad nim każdego cholernego dnia. Mój Boże, wygląda świetnie. Nie zrozumcie mnie źle, Theo zawsze wygląda świetnie. Ale teraz wygląda RE-WE-LA-CYJ-NIE. Zasługuje nawet na dwanaście wykrzykników.

!!!!!!!!!!!

Weź się w garść, Viv. Niech cię nie rozproszy ta cała RE-WE-LA-CJA. Masz zadanie do wykonania. Theo nie jest jego częścią. Chyba że zajdzie taka konieczność. Słodki Jezu, mam nadzieję, że tak się nie stanie.

Aktualizacja: Jest po obiedzie. Czwarta współlokatorka nie dotarła. Trzymam kciuki, żeby już tak zostało.

Aktualizacja #2: Czwarta współlokatorka właśnie weszła do domku. Jest nowa. Czas ją sterroryzować albo się z nią zaprzyjaźnić. Jeszcze nie zdecydowałam.

23 czerwca

Dziś pokazałam Nowej, co i jak. Ktoś musiał. To nie jest miejsce dla bojaźliwych ludzi.

A przy okazji: Nowa ma imię. Emma. Ładnie, prawda? Ona też jest ładna. Taka młoda i niewinna, i nieśmiała. Jak nowo narodzone

kocię. Przypomina mnie samą, kiedy byłam w jej wieku, głównie dlatego, że mam wrażenie, że pod słodziutką fasadą kryje się niezła zdzira. Wczoraj wieczorem postawiła mi się, a do tego trzeba mieć jaja. Nie ma co, byłam pod wrażeniem. Od śmierci Katherine nikt mi się nie postawił. Brakowało mi tego uczucia. To jak być jedyną samicą alfa w grupie.

Nie mogę jednak pozwolić, żeby Nowa – podobnie jak boski Theo – za bardzo mnie rozproszyła. Najpierw misja. Później przyjaźnie. Sami-wiecie-kto przekonał się o tym na własnej skórze.

Przynajmniej po zajęciach z łucznictwa mogłam się trochę powłóczyć i zajrzałam do wszystkich miejsc, do których nie zaglądałam wcześniej, w tym do Dużego D. Prawie udało mi się wejść do środka, ale Casey nakryła mnie, jak kręciłam się w pobliżu. Gdyby to był ktoś inny i tak spróbowałabym zakraść się do środka. Ale Casey jest dziwnie oddana temu miejscu. Była obozowiczka, która wraca w charakterze opiekunki dwa lata z rzędu? Nie przychodzi mi do głowy nic bardziej żałosnego.

Myślę, że ma obsesję na punkcie Theo. To oczywiste, że jest na niego napalona. Rzuca się na niego przy każdej okazji. W zeszłym roku przyłapała mnie, jak flirtowałam z Theo, i obraziła się, jakby miała go na wyłączność albo coś. Od tego czasu marzy o tym, żeby mnie stąd wykopać. Dlatego poświęca mi wyjątkową uwagę podczas wieczornych obchodów.

Jak już mówiłam – to żałosne.

24 czerwca

Drugiej nocy w Camp Nightingale biedna Emma PIERWSZY RAZ W ŻYCIU DOSTAŁA OKRES. Wczoraj w nocy obudziła mnie,

a na palcach miała krew jak Carrie White z powieści Stephena Kinga. Zrobiło mi się jej żal. Pamiętam, jak pierwszy raz dostałam okres. To było straszne. Przysięgam, że nie oszalałam tylko dzięki Katherine, która miała to wszystko już za sobą. Gdzie wtedy była Pani Senatorowa? Jak zwykle nieobecna. Jak zwykle nie miała o niczym pojęcia. O tym, że mam miesiączkę, dowiedziała się pół roku później od pokojówki.

Zrobiłam więc dla Emmy to, co Kath zrobiła dla mnie. A to znaczy, że obok Carrie zagrałabym rolę Sue Snell. Albo raczej nauczycielkę WF-u. Nie, nie chcę być tą nudziarą. Wolę pozostać Sue.

Ona przeżyła.

26 czerwca

Prawie się utopiłam.

To znaczy udawałam, że się topię, a to nie to samo. Nie planowałam tego. To była spontaniczna decyzja. Mimo wszystko była to rola godna Oscara. Albo przynajmniej Złotego Globu. Scena tonięcia zagrana mistrzowsko przez regionalną mistrzynię w wyścigu na sto metrów stylem motylkowym. Najgorsze było to, że musiałam nałykać się wody z jeziora. Pewnie teraz, kiedy to piszę, w moim żołądku pływają jakieś mikroby. Ale było warto. Właśnie takiej reakcji się spodziewałam.

A skoro mówimy o utonięciach, porozmawiajmy przez chwilę o mężu Franny. Nie sądzicie, że to dziwne, że gość, który prawie brał udział w olimpiadzie, utonął? Moim zdaniem to kurewsko dziwne.

28 czerwca

Ja pierdolę ja pierdolę ja pierdolę.

Dostałam się do Dużego D. W końcu! Poszłam tam podczas lunchu, bo wiedziałam, że wszystkie obozowiczki i opiekunki będą wtedy na stołówce, a F i jej świta zasiądą na tarasie za domem. Dzięki temu miałam dość czasu, żeby niepostrzeżenie wślizgnąć się frontowymi drzwiami. I przysięgam, że warto było czekać. Wiedziałam, że F coś tam ukrywa, i nie myliłam się. Ukrywa kilka rzeczy. Jedną z nich zdążyłam ukraść, zanim Lottie przyłapała mnie w gabinecie. Udawała spokojną, ale myślę, że była solidnie wkurzona. A teraz panikuję, bo powie o wszystkim F. Wiem to.

Nie jest dobrze, pamiętniczku.

Przerywa mi nagłe walenie do drzwi. Tak bardzo pochłonęły mnie zapiski Vivian, że prawdziwy świat niepostrzeżenie przestał istnieć. Teraz powrócił, więc podnoszę głowę znad lektury i wołam drżącym głosem:

– Kto tam?

– Emma? Tu Chet. Wszystko w porządku?

Zamykam pamiętnik, chowam go pod poduszkę, nabieram powietrza, próbując się uspokoić, i mówię:

– Tak. Nic mi nie jest.

Drzwi uchylają się lekko i Chet zagląda do środka. Włosy wpadają mu do oczu, więc odgarnia je i rzuca:

– Mogę wejść?

– Czuj się jak w domu – mówię.

Wchodzi i siada na moim kufrze z drewna orzesznika, wyciąga długie nogi i krzyżuje ramiona. Chociaż on i Theo nie są biologicznie spokrewnieni, mają z sobą wiele wspólnego. Mają wzrost i budowę ciała, które sprawiają, że wszystko, co noszą, wygląda, jakby zostało uszyte na

zamówienie. Obaj poruszają się z gracją sportowców. I obaj roztaczają wokół siebie swobodną, beztroską aurę charakterystyczną dla ludzi, którzy urodzili się w świecie bogactw i luksusów. Albo – jak w ich przypadku – zostali przez ten świat adoptowani.

– Zauważyłem, że nie było cię na ognisku – mówi Chet. – I zastanawiałem się, czy wszystko w porządku. No wiesz, po tym, co wydarzyło się podczas lunchu.

– Które z nich cię przysłało? Twoja matka czy brat?

– Właściwie żadne. Przyszedłem z własnej woli. Chciałem wyjaśnić parę rzeczy. Porozmawiać o kamerze i o tym, dlaczego matka zaprosiła cię do Camp Nightingale. To były oba moje pomysły.

Prostuję się zaskoczona. Wczoraj zastanawiałam się, czy Chet w ogóle mnie pamięta. Najwyraźniej tak.

– Myślałam, że to pomysły Franny.

– Formalnie rzecz biorąc, tak. Ale to ja podsunąłem jej te pomysły. – Mówiąc to, uśmiecha się. Szeroko. To kolejna rzecz, która łączy go z bratem. – Kamera to zabezpieczenie. Theo i moja matka nie mieli z tym nic wspólnego. Pomyślałem, że dobrze będzie monitorować twoją chatkę. Nie spodziewam się, że wydarzy się coś złego. Ale lepiej być gotowym, tak na wszelki wypadek.

W delikatny sposób daje mi do zrozumienia, że również wie o tym, w jakim kiepskim stanie byłam po powrocie z obozu. Jeśli dalej tak będzie, przed końcem tygodnia nie będzie w obozie osoby, która by o tym nie wiedziała.

– Proszę, nie gniewaj się – mówi Chet. – Rozumiem, że mogłaś poczuć się zaatakowana, i przepraszam. Wszyscy przepraszamy. Jeśli chcesz, żeby kamera zniknęła, jutro z samego rana każę Benowi ją zdjąć.

Kusi mnie, żeby powiedzieć mu, że ma nie czekać do rana i że chcę, żeby zdemontował ją teraz, zaraz. Z drugiej strony rozumiem jego ostrożność. Po tym, co wydarzyło się dziś rano pod prysznicem – czy może raczej, co mogło się wydarzyć – monitorowanie obozu nie jest wcale takim złym pomysłem.

– Niech zostanie – rzucam. – Na razie. I pod warunkiem, że powiesz mi, dlaczego chciałeś, żebym tu wróciła.

– Z powodu tego, co wtedy powiedziałaś – tłumaczy Chet. – O Theo.

Nie musi dodawać nic więcej. Chodzi o to, że powiedziałam policji, że Theo miał coś wspólnego ze zniknięciem dziewczyn, i nigdy nie wycofałam swoich słów. Z czasem pożałowałam jednego i drugiego. Pierwszego ze względu na to, dlaczego go oskarżyłam. A drugiego, bo gdybym to zrobiła, przyznałabym przed wszystkimi, że jestem kłamczuchą.

To dwie prawdy, z którymi nie jestem gotowa się zmierzyć.

– Nie mogę zmienić tego, co wtedy zrobiłam – mówię. – Mogę jedynie powiedzieć, że żałuję i że przepraszam.

Chet podnosi rękę.

– Powiedziałem matce, żeby cię zaprosiła, nie po to, żeby usłyszeć, jak przepraszasz. Zrobiłem to, bo twoja obecność znaczy więcej niż jakiekolwiek przeprosiny.

To dlatego Franny tak bardzo chciała, żebym wróciła do Camp Nightingale. Uznała to za najlepszy sposób, by udowodnić, że obóz znów jest bezpiecznym, szczęśliwym miejscem. Przyjeżdżając tu, nieświadomie wycofałam wszystko to, co powiedziałam o Theo piętnaście lat temu.

– Mój powrót oznacza, że Theo jest niewinny – mówię.

– Właśnie – potwierdza Chet. – Ale tu chodzi o coś więcej. To okazja, żeby raz na zawsze zamknąć całą tę sprawę.

– Dlatego postanowiłam przyjechać.

– Miałem na myśli Theo. Pomyślałem, że twój przyjazd będzie dla niego swoistą rekompensatą. Że wyjdzie mu to na dobre. Bóg jeden wie, jak bardzo tego potrzebuje.

– Dlaczego? – bąkam, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Theo jest przystojnym, bogatym, odnoszącym sukcesy mężczyzną. Czego jeszcze może potrzebować?

– Theo ma się gorzej, niż mogłoby się wydawać – ciągnie Chet. – Po tym, co się stało, było z nim krucho. Wcale mu się nie dziwię. Policja przesłuchiwała go wielokrotnie. Ojciec Vivian opowiadał paskudne rzeczy na jego temat, podobnie pisała prasa. Theo kiepsko to znosił. Rzucił szkołę. Zaczął ćpać i pić. Najgorsze wydarzyło się czwartego lipca. Rok po zniknięciu. Theo pojechał na imprezę do Newport, naćpał się, pożyczył czyjeś ferrari i rozbił się na drzewie.

Przypominam sobie bliznę na policzku Theo i wzdrygam się.

– To cud, że przeżył – ciągnie Chet. – Miał szczęście. Sęk w tym, że moim zdaniem wcale nie chciał wyjść cało z tego wypadku. Nigdy nie przyznał się do tego, że chciał się zabić, ale tak właśnie uważam. Od miesięcy zachowywał się jak ktoś, kto chce z sobą skończyć. Po wypadku sytuacja się poprawiła. Matka zadbała o to. Theo spędził pół roku na odwyku, wrócił na Harvard i w końcu został lekarzem, chociaż planował skończyć studia dwa lata wcześniej. Ponieważ wszystko wróciło do normy, nie rozmawialiśmy o tym, co się stało. Mama i Theo myślą chyba, że byłem za młody, żeby cokolwiek pamiętać. Ale ja pamiętam. Trudno zapomnieć, kiedy twój jedyny brat przechodzi przez coś takiego.

Urywa, bierze głęboki oddech i wzdycha przeciągle.

– Tak mi przykro – mówię, chociaż wiem, że to bez znaczenia. Słowa nie zmienią tego, co się wydarzyło. Nie wymażą bladej blizny, która szpeci policzek Theo.

– Nie wiem, dlaczego go oskarżyłaś – mówi Chet. – Nie muszę tego wiedzieć. Najważniejsze jest to, że przestałaś tak uważać, bo inaczej nie byłoby cię tu. Nie chcę, żebyś się czuła źle.

Ja jednak czuję się paskudnie. Podle. Nie potrafię nawet spojrzeć mu w oczy. Zamiast tego dręczona poczuciem winy w milczeniu wbijam wzrok w podłogę.

– Nie zadręczaj się tym – mówi Chet i wstaje do wyjścia. – To ostatnie, czego byśmy chcieli. Czas zapomnieć o tej historii. Dlatego tu jesteś. Dlatego wszyscy tu jesteśmy. Mam nadzieję, że wyjdzie nam to na dobre.

18

Po wyjściu Cheta odczekuję pięć minut, żeby na powrót zagłębić się w lekturze pamiętnika Vivian, który leży pod moją poduszką, kiedy odliczam kolejne sekundy. Nie obawiam się, że Chet wróci. Tylko potrzebuję chwili, żeby pozbierać się po tym, co powiedział o Theo. Bo chociaż prosił mnie, żebym się nie zadręczała, nie potrafię o tym nie myśleć.

Theo spędził pół roku na odwyku. Prawdopodobnie w tym samym czasie, kiedy ja zmagałam się z własnymi problemami. Nasz pierwszy rok po powrocie z Camp Nightingale był niemal identyczny. Inne były jedynie demony, z którymi przyszło się nam zmagać.

Moje wyglądały jak Vivian.

A jego jak ja.

Jestem boleśnie świadoma tego, że nie naprawię krzywdy, jaką mu wyrządziłam. Szansa na to minęła piętnaście lat temu. Ale mogę zapobiec dalszym szkodom, jeśli dowiem się więcej o tym, co stało się z Vivian, Natalie i Allison. Dzięki temu Theo uwolni się od podejrzeń, które ciągną się za nim niczym cień.

Będzie wolny.

A jeśli to przydarzy się jemu, to może i mnie.

Po upływie pięciu minut wyciągam spod poduszki pamiętnik Vivian, otwieram na stronie, na której skończyłam, i zagłębiam się w lekturze.

29 czerwca

Okazuje się, że miałam rację. Lottie naskarżyła na mnie F, która po lunchu wzięła mnie na stronę i naskoczyła na mnie. Zagroziła, że zadzwoni do Senatora, jakby mnie to obchodziło. Oświadczyła też, że muszę przestrzegać pewnych granic. Miałam ochotę powiedzieć jej, żeby wsadziła sobie w dupę te granice. Nie zrobiłam tego tylko dlatego, że nie chcę się wychylać. Wolę siedzieć cicho do czasu, aż rozpętam prawdziwą burzę.

Podsumowując:

Złe wieści: na pewno coś podejrzewa.

Dobre wieści: jestem bliska odkrycia jej małej, paskudnej tajemnicy.

1 lipca

Zastanawiam się, czy powiedzieć Emmie.

Ktoś musi wiedzieć na wypadek, gdyby coś mi się stało.

2 lipca

Do bani!

Postanowiłam nie mówić Em prawdy o tym, co robię. Zrobiłam to dla jej bezpieczeństwa. Zamiast tego zabrałam ją do swojej kryjówki w lesie i pokazałam jej... Zgadliście: PUDEŁKO. Wszystko zaczęło się, kiedy znalazłam je w ubiegłym roku.

Pomyślałam, że pudełko wzbudzi jej zainteresowanie, na wypadek gdyby magiczna kula pomyliła się i gdyby jednak wyrzucono mnie z obozu. W ten sposób mogłaby kontynuować moje dzieło. Nie pomyliłam się. NAPRAWDĘ rozbudziłam jej ciekawość. Widziałam to w jej oczach, kiedy tylko otworzyła pudełko.

Ale wtedy wydarzyło się coś złego. Tak, pokazałam jej, że potrafię pływać. Uznałam, że powinna wiedzieć z kilku powodów. Po pierwsze: jeśli, nie daj Boże, pewnego dnia woda wyrzuci na brzeg moje ciało, będzie mogła powiedzieć policji, że byłam świetną pływaczką. Po drugie: musi wiedzieć, że nie może wierzyć we wszystko, co mówią jej ludzie. Dwie prawdy i kłamstwo to nie tylko gra. Dla większości ludzi to styl życia. Po trzecie: w końcu będę musiała złamać jej serce, więc równie dobrze już teraz mogę sprawić, że powstanie na nim rysa.

Jest na mnie zła. I ma do tego wszelkie prawo. Przez resztę dnia ignorowała mnie, co cholernie mnie bolało.

Jest tyle rzeczy, które chciałabym jej powiedzieć. Że życie jest ciężkie. I że trzeba walnąć je, zanim ono walnie ciebie.

Wiem, że czuje się skrzywdzona. Wiem, że myśli, że tylko ją ignorują rodzice. Szkoda, że nie ma pojęcia, jak to jest, kiedy dwa miesiące po śmierci twojej siostry zostajesz sama w Nowym Jorku, bo Pan Senator i Pani Senatorowa wyjeżdżają do Dystryktu Kolumbii! Dopiero wtedy człowiek czuje się porzucony.

A wracając do tego, co wydarzyło się na jeziorze – musiałam to zrobić. Mam nadzieję, że do jutra jej przejdzie. Jutro dam jej kwiaty i znowu będzie mnie kochać.

3 lipca

Ciekawostka: w XIX wieku kobiety mogły trafić do zakładu dla obłąkanych z następujących powodów:

Histeria

Egotyzm

Złe prowadzenie się

Nimfomania

Zazdrość

Złe towarzystwo

Masturbacja

Czytanie powieści (!)

Kopnięcie w głowę przez konia

Wychodzi na to, że wszystkie kobiety, które poznałam w swoim życiu, uznano by w tamtych czasach za obłąkane. I tego właśnie chcieli mężczyźni. Oto jak uciskali kobiety. Nie podoba ci się coś, co powiedziała? Nazwij ją wariatką i odeślij do psychiatryka. Nie sypia z tobą tak często, jak byś chciał? Zamknij ją w wariatkowie. Myśli tylko o pieprzeniu? Do czubków z nią! To chore.

Nie myśl sobie, pamiętniczku, że wiele się zmieniło. Bo wcale tak nie jest. Po śmierci Kath Senator był gotów zamknąć mnie w psychiatryku. Jakby w żałobie po niej było coś złego. Jakby smutek po stracie bliskiej osoby był chorobą psychiczną.

Tak czy siak, oto czego się dziś dowiedziałam. Każda kobieta jest szalona. A te, które nie potrafią tego ukryć, mają cholernego pecha.

150.97768 WEST

164

Aktualizacja: Wszystko się posypało. Zapomniałam cię schować, drogi pamiętniczku, i po powrocie z ogniska nakryłam Natalie i Allison, jak cię czytały. Wcale mnie to nie dziwi. Od tygodnia próbowały do ciebie zajrzeć. A skoro już zajrzały, to jestem pewna, że sobie poczytały. Dzięki Bogu, nie napisałam, że Natalie tak przytyła w udach, że wygląda jak zapaśniczka, albo że Allison jest

blada jak albinoska. Byłoby STRASZNE, gdyby przeczytały takie rzeczy na swój temat, prawda?

I chociaż korci mnie, żeby zostawić cię na wierzchu, żeby mogły to zobaczyć, postanowiłam, że lepiej będzie, jeśli cię ukryję. Nie jesteś tu już bezpieczny.

Im mniej wiedzą, tym lepiej.

Aktualizacja #2: Witaj w swoim nowym domu, pamiętniczku. Mam nadzieję, że tu nie zgnijesz. Narysowałam mapę, żebym nie zapomniała, gdzie jesteś.

4 lipca

Nie mogę za bardzo pisać. Przypłynięcie tu zajęło mi pół poranka, a droga powrotna potrwa jeszcze dłużej. F pewnie zauważyła, że zniknęłam. Wszędzie ma swoich szpiegów. Jestem pewna, że poleciła Casey sprawdzać mnie dwukrotnie co wieczór.

Ale wkrótce nie będzie to miało znaczenia.

Bo. Go. Znalazłam.

Ten przysłowiowy brakujący element układanki. Teraz wszystko ma sens. Znam prawdę. Muszę ją tylko obnażyć.

Jest jednak pewien drobny szkopuł, drogi pamiętniczku. Po tym, jak cię przeczytały, Natalie i Allison chcą w tym uczestniczyć. A ja postanowiłam, że powiem im wszystko, bo nie zrobię tego bez ich pomocy. Myślałam, że dam radę, ale to niemożliwe.

Tak, wiem, że mogłabym odpuścić, zapomnieć o wszystkim i spędzić lato, rok, resztę przeklętego życia, udając, że nic się nie stało. Ktoś, kto ma w głowie dość oleju, tak właśnie by zrobił.

Ale niektóre krzywdy są tak straszne, że ludzie, którzy się ich dopuścili, muszą za nie odpowiedzieć. Nazwij to sprawiedliwością.

Zemstą. Czymkolwiek. Mam to gdzieś.

Interesuje mnie tylko ta konkretna krzywda. Nie można jej zignorować. Musi zostać naprawiona.

To ja jestem suką, która się tym zajmie.

Boję się.

19

To wszystko. Reszta stron – przeszło dwie trzecie pamiętnika – jest pusta. Kartkuję go jednak na wypadek, gdybym coś przeoczyła. Nie przeoczyłam. Nie ma już nic.

Zamykam pamiętnik i wypuszczam powietrze. Teraz, kiedy to przeczytałam, czuję się jak po urojonych wizytach Vivian. Zdezorientowana, oszołomiona, zmęczona i przestraszona.

Vivian czegoś szukała, tyle wiem na pewno. Co to było – i co w końcu znalazła – pozostaje tajemnicą. Jestem przy tym pewna, że kartka, na której narysowała mapę, została wydarta z pamiętnika. Brakuje strony między wpisem o nowym miejscu, w którym ukryła dziennik, a zapiskiem z czwartego lipca. Wyciągam mapę z plecaka i przykładam do poszarpanych krawędzi brakującej strony. Pasują.

Jeszcze raz czytam pamiętnik, skupiam się na każdej stronie, analizuję każde słowo w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek. Nie znajduję ich, a już kompletnie nie rozumiem, dlaczego Vivian, która zwykle otwarcie mówiła o tym, co myśli i czuje, musiała trzymać coś w tajemnicy. Dlatego jeszcze raz czytam jej zapiski, tym razem od końca, zaczynając od niepokojącego ostatniego wpisu.

Boję się.

To on intryguje mnie najbardziej. Wśród wielu emocji, jakie Vivian okazała w czasie naszej krótkiej znajomości, strach nigdy się nie pojawił.

Wracam do poprzedniej strony. Wpisu dokonano rankiem czwartego lipca, a to rodzi kolejne dwa pytania: z jakiego dnia pochodzi ostatni wpis i czego bała się Vivian?

Poirytowana ściskam pamiętnik w dłoniach. Pragnę poznać odpowiedzi, które pozostają tajemnicą.

– Czego się dowiedziałaś, Viv? – mruczę pod nosem, jakby mogła mnie usłyszeć.

Sądząc po datach, zakładam, że zakopała dziennik w nocy, jakoś około trzeciego lipca. Podejrzewam, że wymknęła się z obozu, kiedy wszyscy spaliśmy. Nie było w tym nic niezwykłego. Poprzedniej nocy zrobiła to samo.

Pamiętam, bo nadal byłam na nią zła o to, że okłamała mnie, udając, że nie umie pływać. Najbardziej wkurzyło mnie to, dlaczego to zrobiła – bo Theo poświęcał mi zbyt wiele uwagi. Zobaczyła, że ucząc mnie pływać, obejmował mnie i szeptał mi do ucha słowa zachęty. Nie mogła tego znieść, więc udała, że się topi, tylko po to, żeby znaleźć się w centrum uwagi.

W drodze powrotnej do obozu ignorowałam ją. Tak samo przez całe popołudnie i podczas kolacji, na której – zgodnie z jej radą – pojawiłam się tak późno, że byłam ostatnia w kolejce. Usiadłam sama i zaczęłam rozgrzebywać jedzenie – zimnego klopsika i wyschnięte purée ziemniaczane. Przy ognisku siedziałam wśród swoich rówieśniczek, które praktycznie nie zwracały na mnie uwagi. Tamtej nocy wcześnie położyłam się spać, podczas gdy moje współlokatorki grały w dwie prawdy i kłamstwo.

Kiedy obudziłam się w środku nocy, zobaczyłam Vivian, która na palcach wracała do domku. Starała się nie robić hałasu, ale zdradziła ją skrzypiąca deska podłogowa – trzecia od drzwi.

Gdzie byłaś? – zapytałam i zaspana usiadłam na łóżku.

Musiałam się wysikać – odparła. – *A co, to też ci się nie podoba?*

Po tych słowach wróciła do łóżka. Rankiem na mojej poduszce tuż przy głowie leżał bukiecik drobnych kwiatów. Niezapominajek. Ich płatki miały delikatny niebieski kolor, a żółte środki przywodziły na myśl miniaturowe gwiazdy.

Później schowałam je do kufra wsunięte między kartki *Nostalgii anioła*. Chociaż Vivian nigdy się do tego nie przyznała, wiedziałam, że to ona mi je dała. Rzeczywiście podarowała mi kwiaty i tak jak przypuszczała, znowu ją pokochałam.

Wracam do strony, na której Vivian o tym pisała, i czytając jej słowa, zastanawiam się, czy moje uczucia naprawdę były aż tak oczywiste. Dopiero kiedy kolejny raz przebiegam wzrokiem wzmiankę o jej rodzicach, dociera do mnie, że Vivian po prostu wiedziała. Ponieważ była taka jak ja. Porzucona i samotna. Rozkoszowała się każdą odrobiną uwagi, którą jej poświęcano. Dlatego przewidziała, że zerwany w pośpiechu bukiecik niezapominajek wystarczy, żeby mnie ugłaskać. Wiedziała, bo jej też by wystarczył.

Przewracam kolejne kartki, a w mojej głowie kłębi się coraz więcej pytań.

Zatrzymuję się na stronie z rozważaniami Vivian na temat szaleństwa. Ze wszystkich rzeczy, które napisała, ta wstrząsa mną najbardziej. Czytając to, czuję się, jakby zwracała się bezpośrednio do mnie, jak gdyby przewidziała, że popadnę w obłęd rok przed tym, zanim to się stało.

Tylko po co szukała tych informacji? I skąd je wzięła?

Dobrze pamiętam dzień, kiedy napisała te słowa. Jechaliśmy do miasta jasnozielonym fordem, a ja gniotłam się wciśnięta między Vivian a Theo, który prowadził. Trzymał kierownicę jedną ręką i siedział w rozkroku, przez co jego udo ocierało się o moje. Przy każdym dotknięciu moje serce

tłukło się w piersi jak maleńki ptaszek zamknięty w pozłacanej klatce. Nie miałam nic przeciwko, kiedy Vivian oświadczyła, że idzie na zakupy, i zostawiła nas samych.

Odwracam stronę i moją uwagę zwraca dziwny ciąg cyfr.

150.97768 WEST
164

W pierwszej chwili myślę, że mogą to być współrzędne na mapie. Ale kiedy biorę telefon i sprawdzam kompas, odkrywam, że 150 stopni wskazuje na południowy wschód. A zatem chodzi o coś innego. I tylko Vivian wie o co. Mimo to jestem pewna, że nie zapisała tych danych bez powodu. Mam wrażenie, że krok po kroku pcha mnie do przodu, chcąc, żebym odkryła to, czego dowiedziała się piętnaście lat temu.

Telefonem robię zdjęcie ciągu cyfr, gdy drzwi do chatki otwierają się i Miranda, Krystal i Sasha wpadają do środka. Zaskoczona zamykam pamiętnik i chowam go pod poduszkę. Tym razem nie jestem dość szybka i pozwalam się przyłapać na gorącym uczynku.

– Co robisz? – pyta Sasha, zerkając na wystający spod poduszki róg pamiętnika, a zaraz potem na telefon, który wciąż ściskam w dłoni.

– Nic.

– Jasne – rzuca Miranda. – Wcale nie wyglądasz na kogoś, kto został przyłapany na oglądaniu pornosów.

– To nie pornosy – bąkam i urywam, żeby zobaczyć, czy mi wierzą. Wygląda na to, że nie, więc mówię im prawdę, pomijając wszystko, co mogłoby wywołać kolejne pytania. – Próbuję coś rozszyfrować. Kod.

– Jaki kod? – Miranda rozpromienia się na myśl o rozwiązywaniu tajemnicy.

Zerkam na zdjęcie w telefonie.

– Co waszym zdaniem znaczy 150.97768 WEST?

– To proste – odpowiada Miranda. – Chodzi o klasyfikację dziesiętną Deweya. To numer katalogowy jakiejś książki.

– Jesteś pewna?

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– No... tak. Połowę życia spędziłam w bibliotece.

Biblioteka. Może to tam poszła Vivian, kiedy powiedziała, że udaje się na zakupy. W bibliotece znalazła książkę, która wydała się jej na tyle ważna, że zanotowała w dzienniku jej numer katalogowy. To oczywiste, że czegoś szukała. Myślę nawet, że mogła to znaleźć.

Przypominam sobie jej wpis o tym, że dostała się gdzieś, gdzie nie powinna była wchodzić. Duży D to Dom, a F to Franny. To proste. Niestety Vivian nie napisała, co tam znalazła i co udało jej się ukraść.

Jej zapiski wystarczyły jednak, żeby wzbudzić we mnie niepokój. Kiedy myślę o tym, jak zareagowała Franny na wieść, że Vivian myszkowała w Domu, przechodzi mnie dreszcz. To niepodobne do Franny, dlatego zaczynam się zastanawiać, czy Vivian nie zachowywała się jak paranoiczka. Tak to wygląda, zwłaszcza gdy przypomnę sobie, że chciała powiedzieć mi o wszystkim na wypadek, gdyby coś jej się stało.

Jestem bliska odkrycia jej małej, paskudnej tajemnicy.

Wygląda na to, że wydarzyło się coś złego, lecz nie ma dowodu, że miało to coś wspólnego z Franny albo głęboko skrywanym mrocznym sekretem. A jednak niektóre wydarzenia są z sobą zbyt mocno powiązane, by mogło to być dziełem przypadku. To właśnie jedno z nich.

Znam prawdę.

Świadomość, że może jestem bliska odkrycia prawdy o tym, co stało się z dziewczynami, powinna mnie ekscytować. Tymczasem ciąży mi na

żołądku, jakby ktoś nasypał do niego kamieni. Ogarnia mnie coraz większy niepokój. Zakładam, że Vivian czuła to samo, kiedy zapisywała ostatnie dwa słowa.

Boję się.

Ja też się boję.

Bo całkiem możliwe, że natknęłam się na coś złowieszczego, może nawet niebezpiecznego.

Bo może po latach dociekań poznam w końcu odpowiedzi.

Ale przede wszystkim boję się, że jeśli będę grzebała dalej, może nie spodobać mi się to, co odkryję.

20

Tej nocy śnię o Vivian.

Te sny nie przypominają jednak młodzieńczych halucynacji. Ani przez chwilę nie myślę, że Vivian jest rzeczywista i wróciła z zaświatów. Jest w nich coś filmowego – są jak kryminały z gatunku noir, które mój ojciec ogląda w niedziele. Vivian w wymownej czerni i bieli. Najpierw biegnie przez las równie dziki i gęsty jak te na moich obrazach. Później widzę ją stojącą na jałowej wyspie z nożyczkami w dłoni. A na końcu w kajaku, jak wiosłuje z całych sił do zamglonego brzegu. Opary mgły kłębią się wokół niej, aż w końcu znika w nich na dobre.

Budzę się przy dźwiękach pobudki, ściskając w dłoni bransoletkę. O dziwo, przespałam całą noc. Mrugam gwałtownie, czekając, aż oczy przywykną do światła. Nie otworzyłam ich jeszcze na dobre, a już widzę coś w oknie domku.

Kształt, ciemny niczym cień.

Jęk więźnie mi w gardle i czuję, że nie mogę złapać tchu. Tymczasem postać ucieka. Nie rozpoznaję jej. Widzę tylko oddalającą się rozmytą sylwetkę.

Dopiero gdy znika na dobre, z trudem przełykam ślinę i tłumię krzyk, który ciśnie mi się na usta. Nie chcę budzić dziewczyn ani ich straszyć. Zauważam Sashę, która przygląda mi się z górnego łóżka, i wiem, że nie widziała postaci za oknem. Widzi tylko mnie, jak siedzę na łóżku z twarzą białą jak bawełniana poszewka poduszki, na której śpię.

– Miałam koszmar – mówię.

– Czytałam, że jedzenie przed snem może wywoływać koszmary.

– Dobrze wiedzieć – mruczę, chociaż jestem pewna, że Vivian przyśniła mi się, ponieważ czytałam jej pamiętnik, a nie dlatego, że zjadłam coś wieczorem.

Jeśli chodzi o to, co zobaczyłam za oknem, jestem przekonana, że nie był to sen, wytwór mojej wyobraźni ani złudzenie optyczne. W przeciwieństwie do tego, co wydarzyło się pod prysznicem, nie próbuję szukać logicznych wyjaśnień.

Ktoś tam był.

Wciąż czuję jego obecność. Widmowy szum tuż za oknem. Serce wali jak szalone, w uszach mi dzwoni. Powoli nabieram pewności co do wczorajszego dnia.

Ktoś jednak podglądał mnie pod prysznicem.

Tak jak ktoś zamknął kruki w domku.

A teraz patrzył, jak śpię.

Wzdrygam się przerażona, lodowaty chłód pełznie mi po plecach. Gdyby nie dziewczyny, zaczęłabym krzyczeć tylko dlatego, że dzięki temu poczułabym się lepiej. Zamiast tego wychodzę z łóżka i ruszam do drzwi.

– Dokąd idziesz? – szepcze Sasha.

– Do ubikacji.

Kolejne kłamstwo, które ma ją uspokoić. Tymczasem ja sama wcale nie jestem spokojna. Z dudniącym sercem wybiegam przed domek, z nadzieją, że może zobaczę tego, kto stał pod oknem. Z chatek zbudzone dźwiękiem pobudki wychodzą rozespane obozowiczki. Na mój widok zatrzymują się jak wryte. Przechylają głowy i gapią się na mnie z wyraźnym zaskoczeniem. Dołączają do nich kolejne, w tym Casey, która idąc na porannego papierosa, przyciska do ust dwa palce.

I wtedy doznaję olśnienia. One nie patrzą na mnie. Ich wzrok jest skupiony na domku za moimi plecami.

Odwracam się powoli, bo nie wiem, czy chcę zobaczyć to, co one. Ich miny – nieco przestraszone i oszołomione – zdradzają, że nie jest to nic przyjemnego. Ale ciekawość bierze górę i w końcu spoglądam na ścianę frontową domku.

Drzwi usmarowano farbą. Czerwoną. Wciąż mokrą. Jej strużki spływają po drewnie niczym krople krwi.

Na drzwiach namalowano jedno słowo. Wielkie, krzyczące litery ranią jak ostrza noży.

KŁAMCA

Franny kolejny raz stoi przed stołówką pełną obozowiczek, lecz tym razem zamierza wygłosić inne przemówienie.

– Powiedzieć, że jestem rozczarowana, to jak nic nie powiedzieć – zaczyna. – Jestem zdruzgotana. W Camp Nightingale nie będziemy tolerować żadnych przejawów wandalizmu. W innych okolicznościach winny zostałby poproszony o niezwłoczne opuszczenie obozu. Ale ponieważ jesteście tu zaledwie od kilku dni i być może nie rozumiecie panujących tu zasad, ten, kto to zrobił, będzie mógł zostać pod warunkiem, że przyzna się teraz. Jeśli tego nie zrobi i zostanie przyłapany, opuści obóz na dobre. Dlatego proszę, jeśli to któraś z was, niech się przyzna i przeprosi, a zapomnimy o całej sprawie.

Ciszę, która następuje po jej słowach, przerywa od czasu do czasu pokasływanie i skrzypienie krzeseł. Żadna z dziewczyn nie wstaje, żeby się przyznać. Raczej mnie to nie dziwi. Większość nastolatek wolałaby umrzeć, niż przyznać się, że zrobiły coś złego.

Mogłam się była tego spodziewać.

Przyglądam się im z mojego miejsca przy drzwiach. Prawie wszystkie dziewczyny mają spuszczone głowy, jakby czuły zbiorowy wstyd. Nieliczne, które tego nie robią – między innymi Krystal i Sasha – patrzą przed siebie z minami, które mają świadczyć o ich niewinności. Miranda jako jedyna mieszkanka Derenia wydaje się wkurzona całym zajściem. Ukradkiem zerka na inne dziewczyny, próbując znaleźć winowajcę.

Lottie, Theo, Chet i Mindy stoją pod ścianą. W pewnej chwili Mindy napotyka moje spojrzenie i ściąga gniewnie brwi. Właśnie oficjalnie zepsułam jej plan, by wszystko szło jak po maśle.

– Cóż – ciągnie Franny po stosownie nieznośnie długiej chwili. – Tym większe jest moje rozczarowanie. Po śniadaniu wszystkie wrócicie do swoich domków. Poranne zajęcia zostają odwołane, ponieważ będziemy próbowali wyjaśnić tę sprawę.

Wychodzi ze stołówki, a za nią pozostali mieszkańcy Domu. Mijając mnie, Lottie poklepuje mnie po ramieniu i mówi:

– Pozwól z nami, Emmo.

Idę za nimi do sąsiedniego budynku, gdzie zwykle odbywają się zajęcia malarsko-rękodzielnicze. Kiedy wszyscy są już w środku, Lottie zamyka drzwi. Staję przy wejściu, ciało mam napięte niczym struna i siłą woli powstrzymuję się, żeby nie uciec. Nie tylko z pomieszczenia, ale z obozu. Od chwili, gdy zobaczyłam napis, nie mogę powstrzymać drżenia lewej ręki. Ptaszki na bransoletce podzwaniają cicho.

– Niezły bałagan – oświadcza Franny. – Emmo, masz jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić?

Oczywista odpowiedź brzmi: ktoś z was obecnych w tym pomieszczeniu. Kluczem jest słowo, które w tej chwili jest zmywane z drzwi Derenia. W przeszłości okłamałam ich wszystkich z wyjątkiem

Mindy. W kwestii Theo. I tego, o co go oskarżyłam. I chociaż nikt z nich nie nazwał mnie wprost kłamczuchą, nie zdziwiłoby mnie, gdyby tak właśnie o mnie myśleli.

A jednak mam przeczucie, że to żadne z nich. W końcu to oni zaprosili mnie tu z powrotem. Poza tym wszelki wandalizm jest poniżej godności klanu Harris-White'ów. Gdyby chcieli się mnie pozbyć, powiedzieliby mi to wprost.

– Nie wiem. – Zastanawiam się, czy nie powiedzieć im o cieniu w oknie. Może przeczytawszy pamiętnik Vivian, zachowuję się jak paranoiczka, ale nie jestem pewna, czy mogę im zaufać. Przynajmniej do czasu, aż rozwikłam część zagadki. Boję się, że ze względu na moją historię nikt mi nie uwierzy. Dlatego potrzebuję dowodów. – Zobaczyłam to dopiero, kiedy wyszłam z domku.

Franny odwraca się w stronę młodszego syna.

– Sprawdzałeś nagranie z kamery, Chet?

– Tak – rzuca Chet i odgarnia włosy z oczu. – Nic tam nie ma. To dziwne, bo najdrobniejszy ruch uruchamia kamerę.

– Ale przecież ktoś musiał być przed drzwiami – mówię. – Ten napis sam się nie namalował.

– Czy kamera działa teraz? – pyta Franny. W porównaniu z moim piskliwym głosem jej jest całkiem opanowany.

– Tak – mówi Chet. – A to znaczy, że albo w nocy była awaria, albo ktoś przy niej majstrował. To raczej żaden problem wejść po drabinie i zakleić czujnik taśmą.

– I nie byłoby nagrania? – zastanawia się Theo.

Chet kręci głową.

– Niekoniecznie. Kamera automatycznie włącza się o dwudziestej pierwszej i wyłącza o szóstej rano. Ktoś mógł zakleić czujnik przed

dwudziestą pierwszą, a potem usunąć taśmę o szóstej.

Franny przenosi na mnie spojrzenie zielonych oczu. I chociaż ostatnie wydarzenia nieco je przymgliły, nadal czuję się jak schwytana w pułapkę.

– Emmo, czy mówiłaś komuś jeszcze o kamerze?

– Nie. Ale to nie znaczy, że ludzie o niej nie wiedzą. Skoro ja ją zauważyłam, inni pewnie też.

– Porozmawiajmy o farbie – mówi Theo. – Jeśli ustalimy, skąd pochodzi, być może dowiemy się, kto to zrobił.

– Emma jest malarką – zabiera głos Mindy. – Z nas wszystkich to właśnie ona ma najłatwiejszy dostęp do farb.

– Do farb olejnych – sarkam, rzucając jej zjadliwie spojrzenie. – A tego napisu nie namalowano farbą olejną. One tak nie spływają. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to farba akrylowa.

– Do czego jest używana? – pyta Theo.

Spoglądam na środek pomieszczenia, gdzie mieści się pracownia Casey. Na wszystkie te szafki i szufladki pełne rozmaitych szpargałów.

– Do rękodzielnictwa – mówię.

Omijam jeden ze stołów i podchodzę do stojącej pod ścianą szafki. Otworzywszy ją, widzę rzędy plastikowych buteleczek z farbą. Są przezroczyste, dzięki czemu widać ich zawartość. Wszystkie są pełne z wyjątkiem jednej.

Czerwonej.

Nieopodal stoi kosz na śmieci. Zaglądam do niego i widzę leżący na dnie średniej wielkości pędzel. Włosie jest czerwone od farby i wciąż jeszcze mokre.

– Widzicie? – mówię. – To nie moja farba. Ani nie mój pędzel.

– Czyli ktoś zakradł się tutaj wczesnym rankiem i wziął farbę – odzywa się Theo.

– Na noc drzwi są zamykane – wtrąca Lottie. – A przynajmniej powinny być. Może ten, kto wychodził wczoraj ostatni, zapomniał je zamknąć.

– Albo ma klucz – dodaje Chet.

Lottie kręci głową.

– Klucze mamy tylko ja, Franny i Ben.

– Ani ja, ani Lottie nie zrobiłybyśmy czegoś takiego – odzywa się Franny. – A Ben przyjechał do obozu, kiedy zobaczyliśmy napis na drzwiach.

– Czyli ktoś zostawił otwarte drzwi – uznaje Theo.

– Niekoniecznie – rzuca Mindy. – Wczoraj, kiedy wszyscy szli na lunch, nakryłam Emmę, jak kręciła się po pracowni.

Oczy wszystkich zwracają się w moją stronę, a ja kulę się pod żarem tych spojrzeń. Robię krok w tył, wpadam na plastikowe krzesło i siadam na nim. Mindy patrzy na mnie ze smutną, ściągniętą twarzą, jakby chciała pokazać, jak bardzo zabolało ją to, co powiedziała.

– Naprawdę myślicie, że ja to zrobiłam? – pytam. – Po co miałabym niszczyć drzwi do własnego domku?

– A po co zrobiłaś wiele innych rzeczy?

Chociaż głos należy do Mindy, domyślam się, że wszyscy pomyśleli to samo. Może nie powiedzieli tego na głos, ale oni również zadawali sobie to pytanie. Widzę to w każdym spojrzeniu zielonych oczu Franny. W czerwonym światełku kamery migającym za każdym razem, kiedy wchodzę do domku.

Mam wszelkie powody, żeby wierzyć, że mi wybaczyli, ale to nie znaczy, że mi ufają.

Może oprócz Theo, który zabiera głos.

– Jeśli Emma mówi, że tego nie zrobiła, to ja jej wierzę. Powinniśmy się raczej zastanowić, dlaczego ktoś chciałby jej zrobić coś takiego.

Znam odpowiedź. Ale podobnie jak tego przemilczanego pytania, jej także nie mogę wypowiedzieć na głos. Można ją wyczytać z moich drżących dłoni.

Ponieważ ktoś w obozie wie.

Dlatego podglądał mnie pod prysznicem. Dlatego ktoś wpuścił do domku kruki. Dlatego wystawał pod oknem i pomazał farbą drzwi.

Ktoś chciał w ten sposób powiedzieć mi, że wie.

Nie o tym, co zrobiłam Theo.

Ale o tym, co zrobiłam dziewczynom.

Świadomość tego sprawia, że nie mogę się ruszyć i siedzę na rozchwierutanym krześle, podczas gdy inni zaczynają wychodzić. Theo ogląda się na mnie z troską. Policzki ma zaczerwienione, przez co blizna na twarzy jest wyraźnie widoczna.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Nie.

Wyobrażam sobie Vivian, Natalie i Allison jako plamy farby na jednym z moich obrazów, które czekają, aż je zamaluję. Jednym z powodów, dla których wróciłam w to miejsce, było to, że dłużej tak nie mogłam. Myślałam, że jeśli dowiem się więcej o tym, co się wydarzyło, będę miała czyste sumienie.

Teraz jednak nie wyobrażam sobie, że mogłabym spędzić tu sześć tygodni. Ktokolwiek mnie podglądał, będzie robił to dalej i nie pozwoli mi zapomnieć. Obawiam się, że ptaki i drzwi to dopiero początek. Jeśli chcę poznać odpowiedzi, muszę się spieszyć.

– Muszę stąd wyjechać. Na krótko.

– Dokąd chcesz jechać? – pyta Theo.

Myślę o pamiętniku Vivian i numerze książki.

– Do miasta – mówię.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Radio, podobnie jak cała ciężarówka, pamiętało lepsze czasy. Muzyka, która sączyła się z głośników, brzmiała kiepsko i co chwilę przerywał ją szum. W sumie nie miało to znaczenia. Jedyna stacja, jaką znalazłyśmy z Vivian, nadawała wyłącznie muzykę country, tak więc wyjeżdżaliśmy z Camp Nightingale przy dźwiękach gitary hawajskiej i skrzypiec.

– Po co znów to robimy? – zapytał Theo, kiedy minęliśmy zwieńczoną łukiem bramę.

– Bo muszę kupić kilka rzeczy – odparła Vivian. – Dla kobiet.

– Oszczędź mi szczegółów. – Theo pokręcił głową i wbrew sobie uśmiechnął się. – A ty, Em?

– Jadę dla towarzystwa.

Nie kłamałam. Wszystko wydarzyło się niespodziewanie. Czekałam przed stołówką – wciąż czułam na palcach pyłek z niezapominajek – kiedy zjawiły się Natalie i Allison.

– Vivian chce coś od ciebie – rzuciła Allison.

– Co?

– Nie powiedziała.

– Gdzie jest?

– Tam. – Natalie wskazała głową pracownię malarsko-rękodzielniczą i poszła dalej.

Przed budynkiem zastałam Vivian, Theo i jasnozielonego pick-upa. Vivian siedziała w samochodzie i bębniła palcami w opuszczoną szybę. Theo stał oparty o drzwi od strony kierowcy, ramiona miał skrzyżowane.

– Cześć, spóźnialska – rzucił. – Wskakuj.

Wcisnęłam się między nich i samochód ruszył, podskakując na wyboistej drodze. Noga Theo bezustannie obijała się o moją, podobnie jak jego ręka, za każdym razem, kiedy kręcił kierownicą. Włoski na jego przedramieniu łaskotały moją skórę, przez co serce waliło mi jak szalone, a żołądek pęczniał, czułam, jakby były pełne po brzegi i nie mieściły się już w moim chudym ciele.

Trwało to całą drogę do miasteczka, które nie miało żadnej godnej zapamiętania nazwy i mogło być dowolną mieściną w kraju. Przy głównej ulicy znajdowały się sklepy z uroczymi witrynami i domy z czerwono-biało-niebieskimi chorągiewkami powiewającymi na werandach. Minęliśmy zieleniec z pomnikiem ku czci poległych w czasie wojny i banerem informującym o paradzie, która miała się odbyć następnego dnia, oraz o wieczornym pokazie sztucznych ogni.

Theo zaparkował pick-upa i obie z Vivian wysiadłyśmy rozprostować nogi, udając, że podróż była niewygodna. Wolałam to, niż żeby Theo pomyślał, że jego przypadkowe dotknięcia sprawiały mi radość.

Przeciągnąwszy się, Vivian ruszyła na drugą stronę ulicy, kierując się w stronę drogerii na rogu.

– Widzimy się za godzinę – rzuciła na odchodnym.

– Godzinę? – spytał Theo.

Vivian nie zatrzymała się.

– Zamierzam cieszyć się wolnością i pójść na zakupy. Może kupię sobie coś ładnego. Ty i Emma możecie skoczyć na lunch albo coś.

Po tych słowach weszła do drogerii. Przez szybę wystawową widziałam, jak zatrzymała się przy stojaku z tanimi okularami przeciwsłonecznymi i przymierzyła jedne z oprawkami w kształcie serduszek.

– Wygląda na to, że zostaliśmy sami – powiedział Theo, odwracając się w moją stronę. – Jesteś głodna?

Poszliśmy do taniej restauracji i usiedliśmy w boksie przy oknie. Theo zamówił cheeseburgera, frytki i shake'a o smaku waniliowym. Ja zamówiłam to samo, oprócz shake'a, którego Vivian nigdy by mi nie wybaczyła, nawet za milion lat. Czekając na jedzenie, wyglądałam przez okno i gapiłam się na samochody sunące leniwie ulicą. Przez ich opuszczone szyby widziałam dzieci, psy i siedzące za kierownicą zmęczone matki.

Wolałam nie patrzeć na Theo, chociaż siedział naprzeciw mnie. Za każdym razem, gdy na niego zerkałam, przypominałam go sobie pod prysznicem, pięknego, z ciałem lśniącym od wody i zupełnie nieświadomego mojej obecności. Wspomnienie sprawiało, że czułam na twarzy uderzenie gorąca, które spływało do brzucha i jeszcze niżej, między nogi. Zastanawiałam się, czy Vivian wiedziała, że tak będzie, kiedy namawiała mnie, żebym zajrzała w szczelinę między deskami. Miałam nadzieję, że nie. W przeciwnym razie uznałabym, że to okrutne.

A przecież Vivian nie była okrutna, chociaż czasem mogło się tak wydawać. Była moją przyjaciółką. Moją wakacyjną starszą siostrą. I kiedy tak siedziałam z Theo, słuchając starych przebojów sączących się ze stojącej w kącie szafy grającej, zrozumiałam, że cała ta wycieczka była podstępem wymyślonym przez Vivian, która chciała, żebym spędziła z Theo trochę czasu. Kolejnymi przeprosinami. Lepszymi od kwiatów.

– Jak ci się podoba w Camp Nightingale? – zagadnął Theo, kiedy kelnerka przyniosła nasze zamówienie.

– Jest świetnie – odparłam, pogryzając frytkę.

– Moja matka byłaby zadowolona, słysząc taką odpowiedź.

– A tobie się tam podoba?

Theo ugryzł kęs cheeseburgera, w kąciku ust pozostała mu kropla keczupu. Miałam ochotę zetrzeć mu ją palcem.

– Tak. Niestety wygląda na to, że to moje ostatnie wakacje tutaj, bo za rok czeka mnie staż. W college'u człowiek zdecydowanie ma co robić. Zwłaszcza gdy przygotowuje się do studiów medycznych.

– Będziesz lekarzem?

– Taki mam plan. Pediatrą.

– To takie szlachetne – powiedziałam. – To wspaniałe, że chcesz pomagać ludziom.

– A ty kim chcesz być?

– Chyba malarką.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Z pewnością nie miałam artystycznych ambicji. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, a wydawało mi się, że Theo chciałby mieć kobietę malarkę. Była to dojrzała, wyszukana odpowiedź. Jak z filmu.

– Emma Davis, słynna malarka. Fajnie brzmi. – Theo posłał mi uśmiech, od którego zmiękły mi nogi. – Może przyjdę na otwarcie twojej wystawy.

Wystarczyło kilka sekund, żebym zaplanowała całą swoją przyszłość. Po powrocie do domu pozostaniemy w kontakcie i będziemy pisać do siebie listy, które z czasem staną się coraz bardziej znaczące. W końcu pojawi się miłość i wspólne plany. W dniu moich osiemnastych urodzin pierwszy raz

będziemy się kochać przy blasku świec w jakimś egzotycznym miejscu. Pozostaniemy sobie wierni, kiedy ja będę studiować w akademii sztuk pięknych, a on będzie kończył staż. Później pobierzemy się i będziemy parą, której inni będą zazdrościć.

Chociaż brzmiało to niesamowicie, powtarzałam sobie, że przecież wszystko może się zdarzyć. Byłam dojrzała jak na swój wiek, a przynajmniej tak mi się wydawało. Mądra. Fajna. Jak Vivian. I dokładnie wiedziałam, co ona zrobiłaby w tej sytuacji.

Kiedy więc Theo pochylił się, żeby upić łyk shake'a, ubiegłam go. Był to odważny krok i kompletnie do mnie niepodobny. Zaczerwieniłam się, a moja twarz przybrała kolor różowego błyszczyka, który pozostawiłam na słomce Theo.

To jednak nie było wszystko, bo chwilę później zrobiłam coś, na co nie zdobyłabym się, gdybym choć przez chwilę się nad tym zastanowiła. Ale w tamtej chwili nie myślałam. Działałam. Zamknęłam oczy i czując na języku smak wanilii, pocałowałam Theo. Oddech miał gorący. A usta zimne. Ciepło i chłód tworzyły słodkie, odurzające uczucie, które wypełniło moje ciało.

Odsunęłam się pospiesznie, nie otwierając oczu. Nie chciałam patrzeć na Theo. Nie chciałam widzieć jego reakcji, tak jak nie chciałam, żeby ta magiczna chwila dobiegła końca. Przerwał ją Theo, kiedy powiedział cichym, łagodnym głosem:

– Pochlebiasz mi, Emmo. Naprawdę. Ale...

– Żartowałam – wypaliłam. Oczy wciąż miałam zamknięte, a serce waliło mi jak szalone. – To był żart. Nic więcej.

Kiedy się nie odezwał, odchyliłam się na siedzeniu i odwróciłam w stronę okna. Dopiero wtedy otworzyłam oczy.

Vivian stała po drugiej stronie szyby, a jej obecność była niemiłą niespodzianką. Stała na chodniku w okularach z drogerii, tych z oprawkami w kształcie serduszek. Ciemne szkła odbijały chrom restauracji. I chociaż nie widziałam jej oczu, uśmiech, który błąkał się na jej ustach, mówił mi, że widziała wszystko.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy ucieszyło ją to, co zobaczyła, czy może rozbawiło. Może jedno i drugie. Zupełnie jak podczas gry w dwie prawdy i kłamstwo – czasami trudno było odróżnić.

21

Wymyślam, że muszę jechać do miasta, żeby zrealizować receptę na lek przeciwalergiczny, który zapomniałam zabrać z sobą. Kolejne kłamstwo. Ostatnio kłamię jak najęta, ale w tym przypadku uważam to za uzasadnione, zwłaszcza że dzięki temu mogę wrócić do domku i wziąć plecak oraz pamiętnik Vivian. Napis na drzwiach został już całkowicie zmyty. Pozostał po nim jedynie pas wyszorowanego drewna i drażniąca woń terpentyny.

Jedziemy z Theo tym samym zielonym pick-upem, który wywiózł nas z obozu piętnaście lat temu. Wewnątrz auta panuje cisza, radio najwyraźniej wyzionęło ducha lata temu. Theo prowadzi z jedną ręką na kierownicy i z łokciem opartym na opuszczonej szybie. Ja również opuściłam szybę. Kiedy wyjeżdżamy z Camp Nightingale, gapię się w las – drzewa przypominają rozmazaną smugę, przez którą sączy się światło.

Nie złoszczę się już na Theo, że zamontował kamerę. Moje milczenie nie wynika z gniewu, lecz z poczucia winy. Jesteśmy sami pierwszy raz, odkąd dowiedziałam się o jego załamaniu, i nie wiem, jak się zachować. Jest tyle rzeczy, o które chciałabym go zapytać. Czy podczas sześciu miesięcy na odwyku czuł się równie samotny, jak ja w szpitalu psychiatrycznym? Czy myśli o mnie za każdym razem, kiedy przegląda się w lustrze i widzi bliznę na policzku? W tej sytuacji cisza wydaje się najlepszym rozwiązaniem.

Samochód wjeżdża w dziurę i oboje z Theo podskakujemy. Kiedy stykamy się nogami, pospiesznie odsuwam się jak najbliżej drzwi pasażera.

– Przepraszam – bąkam.

Znowu cisza. Gęsta i ciężka od niewypowiedzianych rzeczy. Najwyraźniej dla Theo to za dużo, bo chwilę później słyszę, jak mówi:

– Możemy zacząć od nowa?

Ściągam brwi zdezorientowana.

– Chcesz, żebyśmy wrócili do obozu?

– Chcę, żebyśmy wrócili do początku. Zacznijmy od nowa. Udawajmy, że jest piętnaście lat temu i właśnie przyjechałaś na obóz. – Theo posyła mi ten sam krzywy uśmieszek, co wtedy. – Cześć, jestem Theo.

Kolejny raz zdumiewa mnie jego wielkoduszność. Może zgorzknienie i złość opuściły go z chwilą, kiedy rozbił się na drzewie. Niezależnie od powodu Theo jest lepszym człowiekiem ode mnie. Ja, kiedy ktoś mnie zrani, odpłacam tym samym, o czym Theo dobrze wie.

– No, dalej, przyłącz się – zachęca mnie.

Niczego tak nie pragnę, jak wymazania tego, co wydarzyło się między wtedy i teraz. Wrócić do czasu, gdy Vivian, Natalie i Allison żyły, Theo był najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego widziałam, a ja byłam niewinną, patykowatą nastolatką. Ale przeszłość kurczowo trzyma się teraźniejszości. Wszystkie te błędy i upokorzenia ciągną się za nami, kiedy uparcie przemy do przodu. Nie można ich zignorować.

– Dziękuję, że to robisz – mówię, zamiast podjąć grę. – Wiem, że to kłopot.

Theo patrzy na drogę, starając się nie okazywać, jak bardzo znów go zawiodłam.

– To nic. I tak musiałem jechać do miasta. Lottie dała mi listę rzeczy, które mam kupić w sklepie żelaznym. A Lottie zawsze dostaje to, co chce.

Tak naprawdę to ona prowadzi to miejsce. Zawsze tak było.

Kiedy dojeżdżamy do miasta, widzę, że niewiele się tam zmieniło, chociaż nie jest tak urokliwe jak kiedyś. Na werandach nie ma już chorągiewek. Kilka pustych witryn szpeci główną ulicę, a tania restauracja zniknęła zastąpiona lokalem Dunkin’ Donuts. Drogeria wciąż istnieje, chociaż teraz należy do sieci handlowej – czerwone litery jej nazwy odcinają się na ceglanej fasadzie budynku.

– Później będę chciała zajrzeć do biblioteki. Potrzebuję dobrego wi-fi, żeby odebrać maile – tłumaczę, siląc się na swobodę, jakbym wpadła na ten pomysł chwilę temu.

Chyba się udaje, bo Theo nie zadaje żadnych pytań. Zamiast tego rzuca tylko:

– Jasne. Spotkamy się tam za godzinę.

Siedzi w samochodzie pracującym na jałowym biegu i patrzy na mnie. Nie mam wyboru – muszę grać dalej, wysiadam więc i idę do sklepu. Ponieważ dziwnie by wyglądało, gdybym wróciła do obozu z pustymi rękami, przez pięć minut przeglądam półki, szukając jakiegoś drobiazgu, który mogłabym kupić. Decyduję się na cztery jednorazowe ładowarki do telefonu. Po jednej dla mnie i każdej z moich współlokatorek. Franny nigdy się nie dowie. A jeśli nawet, to chyba mnie to nie obchodzi.

Przy kasie zauważam obrotowy stojak z okularami. Taki z lusterkiem u góry, żeby klienci mogli się przejrzeć w okularach za dolara. Obracam go, przebiegając wzrokiem po tanich podróbkach ray-banów i pilotek, kiedy nagle dostrzegam znajome oprawki z czerwonego plastiku w kształcie serc.

Zdejmuję je ze stojaka i obracam w dłoniach. Dobrze pamiętam tamte, w których Vivian wracała do obozu wiele lat temu. Przez całą drogę zastanawiałam się, o czym myślała. Prawie się nie odzywała. Zamiast tego wyglądała przez okno, pozwalając, by wiatr nawiewał jej włosy na twarz.

Mierzę okulary i przeglądam się w lusterku. Vivian prezentowała się w nich dużo lepiej, to wiem na pewno. Ja wyglądam w nich głupio – jak kobieta przed trzydziestką w tanich okularach przeciwsłonecznych stworzonych dla kogoś dwukrotnie od niej młodszego.

Mimo to kładę okulary na ladzie. Płacę gotówką i wrzucam ładowarki do plecaka. Wychodzę ze sklepu z okularami na czole, w charakterze opaski. Myślę, że Vivian by się to spodobało.

Następnie idę do biblioteki, która mieści się przecznicę od głównej ulicy. Podchodząc do punktu informacyjnego, mijam stoliki z jasnego drewna i starszych ludzi siedzących przy komputerach stacjonarnych. Chwilę później miła bibliotekarka imieniem Diana kieruje mnie do działu literatury faktu, gdzie przeszukuję regały, wypatrując książki z oznaczeniem 150.97768 WEST.

O dziwo nadal tu jest, wciśnięta między inne pozycje na półce z książkami poświęconymi chorobom psychicznym i ich leczeniu. Jeśli nie zaniepokoiła mnie tematyka, to z pewnością niepokoi mnie tytuł.

Amanda West, *Wieki ciemne. Kobiety i choroby psychiczne na początku XIX wieku.*

Okładka jest prosta. Czarne litery na białym tle. W stylu lat siedemdziesiątych, kiedy to opublikowano książkę. Wydawcą jest wydawnictwo uniwersyteckie, o którym nigdy nie słyszałam, przez co jeszcze bardziej zdumiewa mnie to, jak i dlaczego Vivian dowiedziała się o jej istnieniu.

Idę z książką do stolika w kącie i biorę kilka głębokich oddechów przed jej otwarciem. Vivan czytała tę książkę. Trzymała ją w rękach. Kilka dni przed swoim zniknięciem. Świadomość tego sprawia, że mam ochotę odłożyć książkę z powrotem na półkę, wyjść z biblioteki, odnaleźć Theo i wrócić do obozu.

Ale nie mogę.

Muszę otworzyć książkę i zobaczyć to, co zobaczyła Vivian.

Dlatego zaglądam do środka i już na pierwszej stronie widzę fotografię młodej kobiety w kaftanie bezpieczeństwa. Jej nogi to obleczone skórą kości, policzki ma zapadnięte, włosy w nieładzie. A jednak w jej oczach dostrzegam bunt. Są szeroko otwarte i wpatrują się w fotografa, jak gdyby zmuszały go, żeby spojrzał na nią – naprawdę spojrzał – i zrozumiał sytuację, w jakiej się znalazła.

To wstrząsające zdjęcie. Jest niczym kopniak w brzuch, który sprawia, że oddech więźnie mi w gardle i zaczynam kasłać.

Pod zdjęciem znajduje się podpis równie smutny, co ogólnikowy. *Nieznana pacjentka zakładu dla obłąkanych, 1887*.

Odwracam kartkę. Nie jestem w stanie dłużej spoglądać na fotografię. Jako ostatnia osoba, która ledwie przez chwilę zniosła widok nieznajomej, czuję, że na swój sposób ja również ją zawiodłam.

Wertowanie książki graniczy z masochizmem. Dużo w niej zdjęć i kolejnych budzących wściekłość podpisów. Są tu historie kobiet, które zostały wysłane na przymusowe leczenie psychiatryczne, bo mężowie się nad nimi znęcali, rodziny ich nie chciały, a społeczeństwo udawało, że ich nie widzi. Opisy pobić, głodzenia, zimnych kąpieli i szorowania drucianymi szczotkami ciał, które od miesięcy nie były na słońcu.

Za każdym razem, gdy tłumię krzyk, czytając o kolejnym horrorze, uświadamiam sobie, jak wiele mam szczęścia. Gdybym przyszła na świat sto lat wcześniej, byłabym jedną z tych kobiet. Niezrozumianą i cierpiącą. Liczącą, że ktoś odkryje, dlaczego mój umysł mnie zdradził, i będzie w stanie to naprawić. Większość z tych kobiet nigdy tego nie doczekała. Cierpiały w smutku i niezrozumieniu do końca swoich dni, podczas gdy moje szaleństwo miało charakter przejściowy. Opuściło mnie.

Wstyd, który pozostał, to zupełnie inna historia.

Po trzydziestu minutach przewracania kartek w końcu docieram do strony sto sześćdziesiątej czwartej. Tej, której numer Vivian zanotowała w swoim pamiętniku. Znajdujące się na niej zdjęcie zajmuje niemal całą kartkę. Podobnie jak inne ono także jest w kolorze sepii, jednak w odróżnieniu od fotografii kobiet zamkniętych w zakładach dla obłąkanych, ta przedstawia mężczyznę stojącego przed bogato zdobionym wiktoriańskim budynkiem.

Mężczyzna jest młody, wysoki, ma szeroką pierś i wydatny brzuch. Dumnie prezentuje idealnie nawoskowane wąsy, lecz w jego oczach czai się jakiś mrok. Z jedną ręką na klapie marynarki, a drugą w kieszeni kamizelki sprawia wrażenie napuszonego.

Budynek za jego plecami jest wysoki na trzy piętra, zbudowany z cegły, z oknami mansardowymi na najwyższym piętrze i dachem zwieńczonym podobną do komina wieżyczką. Okna są wysokie i łukowate. Ze szczytu wieżyczki wyrasta wiatrowskaz w kształcie koguta. Lewe skrzydło budynku jest mniej okazałe. Ma tylko jedno piętro, żadnych okien, trawnik przed nim jest nierówny i plamisty.

Nawet bez tego ubogiego skrzydła jest w tym miejscu coś niepokojącego. Róg budynku oblepiają kruche macki wyschniętego bluszczu. Zalane słońcem okna wydają się nieprzejrzyste. Całość przypomina mi obraz Edwarda Hoppera *Dom przy torach kolejowych*. Podobno to na nim wzorowany był dom z filmu *Psychoza*. Wszystkie trzy budynki roztaczają wokół siebie aurę grozy.

Pod fotografią zamieszczono opis – *Doktor Charles Cutler przed zakładem dla obłąkanych Peaceful Valley, zdjęcie zrobione około 1898 roku*.

Nazwa przywołuje wspomnienie sprzed piętnastu lat. Vivian i ja, same w lesie, czytamy nazwę wygrawerowaną na spodzie gnijącego pudełka.

Peaceful Valley.

Pamiętam, że zaciekawiła mnie. Najwyraźniej Vivian także, bo przyjechała tu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. I odkryła, że Peaceful Valley był ośrodkiem dla obłąkanych.

Zastanawiam się, czy ta wiadomość zaskoczyła ją równie mocno jak mnie. Ciekawe, czy ona również siedziała, patrząc z niedowierzaniem na leżącą przed nią książkę, i zachodziła w głowę, w jaki sposób pudełko nożyczek ze szpitala psychiatrycznego znalazło się na brzegu jeziora Midnight. Zastanawiam się, czy jej serce waliło tak jak moje teraz i czy też miała nogi jak z waty.

Szok mija, kiedy patrzę na stronę obok zdjęcia. Ktoś narysował ołówkiem linię między dwoma akapitami. Prawdopodobnie Vivian. Była jedną z tych osób, które bez namysłu piszą po książkach. Zwłaszcza jeśli znajdą w nich coś ważnego.

> Przed końcem dziewiętnastego wieku zmieniło się podejście do leczenia kobiet chorych psychicznie. W miastach szpitale dla umysłowo chorych nadal były pełne biedaków, którzy mimo potrzeby zmian wciąż mieszkali w dramatycznych warunkach i musieli znosić okrutne traktowanie ze strony niewykwalifikowanych i źle opłacanych pracowników. Inaczej miały się sprawy w przypadku ludzi bogatych, którzy z pomocą przedsiębiorczych medyków otwierali niewielkie, nastawione na zysk placówki dla obłąkanych, niepodlegające kontroli rządu. Szpitale te, jak je nazywano, zwykle mieściły się na terenach posiadłości wiejskich tak odległych, że rodziny chorych nie musiały

obawiać się plotek ani skandalu. Co więcej, płaciły szczodrze tym, którzy opiekowali się owymi czarnymi owcami.

Kilku postępowych lekarzy oburzonych różnicami w opiece nad biednymi i bogatymi próbowało zmniejszyć je, otwierając drzwi bukolicznych szpitali dla najuboższych. Swego czasu doktor Charles Cutler bywał często w przytułkach Nowego Jorku i Bostonu, gdzie wyszukiwał pacjentki w najtrudniejszej sytuacji, stawał się ich prawnym opiekunem i zabierał je do Peaceful Valley, niewielkiej placówki w północnej części stanu Nowy Jork. Według pamiętnika lekarza z okrytego złą sławą przytułku Blackwell's Island, doktor Cutler zamierzał udowodnić, że łagodniejsze traktowanie i lepsza opieka mogą okazać się dobroczynne dla wszystkich kobiet chorych psychicznie, nie tylko tych bogatych.

Chociaż jestem niemal pewna, że o tym właśnie pisała Vivian w swoim pamiętniku, nie mam pojęcia, jaki ma to związek z Franny. Prawdopodobnie żaden. Więc dlaczego Vivian była innego zdania?

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – będę musiała przeszukać Dom. Vivian odkryła coś w gabinecie, zanim Lottie ją nakryła. A to, co znalazła, przywiodło ją tu, do tej książki i do tej biblioteki.

Zawsze znacz ścieżkę okruchami chleba. Oto, co mi powiedziała. *Żebyś znalazła drogę powrotną.*

Nie mogę się jednak pozbyć wrażenia, że trop, który zostawiła Vivian, nie wystarczy. Będę potrzebowała pomocy przyjaciela.

Sięgam po telefon i za pomocą FaceTime'a dzwonię do Marca. Odbiera od razu, a panujący w kuchni gwar niemal zupełnie zagłusza jego głos. Za jego plecami jeden z kucharzy krząta się przy skwierczącej patelni.

– Wiem, dzwonię nie w porę – mówię.

– Pora lunchu – rzuca Marc. – Mam minutę.

Przechodzę od razu do rzeczy.

– Pamiętasz bibliotekarza z nowojorskiej biblioteki publicznej, z którym się spotykałeś?

– Billy’ego? Pewnie. Był jak nerdowska wersja Matta Damona.

– Nadal się przyjaźnicie?

– Przyjaźń to chyba za dużo powiedziane.

– Wystąpiłby o sądowy zakaz zbliżania się, gdyby znów cię zobaczył?

– Obserwuje mnie na Twitterze – rzuca Marc. – Więc raczej nie.

– Myślisz, że mógłby znaleźć coś dla twojej najlepszej przyjaciółki na świecie?

– Może. Czego będziemy szukać?

– Informacji o zakładzie dla obłąkanych Peaceful Valley.

Marc mruga, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Czyli jednak nie bawisz się najlepiej.

Pokrótce mówię mu o Vivian, o jej pamiętniku, zagadkowych wskazówkach i szpitalu dla chorych psychicznie, który najwyraźniej ma związek z całą sprawą.

– Myślę, że zanim zniknęła, mogła się czegoś dowiedzieć. Czegoś, co ktoś inny chciał zachować w tajemnicy.

– O szpitalu?

– Może – mówię. – Żeby się przekonać, muszę dowiedzieć się więcej o tej placówce.

Marc zbliża telefon do twarzy, aż widzę jedynie jego duże, zmrużone oko.

– Gdzie jesteś?

– W miejscowej bibliotece.

– Ktoś cię obserwuje. – Marc jeszcze bardziej zbliża telefon do twarzy. – Prawdziwe ciacho.

Spoglądam w dolny róg ekranu, gdzie w malutkim prostokącie widać moją twarz. Jakieś trzy metry ode mnie stoi mężczyzna ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Theo.

– Muszę lecieć – mówię Marcowi i rozłączam się. Na jego znikającej z ekranu twarzy widzę troskę. To przeciwieństwo tego, co dostrzegam na twarzy Theo, bo gdy się odwracam, przypomina ona spokojną maskę, z której nie sposób cokolwiek odczytać.

– Gotowa? – pyta głosem równie beznamiętnym jak jego mina. – Czy potrzebujesz jeszcze trochę czasu?

– Nie – rzucam. – Gotowa.

Zbieram swoje rzeczy i zostawiam książkę na stoliku. Jej treść wyryła mi się w pamięci.

Wychodząc z biblioteki, zakładam na nos okulary, żeby osłonić oczy przed popołudniowym słońcem i przed ciekawskim wzrokiem Theo. Wyraz jego twarzy nie zmienił się od chwili, gdy przyłapał mnie na rozmowie z Markiem. Mogę jedynie udawać równie niewzruszoną.

– Fajne okulary – mówi, kiedy siedzimy już w pick-upie.

– Dzięki – rzucam, chociaż nie brzmiało to jak komplement.

Chwilę później ruszamy w drogę powrotną osnuci nowym kokonem milczenia. Nie jestem pewna, co to oznacza. Pewnie nic dobrego. Towarzyskość jest drugą naturą Theo. A może przesadzam i przez zapiski Vivian popadam w paranoję? Kiedy jednak pomyślę o tym, co stało się z nią, Natalie i Allison, dochodzę do wniosku, że może paranoja nie jest wcale taka zła.

Dopiero gdy dojeżdżamy do bramy obozu, Theo mówi:

– Muszę cię o coś zapytać. Chodzi o tamto lato.

Wiem, że ma na myśli to, o co go oskarżyłam. To jak drut kolczasty, który ktoś rozciągnął między nami – niewidoczny, a jednak boleśnie wyczuwalny, gdy któreś z nas za bardzo się do niego zbliży. Zamiast odpowiedzieć, opuszczam szybę i jak kiedyś Vivian pozwalam, by wiatr bawił się moimi włosami.

– A dokładnie o dzień, kiedy pojechaliśmy do miasta – ciągnie Theo.

Oddycham, czując na twarzy uderzenie ciepłego powietrza. Cieszę się, że nie muszę rozmawiać z nim o tym, dlaczego go oskarżyłam. Przynajmniej na razie.

– To znaczy?

– Tamtego dnia jedliśmy lunch w restauracji i...

– Pocałowałam cię.

Theo chichocze na wspomnienie tamtego pocałunku. Ja nie. Trudno śmiać się z jednego z najbardziej upokarzających momentów w twoim nastoletnim życiu.

– Właśnie. Czy wtedy kłamałaś? Mówiąc, że to żart?

Zamiast konsekwentnie obstawać przy kłamstwie, rzucam:

– Czemu pytasz?

– Bo wtedy nie wydawało mi się to kłamstwem. – Theo urywa i pociera poprzetykany siwizną kilkudniowy zarost, jakby czekał, aż znajdzie odpowiednie słowa. – Ale pochlebiło mi to. I chcę, żebyś wiedziała, że gdybyś była starsza, prawdopodobnie odwzajemniłbym pocałunek.

Nagle nie wiadomo skąd powraca do mnie ta sama śmiałość, którą czułam wtedy w restauracji. Może to przez te okulary. Kiedy mam je na nosie, czuję się inna. Bardziej bezpośrednia. Mniej przestraszona.

Uświadamiam sobie, że czuję się jak Vivian.

– A teraz? – pytam.

Theo parkuje za pracownią malarsko-rękodzielniczą i wyłączywszy silnik, mówi:

– Co teraz?

– Jestem starsza. Gdybym cię teraz pocałowała, odwzajemniłbyś pocałunek?

Rozciąga usta w uśmiechu i przez krótką chwilę mam wrażenie, że cofnęłam się w czasie i wszystkie te minione lata są dopiero przede mną. Theo znów ma dziewiętnaście lat i jest najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego w życiu widziałam. A ja jestem zadurzoną trzynastolatką, która na jego widok dostaje motyli w brzuchu.

– Nie przekonasz się, jeśli nie spróbujesz.

Korci mnie, zwłaszcza gdy zerka w moją stronę z błyskiem w oku i coraz szerszym uśmiechem, aż w końcu rozchyla usta, które aż się proszą, żeby je pocałować. To wystarczy, żebym nachyliła się w jego stronę i to zrobiła. Tymczasem wysiadam z samochodu i rzucam:

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Theo – i perspektywa pocałunku – rozprasza mnie. A teraz, kiedy powoli odkrywam to, czego szukała Vivian, nic nie może odwracać mojej uwagi.

Ani Theo.

Ani to, co mu zrobiłam.

A zwłaszcza kłamstwa, które oboje powiedzieliśmy i do których żadne z nas wciąż nie ma odwagi się przyznać.

22

Tego wieczoru dziewczyny i ja jemy kolację przy stole piknikowym na zewnątrz stołówki. Cały obóz nadal wrze po tym, co wydarzyło się rano. Nazywają to aferą Liargate, przez co całe wydarzenie urosło do rangi skandalu. Zakładam, że Casey, Becca i pozostałe instruktorki również rozmawiają na ten temat, i dlatego wolę zjeść na zewnątrz. Nie jestem w nastroju do wysłuchiwania plotek.

– Gdzie pojechałaś po południu? – pyta mnie Sasha.

– Do miasta.

– Ciekawe czemu? – warczy Miranda. – Zrobiła to, żeby się stąd wyrwać.

Sasha odgania muchę, która krąży nad jej talerzem szarych klopsików i grudkowatego purée.

– Myślicie, że zrobiła to któraś z dziewczyn?

– Na pewno nie żadna z opiekunek – bąka Krystal.

– Niektóre dziewczyny mówią, że to ty – Sasha zwraca się do mnie.

– No to się mylą – odpowiadam.

Twarz siedzącej naprzeciw mnie Mirandy nagle tężeje. Przez chwilę myślę, że zaraz wpadnie do stołówki i po kolei walnie obozowiczki rozsiewające te plotki. Wygląda na gotową do konfrontacji.

– Po co Emma miałaby pisać „kłamca” na naszych drzwiach?

– Po co ktokolwiek miałby to robić? – pyta Sasha.

Już mam się odezwać, gdy głos zabiera Miranda, a jej odpowiedź jest dużo bardziej zjadliwa niż ta, na którą sama bym się zdecydowała.

– Bo niektóre dziewczyny to suki – rzuca.

Po kolacji daję im jednorazowe ładowarki do telefonów.

– Na czarną godzinę – mówię, chociaż wiem, że zużyją je na Snapchata, Candy Crush i ulubione filmy Krystal o superbohaterach. Mimo wszystko dziewczyny idą na ognisko w znacznie lepszych humorach. Zasłużyły na to po tym, co dzisiaj przeszły.

Palenisko znajduje się na obrzeżach obozu, najdalej od domków, jak to możliwe. Pośrodku łąki, która wygląda jak wycięty w lesie krąg zbożowy. Jej środek wyznacza ognisko – krąg wewnątrz kręgu, otoczony kamieniami przyniesionymi z lasów i ułożonymi tu prawie sto lat temu. Kiedy docieramy na miejsce, ogień już płonie, liżąc polana ustawione w stożek niczym tipi.

Siadamy razem nieopodal ogniska na jednej z wysłużonych ławek. Pieczemy pianki nadziane na gałązki o lepkich uchwytach i poczerniałych końcówkach, które Chet zaostrzył swoim szwajcarskim scyzorykiem.

– Spędzałaś tu lato, kiedy byłaś w naszym wieku, prawda? – pyta Sasha.

– Tak.

– Wtedy też mieliście ogniska?

– Oczywiście – mówię. Zdejmuję z patyka świeżo upieczoną piankę i wsuwam ją do ust. Gorący cukier parzy mnie w język, ale jest to przyjemne uczucie. Budzi wspomnienia zarówno te dobre, jak i złe.

Podczas mojego pierwszego, krótkiego pobytu w Camp Nightingale uwielbiałam ogniska. Gorące, tchnące potęgą płomienie. Uwielbiałam uczucie gorąca na skórze i migotliwą biel w samym sercu ognia. Płonące polana skwierczały i strzelały jak coś żywego, stawiając opór płomieniom,

aż w końcu zapadały się, tworząc kupkę żarzących się węgielków i posyłając w powietrze snopy iskier.

– Czemu nie lubiłaś tego miejsca? – pyta Miranda.

– Nie chodzi o miejsce – tłumaczę. – Ale o to, co się wydarzyło, kiedy tu byłam.

– Wtedy też ktoś zniszczył któryś z domków?

– Nie – rzucam.

– Widziałaś duchy? – dopytuje Sasha. Jej oczy za szkłami okularów wydają się duże i lśniące. – Bo wiesz, że jezioro Midnight jest nawiedzone.

– Bzdura – sarka Krystal.

– Właśnie że nie. Ludzie naprawdę w to wierzą – ciągnie Sasha. – Mnóstwo ludzi. Zwłaszcza po tym, jak zniknęły tamte dziewczyny.

Moje ciało tężeje. Tamte dziewczyny. To o nich mówi. Vivian, Natalie i Allison. Miałam nadzieję, że ich zniknięcie umknie uwadze nowych obozowiczek.

– Zniknęły? – powtarza Krystal. – Skąd?

– Stąd – odpowiada Sasha. – To dlatego obóz był zamknięty. Trzy dziewczyny wymknęły się nocą z chatki, zgubiły się w lesie i umarły albo coś. Teraz ich duchy błąkają się po lasach. Podczas pełni można je zobaczyć, jak chodzą między drzewami, próbując znaleźć drogę powrotną do domku.

Było pewne, że zaginione dziewczęta z Derenia staną się legendą. Są teraz częścią historii Camp Nightingale, tak jak dolina zatopiona przez Buchanana Harrisa i jej nieszczęśni mieszkańcy. Wyobrażam sobie, jak dzisiejsze obozowiczki szeptem opowiadają sobie o nich w nocy, kiedy skulone pod śpiworami nerwowo zerkają w stronę okien.

– Nieprawda – odzywa się Krystal. – To tylko głupia historia, która ma odstraszyć ludzi od wałęsania się po lasach. Jak ten głupi film gościa, który

nakręcił *Szósty zmysł*.

Miranda, żeby nie być gorsza, wyciąga telefon i podnosi go do ucha.

– Dzwonią duchy zaginionych dziewczyn – mówi do Sashy. – I mówią, że jesteś wstrętną kłamczuchą.

Później, kiedy dziewczyny już śpią, leżę w łóżku poirytowana i niespokojna. Poniekąd winny jest upał. Noc jest parna i bezwietrzna, a w domku panuje zaduch, bo uparłam się, żeby okno i drzwi pozostały zamknięte. Po tym, co wydarzyło się rano, uważałam, że tak będzie najlepiej.

To kolejny powód, przez który nie mogę spać. Martwię się, że ten, kto mnie obserwuje, wróci. I boję się nawet pomyśleć, do czego może się posunąć tym razem. Dlatego spoglądam w okno na niebo, które od czasu do czasu przecina odległa błyskawica. Każdy błysk rozjaśnia na chwilę wnętrze domku i niczym światło stroboskopowe maluje ściany migotliwą bielą.

W pewnej chwili wydaje mi się, że widzę coś przy oknie.

Może.

Ponieważ rozbłysk trwa tylko krótką chwilę, nie jestem pewna. Mam jednak wrażenie, że coś zauważam. Przelotnie. To wystarcza, żebym znów pomyślała, że ktoś tam jest, stoi bez ruchu i zagląda do chatki.

Chcę się mylić. Chcę, żeby to były postrzępione cienie drzew za oknem. Ale kiedy niebo rozjarza kolejny błysk, uświadamiam sobie, że mam rację.

Ktoś jest przy oknie.

Dziewczyna.

Nie widzę jej twarzy. Błyskawica oświetla ją od tyłu, przez co dostrzegam jedynie jej sylwetkę. A jednak jest w niej coś znajomego.

Długa, smukła szyja, wąskie ramiona. Włosy. Pewność siebie.

Vivian.

To ona. Jestem tego pewna.

Tylko że nie jest to Vivian, jaką mogłaby być dziś. To Vivian, którą pamiętam sprzed piętnastu lat, zupełnie niezmieniona. Vivian, która nawiedzała mnie w młodości, zmuszając, bym przemycała ją w swoich obrazach. Ta sama biała sukienka. Niebywała swoboda. W zaciśniętej dłoni trzyma bukiecik niezapominajek, który wyciąga ku mnie jak amant z niemego filmu.

Przykładam do piersi prawą rękę i czuję, jak wali mi serce. Zaraz potem opuszczam ją i zaciskam na lewym nadgarstku. Nerwowo szarpię zdobiącą go bransoletkę.

– Wiem, że nie jesteś prawdziwa – szepczę.

Jeszcze mocniej zaciskam dłoń. Bransoletka wbija mi się w skórę, ptaszki obijają się o siebie ze stłumionym grzechotem, niemal zupełnie zagłuszonym przez moje poszeptywanie.

– Nie masz nade mną władzy.

Kolejne szarpnięcie. Ciche dzwonienie.

– Jestem silniejsza, niż się wszystkim wydaje.

Bransoletka pęka. Słyszę trzask zapięcia, a chwilę później czuję, jak ześlizguje mi się z ręki. Chwytam ją w dłoń i zaciskam na niej palce. Za oknem kolejna błyskawica rozświetla niebo. Oślepiające światło na chwilę rozprasza mrok. Widzę jedynie drzewa i jezioro srebrzące się w oddali. Przy oknie nie ma nikogo.

Powinnam czuć ulgę, ale z zerwaną bransoletką w dłoni czuję jeszcze większy strach.

Że Vivian wróci. Jeśli nie dziś w nocy, to niebawem.

„Jestem silniejsza, niż się wszystkim wydaje – myślę, powtarzając słowa w głowie niczym mantrę. – Jestem silniejsza, niż się wszystkim wydaje. Jestem silna. Jestem...”

Powoli zasypiam – z dudniącym sercem, z ciałem napiętym jak struna i ręką zaciśniętą na bransoletce – a słowa mantry zmieniają się. Są mniej uspokajające. Bardziej spanikowane. Raz za razem rozbrzmiewają mi w uszach.

„Ja nie wariuję. Ja nie wariuję. Ja nie wariuję”.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Rano w Dzień Niepodległości zamiast pobudki zazwyczaj rozbrzmiewającej w głośnikach na dachu stołówki obudziły mnie dźwięki hymnu państwowego. Vivian przespała cały. Kiedy wspięłam się na górę, żeby ją obudzić, odepchnęła moją rękę i warknęła:

– Odpieprz się.

Tak też zrobiłam. Udając, że nie zabolały mnie jej słowa, poszłam pod prysznic. Następnie udałam się do stołówki, gdzie kucharze przygotowywali czwartolipcowe specjały: naleśniki z jagodami, truskawkami i bitą śmietaną. Dowiedziałam się, że to tak zwane naleśniki wolności. Uznałam, że to niedorzeczne.

Vivian się nie spóźniła. W ogóle nie pojawiła się na śniadaniu. Natalie wykorzystała jej nieobecność i wzięła dokładkę naleśników, które spałaszowała ze smakiem. Sok z truskawek w kąciku jej ust przypominał sztuczną krew.

Tymczasem Allison zachowywała się jak zawsze. Po trzech kęsach odłożyła widelec i stwierdziła:

– Ale jestem pełna. Czemu taka ze mnie świnia?

– Możesz zjeść więcej – zapewniłam ją. – Nie powiem Viv.

Wbiła we mnie wzrok.

– Czemu myślisz, że Vivian ma coś wspólnego z tym, co jem?

– Pomyślałam tylko...

– Że jestem jak ty i robię wszystko, co mi każe?

Spojrzałam na swój talerz bardziej zawstydzona niż urażona. Bez zastanowienia pochłonęłam dwa z trzech naleśników. Wiedziałam jednak, że gdyby była tu Vivian, zjadłabym tylko tyle, co ona. Jeden kęs czy sto – nie miało to znaczenia.

– Przepraszam – bąknęłam. – Nie zrobiłam tego celowo. Po prostu...

Allison sięgnęła ponad stołem i poklepała mnie po ręce.

– W porządku. To ja przepraszam. Vivian jest bardzo przekonująca.

– I sukowata – dodała Natalie, przekładając na swój talerz jeden z nietkniętych naleśników Allison. – Rozumiemy to.

– To znaczy, jesteśmy przyjaciółkami – wyjaśniła pospiesznie Allison. – Najlepszymi. Cała nasza trójka. Ale czasami bywa...

– Sukowata – dokończyła Natalie, tym razem bardziej dobitnie. – Viv o tym wie. Do diabła, sama by to powiedziała, gdyby tu była.

Wróciłam wspomnieniami do wczorajszego dnia. Zobaczyłam Vivian, która była świadkiem mojej katastrofalnej próby pocałowania Theo. I przypomniałam sobie jej uśmieszek. Wiedziałam, że wcześniej czy później podejmie ten temat, i to mnie martwiło. Spodziewałam się, że wspomni o tym na ognisku albo przed pójściem spać, ona jednak milczała, jakby czekała, aż zagramy w dwie prawdy i kłamstwo i będzie mogła mnie upokorzyć.

– Czemu się na to godzicie? – spytałam.

– A ty? – Allison wzruszyła ramionami.

– Bo ją lubię.

Chodziło jednak o coś więcej. Vivian była starszą dziewczyną, która wzięła mnie pod swe skrzydła i dzieliła się ze mną swoimi sekretami. No i była fajna. I twarda. I mądrzejsza, niż mogłoby się wydawać. To wystarczało, żebym się jej trzymała.

– My też ją lubimy – odparła Natalie. – Poza tym Viv wiele przeszła.

– Ale czasami jest dla was taka niemiła.

– Taki ma charakter. Zdążyłyśmy się przyzwyczaić. Znamy ją od lat.

– Całe swoje życie – wtrąciła Natalie. – Wiedziałyśmy, kim jest i jaka jest, jeszcze zanim zaczęłyśmy się przyjaźnić. No wiesz, ta sama szkoła, ta sama okolica.

Allison pokiwała głową.

– Wiemy, jak z nią postępować – dodała.

– Chodzi o to – wyjaśniła Natalie – że kiedy Vivian jest w podłym nastroju, lepiej schodzić jej z drogi.

Resztę ranka spędziłam z dala od swoich współlokatorek dzięki kolejnej lekcji łucznictwa dla zaawansowanych. Zostałam przeniesiona do pracowni malarsko-rękodzielniczej, gdzie razem z innymi trzynastolatkami przy użyciu pras do skóry zdobiłyśmy skórzane bransoletki. Wolałabym strzelać z łuku.

W porze lunchu również nie widziałam Natalie i Allison. Zamiast więc jeść w samotności, odpuściłam sobie kanapkę z serem i szynką i poszłam do domku. Ku mojemu zdziwieniu usłyszałam je, jeszcze zanim dotarłam na miejsce. Dobiegające ze środka podniesione głosy świadczyły o tym, że wszystkie trzy są w chatce.

– Nie pouczaj nas o sekretach! – Usłyszałam krzyk Natalie. – Zwłaszcza że sama nie chcesz powiedzieć, gdzie byłaś rano.

– Nieważne, gdzie byłam! – odparowała Vivian podniesionym głosem. – Ważne jest to, że mnie okłamałyście.

– Przepraszamy – rzuciła Allison, wkładając w to słowo tyle skruchy, ile tylko mogła. – Po raz setny.

– To, kurwa, za mało!

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam Natalie i Allison siedzące ramię w ramię na skraju łóżka. Vivian stała przed nimi. Twarz miała czerwoną, jej brudne włosy wisiały w strąkach. Natalie wypinała pierś jak hokeista gotowy zablokować przeciwnika. Allison skurczyła się w sobie, włosy opadły jej na twarz, zasłaniając coś, co wyglądało jak łzy. Kiedy weszłam, wszystkie trzy odwróciły się w moją stronę. W domku zapanowała cisza.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Nic – odparła Allison.

– Wygłupiamy się – bąknęła Natalie.

Tylko Vivian miała odwagę, żeby powiedzieć prawdę.

– Rozmawiamy, Emmo. Musimy sobie coś wyjaśnić. Możesz wrócić później?

Wyszłam z domku, zamykając za sobą drzwi i odcinając się od szalejącej w środku burzy. Vivian najwyraźniej była w podłym nastroju, przed którym ostrzegały mnie Natalie i Allison.

Tym razem nie mogły zejść jej z drogi.

Nie wiedząc, dokąd pójść, odwróciłam się, żeby wrócić do centrum obozu. Tuż za mną stała Lottie. Miała na sobie kraciastą koszulę, a pod nią biały podkoszulek. Długie włosy zaplotła w warkocz. Podobnie jak ja była na tyle blisko, żeby słyszeć hałas dobiegający z Derenia, a na jej twarzy malowało się ciekawskie zaskoczenie.

– Nie wpuściły cię? – spytała.

– Tak jakby.

– Niedługo pozwolą ci wejść. – Popatrzyła na mnie, na drzwi i znowu na mnie. – Pierwszy raz dzielisz pokój z grupą nastolatek?

Pokiwałam głową.

– Potrzeba czasu, żeby się przyzwyczaić. Ja też byłam jedynaczką, więc pobyt tutaj był jak wiadro zimnej wody wylane na głowę.

– Byłaś tu na obozie?

– Tak, na swój własny sposób – odparła Lottie. – Ale przekonałam się, że co roku w chatkach dochodzi do jednej, dwóch awantur. Wszystko przez to, że dziewczyny muszą dzielić z sobą tak małą przestrzeń.

– Tu chyba chodzi o coś poważnego – rzuciłam zaskoczona tym, jak bardzo wstrząsnął mną widok kłócących się nastolatek. Nie mogłam przestać myśleć o czerwonych policzkach Vivian i łzach lśniących na twarzy Allison.

– Znam przyjemniejsze miejsce, do którego możemy pójść.

Lottie położyła mi rękę na ramieniu i poprowadziła mnie w głąb obozu. Ku mojemu zaskoczeniu szłyśmy w stronę Domu. W pewnej chwili skręciłyśmy, kierując się ku schodom prowadzącym na taras za domem. Na szczycie schodów stała Franny i oparta o balustradę spoglądała na jezioro.

– Emma – powiedziała. – Co za miła niespodzianka.

– W Dereniu rozgrywa się dramat – wyjaśniła Lottie.

Franny pokręciła głową.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Mam to załatwić?

– Nie – odparła Franny. – Samo minie. Jak zawsze.

Skinieniem dłoni przywołała mnie do siebie i przez chwilę obie patrzyłyśmy na skąpane w słońcu migotliwe wody jeziora.

– Cudowny widok – odezwała się. – Sprawia, że człowiek czuje się odrobinę lepiej, prawda? To miejsce sprawia, że wszystko wydaje się lepsze. Tak mawiał mój ojciec. A przed nim jego ojciec, więc musi to być prawda.

Patrzyłam ponad jeziorem, nie mogąc uwierzyć, że sto lat temu wcale go tu nie było. Wszystko dookoła – drzewa, skały, tańczące na wodzie słoneczne refleksy – sprawiało wrażenie, jakby było tu od zawsze.

– Twój dziadek naprawdę stworzył to jezioro?

– Tak. Zobaczył tę ziemię i wiedział, czego jej trzeba: jeziora. Ponieważ Bóg zapomniał je tutaj umieścić, dziadek postanowił, że sam się tym zajmie. Dodam, że był jednym z pierwszych ludzi, którzy dokonali czegoś takiego. – Franny zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby chciała wchłonąć każdy zapach, widok i uczucie, które budziło w niej jezioro. – Teraz ty także możesz się nim cieszyć. Bo przecież podoba ci się tu, prawda, Emmo?

Myślałam, że tak właśnie jest. Jeszcze dwa dni temu byłam zachwycona tym miejscem, dopóki Vivian nie zabrała mnie łódką do swojej kryjówki na drugim brzegu jeziora. Od tego czasu kilka rzeczy zakłóciło mi obraz tego miejsca. Rzeczy, które nie do końca byłam w stanie pojąć. Vivian i jej nastroje. Ślepe posłuszeństwo Natalie i Allison. I to, dlaczego na samą myśl o Theo miękły mi nogi, chociaż wygłupiłam się przed nim.

Nie wiedząc, jak opowiedzieć o tym wszystkim Franny, pokiwałam tylko głową.

– Cudownie. – Rozpromieniła się, widząc moją reakcję. – A teraz spróbuj zapomnieć o awanturze w twoim domku. Nie pozwól, żeby cokolwiek zepsuło ci pobyt w tym uroczym miejscu. Ja na pewno tego nie zrobię. Nie pozwolę na to.

23

Budzę się o świcie, wciąż zaciskając palce na zerwanej bransoletce. Ponieważ przeleżałam noc, kuląc się ze strachu, ramiona i plecy mam obolałe. Wyślizguję się z łóżka, podchodzę do kufra i wyjmuję kostium kąpielowy, ręcznik, szlafrok i okulary z drogerii. Wychodząc, pospiesznie zerkam na drzwi. Nie pojawiło się na nich nic nowego. Oddycham z ulgą, teraz największym z moich zmartwień jest to, że znowu widuję Vivian.

W sanitariacie przebieram się w kostium i idę nad jezioro. Kiedy wchodzę do wody, czuję taką ulgę, że zanurzając się, wzdycham z rozkoszą. Mam wrażenie, że moje ciało odzyskuje równowagę. Mięśnie się rozluźniają. Ręce i nogi prostują. Ból przygasa. Wciąż jest irytujący, ale znośny.

Kładę się na plecach i unoszę na powierzchni tak, jak uczył mnie Theo. Jest mglisty poranek, chmury są szare jak mój nastrój. Patrzę na nie, wypatrując na próżno przebłysków słońca. Smugi różu. Żółtej poświaty. Czegokolwiek, co sprawi, że przestanę myśleć o Vivian.

Nie powinnam być zaskoczona jej pojawieniem się. Prawdę mówiąc, mogłam się tego spodziewać po tym, jak przez trzy dni myślałam o niej bez przerwy. Teraz, kiedy ją zobaczyłam, wiem, że wróci. Kolejna osoba, która będzie mnie obserwować.

Biorę głęboki wdech i zanurzam się pod powierzchnię. Wyprane z koloru niebo drży, gdy rozdziela nas tafla wody, zalewa mi otwarte oczy,

zniekształca obraz. Opadam coraz niżej i wreszcie mam pewność, że nikt mnie nie zobaczy. Nawet Vivian.

Tkwię pod wodą przez prawie dwie minuty. Płuca palą mnie żywym ogniem, a ręce i nogi instynktownie wyrywają się w stronę powierzchni. Kiedy się wynurzam, kolejny raz mam wrażenie, że ktoś obserwuje mnie z oddali. Moje mięśnie napinają się. Jestem gotowa na to, że lada chwila zobaczę Vivian.

Ktoś siedzi na brzegu, tuż nad samą wodą i przygląda mi się. Nie jest to Vivian, dzięki Bogu. Nie jest to nawet Becca.

To Franny siedzi w tym samym miejscu, gdzie dwa dni temu wczesnym rankiem rozmawiałyśmy z Beccą. Wciąż ma na sobie koszulę nocną, ramiona okryła wzorzystym kocem. Macha do mnie, kiedy płynę w stronę brzegu.

– Wcześnie wstałaś – woła. – Myślałam, że ja jedna wstaję o tak wczesnej porze.

W milczeniu wycieram się ręcznikiem, wkładam szlafrok i sięgam po okulary. Chociaż Franny wygląda, jakby cieszyła się na mój widok, nie podzielam jej entuzjazmu. Mam teraz w głowie Vivian i jej pamiętnik.

Jestem bliska odkrycia jej małej, paskudnej tajemnicy.

To zdanie, pojawienie się kamery i brak reakcji Franny po tym, jak Mindy oskarżyła mnie o to, że zniszczyłam własne przeklęte drzwi, sprawiły, że zrobiłam się jeszcze bardziej nieufna. Zastanawiam się, czy nie odejść, kiedy słyszę, jak mówi:

– Wiem, że wciąż jesteś zdenerwowana tym, co wydarzyło się wczoraj. I wcale ci się nie dziwię. Ale to chyba nie znaczy, że nie możesz usiąść ze starą kobietą, która szuka towarzystwa.

Zapraszającym gestem poklepuje dłonią trawnik. Ten gest sprawia, że coś ściska mnie w sercu. Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam

wybaczyć jej kamery i tego, że nie stanęła w mojej obronie. Jeśli chodzi o pamiętnik Vivian, tłumaczę sobie, że mogła kłamać i Franny wcale nie skrywa żadnej tajemnicy. Taka dramaturgia dla samej dramaturgii. W końcu była w tym dobra. Może cały ten pamiętnik to jedno wielkie kłamstwo.

W końcu decyduję się na kompromis między podejrzliwym umysłem a miękkim sercem. Siadam obok Franny, ale milczę. W tym momencie to najlepsze, co mogę zrobić.

Ona chyba wyczuwa te niewypowiedziane zasady i nie rozpytuje mnie, dlaczego wstałam tak wcześnie. Po prostu mówi.

– Muszę przyznać, Emmo, że zazdroszczę ci tego, jak pływasz. Kiedyś spędzałam w tym jeziorze mnóstwo czasu. W młodości trudno mnie było wyciągnąć z wody. Pływałam od rana do wieczora. Niestety już tego nie robię. Nie po tym, co stało się z Douglasem.

Nie musi dodawać nic więcej. To oczywiste, że ma na myśli Douglasa White'a. Jej znacznie starszego męża. Mężczyznę, który zmarł lata przed tym, zanim adoptowała Theo i Cheta. Przypominam sobie kolejny wpis z pamiętnika Vivian.

Nie sądzicie, że to dziwne, że gość, który prawie brał udział w olimpiadzie, utonął?

Odsuwam od siebie tę myśl, a Franny nie przestaje mówić:

– Teraz, kiedy już nie pływam, obserwuję. Zamiast być w jeziorze, patrzę na to, co dzieje się wokół niego. Dzięki temu człowiek patrzy na wszystko z innej perspektywy. Na przykład dziś rano obserwowałam tego jastrzębia.

Odchyla się i przenosi ciężar ciała na jedną rękę. Drugą wysuwa spod koca i wskazuje na jastrzębia kołującego leniwie nad jeziorem.

– Wygląda jak rybołów – mówi. – Podejrzewam, że widzi coś w wodzie. Raz, lata temu, dwa sokoły wędrowne uwiły gniazdo tuż za

oknem naszej jadalni w Harris. Chet był wtedy małym chłopcem, ale fascynowały go te ptaki. Godzinami siedział przy oknie, patrzył i czekał, aż wyklują się pisklęta. I wkrótce się wykluły. Trzy. Były takie małe. Jak popiskujące kłębki bawełny. Chet nie posiadał się z radości. Był tak dumny, jakby to on był rodzicem. Nie trwało to długo. Przyroda bywa równie rozczarowująca, jak urzekająca. Tym razem nie było inaczej.

Rybołów nagle pikuje i rozłożywszy skrzydła, orze szponami powierzchnię wody. Kiedy znów wzbija się w powietrze, trzyma w nich rybę, która choć wije się na wszystkie strony, nie jest w stanie się uwolnić. Ptak oddala się od jeziora, żeby gdzieś w spokoju pożywić się zdobyczą.

– Czemu ponownie otworzyłaś obóz?

Te słowa zdumiewają mnie samą. Ale wygląda na to, że Franny spodziewała się tego pytania. Albo przynajmniej podobnego. Nie odpowiada od razu. Bierze głęboki oddech i po chwili mówi:

– Bo to był właściwy czas, Emmo. Piętnaście lat to dla miejsca zbyt długo, żeby pozostawało puste.

– Czemu więc nie zrobiłaś tego wcześniej?

– Nie przypuszczałam, że jestem gotowa, chociaż obóz tu był i czekał na mnie.

– Skąd pewność, że teraz jesteś gotowa?

Tym razem nie ma gotowej odpowiedzi. Zaciska zęby i spoglądając na jezioro, zastanawia się. W końcu mówi:

– Coś ci powiem, Emmo. Coś bardzo osobistego, o czym wiedzą tylko nieliczni. Ale obiecaj, że nikomu o tym nie powiesz.

– Obiecuję – mówię. – Nie pisnę ani słowa.

– Ja umieram, Emmo.

Znowu czuję ukłucie w sercu. Tym razem mocniejsze. Jakby i je rybołów pochwycił w swoje szpony.

– Rak jajnika – dodaje Franny. – Czwarte stadium. Lekarze dawali mi osiem miesięcy życia. To było cztery miesiące temu. Jestem pewna, że umiesz liczyć.

– Przecież musi być jakiś sposób, żeby go pokonać.

Sytuacja jest jednak jasna. Franny to milionerka. Ktoś, kto ma tyle pieniędzy, z pewnością szukał pomocy u najlepszych specjalistów. Tymczasem Franny kręci głową i mówi:

– Za późno już na całe to zamieszanie. Choroba postępuje zbyt szybko. Jakakolwiek terapia byłaby tylko odwlekaniem tego, co nieuniknione.

Zdumiewa mnie jej spokój, jej pogodzenie się z losem. Jestem jej całkowitym przeciwieństwem. Oddycham płytko. Czuję pod powiekami palące łzy i powstrzymuję szloch. Podobnie jak Vivian znam teraz jeden z sekretów Franny. Tyle że ten nie jest paskudny. Jest smutny i sprawia, że myślę o zegarze słonecznym ukrytym w głębi lasu. Ostatnia godzina rzeczywiście zabija.

– Tak mi przykro, Franny. Naprawdę.

Poklepuje mnie po kolanie, jak robiła to moja babcia.

– Niech ci nie będzie przykro. Wiem, ile mam szczęścia. Mam za sobą długie życie, Emmo. Długie i dobre. To mi wystarczy. Naprawdę. Tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– To, co się tutaj wydarzyło – mówię.

– Theo i Chet nie mają pojęcia, jak bardzo mnie to gnębi.

– Jak myślisz, co się z nimi stało? Z Vivian, Allison i Natalie?

– Nie wiem, Emmo. Naprawdę nie mam pojęcia.

– Musisz mieć jakąś teorię. Wszyscy je mają.

– Teorie są bez znaczenia – odpowiada Franny. – Nie ma sensu rozmyślać nad tym, co się wydarzyło. Co się stało, to się nie odstanie. Poza

tym wolę nie myśleć, jak wiele kosztowało mnie ich zniknięcie.

Rozumiem ją. Musiała zamknąć Camp Nightingale. Jej reputacja została nadszarpnięta. Theo tak naprawdę nigdy nie został oczyszczony z zarzutów. A do tego trzy procesy wytoczone jej przez rodziców Vivian, Natalie i Allison, którzy oskarżyli ją o zaniedbania. Odpowiednie sumy pieniędzy natychmiast załatwiły sprawę.

– Chciałam przeżyć to ostatnie lato tak jak kiedyś – ciągnie Franny. – Dlatego ponownie otworzyłam obóz. Pomyślałam, że jeśli wszystko pójdzie tak, jak bym tego chciała, może na chwilę uda mi się zapomnieć o tym, co wydarzyło się piętnaście lat temu. Ostatnie cudowne lato. Później mogę umrzeć jako szczęśliwa kobieta.

– To dobry powód – mówię.

– Tak sądzę. Byłoby szkoda, gdyby coś poszło nie tak.

Ból w moim sercu ustępuje miejsca odrętwieniu, gdy przypominam sobie kolejny wpis z dziennika Vivian.

Na pewno coś podejrzewa.

– Jestem przekonana, że nic takiego się nie wydarzy. – Staram się, żeby zabrzmiało to radośnie i mam nadzieję, że Franny nie wychwyci niepokoju w moim głosie. – Każdy, z kim rozmawiałam, mówi, że świetnie się bawi.

Franny odrywa wzrok od wody i patrzy na mnie zielonymi oczami, nietkniętymi przez chorobę. Spojrzenie ma czujne, sondujące, jakby próbowała czytać mi w myślach.

– A ty, Emmo? Ty też dobrze się tu bawisz?

– Tak – odpowiadam, starając się nie patrzeć jej w oczy. – Bardzo.

– To dobrze – mówi. – Tak się cieszę.

Ale w jej głosie nie słychać zadowolenia. Jest chłodny, jak wiejąca od strony jeziora bryza, która marszczy taflę wody. Próbując odegnać ten nagły

chłód, otulam się szczelniej szlafrokiem i zerkam w stronę tarasu, na którym pojawiła się Lottie.

– Tu jesteś – woła do Franny. – Wszystko w porządku?

– Tak, Lottie. Emma i ja rozmawiamy o obozie.

– Nie siedź za długo – upomina ją Lottie. – Śniadanie ci wystygnie.

– Powinnaś iść – zwracam się do Franny. – A ja powinnam obudzić dziewczyny.

– Ale nie dokończyłam opowieści o Checie i sokołach – mówi Franny. – Kończy się niedługo po tym, jak wykluły się pisklęta. Jak już mówiłam, Chet miał na ich punkcie obsesję. Każdą wolną chwilę spędzał z nosem przy szybie. Chyba naprawdę pokochał te ptaki. I wtedy wydarzyło się coś, na co nie był przygotowany. Pisklęta zgłodniały, więc matka zrobiła to, co robią matki sokoląt. Nakarmiła je. Chet patrzył, jak wylatuje z gniazda i wzbija się w niebo, jak krąży, czekając, aż pojawi się zdobycz. Okazał się nią gołąb. Biedny, niczego niepodejrzewający gołąb, który prawdopodobnie leciał do Central Parku. Samica spadła na niego i pochwyciła go w powietrzu. Przyniosła łup do gniazda i na oczach Cheta ostrym, zakrzywionym dziobem rozdarła gołębia na strzępy, by kawałek po kawałku nakarmić nim młode.

Wzdrygam się na myśl o trzepoczących skrzydłach i puchowych piórkach unoszących się w powietrzu niczym śnieg.

– Nie można winić sokolicy – oświadcza rzeczowo Franny. – Robiła to, co musiała. Dbała o swoje dzieci. Na tym polegała jej rola. Ale to złamało Chetowi serce. Zbyt bacznie obserwował pisklęta, a one pokazały swoją prawdziwą naturę. Tamtego dnia utracił cząstkę dziecięcej niewinności. Niewielką. Maleńką. Ale już nigdy nie zdołał jej odzyskać. I chociaż nie rozmawiamy o tamtych sokołach, jestem pewna, że żałuje, że tak bardzo się

im przyglądał. Myślę, że gdybym go o to zapytała, tak właśnie by powiedział: że żałuje.

Franny z trudem dźwiga się z ziemi, jej ciało drży lekko z wysiłku. Koc ześlizguje się z jej ramion i widzę jej wychudzone ręce. Pospiesznie naciąga go z powrotem i mówi:

– Miłego dnia, Emmo.

Powłócząc nogami, idzie w stronę domu i zostawia mnie sam na sam z opowieścią o Checie i sokołach, która choć nie brzmiała jak kłamstwo, nie wydawała się również prawdziwa.

Nagle coś ściska mnie w żołądku, gdy uświadamiam sobie, że mogła to być groźba.

24

Poranne zajęcia z malarstwa odbywają się w atmosferze rozkojarzenia. Dziewczyny ustawiają sztalugi w kręgu wokół typowej martwej natury – stolika, wazonu i kwiatów. Monitoruję postępy moich podopiecznych bez specjalnego zainteresowania, bardziej przejmuję się bransoletką na nadgarstku. Udało mi się naprawić zapięcie za pomocą sznurka z pracowni Casey. To tymczasowe rozwiązanie, które – jak podejrzewam – nie przetrwa do końca dnia, nie mówiąc o końcu lata. Zwłaszcza jeśli nadal będę ją tak szarpała.

Denerwuje mnie wszystko, co dzieje się dokoła. Becca i jej początkujące fotografki, które wracają z lasu. Casey i jej uczennice, które nawlekają na rzemyki kolorowe paciorki. Wszystkie te dziewczyny i ich ciekawskie spojrzenia.

Jedna z nich wie, co zrobiłam piętnaście lat temu, o czym na pewno przypomni mi, raczej prędzej niż później.

Zatrzymuję się i znowu nerwowo szarpię bransoletkę, przyglądając się pracy Mirandy. Kiedy spogląda na mój nadgarstek, pospiesznie cofam rękę i wyglądam przez okno.

Z budynku, w którym odbywają się zajęcia, mam widok na Dom oraz wchodzących i wychodzących z niego członków rodziny Harris-White’ów. Widzę Mindy i Cheta sprzeczających się o coś w drodze do stołówki, i Theo, który truchtając, wybiera się na poranną przebieżkę. Chwilę później zauważam Lottie, ostrożnie prowadzącą Franny w stronę jeziora.

To znaczy, że dom stoi teraz pusty.

Słowa Franny wracają do mnie szeptem.

Zbyt bacznie obserwował pisklęta, a one pokazały swoją prawdziwą naturę.

Wiem, że nie powinnam lekceważyć jej ostrzeżenia. Nie wyniknie z tego nic dobrego. Nawet jeśli poznam odpowiedzi, nie ma gwarancji, że przestanie mnie nękać poczucie winy. Ale nie dowiem się, jeśli nie spróbuję. Wróciłam tu z powodu niewiedzy. Niewiedza sprawiła, że lata temu widywałam Vivian. Dlatego zobaczyłam ją w nocy. To moja jedyna szansa.

– Muszę coś zrobić – zwracam się do dziewcząt. – Zaraz wrócę. Malujcie dalej.

Po drodze zaglądam do Derenia, skąd zabieram telefon i ładowarkę. Następnie kieruję się w stronę Domu. Stawiam długie, niezgrabne kroki, bo z jednej strony wiem, że muszę się spieszyć, a z drugiej nie chcę rzucać się w oczy.

Dotarłszy do Domu, pukam do czerwonych drzwi na wypadek, gdyby ktoś jednak już tam wrócił. Odczekuję kilka sekund i kiedy nikt nie otwiera, naciskam klamkę. Drzwi są otwarte. Oglądam się za siebie, żeby upewnić się, że nikt mnie nie obserwuje, po czym wślizguję się do wnętrza i zamykam za sobą drzwi. Mijam hol, pokój dzienny i skręcam w lewo do gabinetu.

Pokój jest mniej więcej wielkości naszej chatki, ze stojącym pośrodku biurkiem i ciągnącymi się od podłogi aż po sufit regałami przy ścianach odpowiadających tym, przy których w Dereniu stoją nasze łóżka. Ścianę za biurkiem zdobią oprawione w ramki fotografie. Pokój wydaje się zaniedbany, jak muzeum, które ledwo zarabia na swoje utrzymanie. Cienka warstwa kurzu pokrywa stojącą na biurku lampkę z abażurem od

Tiffany’ego. Nieco grubsza zalega na telefonie z tarczą obrotową, który wygląda, jakby nie dotykano go od lat.

Poruszam się na czworakach, chcąc znaleźć gniazdko w ścianie. Zauważam jedno za biurkiem i podłączam ładowarkę. Zaraz potem staję na środku pokoju i zastanawiam się, od czego rozpocząć poszukiwania. Bez pamiętnika Vivian trudno zdecydować. Przypominam sobie, jak pisała, że udało jej się wynieść coś z gabinetu, a to znaczy, że wskazówek mogło być kilka.

Podchodzę do regału po lewej stronie, na którym stoi kilkanaście opasłych ksiąg przyrodniczych. Wśród nich są *O powstawaniu gatunków* Darwina, *Ptaki Ameryki* Audubona i *Walden* Thoreau. Wyciągam grube fioletowe tomiszcze i oglądam okładkę. *Trujące rośliny Ameryki Północnej*. Kartkując książkę, napotykam zdjęcia białych jak koronki kwiatów, czerwonych jagód i zielonkawych grzybów. Wątpię, by Vivian miała na myśli książki.

Patrzę na biurko i omiatam wzrokiem telefon, lampę i kalendarz, po czym kucam przed trzema szufladami piętrzącymi się jedna nad drugą od podłogi po blat. W pierwszej nie znajduję niczego oprócz zatyczek do długopisów i spinaczy do papieru. Zamykam ją i otwieram środkową. Są w niej wypchane dokumentami papierowe teczki, których brzegi pożółkły ze starości. Przeglądam ich zawartość. To głównie przepisy, sprawozdania finansowe i stare faktury za prace wykonywane na terenie posiadłości. Nic, co nosiłoby znamiona skandalu. A przynajmniej nic, co Vivian mogłaby uznać za podejrzane.

W dolnej szufladzie znajduję drewniane pudełko. Takie samo jak to, które pokazała mi Vivian podczas wyprawy na drugi brzeg jeziora, tylko w lepszym stanie. Jest równie duże i ciężkie. Nawet inicjały wyryte na wieku są takie same.

CC

Charles Cutler.

Przychodzi mi to do głowy nagle, bez ostrzeżenia i bez trudu. Wystarczy spojrzeć na inicjały i oto jest. Wyjmuję pudełko i ostrożnie odwracam do góry dnem. Również tam widzę znajome słowa.

Własność Peaceful Valley.

Odwracam pudełko z powrotem, otwieram je i spoglądam na wyścielane zielonym aksamitem wnętrze. W środku znajdują się fotografie.

Stare.

Kobiet w szarych sukienkach z długimi włosami opadającymi na plecy.

Każda przybiera tę samą pozę, co Eleanor Auburn, tyle że w dłoniach nie trzyma szczotki do włosów.

To stąd Vivian wzięła zdjęcie. Jestem tego pewna. W pudełku są ich jakieś dwa tuziny. Oglądam je podenerwowana ich jednakowością. Te same ubrania. To samo nagie tło. Te same oczy, z których wyzierają rozpacz i bezsilność.

Podobnie jak na zdjęciu Eleanor, również na tych z tyłu znajdują się nazwiska.

Henrietta Golden. Lucille Tawny. Anya Flaxen.

Te kobiety były pacjentkami w Peaceful Valley. Nieszczęśnicami, które Charles Cutler uratował z zapuszczonych, przepełnionych szpitali i sprowadził do Peaceful Valley. Coś mi jednak mówi, że wcale nie miał dobrych zamiarów. Czytam do chwili, aż praktycznie nic nie czuję.

Auburn*. Golden. Tawny. Flaxen.

To nie nazwiska.

To kolory włosów.

Dziesiątki myśli tłuką mi się w głowie, obijając się o siebie. Nożyczki w gnijącym pudełku. Dźwięk, który wydały, kiedy Vivian obróciła pudełko do góry dnem – jak brzęk tłuczonego szkła. Matka Allison w wywołującej poczucie winy inscenizacji *Sweeneya Todda*. Kobiety posyłane do zakładu dla obłąkanych i skazane na łaskę strażników, którzy sprzedawali ich włosy perukarzom.

Właśnie to robił Charles Cutler. To by tłumaczyło, dlaczego pacjentki miały tak długie włosy i dlaczego nikt nie zapisywał ich nazwisk, jak gdyby kolor włosów był jedynym ważnym aspektem ich tożsamości.

Zastanawiam się, czy któraś z nich wiedziała, czym są. Nie pacjentkami, lecz towarem, dawczyniami włosów, kobietami, które nigdy nie zobaczyły pieniędzy wypłacanych Charlesowi Cutlerowi przez perukarzy. Myśl o tym jest tak potwornie smutna, że nie zauważam nawet, kiedy ktoś wchodzi do domu. Dopiero czyjś głos wyrywa mnie z zamyślenia.

– Halo?

Odkładam zdjęcia do pudełka i pospiesznie zatrzaskuję wieczko. Nagły ruch sprawia, że ptaszki przy mojej bransoletce podzwaniają. Słysząc to, zaciskam dłoń na nadgarstku.

– Jest tu kto? – woła głos.

– Ja – odpowiadam z nadzieją, że mój głos zagłuszy szczęk zamykanej szuflady. – Emma Davis.

Zrywam się na równe nogi i widzę Lottie stojącą w drzwiach gabinetu. Podobnie jak ja, ona również wygląda na zaskoczoną.

– Ładuję telefon. Mindy powiedziała, że w razie potrzeby mogę zrobić to tutaj.

– Masz szczęście, że Franny cię nie nakryła. Ma bzika na punkcie takich rzeczy. – Lottie zerka za siebie, jakby chciała się upewnić, że Franny

rzeczywiście nie ma w domu. Chwilę później wchodzi do pokoju, w oczach ma konspiracyjny błysk. – Moim zdaniem to głupia zasada. Ostrzegałam ją, że dziewczęta teraz są inne niż wtedy. Wiecznie z nosami w telefonach. Ale się uparła. Wiesz, jaka potrafi być uparta.

Podchodzi do mnie i przez ułamek sekundy myślę, że wie, po co naprawdę tu przyszłam. Przygotowuję się na pytania, może nawet na ledwie skrywaną groźbę, jak ta, którą usłyszałam rano od Franny. Tymczasem Lottie skupia się na fotografiach wiszących na ścianie za biurkiem. Wyglądają, jakby ten, kto je wieszał, nie kierował się żadnym porządkiem. Kolorowe zdjęcia mieszają się z czarno-białymi, tworząc kolaż wielkości ściany. Dostrzegam ziarniste zdjęcie przystojnego mężczyzny stojącego prawdopodobnie na tle jeziora Midnight. W prawym górnym rogu zapisano pospiesznie datę: 1903.

– To dziadek Franny – mówi Lottie. – Buchanan Harris we własnej osobie.

Ma potężną posturę charakterystyczną dla wielu ważnych ludzi tamtej epoki. Szerokie bary. Duży brzuch. Mięsiste, rumiane policzki. Wygląda jak człowiek, który mógł zarobić majątek na wycince lasu, a następnie wydać zarobione pieniądze na utworzenie jeziora.

Lottie wskazuje przypominającą ptaka kobietę na tym samym zdjęciu. Ma duże oczy, drobne usta i jest dużo niższa od męża.

– A to jej babka – dodaje.

– Słyszałam, że utonęła – mówię.

– Umarła przy porodzie – odpowiada Lottie. – To mąż Franny utonął.

– Jak do tego doszło?

– Pytasz o to, jak utonął? To było, zanim poznałam Franny. Słyszałam, że ona i Douglas poszli popływać późnym wieczorem, jak mieli w zwyczaju. Nie było w tym nic niezwykłego. Tyle że tamtej nocy Franny

wróciła sama. Była rozhisteryzowana. W kółko powtarzała, że Douglas zanurkował i już nie wypłynął. Mówiła, że go szukała, ale na próżno. Ludzie ruszyli na jezioro łódkami, żeby go szukać. Ciało znaleziono dopiero następnego dnia rano. Woda wyrzuciła je na brzeg. Biedaczysko. To miejsce widziało już dość tragedii.

Lottie podchodzi do kolejnej czarno-białej fotografii przedstawiającej dziewczynkę opartą o drzewo. Na szyi ma zawieszoną lornetkę. To Franny. Pod zdjęciem wisi następne, również zrobione nad jeziorem. Sądząc po jaskrawych kolorach, do zrobienia go użyto prawdopodobnie filmu Kodachrome. Kilka lat starsza Franny jest na tarasie za domem, odwrócona tyłem do jeziora. Obok niej stoi, uśmiechając się, inna dziewczynka.

– To ona – mówi Lottie. – Moja mama.

Nachylam się w stronę fotografii i dostrzegam podobieństwa między dziewczyną pozującą z Franny i kobietą, która stoi obok mnie. Ta sama blada cera. Te same brwi w stylu Bette Davis. Ta sama twarz w kształcie serca i ta sama spiczasta broda.

– Twoja matka znała Franny?

– Ależ tak – przytakuje Lottie. – Razem dorastały. Moja babka była osobistą sekretarką matki Franny, a mój pradziadek prawą ręką Buchanana Harrisa. Właściwie pomógł mu stworzyć jezioro Midnight. Kiedy Franny skończyła osiemnaście lat, moja matka została jej sekretarką, a po jej śmierci Franny zaproponowała tę posadę mnie.

– I to właśnie chciałaś robić?

Zdaję sobie sprawę, jak niegrzeczne jest to pytanie. Jak gdybym osądzała Lottie, gdy tak naprawdę osądzam Franny za to, że pielęgnowała tradycję Harrisów i wykorzystywała kolejne pokolenia jednej rodziny, by ułatwić sobie życie.

– Niezupełnie – odpowiada taktownie Lottie. – Chciałam zostać aktorką. A to znaczy, że byłam kelnerką. Kiedy zmarła moja matka i Franny zaproponowała mi posadę, prawie jej odmówiłam. Na szczęście w porę się opamiętałam. Byłam po trzydziestce i ledwo wiązałam koniec z końcem. A przecież rodzice Franny byli dla mnie tacy dobrzy. Traktowałam ich jak rodzinę. Dorastałam z ich córką. Spędzałam więcej czasu tu, nad jeziorem Midnight, niż Theo i Chet razem wzięci. Dlatego przyjęłam propozycję Franny i tak już zostało.

Jest tyle rzeczy, o które chciałabym ją zapytać. Czy jest szczęśliwa, robiąc to, co kiedyś robiła jej matka? Czy rodzina dobrze ją traktuje? A przede wszystkim, czy wie, że Franny trzyma w biurku zdjęcia pacjentek szpitala psychiatrycznego?

– A ta tutaj, to chyba Casey – ciągnie Lottie, oglądając zdjęcia obozu z czasów jego świetności. Są na nich grupki dziewcząt pozujących na korcie tenisowym i na strzelnicy łuczniczej, z naciągniętymi łukami. – O, tu, z Theo.

Wskazuje fotografię Casey i Theo w jeziorze. Theo stoi do pasa w wodzie z gwizdkiem ratownika zawieszonym na szyi. W ramionach trzyma – tak jak mnie podczas nauki pływania – Casey. Na zdjęciu jest szczuplejsza, a jej młodzieńcza twarz emanuje radością. Domyślam się, że zdjęcie zostało zrobione, kiedy przyjeżdżała tu jako obozowiczka.

Tuż nad fotografią wisi inna, przedstawiająca dwie dziewczyny w koszulkach polo. Słońce świeci im prosto w twarze, więc mrużą oczy. Cień fotografa ciągnie się po ziemi u dołu zdjęcia niczym widmo, które lada chwila rzuci się na nie.

Jedną z dziewczyn na fotografii jest Vivian.

Druga to Rebecca Schoenfeld.

Ich widok na krótką chwilę ścina mi krew w żyłach. Przez moment przyglądam się im i łączącej je poufałości. Szerokim, niewymuszonym uśmiechom. Szczupłym ramionom, którymi się obejmują. Stykającym się tenisówkom marki Keds.

To nie jest zdjęcie dziewczyn, które prawie się nie znały.

To zdjęcie przyjaciółek.

– Powinnam już iść – rzucam pospiesznie i sięgam po telefon i ładowarkę. – Nie powiesz o tym Franny, prawda?

Lottie kręci głową.

– Lepiej, żeby nie wiedziała o niektórych rzeczach.

Ona również zbiera się do wyjścia, a gdy okrąża biurko, ukradkiem robię zdjęcie fotografii Vivian i Bekki. Zaraz potem opuszczam gabinet i wychodzę z Domu. W drzwiach wejściowych wpadam na Theo, Cheta i Mindy. Dosłownie. Odbijam się od Theo, a zaraz potem od Cheta, który chwyta mnie za ramię i pomaga odzyskać równowagę.

– Ostrożnie – rzuca.

– Przepraszam – bąkam, pokazując telefon. – Musiałam go podładować.

Przeciskam się między nimi i kieruję w stronę serca obozu. Poranne zajęcia dobiegły końca i dziewczyny wałęsają się między domkami, stołówką i pracownią malarsko-rękodzielniczą. Kiedy docieram do chatki, moje współlokatorki siedzą na łóżkach i czytają. Krystal komiks, a Miranda powieść Agathy Christie. Sasha kartkuje podniszczony numer „National Geographic”.

– Gdzie byłaś? – pyta Krystal. – Nie wróciłaś na zajęcia.

– Przepraszam – bąkam. – Coś mnie zatrzymało.

Klękam przed kufrem i wodzę dłońmi po wieku, wyczuwając pod palcami wyryte w drewnie imiona dziewczyn, które przyjechały tu przede mną.

– Co robisz? – pyta Miranda.

– Szukam czegoś.

– Czego?

Pochylam się w prawo i dotykam boku skrzyni. Tam je znajduję. Pięć małych liter wydrapanych w drewnie zaledwie trzy centymetry od podłogi.

becca

– Kłamca – mówię.

---

* Kolejno kolory: kasztanowy, złoty, płowy, lniany (ang.).

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Ognisko. Czwarty lipca.

Tej nocy w powietrzu wyczuwało się napięcie. Mieszankę gorąca, wolności i wakacji. Płomienie zdawały się wyższe, goretsze. Zauważyłam, że dziewczyny siedzące przy ognisku były głośniejsze, szczęśliwsze. Nawet my.

Do kolacji awantura w Dereniu została zażegnana. Vivian, Natalie i Allison śmiały się i żartowały przez cały posiłek. Vivian nie odezwała się ani słowem, kiedy Natalie wzięła dokładkę. A Allison, o dziwo, zjadła wszystko, co było na jej talerzu. Poczułam ulgę, że Franny miała rację. Burza minęła. Teraz siedziały obok mnie przy ognisku, skąpane w pomarańczowym blasku tańczących płomieni.

– Przepraszamy za wcześniej – powiedziała Vivian. – Nie chodziło o nic ważnego.

– O nic ważnego – powtórzyła Allison.

– Nic a nic – dodała Natalie.

Pokiwałam głową nie dlatego, że im wierzyłam, ale dlatego, że mnie to nie obchodziło. Najważniejsze było to, że na koniec dnia, który spędziłam w samotności, siedziały tu razem ze mną.

– Jesteście najlepszymi przyjaciółkami – odparłam. – Rozumiem.

Opiekunki rozdały nam zimne ognie, które odpaliłyśmy od ogniska, aż zaczęły strzelać iskrami.

Allison zerwała się na nogi i zaczęła kreślić w powietrzu litery, zapisując swoje imię. Vivian zrobiła to samo. Jej litery były duże i przez chwilę migocząc, wisiały w powietrzu.

Odległy huk sprawił, że spojrzałyśmy w niebo, na którym złote macki sztucznych ogni rozpływały się w powietrzu, a kolejne malowały noc czerwienią, żółcią i zielenią. Pokaz fajerwerków odbywał się w sąsiednim miasteczku, ale był widoczny również w Camp Nightingale. Allison, żeby mieć lepszy widok, stanęła na ławce. Ja zostałam na ziemi, przyjemnie zaskoczona, gdy Vivian objęła mnie od tyłu i szepnęła mi do ucha:

– Cudowne, prawda?

Chociaż mogłoby się wydawać, że ma na myśli sztuczne ognie, wiedziałam, że chodzi o coś zupełnie innego. O nas. O to miejsce. Tę chwilę.

– Chcę, żebyś zapamiętała to na zawsze – dodała, gdy kolejny ognisty kwiat rozkwitł na nocnym niebie. – Obiecaj mi.

– Oczywiście – odparłam.

– Musisz mi to obiecać, Em. Obiecaj, że nigdy nie zapomnisz.

– Obiecuję.

– Moja młodsza siostrzyczka.

Pocałowała mnie w czubek głowy i wypuściła z objęć. Stałam, wpatrując się w niebo, urzeczona kolorami i tym, jak przenikały się i migotały. Spróbowałam je policzyć, ale straciłam rachubę, gdy kolejne sztuczne ognie poszybowały w niebo. Było to spektakularne zwieńczenie pokazu, od którego niebo pojaśniało tak bardzo, że musiałam zmrużyć oczy.

I nagle było po wszystkim. Kolory zniknęły, zastąpione czernią nieba i punkcikami gwiazd.

– Ależ to było ładne – rzuciłam, odwracając się, żeby zobaczyć, czy Vivian się ze mną zgodzi.

Ale za mną nie było nikogo. Tylko ognisko, które powoli zmieniało się w stertę rozżarzonych węgielków.

Vivian zniknęła.

25

Opuszczam ognisko, wymawiając się zmęczeniem. Nie do końca jest to kłamstwo. Całe to podglądanie i przemykanie sprawiło, że naprawdę czuję się wykończona. Dlatego przebieram się w wygodne ubrania – koszulkę i kraciaste bokserki, które noszę jako szorty – i kładę się na łóżku. Mówię dziewczynom, żeby szły beze mnie. A gdy wychodzą, sprawdzam wiadomości, licząc, że dostałam maila od Marca. Znajduję jedynie SMS-a, w którym pisze: Pan Bibliotekarz nadal jest uroczy! Czemu w ogóle z nim zerwałem? xoxo.

Odpisuję: Skup się.

Kilka minut później wychodzę i kieruję się w stronę jednego z domków. Złotego Dębu. Czekam przy drzwiach, patrząc na trzy dziewczyny spieszące na ognisko. Ostatnia wychodzi Becca. Na mój widok tężeje. Wie, że coś jest nie tak.

– Nie czekajcie. Zaraz was dogonię – rzuca do dziewczyn. Zaraz potem odwraca się w moją stronę i znacznie mniej przyjaznym tonem mówi: – Potrzebujesz czegoś, Emmo?

– Chciałabym usłyszeć prawdę. – Mówiąc to, pokazuję telefon ze zdjęciem. Jej i Vivian, objętych, nierozłącznych. – Co ty na to?

Becca kiwa głową, zaciska usta i wraca do domku. Minutę później wciąż nie wychodzi, zaczynam więc myśleć, że postanowiła mnie zignorować. W końcu jednak pojawia się ze skórzaną torbą na ramieniu.

– Zapasy – tłumaczy. – Chyba będą nam potrzebne.

Idziemy między chatkami w stronę jeziora. Zapada zmrok i niebo przybiera coraz ciemniejszą barwę. Wysoko nad naszymi głowami migoce kilka gwiazd, a po drugiej stronie jeziora księżyc zaczyna swoją wędrówkę.

Becca i ja siadamy na skałach nieopodal wody, tak blisko, że prawie stykamy się kolanami. Becca otwiera torbę i wyjmuje butelkę whiskey oraz opasłą teczkę. Odkręca butelkę, upija solidny łyk i podaje ją mnie. Robię to samo i krzywię się, kiedy alkohol spływa mi do gardła. Po chwili Becca bierze ode mnie butelkę i wkłada mi do rąk teczkę.

– Co to? – pytam.

– Wspomnienia – mówi.

Otwieram teczkę, z której wypada mi na kolana stos fotografii.

– Ty je zrobiłaś?

– Piętnaście lat temu.

Przeglądam zdjęcia, podziwiając talent, jaki przejawiała już w tak młodym wieku. To czarno-białe fotografie. Surowe. Zrobiono je ukradkiem i zaklęto w nich spontaniczne chwile. Sylwetki dwóch dziewczyn obejmujących się na tle ogniska. Gołe nogi dziewczyny grającej w tenisa, zadarta biała spódniczka odsłania blade uda. Dziewczyna pływająca w jeziorze Midnight, woda sięga jej do piegowatych ramion, wachlarz włosów unosi się na powierzchni. Allison – uświadamiam sobie. Odwróciła się od aparatu, skupiona na czymś albo na kimś, kto nie zmieścił się w kadrze. Kropelki wody osiadły jej na rzęsach.

Ostatnie zdjęcie przedstawia Vivian z zimnym ogniem w rozmazanej dłoni. Dużymi literami kreśli w powietrzu swoje imię. Becca zrobiła ujęcie tak, by litery były widoczne. Cienkie białe smugi wiszą pośród nocy.

VIV

Czwarty lipca. Piętnaście lat temu. Noc, kiedy zniknęła.

– Mój Boże – bąkam. – To...

– Ostatnie zdjęcie, jakie jej zrobiono? Chyba tak.

Na myśl o tym sięgam po whiskey. Pociągam spory łyk, który otępia mnie na tyle, że jestem w stanie zapytać:

– Co wydarzyło się między tobą a Vivian? Wiem, że rok wcześniej mieszkałaś z nimi w Dereniu.

– Historia naszej czwórki jest skomplikowana – mówi Becca i zaraz się poprawia: – Była skomplikowana. Nawet poza Camp Nightingale. Chodziłyśmy razem do szkoły. Nie było w tym nic dziwnego. Czasami miałam wrażenie, że połowa mojej klasy przyjeżdża tu na wakacje.

– Obóz dla bogatych suk – rzucam. – Tak mówiło się o nim w mojej szkole.

– To podłe – mówi Becca. – Ale prawdziwe. Bo większość z nich rzeczywiście była sukami. Zwłaszcza Vivian. Ona im przewodziła. Była królową matką. Ludzie ją uwielbiali. Ludzie jej nienawidzili. Nie dbała o to, dopóki była w centrum uwagi. Ja jednak poznałam ją z innej strony.

– Byłyście przyjaciółkami.

– Najlepszymi. Przynajmniej przez jakiś czas. Lubię myśleć, że Vivian była moją fazą buntu. Miałyśmy po czternaście lat, byłyśmy wkurzone na świat, miałyśmy dość bycia dziewczynkami i pragnęłyśmy być kobietami. Zwłaszcza Viv. Była mistrzynią pakowania się w kłopoty. Bogaci chłopcy załatwiali jej, co tylko chciała. Piwo. Zioło. Fałszywe dokumenty, dzięki którym wchodziłyśmy do klubów. I nagle wszystko się urwało.

– Dlaczego?

– Krótka odpowiedź brzmi: bo tak chciała Vivian.

– A długa?

– Nie jestem pewna – mówi Becca. – Myślę, że po śmierci siostry przechodziła jakiś popieprzony kryzys tożsamości. Mówiła ci o tym?

– Raz – przyznaję. – Miałam wrażenie, że nie chciała o tym rozmawiać.

– Może dlatego, że siostra umarła w tak głupi sposób.

– Utonęła, prawda?

– Tak. – Becca pociąga z butelki i wciska mi ją w dłoń. – Pewnej nocy w samym środku zimy Katherine... gdybyś nie wiedziała, tak miała na imię siostra Viv... postanowiła się urżnąć i poszła do Central Parku. Jezioro było zamarznięte. Katherine weszła na nie, lód się pod nią załamał i utonęła.

Przypominam sobie Vivian udającą, że tonie. Musiała myśleć o siostrze, kiedy tak młóciła wodę rękami i wołała o pomoc. A wszystko po to, żeby ściągnąć na siebie uwagę chłopaka. Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

– Śmierć Katherine była dla niej ogromnym ciosem – ciągnie Becca. – Pamiętam, że kiedy tylko się dowiedziałam, pobiegłam do niej. Była oszalała z rozpaczy, Emmo. Płakała, waliła pięściami w ściany, cała się trzęsła. Nie byłam w stanie odwrócić od niej wzroku. Wyglądała upiornie, a zarazem pięknie. Chciałam jej zrobić zdjęcie, żeby na zawsze zapamiętać ten widok. Tak, wiem, że to dziwne.

Wcale nie. Przynajmniej nie tak dziwne, jak bezustanne ukrywanie tych samych postaci pod kolejnymi warstwami farby.

– To był początek końca naszej przyjaźni. Zrobiłam to, co zrobiłaby każda przyjaciółka: poszłam na czuwanie przy zwłokach i na pogrzeb. Byłam przy niej, kiedy wróciła do szkoły. Ale już wtedy wiedziałam, że oddala się ode mnie i coraz bardziej zbliża się do nich.

– Do nich?

– Do Allison i Natalie. Były najlepszymi przyjaciółkami Katherine. Wszystkie trzy chodziły do tej samej klasy.

– Zawsze myślałam, że były koleżankami z klasy Vivian – mówię.

– Była od nich o rok młodsza. Chociaż wcale się tak nie zachowywała.

Becca wyciąga rękę i bierze butelkę. Zupełnie, jakby nie była w stanie odbyć tej rozmowy na trzeźwo. Upija solidny haust i przełyka z trudem.

– Pocieszały się nawzajem. Zakładam, że o to jej chodziło. Jeśli mam być szczera, przed śmiercią Katherine Vivian nie chciała mieć z nimi nic do czynienia. Szkoda, że nie słyszałaś, jak się z nich nalewała, kiedy w piątkę byłyśmy w jej mieszkaniu. Byłyśmy jak walczące z sobą frakcje, nawet kiedy grałyśmy w coś tak głupiego jak prawda czy wyzwanie.

– Dwie prawdy i kłamstwo – mówię. – To Vivian chciała w to grać.

– Nie wtedy, kiedy byłyśmy przyjaciółkami – odpowiada Becca. – Myślę, że postanowiła to zrobić, bo Katherine lubiła tę grę. Uwielbiała siostrę. Mam wrażenie, że kiedy Katherine umarła, Viv przeniosła te uczucia na Natalie i Allison. Nie byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że będziemy mieszkać w jednym domku. Zakładałam, że tak będzie. Nie domyślałam się tylko, że zostanę wykluczona. W ich towarzystwie Vivian zachowywała się, jakby prawie mnie nie znała. Natalie i Allison skupiały całą jej uwagę. Przed końcem obozu praktycznie w ogóle z sobą nie rozmawiałyśmy. Tak samo było po powrocie do szkoły. Miała je, więc nie byłam jej potrzebna. W kolejne wakacje wiedziałam, że nie będę mieszkała z nimi w jednym domku. Jestem pewna, że Vivian o to zadbała. Zostałam wyrzucona z Derenia i przeniesiona do chatki obok.

Jest ciemno. Wokół nas zapada noc i cisza, kiedy nawzajem podajemy sobie butelkę. Whiskey zaczyna uderzać mi do głowy. Spoglądam na gwiazdy – są jaśniejsze, niż powinny być. Słyszę dziewczyny wracające z ogniska. Kroki, głosy, śmiechy odbijające się echem od ścian domków.

– Czemu nie powiedziałaś mi o tym rano? – pytam. – Czemu kłamałaś?

– Bo nie chciałam o tym rozmawiać. I byłam zaskoczona, że ty chcesz. Przecież Vivian potraktowała cię tak samo, prawda?

Nie odpowiadam i zamiast tego pociągam z butelki.

– To nie takie trudne pytanie – mówi Becca.

Właśnie, że tak, bo nie bierze pod uwagę tego, jak ja traktowałam Vivian.

– Nie – mówię. – Nie potraktowała mnie tak samo.

– Myślałam, że skończyłyśmy z kłamstwami – rzuca Becca. – Wiem, co się stało tuż przed tym, zanim zniknęły. Mieszkałam w domku obok, pamiętasz? Okna były otwarte. Słyszałam każde słowo.

Serce tłucze mi się w piersi nierówno, jak zepsuta płyta.

– To byłaś ty, prawda? Ty pomalowałaś drzwi. I wpuściłaś ptaki. To ty mnie podglądałaś.

Becca wyrywa mi butelkę.

– O czym ty, kurwa, gadasz?

– Ktoś bawi się mną, odkąd tu przyjechałam – mówię. – Najpierw myślałam, że tylko mi się wydaje. Ale tak nie jest. To się dzieje naprawdę. I wiem, że to ty.

– Nie pomazałam ci drzwi – sarka Becca. – Nie mam powodu, żeby z tobą pogrywać.

– Niby czemu miałabym ci wierzyć?

– Bo to prawda. Nie osądzam cię za to, co tamtej nocy powiedziałaś Vivian. Co więcej, żałuję, że sama jej tego nie powiedziałam. Zasłużyła na to.

Wstaję i czuję, że kręci mi się w głowie. Spoglądam na butelkę, którą Becca trzyma w dłoni. Została jedna trzecia whiskey. Nie mam pojęcia, ile wypiłam.

– Przez resztę wakacji trzymaj się ode mnie z daleka. – Zaczynam iść, próbując utrzymać równowagę, po czym obracam się przez ramię i wołam:

– A jeśli chodzi o to, co powiedziałam wtedy Vivian, wcale tak nie myślałam.

Tyle że ja naprawdę tak myślałam. W większości. Becca nie zna tylko kontekstu.

Nie wie, co tak naprawdę słyszała tamtej nocy.

Jak do tego doszło.

I że było znacznie gorzej, niż mogłoby się wydawać.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

– Gdzie jest Viv? – zapytałam Natalie, która w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

Allison zrobiła to samo.

– Nie wiem – burknęła.

– Była tu chwilę temu.

– Ale już jej nie ma – rzuciła Natalie. – Pewnie wróciła do domku.

Vivian nie było jednak w chatce, co odkryłyśmy, kiedy kilka minut później wróciłyśmy do Derenia.

– Idę jej poszukać – oświadczyłam.

– Może ona nie chce być znaleziona – zauważyła Natalie, drapiąc ugryzienia komarów.

Wyszłam i ruszyłam w stronę sanitariatu, bo nie wiedziałam, gdzie indziej mogłabym ją znaleźć. Próbowałam otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Dziwne. Zwłaszcza o tak późnej porze. Wiedziona ciekawością obeszłam budynek. Kiedy dotarłam do szczeliny między deskami, usłyszałam dobiegający zza ściany szum wody.

Prysznic.

Zaraz potem usłyszałam coś jeszcze.

Pojękiwania.

Powinnam była odejść. Już wtedy to wiedziałam. Powinnam była obrócić się na pięcie i wrócić do domku. A jednak nie mogłam się

powstrzymać. Była to kolejna rzecz, której nauczyła mnie Vivian. Jeśli masz okazję coś podejrzeć i tego nie zrobisz, jesteś głupcem.

Nachyliłam się w stronę szczeliny i spojrzałam.

Zobaczyłam Vivian. Stała twarzą do ściany, na której zamontowano natrysk, z piersiami przyciśniętymi do drewna. Za nią był Theo. Jego dłonie błądziły po jej ciele. Biodra poruszały się w przód i w tył. Twarz przytulona do karku Vivian. Z ust dobywały się stłumione jęki.

Widok tych dwojga robiących coś, co do tej pory znałam tylko z opowieści, złamał mi serce. Zranił mnie tak bardzo, że niemal słyszałam, jak serce pęka. Żałosny odgłos przypominający drewno, w które ktoś uderza siekierą.

Chciałam uciec w obawie, że Vivian i Theo też to usłyszą. Ale kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Casey z zapalonym papierosem w ustach.

– Emma? – Z każdą sylabą spomiędzy jej warg ulatywał obłoczek dymu. – Coś się stało?

Pokręciłam głową, chociaż z moich oczu zdążyły popłynąć łzy. Wytarłam je wierzchem dłoni.

– Jesteś zdenerwowana – zauważyła Casey.

– Wcale nie – skłamałam. – Po prostu... chcę zostać sama.

Minęłam ją i pobiegłam. Nie do domku, lecz nad jezioro, gdzie stanęłam tak blisko wody, że omywała czubki moich trampek. Rozpłakałam się. Nie mam pojęcia, jak długo tak stałam. Po prostu płakałam i płakałam, a łzy skapywały z moich oczu prosto do wody, stając się częścią jeziora.

Kiedy zabrakło mi łez, wróciłam do chatki, gdzie zastałam Vivian, Natalie i Allison. Siedziały w kółku na podłodze i grały w dwie prawdy i kłamstwo. Vivian trzymała w dłoni piersiówkę, o której mi mówiła.

A więc nie kłamała. Teraz przyłożyła ją do ust, jakby chciała mi pokazać, jaka byłam głupia, że jej nie wierzyłam.

– Tu jesteś – rzuciła, podając mi piersiówkę. – Napijesz się?

Patrzyłam na jej upięte w koński ogon mokre włosy, zaróżowioną skórę i na jej głupi medalion. W tamtej chwili gardziłam nią bardziej niż kimkolwiek. Czułam nienawiść wrzącą mi pod skórą. Paliła mnie od środka.

– Nie – odparłam.

Allison podjęła przerwaną grę. Jej wybory były – jak zwykle – albo chełpliwe, albo najzwyczajniej w świecie głupie.

– Pierwsze: spotkałam sir Andrew Lloyda Webbera. Drugie: od roku nie jem chleba. Trzecie: uważam, że wersja *Don't Cry for Me Argentina* Madonny jest lepsza od wersji Patti LuPone.

– Drugie – rzuciła Vivian i kolejny raz pociągnęła z piersiówki. – Oczywiście nic mnie to nie obchodzi.

Allison zmusiła się do uśmiechu, udając, że nie zabolała jej ta uwaga.

– Zgadłaś. Dziś rano jadłam naleśniki, a rankiem przed wyjazdem na obóz mama zrobiła mi francuskie tosty.

– Moja kolej – oświadczyłam. – Pierwsze: nazywam się Emma Davis. Drugie: spędzam wakacje w Camp Nightingale.

Urwałam, szykując się na kłamstwo.

– Trzecie: chwilę temu nie widziałam Vivian i Theo pieprzących się pod prysznicem.

Natalie zakryła usta dłonią. Allison pisnęła:

– Boże, Viv! To prawda?

Vivian zachowała spokój i patrzyła na mnie z mrocznym błyskiem w oczach.

– Najwyraźniej cię to denerwuje.

Nie mogąc dłużej znieść jej spojrzenia, odwróciłam się bez słowa.

Tymczasem Vivian ciągnęła:

– To ja powinnam być zdenerwowana, wiedząc, że mnie szpiegujesz. Że niczym jakiś zboczeniec podglądasz mnie, jak uprawiam seks. Tym właśnie jesteś, Emmo? Zboczeńcem?

Jej spokój działał mi na nerwy. Powolność wypowiadanych słów. Tak celowa, podszyta odpowiednią dawką pogardy. Byłam pewna, że robiła to specjalnie, bo wiedziała, że w końcu wybuchnę.

A ja dałam jej to, czego chciała.

– Wiedziałaś, że mi się podoba! – wrzasnęłam. Słowa wylewały się z moich ust wartkim potokiem. – Wiedziałaś i nie mogłaś znieść myśli, że ktoś poświęca mi więcej uwagi niż tobie. Więc się z nim pieprzyłaś. Bo mogłaś.

– Theo? – Vivian się roześmiała. Krótko, szczekliwie. Był to najokrutniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam. – Myślałaś, że się tobą interesuje? Chryste, Em, ale z ciebie dzieciak.

– Wolę być dzieciakiem niż dziwką jak ty.

– Może i jestem dziwką, za to ty karmisz się złudzeniami. Pierdolonymi złudzeniami.

Gdybym mogła się rozpłakać, zrobiłabym to w tamtej chwili. Ale nie mogłam. Mogłam tylko minąć ją i położyć się do łóżka. Leżałam na boku odwrócona do nich plecami, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Zamknęłam oczy i oddychałam głęboko, starając się ignorować potworną pustkę, którą czułam w piersi.

Żadna z nich się nie odezwała. Wyszły do sanitariatu, żeby tam poplotkować, oszczędzając mi upokorzenia. Niedługo potem zasnęłam, mój

mózg i ciało uznały zgodnie, że sen będzie najlepszym lekarstwem na niedolę.

Kiedy się obudziłam, był środek nocy. Skrzypienie deski podłogowej wyrwało mnie ze snu i usiadłam na łóżku. Blask księżyca w pełni wlewał się do środka szarobiałym strumieniem. Sylwetki dziewczyn migotały, kiedy jedna za drugą przechodziły przez smugę światła, zmierzając w stronę drzwi.

Pierwsza szła Allison.

Za nią Natalie.

Na końcu Vivian, która zamarła, gdy zobaczyła, że się obudziłam i przyglądam się im.

– Dokąd idziecie? – spytałam.

Vivian się uśmiechnęła, chociaż na jej twarzy nie było śladu wesołości. Wyczuwałam w niej smutek, żal i coś jakby skruchę.

– Jesteś na to za młoda, Em – powiedziała.

Uniosła palec wskazujący i przytknęła go do ust, jak gdyby chciała mnie uciszyć. Jakby spiskowała ze mną. I prosiła, żebym milczała.

Nie posłuchałam jej. Musiałam mieć ostatnie słowo.

Dopiero kiedy je wypowiedziałam, a jego dźwięk odbił się echem od ścian domku, Vivian wyszła, zamknęła za sobą drzwi i zniknęła na zawsze.

26

Jestem pijana, kiedy idę, a właściwie zataczam się między domkami. Mam wrażenie, że przy każdym kroku ścieżka przesuwa mi się pod nogami. Stąpam ciężko, jakbym chciała przyszpilić ją do ziemi, przez co raz za razem tracę równowagę. Od tych prób kręci mi się w głowie. A może to wina whiskey.

Próbuję wytrzeźwieć. Lata obserwowania matki nauczyły mnie kilku sztuczek i teraz jedna po drugiej próbuję wcielić je w życie. Policzkuję się. Macham rękami i biorę głębokie oddechy. Otwieram szeroko oczy, jakbym miała między powiekami niewidoczne wykałaczki.

Zamiast iść prosto do domku, podświadomie zmierzam w zupełnie innym kierunku. Mijam chatki i kieruję się w stronę sanitariatu. Ale nie wchodzę do środka, tylko opieram się o ścianę. Zagubiona zamykam oczy i zastanawiam się, po co w ogóle tam przyszłam.

Otwieram oczy, bo wyczuwam, że ktoś tam jest. Blisko, niepokojąco blisko. Kątem oka widzę postać wychodzącą zza rogu sanitariatu. Kształt. Ciemny i szybki. Moje ciało napina się niczym struna. Krzyk ciśnie mi się na usta, ale powstrzymuję go, kiedy postać nabiera rysów.

To Casey.

Wymknęła się na papierosa jak uczennica.

– Przestraszyłaś mnie – mówi, a zaraz potem zaciąga się i leniwie wydmuchuje dym. – Myślałam, że to Mindy.

Milczę.

Casey rzuca papierosa i gasi go pod butem.

– Wszystko w porządku?

– Tak – rzucam. Tłumię chichot, chociaż po rozmowie z Beccą czuję nieznośny smutek. – Nic mi nie jest.

– Boże, jesteś pijana?

– Nie jestem – mruczę jak moja matka, a słowa zlewają się w jedno. „Niejestem”.

Casey kręci głową, po części przerażona, po części rozbawiona.

– Lepiej nie pokazuj się Mindy w takim stanie. Wścieknie się, jak cię zobaczy.

Odchodzi. Ja zostaję i krążę wokół budynku, wodząc palcem wskazującym po cedrowych deskach. Nagle dostrzegam szczelinę. Szparę między deskami, teraz zatkaną gliną. I już pamiętam, po co tu przyszłam – wracam po własnych śladach. Do tego samego miejsca, do którego poszłam po tym, jak Vivian zniknęła z ogniska. Piętnaście lat później nadal widzę ją i Theo razem pod prysznicem. Wciąż czuję ten sam potworny smutek. Ten sam fantomowy ból.

Ale wyczuwam też coś jeszcze. Czyjąś obecność, która sprawia, że włoski na ramionach i karku stają mi dęba.

Podnoszę wzrok, spodziewając się, że znowu zobaczę Casey. Albo, co gorsza, Mindy.

Tymczasem moim oczom ukazuje się Vivian.

Nie cała. Miga mi przed oczami, znikając za rogiem budynku. Kosmyk jasnych włosów. Rąbek białej sukienki ocierający się o ścianę z drewna cedrowego. Już ma zniknąć na dobre, kiedy odwraca się i wychyla w moją stronę. Widzę jej gładkie czoło, ciemne oczy, mały nos. Wygląda właśnie tak, jak ją zapamiętałam. Jak Vivian, która nawiedzała mnie później.

Odruchowo dotykam bransoletki, ale w miejscu, gdzie powinna być, natrafiam na gołą skórę.

Nie ma jej.

Sprawdzam lewą rękę, żeby się upewnić. Sznureczek, który zastępował zepsute zapięcie, zerwał się i bransoletka leży teraz gdzieś na ziemi.

A to znaczy, że może być wszędzie.

A to znaczy, że przepadła.

Zerkam na róg sanitariatu. Vivian nadal tam jest i przygląda mi się badawczo.

„Nie odbija mi – powtarzam w myślach. – Nie odbija mi”.

Masuję skórę na nadgarstku, licząc, że gest ten podziała tak jak bransoletka. Nic z tego. Vivian stoi tam, gdzie stała. Milczy. Nie przestaję pocierać nadgarstka, przez co moja skóra robi się ciepła.

„Nie odbija mi”.

Chcę jej powiedzieć, że nie jest prawdziwa, że nie ma nade mną żadnej władzy, a ja jestem silniejsza, niż mogłoby się wydawać. Ale nie mogę. Nie mogę, bo zgubiłam bransoletkę i strach niczym wąż pełznie mi po plecach na widok stojącej przede mną Vivian.

Dlatego rzucam się do ucieczki.

„Nie odbija mi”.

Byle dalej od pryszniców.

„Nie odbija mi”.

Z powrotem do Derenia.

„Nie”.

Moja ucieczka – czy raczej żałosna kombinacja zataczania się i potykania – kończy się przed drzwiami chatki. Otwieram je na oścież,

wpadam do środka i zatrzaskuję drzwi za sobą. Stoję oparta o nie plecami, zdyszana, przerażona i smutna z powodu straty bransoletki.

Sasha, Krystal i Miranda siedzą na podłodze, pochylając się nad książką. Na mój widok zaskoczone podnoszą wzrok. Miranda zamyka książkę i ukradkiem próbuje wsunąć ją pod moją poduszkę. Jest jednak za wolna, a gest zbyt oczywisty. Wiem, co czytały.

Pamiętnik Vivian.

– A więc wiecie – mówię, oddychając z trudem po szaleńczej ucieczce.

To nie jest pytanie. Wina malująca się w ich spojrzeniach mówi wszystko.

– Wyguglowałyśmy cię – mówi Sasha, wskazując palcem Mirandę. – To był jej pomysł.

– Przepraszam – bąka Miranda. – Przez ostatnie dwa dni zachowywałaś się tak dziwnie, że musiałyśmy to sprawdzić.

– W porządku. Naprawdę. Cieszę się, że wiecie. Zasługujecie na to, żeby wiedzieć, co wydarzyło się w tej chatce.

Zmęczenie, alkohol i obezwładniający smutek sprawiają, że przechylam się na bok jak marynarz na rozkołysanym pokładzie. Albo moja matka w wigilię. Próbuję ustać prosto, ale zamiast tego osuwam się na wieko kufra.

– Pewnie macie pytania – mówię.

Sasha odzywa się pierwsza. To oczywiste. Ciekawa wszystkiego Sasha.

– Jakie one były?

– Podobne do was, ale też zupełnie inne.

– Dokąd poszły? – pyta Krystal.

– Nie wiem – odpowiadam.

A jednak poszłabym z nimi. To jedna z niewielu rzeczy, których jestem pewna. Że pomimo bolesnej zdrady, jakiej dopuściła się Vivian z Theo, nadal pragnęłam jej akceptacji. I gdyby mnie o to poprosiła, poszłabym z nimi prosto w mrok.

– Ale to nie cała historia – ciągnę. – Jest coś jeszcze. Rzeczy, o których wiem tylko ja.

To, że kolejny raz zobaczyłam Vivian, namieszało mi w emocjach. Mam ochotę śmiać się. Mam ochotę płakać. Wyznać wszystko. A zamiast tego mówię:

– Dwie prawdy i kłamstwo. Zagrajmy.

Ześlizguję się z kufra i siadam z nimi na podłodze. Robię to tak niezdarnie, że wszystkie trzy wzdrygają się, kiedy z impetem ląduję na deskach. Nawet Miranda, która – jak sądziłam – jest z nich najodważniejsza.

– Pierwsze: byłam w Luwrze. Dwa razy. Drugie: piętnaście lat temu moje trzy przyjaciółki wyszły z tego domku i nikt ich więcej nie widział.

Urywam, bo boję się powiedzieć na głos coś, co bałam się powiedzieć przez piętnaście lat. Ale bez względu na to, jak bardzo chcę milczeć, poczucie winy zmusza mnie do mówienia.

– Trzecie: tuż przed tym, zanim wyszły, powiedziałam coś. Coś, czego żałuję. Coś, co od tamtej pory nie daje mi spokoju.

Mam nadzieję, że nigdy nie wrócicie.

Wspomnienie tamtej chwili wraca do mnie bez ostrzeżenia. Jest niczym ostrze miecza, który rozcina mnie na pół i odsłania moje zimne serce.

– Powiedziałam im, że mam nadzieję, że nigdy nie wrócą – mówię. – Powiedziałam to Vivian prosto w twarz. To była ostatnia rzecz, jaką ode mnie usłyszała.

Piekące łzy napływają mi do oczu, są jak wylewające się ze mnie smutek i poczucie winy.

– To nie znaczy, że to, co się z nimi stało, jest twoją winą – odzywa się Miranda. – To były tylko słowa, Emmo. Nie ty sprawiłaś, że zniknęły.

Sasha kiwa głową.

– To nie twoja wina, że nie wróciły.

Wbijam wzrok w podłogę, unikając ich współczucia. Nie zasługuję na nie. Nie zasługuję, skoro nie powiedziałam wszystkiego. Skoro są jeszcze rzeczy, które skrywam przed światem.

– Ale one wróciły. – Samotna łza spływa mi po policzku. – Później tej samej nocy. Tylko nie mogły dostać się do domku.

– Dlaczego? – tym razem odzywa się Miranda.

Wiem, że powinnam przestać. I tak już za dużo powiedziałam. Lecz teraz nie ma odwrotu. Mam dość niemówienia pewnych rzeczy, co niewiele różni się od kłamstwa. Chcę wyznać prawdę. Może to w końcu mnie uleczy.

– Bo po ich wyjściu zamknęłam drzwi od wewnątrz.

Miranda gwałtownie wciąga powietrze. Stara się ukryć zdumienie, lecz z jej ust dobywa się stłumiony krzyk.

– Zamknęłaś drzwi od środka?

Kiwam głową. Po moim policzku toczy się kolejna łza. Spływa drogą poprzedniej i skręca, gdy dociera do ust. Czuję na języku jej smak. Słony. Gorzki.

– I nie wpuściłam ich. Chociaż pukały, szarpały za klamkę i błagały, żebym im otworzyła.

Patrzę na drzwi i wyobrażam sobie, jak wyglądały tamtej nocy. Blade w ciemności, skąpane w blasku księżyca, z klamką poruszającą się w górę

i w dół. Słyszę walenie w drewno i kogoś, kto stojąc po drugiej stronie, wykrzykuje moje imię.

Emma!

To była Vivian.

Daj spokój, Em. Wpuść mnie.

Skuliłam się na łóżku, wciskając się w kąt. Naciągnęłam kołdrę aż pod brodę i modliłam się w duchu, żeby dźwięki po drugiej stronie drzwi ustały.

Emmo, proszę.

Schowałam się pod kołdrą i w ciemnościach leżałam do czasu, aż łomotanie i szarpanie za klamkę ustało.

– Mogłam je wpuścić – mówię. – Powinnam była to zrobić. Ale nie zrobiłam. Bo byłam młoda, głupia i zła. Gdybym im otworzyła, byłyby tu teraz. A ja nie żyłabym z tym potwornym przeczuciem, że je zabiłam.

Dwie łzy spływają mi po policzkach, a ja ocieram je wierzchem dłoni.

– Maluję je. Wszystkie trzy. Są na wszystkich obrazach, które namalowałam w ciągu ostatnich lat. Tylko nikt o tym nie wie. A przecież nie mogę ich wciąż malować. To szaleństwo. Ja jestem szalona. Myślę, że gdybym wiedziała, co się wtedy wydarzyło, może przestałabym je malować. Że może w końcu bym sobie wybaczyła.

Przerywam i podnoszę wzrok znad podłogi. Sasha, Krystal i Miranda patrzą na mnie, milczące i nieruchome. Przyglądają się mi w taki sam sposób, jak dzieci patrzą na nieznajomych. Z płochliwą ciekawością.

– Przepraszam – bąkam. – Nie czuję się dobrze. Rano będzie lepiej.

Wstaję i zataczam się jak targane wiatrem drzewo. Dziewczyny odchylają się i zaczynają się podnosić. Pokazuję im, żeby tego nie robiły.

– Nie pozwólcie, żebym zepsuła wam wieczór. Grajcie dalej.

Grają więc. Bo się denerwują. Boją. Bo nie wiedzą, co innego mogłyby robić. Czekają, aż się uspokoję, aż zasnę, co pewnie nastąpi lada chwila.

– Jeszcze jedna kolejka – mówi Miranda. Stanowczość w jej głosie nie jest w stanie zamaskować strachu. – Ja zacznę.

Zamykam oczy, choć jeszcze się nie położyłam. To znaczy oczy same się zamykają, niezależnie od tego, jak bardzo próbuję je otwierać. Jestem zbyt zmęczona. Zbyt pijana. Zbyt emocjonalnie wyczerpana moim wyznaniem. Chwilowo ociemniała, idę po omacku do łóżka i po chwili czuję pod palcami materac, poduszkę, ścianę. Kładę się twarzą do ściany, podciągam kolana pod brodę i zwijam się w kłębek. To moja pozycja winowajcy.

– Jeden: raz zwymiotowałam po przejażdżce kolejką górską na Coney Island. – Miranda mówi powoli, zawieszając głos po każdym słowie, jakby sprawdzała, czy już śpię.

– Dwa: czytam około stu książek rocznie.

Niemal natychmiast morzy mnie sen. Jest jak zapadnia, która otwiera się pode mną. Wpadam w nią ochoczo i pogrążam się w nieświadomości. Odpływając, wciąż słyszę głos Mirandy, odległy i cichnący.

– Trzy: martwię się o Emmę.

Oto co dzieje się dalej.

Znowu krzyczysz.

I jeszcze raz.

Robisz to, chociaż nie wiesz dlaczego. A może i wiesz. Bo bez względu na to, jak bardzo się starasz, nie możesz wyrzucić z głowy tych potwornych myśli. W głębi duszy wiesz, że jedna z nich jest prawdziwa.

Twój kolejny krzyk budzi resztę obozu. Nawet stojąc w jeziorze, trzy metry od brzegu, wyczuwasz płynącą ku tobie pulsującą falę energii. Jest niczym wstrząs, który wprawia wszystkich w osłupienie. Czapla na brzegu czuje to i rozpościera swe długie, szykowne skrzydła. Zrywa się do lotu i wzbija w powietrze unoszona dźwiękiem twoich wrzasków.

Pierwszą osobą, którą widzisz, jest Franny. Wybiega na taras za domem. Usłyszała krzyki i wie już, że coś jest nie tak. Widok ciebie stojącej w wodzie tylko to potwierdza. Pospiesznie schodzi po drewnianych schodach, powiewając białą koszulą nocną.

Chwilę później widzisz Cheta, zaspanego, z potarganymi włosami. Zdenerwowany stoi na tarasie, zaciskając dłonie na poręczy. Po nim wychodzi Theo i nie zastanawiając się, zbiega po schodach. Ma na sobie tylko bokserki, lecz w tych okolicznościach widok jego niemal nagiego ciała wydaje ci się nieprzyzwoity. Odwracasz wzrok, czując, że zbiera ci się na wymioty.

Wzdłuż brzegu gromadzą się inni. Obozowiczki i wychowawczynie stoją bez ruchu we mgle. Wydają się przestraszone, oszołomione i zaciekawione. Przede wszystkim zaciekawione. Ich ciekawość uderza w ciebie niczym lodowaty wiatr. Nienawidzisz ich za to. Nienawidzisz ich za to, że pragną

dowiedzieć się czegoś, o czym ty sama już wiesz, bez względu na to, jak straszna może być prawda.

Jest wśród nich Becca Schoenfeld. Jej nienawidzisz najbardziej, ponieważ ma czelność dokumentować to, co się dzieje. Z aparatem przy twarzy przepycha się na początek. Kiedy robi zdjęcia, trzask migawki niesie się nad jeziorem.

Ale z nich wszystkich tylko Franny wysuwa się do przodu. Staje na skraju jeziora, woda niemal liże jej nagie stopy.

– Emmo? – mówi. – Co ty tam robisz? Coś ci się stało?

Nie odpowiadasz. Nie wiesz, co powiedzieć.

– Em? – To Theo, na którego nadal nie możesz patrzeć. – Wyjdź z wody.

– Wracaj do domu – warczy na niego Franny. – Sama się tym zajmę.

Wchodzi do jeziora. Nie brodzi tak jak ty. Maszeruje. Unosi kolana. Energicznie macha rękami. Dół koszuli nocnej robi się ciemny w miarę, jak nasiąka wodą. Franny zatrzymuje się kilkadziesiąt centymetrów od ciebie i zaniepokojona przechyla głowę. Głos ma niski, napięty, lecz spokojny.

– Co się stało, Emmo?

– One zniknęły – mówisz.

– Kto zniknął?

– Pozostałe dziewczyny z domku.

Franny z trudem przełyka ślinę, na jej szyi pojawia się zmarszczka.

– Wszystkie?

Kiedy kiwasz głową, blask w jej zielonych oczach przygasa.

To wtedy dociera do ciebie, że to coś poważnego.

Potem wszystko toczy się szybko. Ludzie rozbiegają się po obozie, zaglądając do miejsc, w których już szukałaś. Przy ognisku. W sanitariacie. W chatce, gdzie Theo ostrożnie otwiera każdy kufer, jakby obawiał się, że

dziewczyny siedzą tam i czekają, żeby wyskoczyć na niego jak diabeł z pudełka.

Poszukiwania nie przynoszą rezultatów, co wcale cię nie dziwi. Wiesz, co się dzieje. Wiedziałaś od chwili, kiedy obudziłaś się w pustym, cichym domku.

Zostaje zorganizowana ekipa poszukiwawcza. Niewielka, bo wszyscy nadal udają, że sytuacja nie jest tak poważna, jak się tego obawiają. Upierasz się, że pójdziesz z nimi, chociaż nie jesteś w stanie włóczyć się po lasach i wołać dziewczyn, które – być może – zaginęły. Maszerujesz za Theo i próbujesz dotrzymać mu kroku, ignorując chłód, jaki woda z jeziora pozostawiła na twojej skórze. Drżysz, chociaż temperatura przekroczyła trzydzieści stopni i pokrywa cię cienka warstewka potu. Przeszukujesz lasy po obu stronach obozu. Idąc wśród drzew, wyobrażasz sobie Buchanana Harrisa, który sto lat temu robił dokładnie to samo. Przecierał szlak, uzbrojony jedynie w maczetę i optymizm. To dziwna myśl. Głupia. A jednak pozwala zapomnieć o zmęczonych, obolałych nogach i o tym, że za kolejnym zakrętem mogą czekać na ciebie trzy martwe dziewczyny.

Nie znajdujesz jednak żadnych dziewczyn – żywych ani martwych. Zniknęły bez śladu. Jakby w ogóle nie istniały. Jakby były wytworem wyobraźni. Zbiorową halucynacją.

W porze lunchu wracasz do Camp Nightingale, gdzie pozostałe obozowiczki siedzą w stołówce, skubiąc bez apetytu kawałki wilgotnej pizzy. Kiedy utykając, wchodzisz do środka, podnoszą na ciebie wzrok. Ich oczy wyrażają rozmaite emocje. Nadzieję. Strach. Wyrzuty. Przede wszystkim te ostatnie. Ich pełne wyrzutu spojrzenia niemal parzą cię w kark, kiedy idziesz do stolika, przy którym siedzi Franny.

– Jakieś wieści? – pyta Franny.

Theo kręci głową. Kilka obozowiczek zaczyna płakać. Ich szloch rozlega się wokół ciebie, przerywając ciszę, która do tej pory panowała w stołówce. Sprawia, że znowu ich nienawidzisz. Większość z tych dziewczyn prawie nie znała zaginionych. To ty powinnaś płakać. Ty jednak patrzysz na Franny, jakbyś liczyła na jej pomoc. Franny nie płacze. W obliczu tej niezgłębionej nawałnicy pozostaje oazą spokoju.

– Myślę, że czas wezwać policję – mówi.

Pół godziny później nadal jesteś w stołówce, gdzie nie ma już płaczących obozowiczek i równie zdruzgotanych opiekunek. Pracownicy kuchni zostali z niej wyproszeni. W pomieszczeniu nie ma nikogo oprócz ciebie i detektywa policji stanowej, którego nazwisko zdążyłaś już zapomnieć.

– Dobrze – odzywa się. – Ile dziewczyn prawdopodobnie zaginęło?

Zwracasz uwagę na dobór słów. „Prawdopodobnie” zaginęło. Jakbyś to wszystko zmyśliła. Jakby ci nie wierzył.

– Myślałam, że Franny już wszystko powiedziała.

– Chciałbym usłyszeć to od ciebie. – Odchyla się na krześle i krzyżuje ramiona. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Trzy – odpowiadasz.

– Wszystkie mieszkały w tym samym domku?

– Tak.

– I jesteś pewna, że wszędzie ich szukaliście?

– Nie przeszukaliśmy całej posiadłości – mówisz. – Ale przeszukaliśmy cały obóz.

Detektyw wzdycha, sięga do kieszeni i wyjmuje długopis i notes.

– Zacznijmy od podania ich imion.

Wahasz się, bo zidentyfikowanie ich to przyznanie, że wszystko to dzieje się naprawdę. Kiedy wypowiesz ich imiona, staną się dla światami zaginionymi osobami. Chyba nie jesteś na to gotowa. Przygryzasz wewnętrzną stronę policzka. Zwlekasz. Detektyw sprawia, że odwracasz wzrok i zaczynasz się denerwować. Twarz ma lekko zaróżowioną.

– Panno Davis?

– Tak – mówisz. – Ich imiona.

Bierzesz głęboki oddech. Serce podchodzi ci do gardła.

– Mają na imię Sasha, Krystal i Miranda.

CZĘŚĆ DRUGA

I KŁAMSTWO

27

Detektyw zapisuje ich imiona w notatniku, przez co wszystko staje się oficjalne. Serce kolejny raz podchodzi mi do gardła.

– Wróćmy do początku – mówi. – Do momentu, kiedy uświadomiłaś sobie, że nie ma ich w domku.

Przez jedną niezręczną chwilę nie jestem pewna, o co mu chodzi. „Kogo?” – pytam niemal.

Znowu czuję się jak tamta trzynastolatka kuląca się ze strachu przed innym detektywem, pytającym ją o inne zaginione dziewczęta. Wszystko jest takie podobne. Pusta stołówka, zniecierpliwiony policjant i moja panika. Oprócz mojego wieku i innych nazwisk zaginionych główna różnica polega na tym, że teraz przede mną na stole stoi kubek kawy. Za pierwszym razem to był sok pomarańczowy.

„To nie dzieje się naprawdę”.

Powtarzam to sobie, siedząc sztywno na plastikowym krześle i czekając, aż ściany i podłoga stołówki znikną. Jak sen. Jak obraz polany terpentyną. Kiedy to nastąpi, znajdę się gdzieś indziej. Może z powrotem w moim mieszkaniu na poddaszu. Obudzę się przed pustym płótnem.

Lecz ściany i podłoga nie znikają. Podobnie jak detektyw, którego imię nagle sobie przypominam. Flynn. Detektyw Nathan Flynn.

„To nie dzieje się naprawdę. Nie kolejny raz”.

Trzy dziewczyny zniknęły z tej samej chatki na tym samym obozie, gdzie piętnaście lat temu zaginęły trzy inne obozowiczki?

Prawdopodobieństwo, że coś takiego się wydarzy, było praktycznie żadne. Jestem pewna, że Sasha, ta mała studnia wiedzy, miałaby na podorędziu gotową odpowiedź.

A jednak wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nawet gdy podłoga i ściany uparcie tkwią na swoich miejscach, detektyw Flynn siedzi przede mną, a ja uparcie wpatruję się w swoje dłonie, żeby upewnić się, że należą do dorosłej kobiety, a nie trzynastoletniej dziewczynki.

„To nie dzieje się naprawdę”.

„Nie odbija mi”.

– Panno Davis, proszę się skupić, dobrze? – Głos Flynna wyrwa mnie z zamyślenia. – Rozumiem, że jest pani w szoku. Naprawdę. Ale każda minuta, kiedy nie odpowiada pani na pytania, oznacza kolejną minutę upływającą od zniknięcia tych dziewczyn.

To wystarcza, żebym otrząsnęła się z niedowierzania. Przynajmniej na chwilę. Patrzę na niego, próbując opanować łzy, i mówię:

– Jak brzmiało pytanie?

– Kiedy uświadomiła sobie pani, że ich nie ma?

– Kiedy się obudziłam.

– Czyli o której?

Wracam myślami do momentu, kiedy się obudziłam. Od tamtej pory minęło kilka godzin, a ja mam wrażenie, że upłynęła cała wieczność.

– Kilka minut po piątej.

– Zawsze wstaje pani tak wcześnie?

– W domu nie – odpowiadam. – Ale jestem tutaj.

Flynn notuje moją odpowiedź, choć nie wiem, po co to robi.

– A więc obudziła się pani i zobaczyła, że ich nie ma – ciągnie. – Co stało się potem?

– Poszłam ich szukać.

– Gdzie?

– W całym obozie. – Upijam łyk kawy. Jest letnia i trochę gorzka. – Byłam pod prysznicami. W stołówce. W pracowni malarsko-rękodzielniczej. Zaglądałam nawet do innych domków.

– I nigdzie ich nie było?

– Tak – odpowiadam łamiącym się głosem. – Nigdzie.

Flynn przewraca kartkę w notatniku, chociaż powiedziałam mu ledwie kilka marnych zdań.

– Po co poszła pani nad jezioro?

Znowu czuję się zdezorientowana. Ma na myśli teraz czy piętnaście lat temu?

– Nie rozumiem pytania – mówię.

– Pani Harris-White powiedziała, że rankiem znaleźli panią w jeziorze. Po tym, jak zorientowała się pani, że dziewczyny z pani chatki zniknęły. Myślała pani, że tam je znajdzie?

Prawie tego nie pamiętam. Przypominam sobie, że widziałam, jak słońce wschodzi nad jeziorem. Pierwszy rumieniec poranka. To on mnie tam przyciągnął.

Flynn nie daje za wygraną.

– Miała pani powody przypuszczać, że mogły pójść popływać?

– Nie potrafią pływać. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Pamiętam, że któraś mi o tym mówiła. Krystal? A może Sasha? Teraz, kiedy o tym myślę, nie przypominam sobie, żebym widziała którąkolwiek z nich wchodzącą do wody.

– Po prostu pomyślałam, że mogą tam być – tłumaczę. – Stać w wodzie.

– Tak jak pani?

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

Wzdrygam się na dźwięk własnego głosu. Jest taki słaby, taki zagubiony. Ból pulsuje mi w skroniach, przez co nie mogę zebrać myśli.

– Pani Harris-White powiedziała też, że krzyczała pani.

To pamiętam. Właściwie nadal słyszę moje wrzaski niosące się nad wodą. I widzę spłoszoną czaplę wzbijającą się do lotu.

– To prawda.

– Dlaczego?

– Bo się bałam – odpowiadam.

– Bała się pani?

– A pan by się nie bał? Gdyby się pan obudził i zobaczył, że w chatce oprócz pana nie ma nikogo?

– Martwiłbym się – mówi Flynn. – Nie sądzę, bym krzyczał.

– Cóż, ja krzyczałam.

Bo wiedziałam, co się dzieje. Byłam na tyle głupia, żeby tu wracać, i teraz wszystko dzieje się od nowa.

Detektyw Flynn przewraca kartkę.

– Czy to możliwe, że krzyczała pani z innego powodu?

– Jakiego?

– Nie wiem. Może z poczucia winy.

Wiercę się na krześle zakłopotana tonem Flynna. Wyczuwam w nim nieufność i cień podejrzenia.

– Poczucia winy? – powtarzam.

– Że zgubiła je pani, kiedy pozostawały pod pani opieką.

– Nie zgubiłam ich.

– Ale znajdowały się pod pani opieką, tak? Była pani ich opiekunką.

– Instruktorką – poprawiam go. – Pierwszego dnia powiedziałam im, że chcę być dla nich przyjaciółką, nie żadnym tam autorytetem.

– I było tak? – dopytuje Flynn. – Zostałyście przyjaciółkami?

– Tak.

– A więc lubiła je pani.

– Tak.

– Nie miała pani z nimi żadnych problemów? Nie doszło do wymiany zdań, kłótni?

– Nie – mówię z naciskiem. – Już mówiłam, lubiłam je.

Zniecierpliwienie szturcha mnie w żebra i sprawia, że zaczynam nerwowo poruszać nogami. Dlaczego traci czas na zadawanie mi pytań, kiedy one gdzieś tam są, zagubione, może nawet ranne? Dlaczego nikt ich nie szuka? Wyglądam przez okno stołówki i widzę dwa policyjne radiowozy i funkcjonariuszy kręcących się na zewnątrz.

– Czy ktoś ich szuka? – pytam. – Zorganizujecie ekipę poszukiwawczą, prawda?

– Tak. Po prostu potrzebujemy od pani nieco więcej informacji.

– Ile więcej?

– Cóż, na początek może powie mi pani, czy jest coś, co pani zdaniem powinienem wiedzieć o tych dziewczynach? Coś, co może nam pomóc w poszukiwaniach.

– Imię Krystal pisze się przez „K” – mówię. – Jeśli to może jakoś pomóc.

– Na pewno.

Flynn nie dodaje nic więcej, a ja wyobrażam sobie ich podobizny na kartonach mleka. To szlachetna inicjatywa, która jednak, jeśli się nad tym

zastanowić, jest przerażająca. No bo kto chce po otwarciu lodówki widzieć twarz zaginionego dziecka?

– Coś jeszcze? – pyta detektyw.

Zamykam oczy i masuję skronie. Mam potworny ból głowy.

– Niech pomyślę. Sasha. Jest taka mądra. Taka mądra, że to trochę przerażające. Boi się niedźwiedzi. I węży.

Przychodzi mi do głowy, że gdziekolwiek jest w tej chwili, Sasha może się bać. Pozostałe dziewczyny też. Serce mi pęka na myśl, że mogły zgubić się w lesie, który je przeraża. Mam nadzieję, że są wszystkie razem, żeby mogły się wzajemnie pocieszać. Proszę, Boże, niech trzymają się razem.

Nie przestaję mówić, wiedziona nagłą chęcią, by powiedzieć detektywowi wszystko, co wiem o dziewczynkach.

– Miranda jest najstarsza. I najdzielniejsza. Jej wujek jest chyba policjantem. A może chodziło o ojca. Chociaż mieszka z babcią. Teraz, kiedy o tym myślę, uświadamiam sobie, że nigdy nie wspominała o rodzicach.

Nagle coś przychodzi mi do głowy i spada na mnie niczym grom z jasnego nieba.

– Wzięła z sobą telefon.

– Kto?

– Miranda. To znaczy nie jestem pewna, czy na pewno ma go przy sobie, ale nie było go w jej rzeczach. Czy to może pomóc ją odnaleźć?

Flynn, który siedział na krześle coraz bardziej znudzony moją paplaniną, nagle się ożywia.

– Tak, na pewno. Wszystkie komórki są wyposażone w GPS. Zna pani operatora?

– Nie.

– Powiem komuś, żeby skontaktował się z jej babcią i zapytał – mówi detektyw. – A teraz porozmawiajmy o tym, dlaczego dziewczyny zniknęły.

– Nie wiem.

– Musi być jakiś powód, nie sądzi pani? Może wyszły, bo były na panią o coś złe?

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

To kłamstwo. Ostatnie w długiej kolejce kłamstw. Ponieważ jest coś, co mogło sprawić, że chciały opuścić domek.

Ja.

To, jak się zachowywałam.

Byłam pijana, zapłakana i bez przerwy dotykałam nadgarstka, na którym teraz widnieje czerwona pręga. Zeszłej nocy zachowywałam się, jakbym miała nierówno pod sufitem, i to je przeraziło. Widziałam to w ich oczach.

– Myśli pan, że uciekły? – pytam.

– Mówię tylko, że to najbardziej logiczne wytłumaczenie. Średnio rocznie ucieka przeszło dwa miliony młodych ludzi. Znaczna większość zostaje szybko namierzona i wraca do domu.

Brzmi to jak kolejna statystyka, którą Sasha mogłaby mieć w pogotowiu. Ale ja nawet przez chwilę nie wierzę w to, że uciekły. Nie sprawiały wrażenia nastolatek, które są nieszczęśliwe we własnych domach.

– A jeśli nie uciekły? – pytam. – Jeśli istnieje inny powód?

– Myśli pani, że doszło do przestępstwa?

Flynn mówi to tak szybko, że gwałtownie wstrzymuję powietrze.

– Chodzi o porwanie?

– Czy to możliwe? Tak. Prawdopodobne? Nie. Niespełna jeden procent zaginionych dzieci pada ofiarą porwania przez nieznajomych.

– A jeśli porywacz nie był nieznajomym?

Detektyw w pośpiechu przewraca kolejną kartkę. Długopis w jego dłoni zamiera, gotowy w każdej chwili zacząć notować.

– Zna pani kogoś takiego?

Tak. Może.

– Czy ktoś rozmawiał z pracownikami kuchni? – pytam. – Raz przyłapałam jednego z nich, jak obserwował dziewczyny na plaży. I nie było to miłe spojrzenie, tylko przerażające.

– Przerażające?

– Jakby nie widział nic złego w pożeraniu wzrokiem szesnastolatki.

– A więc chodzi o mężczyznę?

Kiwam głową.

– Na plakietce na jego fartuchu widniało imię Marvin. Były tam dwie kucharki. Kobiety. Widziały całe zajście.

– Na pewno z nimi porozmawiam – mówi Flynn i wszystko zapisuje.

Widok jego długopisu sunącego po papierze sprawia mi przyjemność. Oznacza, że pomagam. Pobudzona sięgam po kawę i upijam kolejny gorzki łyk.

– Porozmawiajmy o wydarzeniach sprzed piętnastu lat – odzywa się detektyw. – Powiedziano mi, że była tu pani, kiedy zniknęły trzy inne dziewczyny. To prawda?

Gapię się na niego zaniepokojona.

– Zakładam, że wie pan już, że to prawda.

– Mieszkała pani w tym samym domku, tak?

Jego głos robi się coraz bardziej podejrzliwy. Nie jest już tak delikatny.

– Tak – rzucam. – Ale żadna z nich nie należała do znacznej większości, która pańskim zdaniem zostaje odnaleziona i wraca bezpiecznie do domu.

– Mam tego świadomość.

– Zatem po co zadaje mi pan te pytania?

Flynn udaje, że nie słyszy pytania, i ciągnie:

– Wtedy, piętnaście lat temu inna obozowiczka zeznała, że tamtej nocy słyszała, jak pani i pani współlokatorki kłóciłyście się.

Becca. Oczywiście, że opowiedziała policji o tym, co słyszała. Ale nie mogę być na nią zła. Ja na jej miejscu postąpiłabym tak samo.

– To była sprzeczka – mówię słabym głosem. – Nie kłótnia.

– O co się posprzeczałyście?

– Szczerze? Nie pamiętam – odpowiadam, chociaż, rzecz jasna, pamiętam aż za dobrze. Pamiętam, jak nawrzeszczałam na Vivian o Theo. Głupia dziewczyna kłócąca się o głupiego chłopaka.

– Jak pani wspomniała, od tamtej pory ślad po nich zaginął – zauważa Flynn. – Jak pani myśli, dlaczego?

– Nie jestem specjalistką od zniknięć.

– A jednak uważa pani, że następne trzy dziewczyny nie uciekły.

– Bo je znam – mówię. – Nie zrobiłyby czegoś takiego.

– A tamte sprzed piętnastu lat? Też je pani znała.

– Tak.

– Znała je pani na tyle dobrze, żeby się na nie złościć.

– Na jedną z nich – poprawiam go.

Sięgam po kubek z kawą i upijam łyk, tym razem, żeby się przygotować.

– Może nawet wściekać.

Mówi to, kiedy łykam, przez co kawa więźnie mi w gardle i krztuszę się. Zaczynam gwałtownie kasłać. Krople kawy i śliny pryskają mi z ust.

– Co pan sugeruje? – pytam między kaszlnięciami.

– Jestem po prostu drobiazgowy, panno Davis.

– Może zamiast tego powinien pan zacząć szukać Mirandy, Krystal i Sashy?

Wyglądam przez okno. Policjanci nadal kręcą się przed stołówką, jak gdyby strzegli tego miejsca. Jakby nie chcieli, żeby ktoś do niej wszedł.

Albo z niej wyszedł.

Nagle zaczynam rozumieć. Już wiem, dlaczego nikt nie szuka dziewczynek. Dlaczego detektyw Flynn skupia się na moich relacjach z nimi. Powinnam była to przewidzieć. Powinnam była wiedzieć o tym w chwili, kiedy się obudziłam i zobaczyłam, że Miranda, Sasha i Krystal zniknęły.

Jestem podejrzaną.

Jedyną podejrzaną.

– Nic im nie zrobiłam. Ani wtedy, ani teraz.

– Sama pani przyzna, że to wręcz niebywały zbieg okoliczności – mówi Flynn. – Piętnaście lat temu pani trzy współlokatorki wyszły w nocy i ślad po nich zaginął. Teraz sytuacja się powtórzyła.

– Wtedy miałam zaledwie trzynaście lat. Jakich okrucieństw pana zdaniem może się dopuścić trzynastoletnia dziewczynka?

– Mam córkę w tym wieku – oświadcza detektyw. – Zdziwiłaby się pani.

– A teraz? – ciągnę i krzywię się na pobrzmiewającą w moim głosie histerię i towarzyszący jej ból głowy. – Jestem artystką. Przyjechałam tu

uczyć te dziewczyny malarstwa. Nie mam powodu, żeby robić komukolwiek jakąkolwiek krzywdę.

„Uspokój się, Emmo – szepcze głos w mojej głowie. – Myśl trzeźwo. Przypomnij sobie, co już wiesz”.

– Nie ja jedna byłam tutaj piętnaście lat temu – zauważam. – Są też inni.

Na przykład Casey, chociaż wątpię, żeby skrzywdziła muchę, nie mówiąc o sześciu dziewczynkach. No i Becca, która zdecydowanie miała powód, żeby nienawidzić Vivian, Natalie i Allison.

Myślę o Theo. O tym, jak widziałam jego i Vivian pod prysznicem. O tym, jak okładałam pięściami jego pierś. *Gdzie one są? Co im zrobiłeś?*

Ale piętnaście lat temu Theo miał niepodważalne alibi. Co innego Franny. Przypominam sobie pamiętnik Vivian.

Jestem bliska odkrycia jej małej, paskudnej tajemnicy.

Znam prawdę.

Boję się.

– Myślę, że powinien pan porozmawiać z Franny – mówię.

– Dlaczego?

– Vivian, jedna z dziewczyn, które zaginęły piętnaście lat temu, szukała czegoś w obozie. Badała pewną sprawę.

– Jaką sprawę? – pyta Flynn coraz bardziej zniecierpliwiony.

Boże, gdybym tylko wiedziała. Chociaż Vivian zostawiła mnóstwo wskazówek, nie określiła, co dokładnie próbowała ukryć Franny.

– Coś, co Franny chciała zachować w tajemnicy.

– Chwileczkę, chce pani powiedzieć, że to pani Harris-White zrobiła coś pani współlokatorkom? Nie tylko teraz, ale i piętnaście lat temu?

Brzmi to niedorzecznie. Nie, to jest niedorzeczne. Ale tylko tak mogę wytłumaczyć sytuację, która wymyka się wszelkim innym wyjaśnieniom. Wszystko, czego dowiedziałam się po powrocie do tego miejsca, wskazuje na to. Vivian szukała czegoś, co prawdopodobnie miało związek ze szpitalem dla obłąkanych Peaceful Valley. Odkryła to i zwerbowała do pomocy Natalie i Allison. Wkrótce potem wszystkie trzy zniknęły. To nie może być przypadek. A teraz, kiedy wróciłam i próbowałam dowiedzieć się, co takiego odkryła Vivian, zniknęły Miranda, Krystal i Sasha. To także jest zbyt dziwne, żeby mogło uchodzić za zbieg okoliczności.

Możliwe, że Vivian natknęła się na coś, co Franny rozpaczliwie starała się zataić. Może coś, dla czego warto zabić. A teraz może ja także natrafiłam na trop tajemnicy i to kolejne ostrzeżenie od Franny.

Chociaż mam w głowie gonitwę myśli, przypominam sobie opowieść o sokołach. Czy dlatego Franny mi ją opowiedziała? Żeby przerazić mnie na tyle, bym przestała szukać? Czy to samo powiedziała Vivian, kiedy przyłapała ją w Domu?

– To bardziej sensowne niż myślenie, że ja to zrobiłam – mówię.

– Mówi pani o dobrej kobiecie. – Flynn odkłada notatnik, wyciąga chusteczkę i ociera czoło. – Do diabła, nikt w tym kraju nie płaci takich podatków. Cała ta ziemia. Co roku płaci za nią ogromny podatek od nieruchomości. A jednak nigdy się nie skarżyła. Nigdy nie próbowała oszukiwać na podatkach. Co więcej, niemal tyle samo daje na cele charytatywne. Największy szpital w tym hrabstwie? Proszę zgadnąć, czyje nazwisko znajduje się na fasadzie cholernego budynku.

– Wiem tylko, że to nie ja – mówię. – To nigdy nie byłam ja.

– To pani tak twierdzi. Ale nikt nie wie, co się wydarzyło. Mamy tylko pani zeznania, które, proszę mi wybaczyć, brzmią dość podejrzanie.

– Coś dziwnego dzieje się w tym miejscu.

Detektyw chowa chusteczkę do kieszeni i patrzy na mnie wyczekująco.

– Zechce pani wyjaśnić?

Miałam nadzieję, że nie dotrzemy do tego miejsca. Że detektyw Flynn uwierzy mi na słowo i będzie próbował wyjaśnić, co stało się z Mirandą, Krystal i Sashą. Ale teraz nie mam wyboru. Muszę mu wszystko powiedzieć. Bo może wszystko, co się wydarzyło – prysznic, ptaki, postać za oknem – nie było przeznaczone dla mnie. Lecz dla którejś z dziewczynek.

– Ktoś obserwował mnie przez cały tydzień – mówię. – Ktoś podglądał mnie pod prysznicem. Ktoś wpuścił do domku ptaki.

– Ptaki? – powtarza Flynn i znowu sięga po notatnik.

– Kruki. Trzy. Pewnego ranka obudziłam się i zobaczyłam, że ktoś stoi przy oknie. Zniszczono drzwi naszej chatki.

– Kiedy to było?

– Dwa dni temu.

– Co się stało?

– Ktoś namalował na nich napis. – Waham się, po czym dodaję: – „Kłamca”.

Flynn unosi brwi. Właśnie takiej reakcji się spodziewałam.

– Ciekawy dobór słowa. Wie pani, dlaczego właśnie ono?

– Tak – rzucam poirytowana. – Może ktoś chciał zadbać o to, żeby nikt mi nie uwierzył.

– A może pani to zrobiła, żeby odsunąć od siebie podejrzenia.

– Myśli pan, że zaplanowałam porwanie tych dziewczyn?

– To mniej więcej równie sensowne, jak wszystko, co powiedziała pani do tej pory – oświadcza detektyw.

Ból w skroniach przybiera na sile, mam wrażenie, że zaraz eksploduje mi głowa.

„To nie dzieje się naprawdę”.

„Nie odbija mi”.

– Ktoś nas obserwował – upieram się. – Ktoś tam był.

– Trudno w to uwierzyć, skoro nie ma pani żadnego dowodu – odzywa się Flynn. – A na razie nie mamy nic, co potwierdzałoby pani wersję wydarzeń.

Nagle coś jeszcze przychodzi mi do głowy. Do tej pory byłam zbyt zdenerwowana, żeby o tym pomyśleć. Coś, co udowodni Flynnowi, że mylił się co do mnie.

– Przed naszym domkiem jest kamera – mówię. – Skierowana wprost na drzwi.

28

Widziana na monitorze chatka lśni w ciemnościach zielenią. Paskudnym, mdławym odcieniem zieleni, który pogarsza ustawienie kamery. Zamiast wejścia do Derenia oglądamy chatkę z lotu ptaka, co wręcz przyprawia o zawroty głowy.

– Kamera jest wyposażona w detektor ruchu – tłumaczy Chet. – Zaczyna nagrywać, kiedy coś się poruszy, i wyłącza się, kiedy ruch ustaje. Każde nagranie jest zapisywane jako plik cyfrowy. Na przykład to jest zapauzowane ujęcie z nocy, kiedy kamera została zamontowana.

Na ekranie drzwi do chatki są uchylone. Ich ruch zapoczątkował nagrywanie. W wąskim pasku mroku dostrzegam stopę i zabarwiony na zielono kawałek nogi.

Chet spogląda na drugi monitor – jeden z trzech zainstalowanych jeden przy drugim w piwnicy Domu. Większość przestrzeni wypełniają starannie poukładane pudła i pokryte pajęczynami meble. W jednym kącie zamontowano ściankę z płyty gipsowo-kartonowej, a podłogę wyłożono linoleum. To tam ustawiono monitory – na metalowym biurku obok dwóch komputerów stojących obok siebie jak książki na półce.

Chet siedzi na skrzypiącym krześle biurowym. My – Theo, Franny, detektyw Flynn i ja – stoimy za jego plecami.

– To dość niezwykłe instalować tylko jedną kamerę przed jednym z domków – zauważa Flynn.

– To kamera testowa – odpowiada Chet. – Zamierzamy zainstalować więcej kamer na terenie obozu. Ze względów bezpieczeństwa. Przynajmniej taki był plan.

Stojąca za nim Franny wzdryga się. Podobnie jak my wie, że jeśli Krystal, Sasha i Miranda nie znajdą się do wieczora, wszystkie obozowiczki wrócą do domów. To może być koniec jej marzeń o ostatnim, cudownym lecie.

– Kamerę można również ustawić tak, żeby pokazywała bieżący obraz. – Chet wskazuje trzeci monitor, na którym można oglądać chatkę w ciągu dnia. – Zwykle nie korzystamy z tej funkcji, bo nie mamy nikogo, kto siedziałby przed monitorem przez cały dzień. Włączyłem ją, kiedy tu weszliśmy, na wypadek gdyby dziewczynki wróciły.

Wpatruję się w monitor z nadzieją, że zobaczę Sashę, Krystal albo Mirandę wracające z wycieczki i nieświadome zamieszania, jakie wywołały. Zamiast tego widzę Casey, jak odprowadza do domku grupkę płaczących dziewczyn. Chwilę później pojawia się Mindy. Mijając kamerę, przelotnie zerka w jej stronę.

– Nagrania są przechowywane tutaj – mówi Chet i otwiera folder na środku monitora. Są w nim dziesiątki plików oznaczonych ciągami liczb. – Ich nazwy odnoszą się do dnia, godziny, minuty i sekundy, kiedy zostały zarejestrowane. Na przykład ten plik, zero sześć trzy zero zero cztery cztery osiem trzy trzy, zarejestrowano trzydziestego czerwca o czwartej czterdzieści osiem i trzydzieści trzy sekundy.

Chet klika, żeby otworzyć plik, i obraz na monitorze budzi się do życia. Drzwi uchylają się szerzej i widzę siebie, jak wymykam się z domku i chwilę później znikam. Dobrze pamiętam ten moment. Wczesnym świtem szłam do toalety z pełnym pęcherzem i wspomnieniami kłębiącymi się w głowie.

– Co pani robiła o tak wczesnej porze? – pyta Flynn.

– Szłam do toalety – zjeżam się. – To chyba wciąż legalne.

– Macie jakieś nagrania z tej nocy? – detektyw zwraca się do Cheta, który przewija listę plików.

– Kilka.

Flynn odwraca się w moją stronę.

– Mówiła pani, że zauważyła zniknięcie dziewczyn, gdzieś około piątej rano, tak?

– Tak – potwierdzam. – I były w domku, kiedy kładłam się spać.

– Czyli o której?

Kręcę głową, pokazując, że nie pamiętam. Byłam zbyt skołowana whiskey i wspomnieniami, żeby pamiętać.

– Jest jeden plik nagrany między północą a czwartą rano – informuje Chet. – I trzy nagrane między czwartą trzydzieści i piątą trzydzieści.

– Obejrzyjmy je – mówi detektyw.

– To nagranie zarejestrowane kilka minut po pierwszej.

Chet klika i na monitorze pojawia się Dereń. Z początku nic się nie dzieje, przez co zaczynam się zastanawiać, co uruchomiło kamerę. I nagle coś się pojawia – zielonobiała smuga na skraju monitora. Łania i dwa jelonki. Ich oczy jarzą się charakterystycznym blaskiem, kiedy cała trójka ostrożnie mija domek. Mija dwadzieścia sekund. Kiedy drugi jelonek wychodzi poza kadr, kamera się wyłącza.

– To by było tyle – rzuca Chet. – Następne nagranie zostało zarejestrowane pięć minut przed piątą.

Klika i ekran znów budzi się do życia. Widzimy to samo, co poprzednio, z tą różnicą, że nie ma już jelonków, za to drzwi do domku otwierają się powoli.

Pierwsza pojawia się Miranda. Ostrożnie wysuwa głowę i rozgląda się w obie strony, jakby chciała się upewnić, że nikt jej nie widzi. Zaraz potem na palcach opuszcza chatkę ubrana w koszulkę polo z logo obozu i szorty bojówki. W dłoni trzyma biały prostokąt. Telefon.

Wkrótce po niej pojawiają się Sasha i Krystal. Trzymają się blisko siebie. Krystal niesie latarkę, a w tylnej kieszeni spodni ma zwinięty w rulon komiks. Na okładce dostrzegam kawałek tarczy Kapitana Ameryki. Sasha trzyma butelkę z wodą, którą upuszcza, kiedy zamyka drzwi do domku. Butelka toczy się po ziemi poza kadr. Sasha biegnie po nią i sama także znika na sekundę. Kiedy znów się pojawia, wszystkie trzy naradzają się, nieświadome skierowanego prosto na nie oka kamery. W końcu idą w prawo ku sercu obozu i jedna za drugą znikają.

Najpierw Miranda, za nią Krystal, a na końcu Sasha.

Notuję w pamięci kolejność, w jakiej odchodzą, na wypadek gdybym pewnego dnia chciała je namalować. Nienawidzę siebie za to, że myślę w ten sposób.

– To nagranie zarejestrowane pięć minut później – informuje Chet, kiedy ekran robi się czarny, i zaraz potem otwiera kolejny plik.

Nie muszę patrzeć na monitor, żeby wiedzieć, co jest na nagraniu. To ja. Wychodzę z domku bosa, ubrana w koszulkę i bokserki, w których spałam poprzedniej nocy. Zatrzymuję się przy drzwiach i obejmuję się ramionami, żeby przegnać poranny chłód. Po chwili ruszam w przeciwną stronę niż dziewczyny, w kierunku sanitariatu. Chociaż wiedziałam, czego się spodziewać, nagranie jest dla mnie niczym cios pięścią w brzuch.

Pięć minut. Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy dziewczynki wyszły z domku, do momentu, gdy odkryłam ich zniknięcie.

Pięć pieprzonych minut.

Zaczynam kwestionować każdą swoją myśl i każdy krok z tego ranka. Gdybym tylko obudziła się wcześniej. Gdybym nie zmarnowała tyle czasu, zastanawiając się, dlaczego zniknęły. Gdybym poszła do stołówki, zamiast do sanitariatu.

We wszystkich tych scenariuszach mogłabym zobaczyć dziewczynki, dokądkolwiek się udawały, i je zatrzymać.

Ale najgorsze jest to, że moje zachowanie budzi podejrzenia. Wyszłam z domku zaledwie kilka minut po swoich współlokatorkach. I chociaż był to wyłącznie zbieg okoliczności, wcale to tak nie wygląda. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że celowo czekałam, żeby podążyć za nimi w bezpiecznej odległości. Nie ma znaczenia, że poszłam w drugą stronę. Bo na kolejnym nagraniu – ostatnim zarejestrowanym przed świtem – widać, jak błąkając się między domkami, mijam Derenia. Kiedy patrzę na siebie na ekranie komputera, zauważam zaciśnięte szczęki i pustkę w oczach. Wiem, że to oznaka niepokoju, ale inni mogą odczytać to jako złość, zwłaszcza że zaraz potem ruszam śladem Mirandy, Krystal i Sashy.

– Szukałam ich – mówię, uprzedzając pytania. – To było zaraz po tym, jak się obudziłam i zobaczyłam, że ich nie ma. Najpierw zajrzałam do sanitariatu, potem rozejrzałam się między chatkami, a w końcu poszłam na drugą stronę obozu.

– Już to pani mówiła – zauważa detektyw Flynn. – Ale wciąż nie mamy na to żadnego dowodu. To nagranie potwierdza jedynie, że wyszła pani z domku niedługo po dziewczynkach. A teraz nikt nie potrafi ich znaleźć.

– Nic im nie zrobiłam! – wybucham.

Patrzę na Cheta, na Theo i Franny, w milczeniu błagając ich, żeby mnie poparli, chociaż nie mają powodu. Nie jestem jednak zaskoczona, gdy zamiast stanąć w mojej obronie, Franny mówi:

– W innych okolicznościach nie poruszyłabym tego tematu. Każdy ma prawo do prywatności, zwłaszcza jeśli dotyczy to dawnych wydarzeń. Ale w tej sytuacji czuję, że muszę to powiedzieć. Wybacz mi, Emmo.

Posyła mi spojrzenie, w którym skrucha miesza się ze współczuciem. Nie potrzebuję ani jednego, ani drugiego, więc odwracam wzrok, podczas gdy ona ciągnie:

– Lata temu panna Davis leczyła się psychiatrycznie.

Kiedy to mówi, ja wpatruję się w trzeci monitor, na którym widać, co w tej chwili dzieje się przed domkiem. Teraz jednak nie dzieje się nic. Przed Dereniem nie ma ani obozowiczek, ani Mindy, ani Casey. Kamera rejestruje tylko widziane pod kątem drzwi.

– Odkryliśmy to, kiedy sprawdzaliśmy naszych pracowników – wyjaśnia Franny. – Zaprosiliśmy ją wbrew radom naszych prawników. Uznaliśmy, że nie stanowi zagrożenia ani dla siebie, ani dla naszych podopiecznych. Mimo wszystko przedsięwzięliśmy środki ostrożności.

– Stąd ta kamera – rzuca Flynn, udowadniając, że nie jest głupi.

– Tak – rzuca Franny. – Pomyślałam, że powinien pan wiedzieć. Chcę również, żeby pan wiedział, że zrobimy wszystko, by pomóc w poszukiwaniach. Rzecz jasna absolutnie nie sugeruję, że Emma miała cokolwiek wspólnego ze zniknięciem tych dziewcząt.

A jednak to właśnie robi. Wbijam wzrok w ekran, bo wiem, że jeśli go odwrócę, będę musiała znów spojrzeć na Franny. A nie jestem pewna, czy dam radę.

Na skraju monitora pojawia się dziewczyna. Plecy ma proste, krok ostrożny. Wie o istnieniu kamery. Z początku myślę, że to jedna z obozowiczek, która wymknęła się z któregoś z sąsiednich domków, żeby przyjrzeć się policjantom kręcącym się przed stołówką.

Dopiero po chwili dostrzegam jasne włosy, białą sukienkę i zawieszony na szyi medalion.

To Vivian.

Na monitorze.

Wydaję stłumiony okrzyk.

Chet pierwszy zauważa, że coś jest nie tak.

– Emmo? – pyta. – Co się stało?

Drżącą ręką wskazuję monitor. Vivian nadal tam jest. Patrzy w oko kamery i uśmiecha się wstydliwie. Jakby wiedziała, że ją obserwuję. Podnosi rękę i macha do mnie.

– Widzicie to, prawda? – pytam.

– Co? – To głos Theo. On sam unosi brew jak stroskany lekarz.

– Ją – bąkam. – Przed domkiem.

Wszyscy nachylają się w stronę monitora, zasłaniając mi obraz.

– Tam nic nie ma – mówi Theo.

– Zobaczyła pani którąś z zaginionych dziewczyn? – pyta Flynn.

– Vivian. Widziałam Vivian.

Przepycham się między nimi i spoglądam na ekran, ale dostrzegam jedynie to samo widziane pod kątem wejście do Derenia. Nie ma Vivian ani nikogo innego.

„To nie dzieje się naprawdę”, powtarzam sobie.

„Nie odbija mi”.

To nic nie daje. Ogarnięta strachem i paniką czuję, że moje ciało tężeje. Kątem oka dostrzegam nadciągającą czerń, która chwilę później przesłania mi cały widok. Wyciągam rękę, szukając czegoś, czego mogłabym się złapać. Ktoś próbuje ją pochwycić. Theo. A może detektyw Flynn.

Ale jest już za późno.

Moja dłoń wysuwa się z uścisku i nieprzytomna padam na podłogę.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Bluza leżała na stole w pracowni malarsko-rękodzielniczej z rękawami rozłożonymi na boki. Moja matka rozkładała w ten sposób ubrania, które dla mnie przygotowała. Wyglądało to tak, jakby ktoś zachęcał mnie, żebym się w nią ubrała. Tyle że ta bluza była inna. Miałam ją zidentyfikować, a nie założyć.

– Rozpoznajesz ją? – spytała funkcjonariuszka policji stanowej. Miała ciepły uśmiech i duże piersi.

Utkwiłam wzrok w białej bluzie z dumnym pomarańczowym napisem „Princeton” i pokiwałam głową.

– Należy do Vivian.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Miała ją na sobie na ognisku. Pamiętałam, bo zażartowałam, że wygląda w niej jak pianka. Odparła, że pieprzyć modę, bo dzięki tej bluzie nie gryzą jej komary.

Policjantka zerknęła na gliniarza stojącego po drugiej stronie stołu, a ten skinął głową i pospiesznie złożył bluzę. Miał na rękach lateksowe rękawiczki. Nie miałam pojęcia po co.

– Zabraliście ją z domku? – spytałam.

Policjantka zignorowała moje pytanie.

– Czy Vivian miała ją na sobie, kiedy wychodziła z chatki?

– Nie.

– Zastanów się. Bez pośpiechu.

– Nie muszę się zastanawiać. Wiem, że nie miała jej na sobie.

Jeśli wyglądałam na poirytowaną, miałam do tego wszelkie prawo. Dziewczyny zaginęły przeszło dzień temu i wszyscy zaczynali tracić nadzieję. Czułam to w całym obozie. Przypominało to przeciekającą wannę, z której kropla po kropli wyciekał wszelki optymizm. Pracownia malarsko-rękodzielnicza została zajęta przez policjantów, którzy organizowali w niej ekipy poszukiwawcze, zapisywali ochotników i – jak to było ze mną – przesłuchiwali trzynastoletnie dziewczynki.

Poprzedniego wieczoru spędziłam tam godzinę przesłuchiwana przez dwóch detektywów, którzy na zmianę zadawali mi pytania. Pod koniec bolała mnie szyja od patrzenia to na jednego, to na drugiego. Odpowiedziałam na większość pytań. Kiedy dziewczyny wyszły z domku. W co były ubrane. Co powiedziała Vivian, zanim zniknęła. Jeśli chodzi o to, co powiedziałam po jej wyjściu, i o to, dlaczego nie mogły dostać się do domku... cóż, nie wspomniałam o tym ani słowem.

Za bardzo się wstydziłam. I zżerało mnie poczucie winy.

Teraz znowu mnie przesłuchiwano, chociaż policjantka miała nieco więcej cierpliwości niż detektywi. Właściwie wyglądała, jakby chciała przytulić mnie do obfitej piersi i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

– Wierzę ci – powiedziała.

– Gdzie znaleźliście tę bluzę?

– Nie mogę powiedzieć.

Spojrzałam w drugi koniec pomieszczenia, gdzie torba z bluzą Vivian trafiała właśnie do rąk kolejnego policjanta. On także nosił rękawiczki. Pod lateksem jego skóra zdawała się dziwnie biała, kiedy wkładał bluzę do kartonowego pudełka na dowody. Ogarnęło mnie przerażenie.

– Czy którakolwiek z nich miała tajemnice, którymi dzieliła się z tobą, ale nie z innymi? – spytała policjantka.

– Nie wiem.

– Ale miały tajemnice?

– Trochę trudno nazwać coś tajemnicą, jeśli nie wiemy, komu jeszcze o niej powiedziały.

Mój cynizm był zamierzony. Chciałam zetrzeć jej z twarzy to współczucie. Nie zasługiwałam na nie. Ona tymczasem nachyliła się jeszcze bardziej, jak doradczyni zawodowa w szkole, która zawsze powtarzała nam, żebyśmy myślały o niej jak o przyjaciółce, nie jak o dorosłej, której leży na sercu nasze dobro.

– Zwykle nastolatki uciekają, kiedy kogoś poznają – powiedziała. – Chłopaka. Albo kochanka. To zwykle ktoś, kogo ich bliscy by nie zaakceptowali. Zakazany romans. Czy którakolwiek z nich wspominała coś na ten temat?

Nie wiedziałam, ile mogę powiedzieć, głównie dlatego, że nie miałam pojęcia, co się dzieje.

– Myśli pani, że one uciekły?

– Nie wiemy, skarbie. Może. Dlatego potrzebujemy twojej pomocy. Bo czasami dziewczyny uciekają, żeby spotkać się z chłopakiem, który robi im krzywdę. A przecież nie chcemy, żeby coś stało się twoim przyjaciółkom. Chcemy je znaleźć. Więc jeśli coś wiesz, cokolwiek, byłabym wdzięczna, gdybyś mi o tym powiedziała.

Pomyślałam o *Nostalgii anioła*. O nastolatce, którą znaleziono martwą na polu. I przerażającym sąsiedzie, który ją zabił.

– Vivian się z kimś spotykała – powiedziałam.

W oczach policjantki pojawił się błysk, zaraz jednak zgasł, kiedy opanowała się, udając, że jest spokojna.

– Powiedziała ci, kto to taki?

– Myśli pani, że mógł jej coś zrobić?

– Nie dowiemy się, dopóki z nim nie porozmawiamy.

Potraktowałam to jako odpowiedź twierdzącą. A to znaczyło, że ich zdaniem Vivian, Natalie i Allison przydarzyło się coś gorszego. Myśleli, że nie żyją. Że zostały zamordowane i jedyne, co po nich pozostanie, to kości ukryte w leśnym poszyciu.

– Emmo – zwróciła się do mnie policjantka. – Jeśli wiesz, kto to, musisz nam powiedzieć.

Otworzyłam usta. Serce waliło mi jak oszalałe, jakby lada chwila miało wyskoczyć z piersi.

– To Theo – odparłam. – Theodore Harris-White.

Nawet gdy to mówiłam, nie wierzyłam we własne słowa. A chciałam w nie wierzyć. Chciałam wierzyć, że Theo miał coś wspólnego ze zniknięciem dziewczyn i że był zdolny je skrzywdzić. Ponieważ już kogoś skrzywdził.

Mnie.

Złamał mi serce, nawet o tym nie wiedząc.

To była moja okazja, żeby się na nim odegrać.

– Jesteś pewna? – spytała policjantka.

Próbowałam przekonać samą siebie, że nie powoduje mną zazdrość i że Theo mógł być w to zamieszany. W normalnych okolicznościach, gdyby Vivian, Natalie i Allison wróciły i zobaczyły, że chatka jest zamknięta, poszłyby do jednej z wychowawczyń. Nie zrobiły tego, bo było późno, a do tego piły alkohol. Za jedno i drugie wyleciałyby z obozu. Zwróciły się więc do jedynej osoby, której mogły zaufać – do Theo. A teraz zaginęły i najprawdopodobniej nie żyły. To nie mógł być zbieg okoliczności.

Przynajmniej to jest kłamstwem, pomyślałam.

– Tak – odparłam.

Kilka minut później pozwolono mi wrócić do domku. Przy pracowni malarsko-rękodzielniczej panowało zamieszanie. Widziałam policjantów, reporterów, a w oddali słychać było ujadanie psów tropiących. Gliniarze już zaczęli przeszukiwać pick-upa. Mijając ich, widziałam, jak zaglądali do środka i przeglądali zawartość schowka.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam ekipę poszukiwawczą, która właśnie wracała z lasu. Większość stanowili mieszkańcy miasteczka, ale w tłumie dostrzegłam też kilka znajomych twarzy. Kucharza, który czwartego lipca nałożył mi na talerz stertę naleśników. Konserwatora, który zawsze był zajęty jakąś naprawą.

I Theo. W dżinsach i przepoconej koszulce sprawiał wrażenie wymizerowanego. Włosy miał potargane, na policzku smugę brudu.

Rzuciłam się ku niemu, nie wiedząc, co zamierzam, dopóki przed nim nie stanęłam. Byłam wściekła na Vivian i martwiłam się o nią. Byłam wściekła na Theo i kochałam się w nim. Zacisnęłam dłonie w pięści i zaczęłam okładać go po piersi.

– Gdzie one są? – krzyczałam. – Co im zrobiłeś?

Theo stał bez ruchu, nawet nie drgnął.

Uznałam, że był przygotowany na moją reakcję

I w głębi duszy wiedziałam, że na nią zasługiwał.

29

„To nie dzieje się naprawdę”.

„Nie odbija mi”.

Słowa wbijają się w mój mózg, gdy odzyskuję przytomność, i sprawiają, że podrywam się do pozycji siedzącej. Uderzam w coś głową. Czuję ból, który dołącza do innego, z tyłu głowy, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi.

– Uważaj – słyszę czyjś głos. – Spokojnie.

Dopiero po chwili przypominam sobie, gdzie jestem. Camp Nightingale. Dereń. Leżę na łóżku piętrowym, w które właśnie uderzyłam czołem. Osobą, która mnie uspokaja, jest Theo. Siedzi na kufrze z drewna orzesznika, trzymając w dłoni należący do Sashy numer „National Geographic”, który czytał, czekając, aż dojdę do siebie.

Rozmasowuję głowę. Ból z przodu zaczyna słabnąć, ale ten z tyłu głowy wręcz przeciwnie – przybiera na sile.

– Nieźle się poturbowałaś – zauważa Theo. – Złagodziłem upadek, ale i tak uderzyłaś się w głowę.

Wstaję i chwytam się kufra Mirandy na wypadek, gdybym potrzebowała oparcia. Nogi mam jak z waty, ale daję radę ustać. Przed oczami wciąż mam mroczki, takie jak te, które widziałam tuż przed upadkiem, mrugam więc i czekam, aż znikną.

– Musisz odpocząć – mówi Theo.

W tym momencie to niemożliwe. Nie kiedy on tu jest. Nie kiedy jestem niespokojna i obolała. Rozglądam się po domku i widzę, że wszystko wygląda tak jak rano. Łóżko Sashy jest starannie pościelone. Miś Krystal rysuje się zgrubieniem pod pościelą.

– Nadal ich nie ma, tak?

Theo potwierdza poważnym skinieniem głowy. Nogi zaczynają mi drżeć, jakby prosiły, żebym znowu się położyła. Ja jednak stoję oparta o kufer Mirandy.

– Detektyw Flynn powiadomił ich rodziny. Pytał, czy którakolwiek z nich kontaktowała się z bliskimi. Żadna. Babcia Mirandy nie wiedziała nawet, że jej wnuczka ma telefon, więc nadal nie znamy operatora.

– Czy Flynn rozmawiał z ludźmi z kuchni?

– Tak. Wszyscy mieszkają w pobliskim miasteczku i pracują w stołówce w tamtejszej szkole. Cieszyli się, że będą mogli pracować w wakacje. Podwożą się wzajemnie rano przed śniadaniem i wieczorem po kolacji. Wczoraj wieczorem wszyscy wrócili do domów, a dziś rano nikt nie przyjechał przed czasem. Nawet Marvin.

Wszystkie informacje, które przekazałam Flynnowi, wszystkie moje próby pomocy, okazały się nieprzydatne. Czuję rozczarowanie, które pęcznieje mi w piersi i napiera na żebra, jakby chciało je rozsadzić.

Theo odkłada magazyn i pyta:

– Chcesz porozmawiać o tym, co wydarzyło się w Domu?

– Nie bardzo.

– Powiedziałaś, że widziałaś Vivian.

W ustach mam sucho, przez co ciężko mi mówić. Język zdaje się zbyt lepki i ciężki, by formować słowa. Obok Theo stoi butelka wody. Podaje mi ją i upijam łyczek.

– Bo widziałam – mówię, odchrząknąwszy. – Na ekranie z bieżącym obrazem domku.

– Patrzyłem, Emmo. Nikogo tam nie było.

– Tak, wiem. To był...

Nie wiem, jak to opisać. Wytwór mojej wyobraźni? Przywidzenie?

– Stres – kończy Theo. – Żyjesz w ogromnym stresie.

– Ale ja widywałam ją już wcześniej. Kiedy byłam młodsza. Dlatego trafiłam do szpitala. Myślałam, że odeszła, ale się myliłam. Znowu ją widzę. Tutaj. Teraz.

Theo przechyla głowę i patrzy na mnie w ten sam sposób, w jaki patrzy pewnie na swoich pacjentów, kiedy ma im do przekazania złe wieści.

– Rozmawiałem z mamą – mówi. – Oboje jesteśmy zdania, że źle zrobiliśmy, zapraszając cię tu z powrotem, chociaż mieliśmy jak najlepsze intencje. O nic cię jednak nie obwiniamy. To wyłącznie nasza wina. Nie przewidzieliśmy, jak bardzo wpłynie na ciebie powrót do Camp Nightingale.

– Chcesz mi powiedzieć, że powinnam wyjechać?

– Tak – przyznaje Theo. – Myślę, że tak będzie najlepiej.

– Ale co z dziewczynkami?

– Usiłuje je odnaleźć ekipa poszukiwawcza. Podzielili się na dwie grupy. Jedna przeczesuje lasy na prawo od obozu, a druga te na lewo.

– Powinnam do nich dołączyć – mówię i chwiejnym krokiem ruszam w stronę drzwi. – Chcę pomóc.

Theo staje mi na drodze.

– Nie jesteś w stanie włóczyć się po lasach.

– Ale muszę je znaleźć.

– Znajdziemy je – zapewnia mnie i kładzie mi ręce na ramionach. – Obiecuję. Jeśli tylko będzie trzeba, jutro do ekip poszukiwawczych dołączą kolejne osoby. W ciągu dwudziestu czterech godzin przeczeszemy każdy skrawek posiadłości.

Nie przypominam mu, że piętnaście lat temu takie same poszukiwania nic nie dały. Wtedy także przeczesano każdy zakątek posiadłości. A znaleziono jedynie bluzę.

– Zostaję – upieram się. – Nie wyjadę, dopóki się nie odnajdą.

W oddali rozlega się warkot – niski, głęboki dźwięk, który niesie się nad doliną niczym grzmot. To helikopter, którego załoga będzie prowadziła poszukiwania z powietrza. Znam ten dźwięk. Piętnaście lat temu często go słyszałam. Mam wrażenie, że cała chatka się trzęsie, kiedy przelatuje nisko, niemal muskając czubki drzew. Theo wykrzywia twarz.

– Moja matka ci nie ufa, Em – mówi, podnosząc głos na tyle, żeby przekrzyczeć helikopter. – Ja chyba zresztą też.

Teraz to ja podnoszę głos:

– Przysięgam, że nie skrzywdziłam tych dziewczyn – zapewniam go.

– Skąd możesz wiedzieć? Wczoraj byłaś taka nawalona, że wątpię, żebyś cokolwiek pamiętała.

Helikopter odlatuje za jezioro, pozostawiając chatkę pogrążoną w ciszy. Ostatnie słowa Theo wiszą między nami podobnie jak pobrzmiewające w nich oskarżenie.

– O czym ty mówisz?

– Flynn rozmawiał z innymi instruktorkami – mówi Theo. – Ze wszystkimi. Casey mówiła, że zeszłej nocy widziała cię przy sanitariacie. Podobno wyglądałaś, jakbyś była pijana. Rozmawialiśmy z Beccą i przyznała, że kiedy my byliśmy na ognisku, wy wypiłyście butelkę whiskey.

– Przepraszam – bąkam. Głos mam tak cichy i potulny, że dziwię się, że Theo w ogóle go słyszy.

– Czyli piłaś?

Kiwam głową.

– Chryste, Emmo. Któraś z dziewczyn mogła cię zobaczyć.

– Przepraszam – powtarzam. – To było głupie i złe, i kompletnie do mnie niepodobne. Ale to nie znaczy, że zrobiłam coś tym dziewczynkom. Widziałeś nagranie z kamery. Widziałeś, że poszłam ich szukać.

– Albo je śledziłaś. Nie wiemy na pewno.

– Ty wiesz – mówię. – Bo znasz mnie. I wiesz, że nigdy bym ich nie skrzywdziła.

Nie ma powodu mi wierzyć. Nie po tych wszystkich kłamstwach, które naopowiadałam. Wystarczy, że szepnie słowo policji, a znajdę się w takiej samej sytuacji, w jakiej on znalazł się przeze mnie piętnaście lat temu. Nie umyka mi fakt, że nasze role się odwróciły.

Przechylam głowę i patrzę w jego brązowe oczy, chcąc, by on również na mnie spojrzał. Pragnę, żeby mnie zobaczył. Naprawdę zobaczył. Może wówczas rozpozna we mnie dziewczynę, którą byłam kiedyś. Nie skrzywdzoną dwudziestoośmiolatkę, która zaczyna tracić zmysły, ale trzynastoletnią dziewczynę, która go uwielbiała.

– Proszę, uwierz mi – szepczę.

Mija chwila. Ledwie kilka sekund ciągnących się jak minuty, podczas których ważą się moje losy. W końcu Theo szepcze:

– Wierzę ci.

Kiwam głową z wdzięcznością. Mam ochotę się rozpłakać, ale się powstrzymuję.

Chwilę później całuję go.

Pocałunek zaskakuje nas oboje. Zupełnie jak ten poprzedni, może nawet bardziej. Tym razem nie kieruje mną śmiałość, lecz desperacja. Przez zniknięcie dziewczyn czuję się taka bezsilna, że rozpaczliwie potrzebuję, by coś zaprzątnęło moją głowę. A jeszcze wczoraj nie chciałam, żeby cokolwiek mnie rozpraszało. Potrzebuję czegoś, co pozwoli mi zapomnieć o tym, co się dzieje. Pragnę tego.

Theo stoi bez ruchu, nie reagując, podczas gdy ja przyciskam wargi do jego warg. W końcu jednak odwzajemnia pocałunek.

Przywieram do niego całym ciałem i opieram dłonie na jego piersi. Tym razem zamiast pięści oferuję mu pieszczotę. Theo otacza mnie ramionami i przyciąga jeszcze bliżej. Wiem, że on również szuka zapomnienia, i nie dbam o to. Nie kiedy czuję na szyi jego usta, a jego ręka wsuwa się pod moją koszulkę.

Za oknem znów rozlega się terkot. To nadlatuje drugi helikopter. A może to ten sam, tylko leci w przeciwną stronę. Sunie tuż nad Dereniem i słyszę jedynie warkot śmigieł. Szyba w oknie grzechocze.

Pośród tego hałasu Theo bierze mnie na ręce i kładzie na łóżku. Kiedy zdejmuje koszulkę, moim oczom ukazują się kolejne blizny. Co najmniej tuzin. Przecinają jego skórę od ramienia do pępka, wyglądają jak ślady po pazurach. Myślę o jego wypadku – pogiętym metalu, strzaskanym szkle, odłamkach raniących jego ciało aż do kości.

To przeze mnie te blizny.

Każda z nich.

Theo kładzie się na mnie – ciężki, ciepły i bezpieczny. Ja jednak nie mogę pozwolić, żeby sprawy zabrnęły za daleko.

– Theo, przestań.

Odsuwa się ode mnie i patrzy na mnie zdezorientowany.

– O co chodzi?

– Nie mogę. – Wysuwam się spod niego i staję pod przeciwległą ścianą, tak bym nie mogła wyciągnąć ręki i dotknąć jego blizn, wodzić palcami po każdej z nich. – Dopóki ci czegoś nie powiem.

Chociaż helikopter oddalił się, nadal słyszę warkot śmigieł. Odczekuję chwilę, aż hałas ustanie, i dopiero wtedy mówię:

– Wiem, Theo. O tobie i Vivian.

– Nic między nami nie było.

– Nie musisz kłamać. Już nie.

– Nie kłamię. O czym ty mówisz?

– Widziałam was, Theo. Ciebie i Vivian. Pod prysznicem. I widok ten złamał mi serce.

– Kiedy to było? – pyta Theo.

– Tamtej nocy, kiedy zniknęły.

Nie muszę dodawać nic więcej. Theo rozumie resztę. Dlaczego go oskarżyłam. I dlaczego te oskarżenia ciągną się za nim od tamtej pory. Siada i pociera przyprószoną siwizną brodę. Tymczasem ja czuję się winna. I nieistotna. I potwornie smutna.

– Tak mi przykro – mówię. – Byłam młoda i głupia, martwiłam się o dziewczyny i miałam złamane serce. Kiedy więc policjantka z policji stanowej zapytała mnie, czy któraś z nich miała chłopaka, o którym nikt nie wiedział, powiedziałam, że ty i Vivian spotykaliście się potajemnie.

– Ale to nieprawda.

– Widziałam was, Theo.

– Widziałaś kogoś. Ale to nie byłem ja. Tak, Vivian flirtowała ze mną i dawała do zrozumienia, że jest mną zainteresowana. Ale ja nie byłem zainteresowany nią.

Na chwilę wracam do tamtej chwili. Słyszę pojękiwania stłumione przez szum wody. Zaglądam w szczelinę między deskami. Widzę Vivian opartą o ścianę, włosy opadają jej na szyję mokrymi mackami i wiją się niczym węże. Za nią stoi Theo. Wbija się w nią. Przyciska twarz do jej karku.

Jego twarz.

Właściwie jej nie widziałam.

Po prostu założyłam, że to on, bo wcześniej widziałam go pod prysznicem.

– To musiałeś być ty – mówię. – To nie mógł być nikt inny. Byłeś jedynym mężczyzną w całym obozie.

Już wypowiadając te słowa, wiem, że się mylę. Był tu ktoś jeszcze zbliżony wiekiem do Theo. Ktoś, kto w ogóle nie rzucał się w oczy, bo wykonując swoją pracę, ukrywał się na widoku.

– Dozorca.

– Ben – rzuca z odrazą Theo. – A jeśli zrobił coś wtedy, kto wie, do czego byłby zdolny tym razem.

30

– Proszę opowiedzieć mi o dziewczynach – mówi detektyw Flynn. – Tych, które zaginęły. Coś pana z nimi łączyło?

– Możliwe, że je widziałem. Nie pamiętam, pewnie tak.

– Łączyło pana cokolwiek z którąś z obozowiczek?

– Nie celowo. Może jeśli gdzieś szedłem, a one stały mi na drodze, mówiłem: „przepraszam”. Poza tym staram się trzymać na uboczu.

Siedzi na krześle przeznaczonym dla kogoś o połowę młodszego i zatrzymuje wzrok na każdym z nas. Najpierw na mnie. Potem na Theo. A na końcu na detektywie Flynnie.

Jesteśmy w pracowni malarsko-rękodzielniczej, bo pozostałe dziewczęta i opiekunki jedzą obiad w stołówce. Widziałam, jak w milczeniu wchodziły do środka, podczas gdy ja z Theo zmierzaliśmy do budynku obok. Kilka z nich płakało. Większość była oszołomiona, wzrok miały beznamiętny albo pełen niedowierzania. Widziałam to, gdy zadzierały głowy i patrzyły na helikopter, kiedy kolejny raz przelatywał nad obozem.

Tak więc wylądowaliśmy w dawnej stajni pomalowanej tak, by przypominała bajkowy las, i oświetlonej lampami fluorescencyjnymi, które brzęczą nad naszymi głowami. Stoję obok Theo, zachowując między nami stosowny dystans. Nadal nie do końca mu ufam i jestem pewna, że on czuje to samo względem mnie. Na razie jednak jesteśmy sprzymierzeńcami

podejrzewającymi człowieka, którego nazwisko poznałam ledwie chwilę temu.

Ben Schumacher.

Dozorca. Mężczyzna, który kochał się z Vivian. Ten sam, który być może wie, gdzie są Miranda, Krystal i Sasha. Pozwalam, żeby mówił Flynn, a sama siedzę cicho, chociaż mam ochotę okładać Schumachera pięściami, aż powie mi, gdzie są i co im zrobił.

Wygląda na człowieka zdolnego do przemocy. Jest w nim jakaś buta. Połowę życia spędził, pracując na dworze, o czym świadczą stwardniałe dłonie i opalony grzbiet nosa. Jest też dobrze zbudowany. Pod flanelową koszulą i białym podkoszulkiem rysują się imponujące mięśnie.

– Gdzie był pan dziś rano o piątej? – pyta detektyw Flynn.

– Prawdopodobnie w kuchni. Szykowałem się do pracy.

Flynn wskazuje głową obrączkę ślubną na lewej ręce Bena.

– Czy pańska żona może to potwierdzić?

– Mam nadzieję, zwłaszcza że byliśmy tam razem, chociaż przed pierwszą kawą jest zwykle nieprzytomna.

Ben chichocze, ale nam nie jest do śmiechu. Widząc to, odchyla się na krześle i mówi:

– Dlaczego mnie o to pytacie?

– Czym się pan tu zajmuje? – Flynn ignoruje jego pytanie.

– Mówiłem już, jestem dozorcą.

– Tak, wiem, ale co dokładnie należy do pańskich obowiązków?

– Zajmuję się wszystkim, co jest do zrobienia. Koszeniem trawy. Naprawą budynków.

– Czyli jest pan kimś w rodzaju konserwatora?

– Tak. – Słysząc to, Ben uśmiecha się półgębkiem. – Jestem konserwatorem.

– Od jak dawna pracuje pan w Camp Nightingale?

– Nie jestem pracownikiem obozu. Pracuję dla rodziny. A to znaczy, że czasami pracuję w obozie. A czasami nie.

– W takim razie, od jak dawna pracuje pan dla rodziny Harris-White’ów?

– Od mniej więcej piętnastu lat.

– Czyli w roku, w którym zamknięto obóz, był pan po raz pierwszy w Camp Nightingale?

– Tak – odpowiada Ben.

Flynn notuje jego słowa w tym samym notatniku, w którym wcześniej notował moje.

– Jak dostał pan tę pracę?

– Rok wcześniej skończyłem liceum i pracowałem dorywczo w miasteczku. Ledwie wiązałem koniec z końcem. Kiedy więc dowiedziałem się, że pani Harris-White szuka kogoś na stanowisko dozorcy, zgłosiłem się. Od tamtej pory pracuję dla rodziny.

Flynn dla pewności spogląda na Theo, który rzuca tylko:

– To prawda.

– Piętnaście lat na jednym stanowisku to długo – zauważa detektyw. – Lubi pan swoją pracę?

– Jest uczciwa. I dobrze płatna. Dzięki niej ja i moja rodzina mamy dach nad głową i nie chodzimy głodni. Nie narzekam.

– A rodzina? Lubi ich pan?

Ben patrzy na Theo. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

– Jak już mówiłem, nie narzekam.

– Wróćmy do pana relacji z obozowiczkami – ciągnie Flynn. – Jest pan pewien, że nie miał z nimi żadnego kontaktu? Może dokonywał pan jakichś napraw w ich domku?

– Instalował kamerę przed chatką – mówi Theo.

Flynn zapisuje to w notatniku.

– Jak pan wie, panie Schumacher, to domek, w którym mieszkały zaginione dziewczyny. Czy montując kamerę, widział je pan?

– Nie.

– A najstarsza z nich? Miranda? Słyszałem, że inni pracownicy obozu zwracali na nią uwagę.

– Nie ja – mruczy Ben. – Ja się nie wychylam. Nie interesuje mnie to, co dzieje się w obozie.

– A piętnaście lat temu? Wtedy też miał pan takie podejście?

– Tak.

Flynn porusza się, żeby to zanotować, ale zamiera z dłonią nad notesem.

– Zapytam raz jeszcze. Żebym nie musiał marnować czasu na zapisywanie czegoś, co może okazać się kłamstwem.

– Dlaczego myśli pan, że kłamię?

– Jedną z dziewczyn, które wówczas zaginęły, była Vivian Hawthorne. Pewnie ją pan pamięta.

– Pamiętam, że nigdy jej nie odnaleziono.

– Powiedziano mi, że coś mogło łączyć pana z panną Hawthorne. To przeczyłoby pańskim wcześniejszym słowom o tym, że nie interesuje pana to, co dzieje się w obozie. Czy to prawda? Coś was łączyło?

Spodziewam się zaprzeczenia. Ben patrzy na nas wyzywająco i uśmiecha się z wyższością, a zaraz potem mówi:

– Tak. Chociaż nie nazwałbym tego związkiem.

– Wasza relacja miała wyłącznie charakter seksualny? – pyta Flynn.

– Właśnie. To była jednorazowa przygoda.

Uśmieszek Bena robi się jeszcze bardziej bezczelny. Kolejny raz powstrzymuję się, żeby go nie uderzyć, ale tym razem nie zamierzam milczeć.

– Ona miała zaledwie szesnaście lat. Wiedział pan o tym, prawda?

– A ja miałem dziewiętnaście – odpowiada Ben. – Taka różnica wieku to chyba nic wielkiego. Poza tym to nie było nielegalne. Mam trzy córki, więc dobrze wiem, czym według prawa jest gwałt.

– Ale wiedział pan, że postąpił źle – mówi Flynn. – Inaczej powiedziałby pan o tym komuś po tym, jak panna Hawthorne i jej dwie współlokatorki zniknęły.

– Wiedziałem, że gliny pomyślą, że miałem z tym coś wspólnego. Bo o to chodzi, prawda? Stoicie tu i myślicie, że miałem coś wspólnego z tym, co spotkało te biedne dziewczyny.

– A miał pan?

Ben podrywa się z krzesła, które przewraca się na podłogę. Żyły pulsują mu na skroniach i zaciska pięści, jakby zamierzał rzucić się na detektywa. Wygląda, jakby rzeczywiście chciał to zrobić

– Jestem ojcem. Odchodziłbym od zmysłów, gdyby moje córeczki zaginęły. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Powinniście ich szukać, zamiast rozpytywać mnie o idiotyzmy, których dopuściłem się piętnaście lat temu.

Urywa zdyszany. Jego pierś unosi się i opada, pięści się rozluźniają. Zrezygnowany siada z powrotem na swoim przymałym krześle.

– Zadawajcie dalej te swoje przeklęte pytania – rzuca. – Odpowiem na nie. Nie mam nic do ukrycia.

– W takim razie wróćmy do Vivian Hawthorne – mówi Flynn. – Jak to się zaczęło?

– Nie wiem. Po prostu się stało.

– Z pana inicjatywy?

– Do diabła, nie – warczy Ben. – Mówiłem przecież, że nie szukałem kłopotów. To znaczy zwróciłem na nią uwagę. Trudno było nie zwrócić.

– Podobała się panu? – dopytuje detektyw.

– Pewnie, że tak. Była cholernie atrakcyjna i dobrze o tym wiedziała. Ale było w niej coś jeszcze. Pewność siebie. To ją odróżniało od innych dziewczyn. Była inna.

– Jak to inna?

– Większość z tych dziewczyn była nadęta. Przemądrzała. Patrzyły przeze mnie, jakbym był powietrzem. Jakby mnie nie było. Vivian była inna. Pierwszego dnia podeszła do mnie i się przedstawiła. „Nie pamiętam cię z zeszłego roku”. Oto co mi powiedziała. Zapytała o moją pracę i od jak dawna tu jestem. Tak normalnie, po przyjacielsku. Było mi miło, że ktoś taki jak ona zwrócił na mnie uwagę.

Takie zachowanie było do niej podobne. Vivian była mistrzynią uwodzenia. Nie miało znaczenia, czy jesteś dozorcą, czy trzynastoletnią dziewczynką. Wiedziała dokładnie, jakiej uwagi potrzebujesz, jeszcze zanim sam się o tym przekonałeś.

– W ciągu tych pierwszych dni spędziliśmy razem trochę czasu. Podczas lunchu przychodziła do mnie i rozmawialiśmy przez kilka minut. Już wtedy wiedziałem, czego chciała. Wcale się z tym nie kryła.

Flynn, który skrupulatnie notuje jego zeznania, przerywa na chwilę i pyta:

– Ile razy współżyliście?

– Raz.

– Pamięta pan datę?

– Tylko dlatego, że zrobiliśmy to czwartego lipca – mówi Ben. – Tego dnia pracowałem do późna, żeby zarobić dodatkowo za nadgodziny. Wszystkie dziewczyny były na ognisku, a ja zbierałem się do domu, kiedy przyszła Vivian. Nic nie mówiła. Po prostu podeszła do mnie i pocałowała mnie. Odchodząc, obejrzała się przez ramię, żeby upewnić się, że za nią pójdę.

Nie podaje więcej szczegółów. Nie potrzebuję ich zresztą. Wiem, co było później.

Nie wiem tylko dlaczego.

– Właśnie tego dnia zniknęła panna Hawthorne i jej współlokatorki – przypomina detektyw Flynn.

Ben kiwa głową.

– Wiem. Nie musi mi pan przypominać.

– Co stało się później?

– Vivian wyszła pierwsza. Pamiętam, że jej się spieszyło. Mówiła, że ludzie się zorientują, że zniknęła. Ubrała się więc i wyszła.

– Wtedy widział ją pan ostatni raz?

– Tak, proszę pana. – Ben drapie się po karku, jakby się nad czymś zastanawiał. – Tak jakby.

– Czyli widział ją pan jeszcze?

– Nie ją – wyjaśnia konserwator. – Coś, co zostawiła.

– Chyba nie nadążam – rzuca Flynn za nas wszystkich.

– Wyszedłem z sanitariatu zaraz po niej. W drodze do domu uświadomiłem sobie, że nie mam kluczy. Do obozu.

– Co otwierały?

– Wszystkie budynki. Dom. Stołówkę. Szopę z narzędziami i sanitariat.

– Domki? – pyta Flynn.

Ben raczy nas kolejnym ze swoich półuśmieszków.

– Założę się, że chcielibyście, żeby to było takie proste, ale nie. Domki nie.

Flynn znowu zerka na Theo, szukając potwierdzenia. Theo kiwa głową i mówi:

– To prawda.

– Myślałem, że może wypadły mi z kieszeni w sanitariacie – ciągnie Ben. – Albo gdzieś indziej. Kiedy następnego dnia rano wróciłem do pracy, Vivian i jej dwóch koleżanek już nie było. Wtedy jeszcze nikt się nie martwił. Dziewczyny zniknęły zaledwie kilka godzin wcześniej i wszyscy zakładali, że w końcu wrócą. Ja poszedłem szukać kluczy. Znalazłem je w szopie na narzędzia za Domem. Drzwi były otwarte, a klucze tkwiły w zamku.

– Myśli pan, że zostawiła je tam panna Hawthorne?

– Tak. Myślę, że w sanitariacie wyjęła mi je z kieszeni.

– Co było w szopie? – pyta Flynn.

– Głównie sprzęt. Kosiarka do trawy. Łańcuchy na opony. Takie rzeczy.

– Czego mogła tam szukać?

Ben wzrusza ramionami.

– A niech mnie, jeśli wiem.

Ale ja wiem. Vivian poszła tam po łopatę. Tę, którą wykopała dół, aby ukryć w nim swój pamiętnik.

– Powinieneś był nam powiedzieć – odzywa się Theo. – O wszystkim. Ale nie zrobiłeś tego i moja rodzina właśnie straciła do ciebie zaufanie.

Ben wbija w niego wzrok. W jego oczach płonie kiepsko skrywana odraza.

– Nie waż się mnie osądzać, Theodorze – cedzi przez zaciśnięte zęby, wymawiając to imię jak coś, co pozostawiło w jego ustach niesmak. – Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie? Tylko dlatego, że jakaś bogata kobieta wyciągnęła cię z sierocińca? To znaczy tylko tyle, że masz szczęście.

Krew odpływa z twarzy Theo. Nie wiem, czy to szok, czy wściekłość. Otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili na zewnątrz rozlega się hałas. Ktoś krzyczy. Czyjś głos niesie się nad wodą.

– Widzę coś!

– To Chet! – Theo odwraca się do mnie spanikowany.

Wybiegamy z budynku. Pierwszy biegnie detektyw Flynn, który zadziwiająco szybko zerwał się na nogi. W stołówce grupka dziewczyn przeciska się przez drzwi, podtrzymując się nawzajem. Niektóre z nich płaczą, chociaż nikt nie wie, co się właściwie dzieje. Nikt oprócz Cheta, który stoi na brzegu jeziora i wskazuje w stronę wody.

Na łódkę.

Niezacumowaną.

Podskakuje na falach niespełna sto metrów od brzegu, przez co wiemy, że nikogo w niej nie ma.

Unosząc wysoko kolana, wchodzę do jeziora, aż woda sięga mi do ud. Wówczas rzucam się do przodu i przebierając rękami, płynę w stronę samotnej łódki. Za mną Theo i Chet robią to samo. Dostrzegam ich za każdym razem, gdy zwalniam, żeby zaczerpnąć tchu.

Pierwsza docieram do kajaka, a oni podpływają chwilę później. Każde z nas chwyta łódkę jedną ręką i zaczynamy holować ją do brzegu. Droga powrotna jest długa i męcząca. Mokre palce ześlizgują się z kajaka, który kołysze się na boki.

Dopłynąwszy do płycizny, wstajemy i wciągamy łódkę na brzeg, na którym zgromadził się spory tłum gapiów. Są wśród nich detektyw Flynn

i Ben Schumacher. Większość dziewczyn stoi nieco dalej pod opieką instruktorek. Franny, Lottie i Mindy obserwują rozwój wydarzeń z tarasu za Domem. Zerkam do łódki i nogi uginają się pode mną.

Kajak jest pusty.

Na dnie nie ma wioseł. Ani kamizelek ratunkowych. A już na pewno nie ma w nim żadnych ludzi.

Zauważam jedynie okulary, powykrzywiane jak wyżęta ścierka. Jedno ze szkieł pokrywa pajęczyna pęknięć.

Flynn przez chusteczkę wyjmuje je z kajaka.

– Czy ktoś je rozpoznaje?

Patrzę na czerwone oprawki. Nie wiem, jakim cudem wciąż stoję na nogach, bo na widok okularów już dawno powinnam zemdleć. Tymczasem udaje mi się przytaknąć.

– Sasha – szepczę łamiącym się głosem. – To okulary Sashy.

31

Wróciwszy do Derenia, kładę się na łóżku i próbuję się jakoś trzymać. Póki co kiepsko mi idzie. Po tym, jak znaleziono łódkę, pobiegłam do sanitariatu i zwymiotowałam. Przez następne pół godziny płakałam pod prysznicem. W końcu przebrałam się w suche ubrania. Teraz tulę do siebie misia Krystal, a detektyw Flynn spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– To ciekawe, co pani zrobiła – mówi. – Tak po prostu rzucić się do wody i popłynąć w stronę łódki.

– Wolałby pan, żeby dalej dryfowała po jeziorze?

Flynn stoi bez ruchu na środku domku. Chyba prowadzi ze mną jakąś grę. Chce mi pokazać, że to on tutaj dowodzi.

– Trzeba ją było zostawić i pozwolić, żeby zajęła się nią policja. To dowód. Teraz są na nim odciski palców trzech dodatkowych osób.

– Przepraszam – bąkam, choć robię to tylko dlatego, że to właśnie chce on usłyszeć.

– Nie wiem, może rzeczywiście jest pani przykro, a może nie. A może zrobiła to pani celowo. Może chciała pani zatrzeć odciski palców, które wcześniej tam zostawiła.

Urywa i czeka sama nie wiem na co. Liczy, że przyznam się do winy? Że wszystkiemu zaprzeczę? Zamiast tego rzucam tylko:

– To śmieszne.

– Czyżby? Więc jak wytłumaczy pani to?

Sięga do kieszeni i wyjmuje z niej plastikową torebkę ze zwiniętym w środku srebrnym łańcuszkiem, do którego przyczepiono trzy metalowe ptaszki.

Moja bransoletka z przywieszkami.

– Wiem, że należy do pani – ciągnie detektyw. – Trzy osoby potwierdziły, że widziały ją na pani nadgarstku.

– Gdzie ją znaleźliście?

– W kajaku.

Ściskam mocniej misia Krystal, próbując powstrzymać mdłości. Chatka zaczyna wirować. Czuję się, jakbym znowu miała zwymiotować. Po raz kolejny powtarzam sobie, że to nie dzieje się naprawdę.

Ale to dzieje się naprawdę.

To się naprawdę wydarzyło.

– Zechce pani wytłumaczyć, skąd się tam wzięła? – pyta Flynn. – Wiem, że nie miała jej pani na nadgarstku, kiedy płynęła do łódki.

– Ja... ja ją zgubiłam. – Szok sprawia, że mam problemy z wyartykułowaniem najprostszych słów. – Wczoraj.

– Zgubiła ją pani – powtarza detektyw. – Sprytnie pomyślane.

– Zepsuło się zapinanie. – Urywam, żeby nabrać tchu i zastanawiam się, co powiedzieć, żeby nie wyjść na wariatkę. – Naprawiłam je. Sznurkiem. Ale i tak ją zgubiłam.

– Nie pamięta pani kiedy?

– Zauważyłam dopiero po jakimś czasie.

Milknę. Nic, co powiem, go nie przekona. Mnie samej nie przekonuje. Bransoletka była na moim nadgarstku i nagle zniknęła. Nie wiem, kiedy ani gdzie ją zgubiłam.

– Jak więc pani zdaniem znalazła się na dnie łódki? – pyta Flynn.

– Może któraś z dziewczynek znalazła ją i zabrała, żeby oddać mi później.

To naciągana teoria. Nawet ja to dostrzegam. Ale najbardziej logiczna. Podczas wczorajszych zajęć Miranda widziała, jak bawię się bransoletką. Wyobrażam sobie, jak zobaczyła ją na ziemi, podniosła i schowała do kieszeni. Drugie wytłumaczenie jest takie, że została znaleziona przez osobę odpowiedzialną za zniknięcie dziewczynek.

– A jeśli ktoś mnie wrabia?

To nie tyle podejrzenie, ile desperacka próba przeciągnięcia Flynna na moją stronę. A jednak im dłużej o tym myślę, tym bardziej zaczynam w to wierzyć.

– Zgubiłam bransoletkę wczoraj, przed zniknięciem dziewczyn. A teraz znajdujecie ją w tym samym kajaku, co okulary Sashy. To dopiero sprytnie pomyślane. A jeśli ten, kto je uprowadził, zostawił ją tam celowo, żeby wyglądało, że to ja?

– Myślę, że pani sama świetnie się pogrąża.

– Nie tknęłam tych dziewczyn! Ile razy mam to powtarzać, żeby mi pan uwierzył?

– Chciałbym pani wierzyć – zapewnia Flynn. – Ale to niełatwe. Nie po tym, jak stwierdziła pani, że widuje ludzi, którzy tak naprawdę nie istnieją. No i te pani teorie spiskowe. Dziś rano mówiła mi pani, że Francesca Harris-White miała z tym coś wspólnego. A raptem godzinę temu była pani pewna, że to nadzorca.

– Bo może to on.

Flynn kręci głową.

– Rozmawialiśmy z jego żoną. Potwierdziła, że o piątej rano był w kuchni. No i te wszystkie rzeczy, które opowiadała pani piętnaście lat

temu o Theo Harrisie-Whicie. Nie oskarżyła go pani wtedy, że to on skrzywdził pani koleżanki?

Czuję na twarzy uderzenie gorąca.

– Tak – mówię.

– Zakładam, że teraz pani w to nie wierzy.

Wbijam wzrok w podłogę i bąkam:

– Nie.

– Ciekawi mnie, kiedy zmieniła pani zdanie i uznała, że jest niewinny. Bo nigdy nie wycofała pani oskarżenia. W świetle prawa pan Harris-White nadal jest podejrzany. Czyli wygląda na to, że macie z sobą coś wspólnego.

Policzki płoną mi z wściekłości. Po części jestem zła na detektywa Flynna. A po części na siebie za to, jak strasznie się wtedy zachowałam. Tak czy inaczej wiem, że nie zamierzam dłużej tego słuchać.

– Zamierza mnie pan o coś oskarżyć?

– Jeszcze nie – odpowiada. – Wciąż nie odnaleziono dziewczynek. Żywych ani martwych. A bransoletka to za mało, żeby postawić pani zarzuty. Przynajmniej do czasu, aż analiza laboratoryjna wykryje na niej ślady ich DNA.

– Do tego czasu niech się pan stąd wynosi.

Nie żałuję swoich słów, chociaż wiem, że jeszcze bardziej mnie pogrążają. Niektórzy gliniarze mogliby nawet potraktować je jako przyznanie się do winy. Tymczasem Flynn unosi ręce w geście, który zdaje się mówić „niech mnie pani nie wini”, i rusza w stronę drzwi.

– Na razie to wszystko – rzuca. – Będę miał panią na oku, panno Davis.

Nie on jeden. Z kamerą przed domkiem i Vivian za oknem przyzwyczaiłam się do tego, że ktoś ciągle mnie podgląda.

Kiedy Flynn otwiera drzwi, do domku wciska się dobiegający od strony jeziora warkot policyjnych motorówek. Pojawiły się wkrótce po tym, jak odkryto kajak. Krążący nad obozem helikopter sprawia, że chatka raz po raz trzęsie się w posadach.

Nie pamiętam, czy piętnaście lat temu helikopter przyleciał pierwszego czy drugiego dnia. Z pierwszego dnia pamiętam na pewno łodzie i złożoną z ochotników ekipę poszukiwawczą. Wszystkich tych ludzi w cienkich pomarańczowych kamizelkach, którzy z posępnymi minami wchodzili do lasu. Łodzie pływające po jeziorze, odwołane po tym, jak w lesie znaleziono bluzę Vivian. Wtedy, drugiego dnia, sprowadzono psy. Każdemu dano do powąchania ubrania z kufrów należących do dziewczyn, żeby złapały ich trop. Franny już wtedy postanowiła zamknąć obóz. Tak więc gdy psy, szczekając, biegały wokół jeziora, rozhisteryzowane obozowiczki wsiadały do autobusów albo SUV-ów, którymi przyjechali po nie oszołomieni rodzice.

Ja nie miałam tyle szczęścia. Powiedziano mi, że „na potrzeby śledztwa” muszę zostać jeden dzień dłużej. Tak więc kolejną dobę przeleżałam skulona na łóżku, czując się podobnie jak teraz.

Helikopter kolejny raz przelatuje nad Dereniem, a chwilę po tym słyszę pukanie do drzwi.

– Proszę – rzucam, zbyt zmęczona, żeby komuś otworzyć.

Do chatki zagląda Becca. Dziwi mnie to, zważywszy, jak potoczyła się nasza wczorajsza rozmowa. Z początku myślę, że przyszła złożyć mi kondolencje. Odwracam wzrok, kiedy wchodzi, bo nie chcę widzieć współczująco-przepraszającego spojrzenia, jakim zapewne mnie uraczy. Zamiast tego spoglądam na aparat, który trzyma w dłoniach.

– Jeśli przyszłaś, żeby robić zdjęcia, możesz od razu wyjść.

– Posłuchaj, wiem, że jesteś wkurzona, bo opowiedziałam glinom, jak się upiłyśmy. Przepraszam. Spanikowałam przez tę całą sytuację i uznałam, że najlepiej będzie, jeśli powiem prawdę. Nie pomyślałam, że zaczną cię podejrzewać. Jeśli to cię pocieszy, ja również jestem w gronie podejrzanych.

– O ile mi wiadomo, wszystkie dziewczyny z twojego domku są całe i zdrowe.

– Próbuję ci pomóc, Emmo.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– A ja myślę, że potrzebujesz – rzuca Becca. – Myślę, że powinnaś wiedzieć, co o tobie mówią. Wszyscy myślą, że ty to zrobiłaś. Że ci odbiło i zrobiłaś z tymi dziewczynami to samo, co piętnaście lat temu z Viv, Natalie i Allison.

– Nawet ty?

Becca kiwa głową.

– Nawet ja. Nie ma sensu cię okłamywać, prawda? Ale później zaczęłam przeglądać zdjęcia, które dziś rano zrobiłam w obozie. Chciałam sprawdzić, czy przypadkiem nie uchwyciłam czegoś, co mogłoby stanowić klucz do rozwiązania całej tej zagadki.

– Nie musisz bawić się dla mnie w detektywa – mówię.

– Idzie mi lepiej niż tobie – sarka Becca. – O czym zresztą wszyscy wiedzą. Nie byłaś szczególnie dyskretna z tym swoim przemykaniem po obozie i zadawaniem pytań. Nawet Casey mówiła mi, że wczoraj widziała, jak zakradłaś się do Domu.

To oczywiste, że cały obóz wrze od plotek dokładnie tak jak piętnaście lat temu. Może nawet bardziej. Bóg jeden wie, co opiekunki i obozowiczki wygadują na mój temat. Pewnie, że mam obsesję, że jestem szalona i dokonuję złych wyborów. I że jestem winna.

– Nie zakradałam się – rzucam. – Rozumiem, że znalazłaś coś ciekawego, inaczej by cię tu nie było.

Becca siada na podłodze przy moim łóżku i podnosi aparat tak, żebym go widziała. Na ekranie widzę siebie stojącą w osłupieniu w jeziorze i Franny, która wchodzi za mną do wody. Kolejny raz uderza mnie, jak świetną fotografką jest Becca. Uchwyciła moment w całej jego przerażającej klarowności, łącznie z wodą skapującą z rąbka nocnej koszuli Franny.

Na środku zdjęcia widzę Theo, który stoi w bokserkach między jeziorem i Domem. W świetle poranka blada mozaika blizn na jego piersi jest wyraźnie widoczna. Ja jednak nie zwróciłam na nią uwagi. Miałam na głowie inne rzeczy.

Za plecami Theo na tarasie za Domem stoją Chet i Mindy. On ma na sobie krótkie spodenki i koszulkę. Ona wygląda zmysłowo w swojej bawełnianej koszuli nocnej.

– A to zdjęcie zrobione pod innym kątem – tłumaczy Becca.

Na fotografii widać tłum obozowiczek, które przyciągnęły nad jezioro moje krzyki. Dziewczyny obejmują się nawzajem, na ich zaróżowionych od snu twarzach wciąż maluje się strach.

– Policzyłam je – mówi Becca. – Siedemdziesiąt pięć obozowiczek, opiekunek i instruktorek. Z osiemdziesięciu.

Dokonuję w głowie pospiesznych obliczeń. Z oczywistych powodów trzy z pięciu nieobecnych na zdjęciu to Sasha, Miranda i Krystal. Ja jestem czwarta, bo w chwili, gdy Becca robiła zdjęcie, Franny wyprowadzała mnie z zimnej wody jeziora Midnight. Piątą brakującą osobą jest Becca, która robiła zdjęcie.

– Nie jestem pewna, o co ci chodzi.

– Tylko jedna osoba z obozu nie wyszła, żeby zobaczyć, co się dzieje – odpowiada Becca. – Nie uważasz, że to dziwne?

Wyrywam jej aparat i zbliżam go do twarzy, próbując zgadnąć, kogo brakuje. Rozpoznaję niemal wszystkie dziewczyny. Przypominam je sobie z zajęć malarskich albo po prostu zapamiętałam ich twarze. Zauważam Robertę i Paige, które wymieniają zmartwione spojrzenia. Widzę Kim, Danicę i trzy inne opiekunki. Każda z nich obejmuje dziewczynki, z którymi mieszka w domku. Za nimi stoi Casey – rozpoznaję ją po rudych włosach.

Wracam do poprzedniego zdjęcia i patrzę na siebie i Franny, na Theo stojącego na trawie i Cheta i Mindy na tarasie.

Brakuje tylko Lottie.

– Teraz widzisz? – pyta Becca.

– Jesteś pewna, że jej tu nie ma? – Jeszcze raz przyglądam się zdjęciu, na próżno wypatrując Lottie za plecami Cheta i Mindy. Nie ma jej.

– Tak. Pytanie tylko dlaczego?

Nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Moje krzyki były na tyle głośne, że ściągnęły nad jezioro cały obóz, więc Lottie również musiała je słyszeć. Może być też tak, że jej nieobecność jest zupełnie przypadkowa. Może ma mocny sen. Albo była pod prysznicem i szum wody zagłuszył moje krzyki.

I nagle myślę o swojej bransoletce. Niemal czuję ją na lewym nadgarstku. Ostatni raz byłam pewna, że jest na swoim miejscu, właśnie w Domu, kiedy przeczesywałam gabinet.

Z Lottie.

Może wtedy ją zgubiłam. A może Lottie wzięła ją, kiedy ja byłam pochłonięta oglądaniem tych wszystkich starych fotografii z Camp Nightingale.

Przypominam sobie dziennik Vivian, który stał się dla mnie czymś w rodzaju kamienia z Rosetty mającego pomóc mi rozwikłać zagadkę tego, co wydarzyło się piętnaście lat temu. Vivian wspominała o Lottie, ale tylko przelotnie. Napisała, że Lottie nakryła ją, gdy myszkowała w gabinecie, i doniosła na nią Franny. Nie zwróciłam na to większej uwagi, głównie dlatego że znacznie bardziej interesowała mnie tajemnica skrywana przez Franny.

Teraz zastanawiam się, czy wzmianka ta miała jakieś większe znaczenie, zwłaszcza że sama zostałam przyłapana przez Lottie w tym samym miejscu. Opowiedziała mi wtedy, że jej rodzina od dziesięcioleci pracuje dla klanu Harris-White'ów. To by znaczyło, że kolejne pokolenia rodziny Lottie były im niezwykle oddane. A jak bardzo oddana jest sama Lottie?

Wystarczająco, żeby zrobić coś, kiedy dowiedziała się, że Vivian jest bliska odkrycia mrocznej tajemnicy Franny? I kolejny raz, kiedy uświadomiła sobie, że ja również jestem tego bliska?

– Może nie było jej, bo dobrze wiedziała, co się dzieje – mówię w końcu.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Po tym, jak naskoczyłam na Theo, resztę dnia przeleżałam w łóżku, zalewając się łzami. Płakałam tak bardzo, że przed wieczorem moja poduszka była mokra. Poszewka – słona i wilgotna – przylepiła mi się do policzka, kiedy podniosłam głowę na dźwięk otwieranych drzwi. To była Lottie, która na tacy przyniosła mi jedzenie. Pizzę. Sałatkę. I butelkę soku Snapple.

– Musisz coś zjeść, skarbie – powiedziała.

– Nie jestem głodna – odparłam, chociaż umierałam z głodu. Ból brzucha przypomniał mi, że nie jadłam prawie nic, odkąd dziewczyny wyszły z domku.

– Głodzenie się nic nie da – zauważyła Lottie i postawiła tacę na kufrze z drewna orzesznika. – Musisz coś zjeść, żeby być gotowa na powrót przyjaciółek.

– Naprawdę myśli pani, że one wrócą?

– Oczywiście.

– W takim razie nie zjem niczego, dopóki ich nie zobaczę.

Lottie posłała mi cierpliwy uśmiech.

– Zostawię tacę na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie.

Kiedy wyszła, podeszłam do tacy i zaczęłam obwąchiwać jedzenie jak zdziczały kot. Ignorując sałatkę, rzuciłam się na pizzę. Zdążyłam ugryźć dwa kęsy, kiedy brzuch rozbolał mnie jeszcze bardziej. Ból był gorszy od głodu i promieniował z żołądka wprost do serca.

Poczucie winy.

Że kiedy Vivian wychodziła z domku, powiedziałam jej tę straszną rzecz.

Że przed powrotem dziewczyn zamknęłam drzwi na klucz.

Że przez cały dzień wmawiałam sobie, że po prostu odpowiadam na niewinne pytania policjantki. Tymczasem w głębi duszy znałam prawdę. Podając imię Theo, oskarżyłam go o to, że skrzywdził Vivian, Natalie i Allison. A wszystko przez to, że wybrał Vivian zamiast mnie.

Czyż mogło być inaczej? Byłam patykowatą, płaską jak deska trzynastolatką. To oczywiste, że wybrał ją. A teraz wszyscy w obozie mnie nienawidzili. I wcale im się nie dziwiłam. Sama nienawidziłam siebie jeszcze bardziej.

Tym bardziej byłam zdumiona, gdy późnym wieczorem do chatki przyszła Franny.

Spędziła w niej już poprzednią noc. Nie chcąc, żebym była sama, przyniosła śpiwór, przekąski i gry planszowe. Kiedy zrobiło się późno, rozłożyła śpiwór na podłodze przy moim łóżku. Leżała tam, śpiewając mi do snu piosenki Beatlesów cichym, łagodnym głosem.

Teraz wróciła z paczką chipsów oraz grami w jednej ręce i zwiniętym śpiworem w drugiej.

– Właśnie rozmawiałam z twoimi rodzicami – oznajmiła. – Przyjadą po ciebie jutro rano. Zadbajmy więc o to, żeby twoja ostatnia noc tutaj była spokojna.

Podniosłam głowę znad mokrej od łez poduszki i spojrzałam na nią zdezorientowana.

– Dzisiaj też będziesz tu spała?

– Oczywiście, moja droga. Niedobrze jest być tu samemu.

Upuściła śpiwór na podłogę i zaczęła go rozwijać.

– Nie musisz znowu spać na ziemi – powiedziałam.

– Ależ tak – odparła Franny. – Łóżka muszą być puste, bo twoje przyjaciółki mogą lada chwila wrócić.

Wyobraziłam sobie Vivian, Natalie i Allison, jak otwierają drzwi na oścież i wchodzą do domku, umorusane i wycieńczone, ale żywe. *Zgubiłyśmy się* – powiedziałaby Vivian. – *Bo Allison nie potrafi posługiwać się kompasem.* Myśl była tak pocieszająca, że zerknęłam na drzwi, jakbym naprawdę liczyła, że zaraz się pojawią. Kiedy tak się nie stało, zaczęłam znowu płakać, jeszcze bardziej mocząc poduszkę łzami.

– Cichutko – szepnęła Franny, nachylając się w moją stronę. – Dość już na dzisiaj płaczu, Emmo.

– Tak długo ich nie ma.

– Wiem, ale nie możemy tracić nadziei. Nigdy.

Głaskała mnie po plecach, aż się uspokoiłam. Dłoń miała delikatną. Próbowałam sobie przypomnieć, czy własna matka kiedykolwiek zrobiła coś podobnego, kiedy byłam chora albo smutna. Nie przypominałam sobie ani jednej takiej sytuacji, przez co jeszcze bardziej rozkoszowałam się dotykiem Franny.

– Muszę coś wiedzieć, Emmo – powiedziała w pewnej chwili głosem cichym jak szept. – Tak naprawdę nie myślisz, że Theo skrzywdził twoje przyjaciółki, prawda?

Nie odpowiedziałam. Strach ścisnął mnie za gardło. Nie mogłam cofnąć tego, co powiedziałam policji. Nie wtedy. Tak, Theo miał poważne kłopoty. Ale wiedziałam też, że sama wpadnę w tarapaty, jeśli przyznam, że to, co mówiłam, było nieprawdą.

Że zamknęłam drzwi od wewnątrz i nie wpuściłam Vivian, Natalie i Allison do domku.

I że zanim wyszły, pokłóciłyśmy się.

Tyle kłamstw. Każde z nich ciążyło mi na piersi niczym głaz tak ciężki, że nie mogłam oddychać. Mogłam wyznać prawdę i uwolnić się od nich albo dodać kolejne z nadzieją, że w końcu przywyknę do ich ciężaru.

– Emmo? – powtórzyła z naciskiem Franny. – Prawda?

Milczałam.

– Rozumiem.

Franny zdjęła rękę z moich pleców, ale poczułam jeszcze, jak drżą jej palce. Przez chwilę wodziła nimi wzdłuż mojego kręgosłupa, po czym cofnęła dłoń. Kilka sekund później wyszła bez słowa. Przez resztę nocy leżałam sama, rozbudzona na łóżku, zastanawiając się, jakim potworem się stałam.

Rankiem to Lottie zapukała do drzwi domku, żeby powiedzieć mi, że rodzice przyjechali zabrać mnie do domu. Ponieważ nie mogłam spać, spakowałam się o świcie, przenosząc zawartość kufra z powrotem do walizki.

Wyniosłam walizkę z chatki i ruszyłam w głąb obozu, który przywodził na myśl wymarłe miasto. Cisza wisiała nad opuszczonymi domkami, a jedynym odgłosem był silnik volvo pracującego na jałowym biegu przy stołówce. Widząc mnie, matka wysiadła z samochodu i otworzyła bagażnik, a następnie posłała Lottie wstydliwy uśmiech, jak gdyby odsyłano mnie do domu po tym, jak we śnie zmoczyłam materac.

– Franny przeprasza, że nie wyjdzie się pożegnać – zwróciła się do mnie Lottie, udając, że obie nie wiemy, że to kłamstwo. – Życzy ci bezpiecznej podróży.

W oddali drzwi do Domu otworzyły się i zobaczyłam Theo w towarzystwie dwóch detektywów, których widok w ostatnich dniach stał się czymś normalnym. Sądząc po tym, jak trzymali go za łokcie, nie

wyszedł dobrowolnie. Stałam z rozdziawioną buzią przy samochodzie i patrzyłam, jak prowadzą go do pracowni malarsko-rękodzielniczej, zapewne na kolejne przesłuchanie. Theo dostrzegł mnie i spojrzał na mnie błagalnie, w milczeniu prosząc, żebym zareagowała.

To była moja ostatnia szansa, żeby powiedzieć prawdę.

Zamiast tego wsiadłam do samochodu i rzuciłam do ojca:

– Proszę, tato, jedźmy już.

Kiedy ruszaliśmy, drzwi Domu otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich Chet z twarzą mokrą od łez. W biegu jego nogi przypominały rozmazaną smugę. Wołając Theo, rzucił się w stronę budynku, gdzie odbywały się zazwyczaj zajęcia malarskie. Lottie pobiegła za Chetem i pociągnęła go z powrotem w stronę Domu, i zanim zdążyliśmy zobaczyć coś więcej, machnęła ręką, pokazując ojcu, żeby odjechał.

Odwrócona na tylnym siedzeniu spojrzałam przez szybę. Patrzyłam, jak Lottie, Chet i wyludniony obóz znikają z zasięgu wzroku.

32

Becca wychodzi, a ja leżę skulona na łóżku i tuląc do siebie misia Krystal, myślę, co zrobić z Lottie. Oczywiście, powinnam komuś powiedzieć. Ale nie mam zbyt wielu opcji. Detektyw Flynn nie ufa mi. Ja nie ufam Franny. Wątpię nawet, czy Theo uwierzy mi, jeśli rzucę cień podejrzenia na kobietę, która od dziesiątków lat pracuje dla rodziny.

Wyglądam przez okno, rozważam rozmaite opcje i patrzę na gasnące w zapadającym mroku niebo. Ekipa krążącego nad jeziorem helikoptera włączyła reflektor. Kiedy co kwadrans przelatują nad domkiem, z ciemności za oknem wyłaniają się sylwetki drzew.

Obserwuję grę światła wśród liści, kiedy słyszę pukanie. Za chwilę drzwi się otwierają i widzę Mindy z tacą w dłoniach.

– Przyniosłam kolację – oznajmia.

Jedzenie na tacy z pewnością nie pochodzi ze stołówki. To kolacja prosto z Domu. Wciąż gorący filet mignon i oprószone rozmarynem pieczone ziemniaczki. Ich zapach przywodzi na myśl Święto Dziękczynienia.

– Nie jestem głodna – rzucam, chociaż w innych okolicznościach rzuciłabym się na stek. Zwłaszcza że przez stres i serwowane w stołówce kiepskie jedzenie jadłam niewiele, praktycznie odkąd przyjechałam do Camp Nightingale. Ale nie mogę patrzeć na jedzenie, nie mówiąc o tym, żeby cokolwiek przełknąć. Niepokój ścisnął mój żołądek do tego stopnia, że boję się, że już nigdy się nie rozsupła.

– Kupiłam też wino – mówi Mindy, pokazując butelkę pinot noir.

– Wina nie odmówię.

– Połowa jest moja – uprzedza Mindy. – To był straszny dzień. Dziewczyny są przerażone, a my odchodzimy od zmysłów, próbując zachować spokój i zająć się czymś.

Stawia tacę na kufrze, który niegdyś należał do Allison, a teraz do Sashy. Może. A może do nikogo już nie należy. Podobnie jak miś Krystal – chwilowo jest bezpański.

Sądząc po tym, w jaki sposób Mindy wyciąga korek, butelka została otwarta jeszcze w Domu. Pewnie po to, żebym nie musiała korzystać z korkociągu. Leżące na tacy nóż i widelec są z plastiku. Mindy rozlewa wino do plastikowych kubeczków. Przypomina mi się szpital psychiatryczny, gdzie zakazane były wszelkie ostre przedmioty.

– Na zdrowie – rzuca Mindy. Podaje mi kubek i trąca go swoim. – Do dna.

Wypijam zawartość kubka, nabieram tchu i pytam:

– Czym sobie zasłużyłam na to specjalne traktowanie?

Mindy siada naprzeciw mnie, na skraju łóżka Krystal.

– To był pomysł Franny. Powiedziała, że po tym wszystkim, co przeszłaś, zasługujesz na coś miłego. To był ciężki dzień dla nas wszystkich, zwłaszcza dla ciebie.

– Zakładam, że jest jakiś ukryty motyw.

– Pewnie sądziła, że dobrze będzie, jeśli wypijemy to wino razem i przyzwyczaimy się do siebie, zwłaszcza że mam tutaj spać.

– Po co? – pytam.

– Chyba po to, żeby mieć cię na oku.

Nie musi mówić nic więcej. Nikt mi nie ufa. Nie po tym, jak Sasha, Krystal i Miranda zniknęły. Dopóki ich nie znajdą, będę podejrzana. Jeśli je znajdą. Stąd plastikowy nóż i kubek, do którego dolewam wina. Mindy patrzy, jak wypełniam go aż po brzegi.

– Mamy dwie opcje – mówię. – Możemy się ignorować i siedzieć w milczeniu. Albo rozmawiać.

– Wybieram tę drugą – rzuca bez zastanowienia Mindy. – Nienawidzę siedzieć w ciszy.

Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałam. I dlatego dałam jej wybór – żeby miała wrażenie, że to był jej pomysł.

– Jak nastroje w Domu? – pytam. – Radzą sobie jakoś?

– Oczywiście, że nie. Odchodzą od zmysłów z niepokoju. Zwłaszcza Franny.

– A Lottie? Zawsze wydawała mi się taka opanowana. Założę się, że w takiej sytuacji to niezwykle przydatne.

– Nie wiem. Wydaje się równie zdenerwowana jak cała reszta.

– Wcale mnie to nie dziwi. Pracuje dla Franny od tak dawna, że musi być jej bardzo oddana.

– Można by pomyśleć, że tak jest, ale mam wrażenie, że Lottie traktuje to wyłącznie jak pracę. Przychodzi do Franny rano i wychodzi wieczorem, jak każdy zwykły pracownik. Jeśli jest chora, idzie na zwolnienie. Przysługuje jej urlop. Nie wydaje mi się, żeby była szczególnie szczęśliwa, spędzając tu wakacje. Ja też nie jestem, ale robię wszystko, żeby przypodobać się Franny.

– I jak ci idzie?

Mindy dolewa sobie wina i podobnie jak ja wypełnia kubek aż po brzegi. Upija solidny łyk i mówi:

– Nie przepadasz za mną, prawda?

– Trzymasz mnie tu w areszcie domowym, więc nie dziw się.

– Ale nie lubiłaś mnie już wcześniej. Kiedy przyjechałaś na obóz. Nie musisz udawać, że było inaczej.

Nie mówię nic, co poniekąd stanowi odpowiedź na jej pytanie.

– Wiedziałam – mówi Mindy. – Znałam takie jak ty w college'u. Artystki o otwartych umysłach, które zadziwiająco szybko oceniają takich ludzi jak ja. Niech no zgadnę: wystarczyło, że na mnie spojrzałaś i pomyślałaś, że jestem rozpieszczoną dziewczyną z elitarnego studenckiego bractwa, która przez łóżko wkupiła się w łaski rodziny Harris-White'ów.

– A nie jest tak?

– Czy jestem dziewczyną z bractwa? Tak. I jestem z tego dumna. Tak jak jestem dumna z tego, że byłam wystarczająco ładna i czarująca, żeby zwrócić uwagę kogoś takiego jak Chet Harris-White.

– Zgadzam się, że jesteś ładna – mówię z udawaną uprzejmością. Może to przez wino. A może to duch Vivian unoszący się w domku sprawia, że wyłazi ze mnie zołza.

– Dla jasności: to Chet uganiał się za mną. I trochę mu to zajęło. Nie interesowało mnie umawianie się z bogatym, rozpieszczonym dzieciakiem.

– A ty nie jesteś bogata i rozpieszczona?

– Nie – rzuca Mindy. – Dorastałam na farmie. Założę się, że nie tego się spodziewałaś.

Zakładałam, że pochodzi z bogatej rodziny. Że jest córeczką prawnika z Południa albo prominentnego lekarza, tak jak Natalie.

– To była farma mleczna – ciągnie Mindy. – Na zadupiu w Pensylwanii. Odkąd poszłam do przedszkola, aż do końca szkoły codziennie wstawałam przed świtem, żeby nakarmić i wydoić krowy. Nienawidziłam tego. Ale wiedziałam, że jestem mądra i ładna. To dwie rzeczy, których potrzebuje

kobieta, żeby dać sobie radę w tym świecie. Uczyłam się dużo, udzielałam się towarzysko i robiłam, co mogłam, żeby udawać, że moje ręce nie zawsze cuchnęły mlekiem i krowim łajnem. I opłaciło się. Zostałam przewodniczącą klasy. Królową zjazdu absolwentów. Wygłaszałam mowę na zakończenie szkoły. Kiedy dostałam się na Yale, udawałam dalej, nawet po tym, jak zaczęłam spotykać się z Chetem.

Mindy odchyla się na łóżku i kręci winem w plastikowym kubku. Rozsiada się wygodnie i krzyżuje nogi. Możliwe, że już się upiła. Zazdroszczę jej.

– Przed pierwszym spotkaniem z Franny byłam taka zdenerwowana. Bałam się, że mnie przejrzy. Zwłaszcza kiedy wysiadłam z samochodu i zobaczyłam ich nazwisko na budynku. No a później jazda windą na ostatnie piętro. Franny czekała na nas w szklarni. Widziałaś szklarnię?

– Tak. Robi wrażenie.

– Jest obłędna – zachwyca się Mindy. – Ale zdenerwowanie minęło, kiedy dowiedziałam się prawdy.

Każe mi czekać i upija łyk wina.

– O czym?

– Że nie są wcale tak bogaci, jak mogłoby się wydawać. Już nie. Franny sprzedała budynek lata temu. Teraz posiada tylko apartament na ostatnim piętrze i jezioro Midnight.

– Moim zdaniem to i tak dużo.

– Tak – przyznaje Mindy. – Ale teraz jej majątek to tylko kilka milionów, nie miliard.

– W jaki sposób straciła tyle pieniędzy?

– Przez to miejsce. – Chociaż Mindy rozgląda się po domku, wiem, że ma na myśli to, co znajduje się poza nim. Obóz. Jezioro. Lasy. Dziewczęta. – Odzyskiwanie dobrej opinii bywa kosztowne. Franny musiała zapłacić

rodzinom zaginionych dziewczyn. Chet powiedział mi, że każda z nich dostała co najmniej dziesięć milionów. Myślę, że Franny wypłaciła je, jakby to było dla niej nic. Wsparła też całe mnóstwo organizacji charytatywnych, próbując wrócić do łask. No i ta sprawa z Theo.

– Wypadek – mówię. – Chet wspominał o nim.

– Samochód, który rozbił, był wart tyle co nic w porównaniu z tym, ile wydała Franny, żeby z powrotem przyjęli go na Harvard. Władze uczelni niechętnie widziały wśród studentów kogoś podejrzanego o morderstwo. Bez urazy.

– Nie uraziłaś mnie. – Kiwam głową. Szanuję Mindy za to, że wie, jak odpłacić pięknym za nadobne.

– Chet mówił, że Franny musiała zapłacić za nowy budynek laboratorium, zanim w ogóle wzięli pod uwagę powrót Theo na studia. Myślę, że mniej więcej w tym samym czasie sprzedała kamienicę. Moim zdaniem powinna była sprzedać to miejsce. Chet opowiadał, że próbował namówić ją, żeby sprzedała ziemie wokół jeziora, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Wygląda na to, że w najbliższym czasie ich nie sprzeda...

Mindy urywa, nie chcąc, aby się jej wymknęło, że Franny jest umierająca. Chociaż wiem o raku, podziwiam jej dyskrecję. Dobrze, że są sekrety rodzinne, których zamierza dochować.

– Tak czy siak, oto jak wygląda ich sytuacja – podejmuje po chwili. – Tak między nami, ulżyło mi. Na myśl o tych bajońskich sumach bałam się jak diabli. Nie zrozum mnie źle, nadal mają furę kasy. Moja rodzina w życiu nie widziała takich pieniędzy. Ale już mnie tak nie onieśmielają. Im więcej pieniędzy, tym bardziej czuję, że powinnam udawać. A to znaczy, że wciąż martwię się, że moje ręce nadal cuchną życiem na farmie.

Mindy spuszcza wzrok i w świetle lampki przygląda się swoim dłoniom.

– Przepraszam, że cię oceniałam – mówię.

– Zdążyłam się przyzwyczaić. Tylko nie mów Chetowi ani Franny, ani nikomu innemu. Proszę.

– Nie powiem.

– Dziękuję. A tak w ogóle nie wierzę, że zrobiłaś coś tym dziewczynkom. Widziałam was. Lubiłyście się. To było widać.

Na wzmiankę o Mirandzie, Sashy i Krystal znowu ogarnia mnie niepokój. Żeby sobie z nim poradzić, wypijam łyk wina.

– Mam nadzieję, że nic im nie jest – mówię. – Nie chcę, żeby cokolwiek się im stało.

– Ja też. – Mindy opróżnia kubek, stawia go na stoliku nocnym i wślizguje się pod zmiętą kołdrę Krystal. – W przeciwnym razie nazwisko Harris-White znowu zostanie zszargane. I coś mi mówi, że tym razem na dobre.

33

Po tym, jak opróżniłyśmy butelkę wina, a stek i ziemniaki dawno już wystygły, Mindy zasypia.

Ja nie.

Niepokój, strach i perspektywa kolejnej nocnej wizyty Vivian nie pozwalają mi zasnąć. Gdy tylko zamykam oczy, widzę pokrzywione okulary Sashy i zaczynam myśleć o tym, że jest tam gdzieś zupełnie sama, błąka się po omacku, może krwawi. Dlatego staram się nie zamykać oczu, przyciskam do piersi misia Krystal i słucham pochrapywania Mindy, które od czasu do czasu ginie w warkocie helikoptera ponownie przelatującego nad obozem. Za każdym razem, gdy światło reflektora rozświetla wnętrze domku, wiem, jak wygląda aktualna sytuacja.

Dziewczynek nadal nie znaleziono.

Dochodzi północ, gdy mój telefon w ciemności budzi się do życia. Dzwoni Marc. W ciszy dzwonek telefonu brzmi głośno i uporczywie.

Mindy przestaje chrapać.

– Za głośno – rzuca rozespana.

Wyciszam komórkę i szepczę:

– Przepraszam. Śpij dalej.

Telefon wibruje mi w dłoni. Marc wysłał wiadomość.

Znalazłem coś. ZADZWOŃ!

Czekam, aż Mindy na powrót zacznie chrapać, wyślizguję się z łóżka i na palcach podchodzę do drzwi. Kładę dłoń na klamce i już mam ją

nacisnąć, kiedy uświadamiam sobie, że nie mogę wyjść na zewnątrz. Nie z kamerą skierowaną prosto na drzwi i jednym ze sługusów Flynna, który zapewne siedzi w piwnicy Domu i na bieżąco monitoruje sytuację.

Zamiast tego podchodzę do okna. Ostrożnie zdejmuję lampkę ze stolika nocnego Mirandy i kładę ją na łóżku, żeby nie potknąć się o nią, kiedy będę wracać. Dopiero potem otwieram okno i podnoszę siatkę przeciw komarom.

Zerkam na Mindy i upewniwszy się, że nadal śpi, wchodzę na szafkę nocną i wystawiam nogi przez okno. Przekręcam się na brzuch i powoli opuszczam się na ziemię.

Żeby uniknąć kamery, w drodze do sanitariatu muszę przemykać między domkami. Pochylam się tak, by nie zobaczyła mnie żadna z dziewczyn w chatkach ani przebywających na zewnątrz.

Jedyne prawdziwe zagrożenie to helikopter z jego głupim reflektorem, właśnie przelatujący mi nad głową. Przestraszona przywieram do ściany najbliższego domku i przyciskam ręce do tułowia. Światło przesuwa się obok mnie, nieświadome mojej obecności.

Stoję bez ruchu do czasu, aż helikopter przeleci nad jeziorem. Następnie puszczam się pędem do sanitariatu. Czuję, jak telefon podskakuje mi w kieszeni. Na miejscu zamykam za sobą drzwi, włączam światła i sprawdzam każdą kabinę. Tym razem oddycham z ulgą na myśl, że jestem sama.

Idę do jednej z kabin i zamykam za sobą drzwi. Wyciągam telefon i dzwonię do Marca. Zasięg jest kiepski, więc kiedy odbiera, zakłócenia sprawiają, że słyszę co drugie słowo.

– Billy i... znaleźliśmy... oś.

Patrzę na ekran. Nie ma nawet jednej kreski zasięgu. Niedobrze. Staję na sedesie i wyciągam telefon w stronę sufitu z nadzieją, że złapię jakikolwiek zasięg. Na ekranie pojawiają się dwie kreski, ale druga to

pojawia się, to znika. Stoję tak przechylona pod dziwnym kątem, celując telefonem w stronę sufitu. Udało się. Zakłócenia zniknęły.

– Co macie?

– Niewiele – mówi Marc. – Billy mówi, że trudno znaleźć cokolwiek na temat prywatnych szpitali psychiatrycznych. Zwłaszcza tak małych i odległych. Szukał wszędzie. W książkach. Gazetach. Rejestrach historycznych. Poprosił przyjaciela, żeby przeszukał fotoarchiwum biblioteki i kilka razy dzwonił do biblioteki w Syracuse. Wyślę ci mailem wszystko, co udało mu się znaleźć. Niektórych dokumentów nie dało się zeskanować, bo były zbyt stare i mogłyby ulec uszkodzeniu. Ale zapisałem wszystko.

W telefonie rozlega się szelest papieru.

– Billy znalazł w rejestrach braci Hardiman, firmy perukarskiej z Lower East Side, kilka wzmianek o niejakim C. Cutlerze z Peaceful Valley. Czy któreś z tych nazwisk coś ci mówi?

– Charles Cutler – mówię. – Był właścicielem. Sprzedawał włosy swoich pacjentek na peruki.

– Jakie to dickensowskie – zauważa Marc. – To by tłumaczyło, dlaczego bracia Hardiman trzykrotnie zapłacili mu po pięćdziesiąt dolarów.

– Kiedy to było?

– Raz w tysiąc dziewięćset pierwszym roku. I dwa razy w tysiąc dziewięćset drugim.

– To pokrywa się z tym, co znalazłam w książce, którą Vivian odkryła w bibliotece. Było w niej zdjęcie tego miejsca w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

– Pisali tam, kiedy je zamknięto?

– Nie. Czemu pytasz?

– Bo później wydarzyło się coś dziwnego. – Po drugiej stronie znowu rozlega się szelest, a zaraz potem trzaski i obawiam się, że znowu tracę zasięg. – Billy znalazł artykuł z gazety z tysiąc dziewięćset czwartego roku. O facecie nazwiskiem Helmut Schmidt z Yonkers. Coś ci to mówi?

– W życiu o nim nie słyszałam.

– No cóż, ten Helmut był niemieckim imigrantem, który spędził dziesięć lat na Zachodzie. Kiedy wrócił do Nowego Jorku, odszukał swoją siostrę, Anyę.

To imię brzmi znajomo. W pudełku, które znalazłam w Domu, było zdjęcie niejakiej Anyi. Pamiętam nawet kolor jej włosów. Lniane.

– Helmut opisał ją jako „często zdezorientowaną i skłonną do napadów złości” – ciągnie Marc. – Oboje wiemy, co to oznacza.

Aż za dobrze. Anya cierpiała na chorobę psychiczną, która w tamtym czasie nie miała jeszcze nazwy.

– Wygląda na to, że kiedy go nie było, stan Anyi się pogorszył, aż w końcu trafiła na wyspę Blackwell. Helmut szukał jej tam, lecz powiedziano mu, że została oddana pod opiekę doktora Cutlera i zabrana do...

– Peaceful Valley – kończę.

– Bingo. Helmut Schmidt pojechał w głąb stanu do Peaceful Valley, żeby odebrać siostrę. Tyle że nie mógł znaleźć tego miejsca, więc zaczął rozmawiać o nim z prasą.

– Chcesz powiedzieć, że Peaceful Valley nie istniało?

– Nie – mówi Marc. – Chodzi o to, że zniknęło.

Znowu to słowo. Zniknęło. Powoli zaczynam go nienawidzić.

– Jak szpital dla umysłowo chorych może zniknąć?

– Nikt nie wiedział. Albo raczej nikogo to nie interesowało – wyjaśnia Marc. – Głównie dlatego, że znajdował się na zupełnym odludziu. A ci, którzy mieszkali najbliżej, nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Wiedzieli tylko, że prowadzili je lekarz i jego żona, i że ziemia została sprzedana rok wcześniej.

– To wszystko?

– Chyba tak. Billy nie znalazł żadnych innych artykułów na temat Helmuta Schmidta i jego siostry. – Słyszę odgłosy klawiatury i kliknięcie. – Właśnie przesłałem ci pliki.

Telefon wibracją powiadamia mnie o nowej wiadomości.

– Dostałam je – mówię.

– Mam nadzieję, że okażą się przydatne. – W głosie Marca pobrzmiewa mrok, jak zawsze, gdy coś go niepokoi. – Martwię się o ciebie, Em. Obiecaj, że będziesz ostrożna.

– Obiecuję.

– Przysięgasz?

– Tak – odpowiadam i uśmiecham się mimo strachu, zmęczenia i niepokoju. – Przysięgam.

Kończę rozmowę i sprawdzam pocztę. Pierwszy plik zawiera skany dwóch stron z książki, którą znalazłam w bibliotece. Jedna to ta z akapitami, w których wspomina się o Peaceful Valley, tym razem bez fragmentu zaznaczonego ołówkiem przez Vivian. Na drugiej widnieje zdjęcie Charlesa Cutlera stojącego dumnie przed gmachem szpitala.

Kolejne pliki to strony z książek psychologicznych, czasopism psychiatrycznych i pracy magisterskiej, której autor wspomina o Peaceful Valley w rozdziale poświęconym historii szpitali dla obłąkanych i metodom leczenia. Zakładam, że jedne teksty opierały się na drugich, bo informacje w nich zawarte są niemal identyczne.

Ostatni plik zawiera zdjęcia pochodzące z różnych źródeł. Pierwsze to znajoma fotografia Charlesa Cutlera pozującego na tle swojego królestwa, chociaż zdjęcie podpisano jako Peaceful Valley, jak gdyby chodziło o jakieś spa, a nie szpital dla umysłowo chorych. Na drugim zdjęciu jest sam budynek – gotyckie domiszcze z wieżyczką i wiatrowskazem oraz wystającym z boku skrzydłem użytkowym.

Na widok trzeciego zdjęcia serce zaczyna walić mi jak szalone, jak gdybym wypiła duszkiem dzbanek czarnej kawy. Widać na nim wjazd do Peaceful Valley – niski kamienny murek z bramą z kutego żelaza i ozdobnym łukiem.

To ta sama brama i ten sam łuk, pod którym przejeżdżaliśmy samochodem Theo.

Te same, które witają gości przyjeżdżających do Camp Nightingale.

Ich widok mrozi mi krew w żyłach.

To tutaj mieścił się szpital dla obłąkanych Peaceful Valley. Na tej ziemi. To by tłumaczyło, dlaczego Helmut Schmidt nie mógł go znaleźć. Zanim przyjechał szukać tu siostry, Buchanan Harris zamienił to miejsce w jezioro Midnight.

Uświadamiam sobie, że tej właśnie informacji szukała Vivian. To dlatego zakradła się do Domu i po to pojechała do biblioteki. Dlatego obawiała się, że jej pamiętnik trafi w niepowołane ręce i postanowiła ukryć go na drugim brzegu jeziora.

I dlatego się bała.

Bo dowiedziała się, że opowieści dotyczące jeziora są prawdziwe. Tyle że to nie wioska głuchych ani kolonia trędowatych znalazła się pod wodą.

To był zakład dla obłąkanych.

34

Mimo późnej godziny na terenie obozu wciąż roi się od policjantów. Jedni siedzą w pracowni malarsko-rękodzielniczej. Inni stoją na zewnątrz, rozmawiają, pijąc kawę albo paląc papierosy, i czekają na złe wieści. U stóp jednego z nich leży pies tropiący. Obaj podnoszą głowy, gdy w pośpiechu idę do Domu.

– Potrzebujesz czegoś, skarbie? – pyta policjant.

– Nie od ciebie – rzucam i dodaję zjadliwie – skarbie.

Staję przed czerwonymi drzwiami i walę w nie. Tym razem nawet nie próbuję być dyskretna. Chcę, żeby całe to cholerne miejsce wiedziało o moim przybyciu. Minutę później drzwi otwierają się i widzę Cheta. Kosmyk włosów opada mu na nabiegłe krwią oczy. Odgarnia go i mówi:

– Nie powinnaś wychodzić z domku, Emmo.

– Mam to gdzieś – rzucam.

– Gdzie jest Mindy?

– Śpi. Gdzie twoja matka?

– Tutaj, moja droga. – Głos Franny dobiega z głębi domu. – Potrzebujesz czegoś?

Mijam Cheta, przecinam hol i kieruję się do salonu. Zastaję Franny otuloną wzorzystym kocem. Wiszące na ścianie za jej plecami antyczne bronie wyglądają dziwnie złowieszczo. Strzelby, noże, samotna włócznia.

– Cóż za miła niespodzianka – szczebioce Franny z udawaną gościnnością. – Pewnie też nie możesz spać. Nie przy tym całym zamieszaniu.

– Musimy porozmawiać – mówię.

Chet dołącza do nas. Dotyka mojego ramienia, delikatnie pchając mnie w stronę drzwi, ale Franny pokazuje mu, żeby odpuścił.

– O czym? – pyta.

– O szpitalu dla obłąkanych Peaceful Valley. Wiem, że mieścił się na tym terenie. Vivian też to wiedziała.

Nietrudno domyślić się, dlaczego ją to interesowało. Usłyszała historię o jeziorze Midnight – prawdopodobnie od Casey – i podobnie jak ja potraktowała ją jak bajeczkę opowiadaną nocą przy ognisku. Ale później znalazła na brzegu stare pudełko z nożyczkami, które grzechotały jak potłuczone szkło. Zaczęła szperać. Przeszukała Dom. Pojechała do biblioteki. Aż w końcu uświadomiła sobie, że w tej strasznej historii jest ziarno prawdy.

Chciała wydobyć ją na światło dzienne. Podejrzewam, że poczuła więź z tymi kobietami ze szpitala, które prawdopodobnie utonęły jak jej siostra.

Odkrycie to musiało sprawić, że Vivian czuła się samotna i przerażona. Wspominała o tym w swoim pamiętniku, kiedy pisała o Natalie i Allison.

„Im mniej wiedzą, tym lepiej”.

Vivian nie była w stanie ich ocalić. Po tym, jak przeczytały jej pamiętnik, one również wiedziały za dużo. Ale zdołała uratować mnie. Teraz to rozumiem. To, jak mnie potraktowała, nie było aktem okrucieństwa, lecz łaski. W ten sposób chciała ochronić mnie przed niebezpieczeństwem, które niosło z sobą to odkrycie. Żeby mnie ocalić, zmusiła mnie, żebym ją znienawidziła.

Dopięła swego.

– Nie powiedziała o tym nikomu oprócz Natalie i Allison – mówię. – I nagle wszystkie trzy zniknęły. Wątpię, że był to zbieg okoliczności.

Przed Franny stoi spodeczek, a na nim delikatna porcelanowa filiżanka z gorącą herbatą. Kiedy próbuje się jej napić, filiżanka dzwoni o spodeczek tak gwałtownie, że Franny odstawia herbatę, nie upiwszy ani łyka.

– Nie wiem, co chcesz, żebym ci powiedziała.

– Może opowiesz mi, co się stało z zakładem dla obłąkanych. Coś złego, prawda? Podobnie jak ze wszystkimi tymi biednymi dziewczynami.

Franny próbuje szczelniej otulić się kocem, ale ręce nadal jej drżą. Pod skórą jej białych jak papier dłoni pulsują żyły. Koc zsuwa jej się z ramion. Chet podbiega do matki i okrywa ją z powrotem.

– Dość tego, Emmo – warczy. – Musisz wrócić do swojej chatki.

Ignoruję go.

– Wiem, że te kobiety istniały. Widziałam ich zdjęcia.

Idę do gabinetu i podchodzę prosto do biurka. Otwieram dolną szufladę i widzę znajome drewniane pudełko. Leży dokładnie tam, gdzie je zostawiłam. Wracam z nim do salonu i kładę pudełko na stoliku do kawy.

– Mówię o tych dziewczynach. – Otwieram pudełko, wyciągam zdjęcia i podnoszę tak, żeby Franny i Chet widzieli udręczone twarze kobiet. – Charles Cutler kazał im zapuszczać włosy, które potem obcinał i sprzedawał. A kobiety znikały.

Twarz Franny łagodnieje. Strach ustępuje miejsca czemuś, co przypomina współczucie.

– Och, Emmo. Biedactwo. Teraz wiem, dlaczego byłaś taka przygnębiona.

– Po prostu powiedz mi, co się z nimi stało!

– Nic – odpowiada Franny. – Zupełnie nic.

Spoglądam na nią, szukając w jej twarzy czegoś, co zdradzi ją, że kłamie. Ale niczego nie znajduję.

– Nie rozumiem – bąkam.

– Może ja jej wyjaśnię.

Głos należy do Lottie, która wychodzi z kuchni ubrana w koszulę nocną i narzucony na nią jedwabny szlafrok. W dłoniach trzyma kubek kawy.

– Myślę, że tak będzie najlepiej – przyznaje Franny.

Lottie siada obok niej i sięga po drewniane pudełko.

– Właśnie przyszło mi do głowy, Emmo, że może nie znasz mojego prawdziwego imienia.

– Nie masz na imię Lottie?

– Dobry Boże, nie – odpowiada Lottie. – To przezwisko, które nadała mi Franny, kiedy byłam małą dziewczynką. Naprawdę mam na imię Charlotte. Dostałam je po swoim pradziadku. Charlesie Cutlerze.

Jestem tak zdezorientowana, że na chwilę odbiera mi mowę.

– Jego matka była szalona – ciągnie Lottie. – Moja praprababka. Charles widział, co zrobiła z nią choroba, i postanowił poświęcić życie pomaganiu innym chorym. Najpierw w przytułku dla obłąkanych w Nowym Jorku. To było straszne miejsce. Kobiety żyły tam w okropnych warunkach. Ich stan w ogóle się nie poprawiał. Cierpiały tylko jeszcze bardziej. Wpadł więc na pomysł, żeby stworzyć Peaceful Valley na ziemiach należących do rodziny mojej prababki. Niewielki, prywatny ośrodek dla tuzina kobiet. Na swoje pacjentki Charles wybierał najcięższe przypadki, z jakimi spotkał się w brudnym, przeludnionym szpitalu. Szalone kobiety, zbyt biedne, by stać je było na właściwą opiekę. Samotne. Bez przyjaciół. Bez rodzin. Przygarniał je.

Lottie przetrząsa otwarte pudełko, uśmiechając się do zdjęć, jakby były na nich jej przyjaciółki. Wyciąga jedno i patrzy na nie. Na odwrocie

fotografii zapisano: *Juliet Irish, Ruda*.

– Od samego początku było mu ciężko. Chociaż on i moja prababka byli jedynymi pracownikami Peaceful Valley, utrzymanie szpitala kosztowało. Pacjentki potrzebowały jedzenia, ubrań i lekarstw. Chcąc związać koniec z końcem, pradziadek wpadł na pomysł, żeby sprzedawać ich włosy – za ich pozwoleniem, rzecz jasna. Dzięki temu ośrodek funkcjonował przez kolejny rok, ale Charles wiedział, że w końcu będzie musiał go zamknąć. Jego szlachetny eksperyment okazał się fiaskiem.

Wyciąga kolejne dwie fotografie. Lucille Tawny i Henrietty Golden.

– Ale był mądrym człowiekiem, Emmo – ciągnie Lottie. – Dopatrzył się w tym fiasku pewnej sposobności. Wiedział, że jego stary przyjaciel chciał kupić ziemię pod budowę wiejskiego domu. Tym przyjacielem był bogaty drwal, niejaki Buchanan Harris. Mój pradziadek zaproponował, że sprzeda mu ziemię po okazyjnej cenie, a w zamian zażądał stanowiska w firmie pana Buchanana. Oto jak zaczęła się przyjaźń między naszymi rodzinami, która trwa aż do dziś.

– Ale co się stało z Peaceful Valley?

– Funkcjonował, podczas gdy mój dziadek budował tamę, dzięki której miało powstać jezioro Midnight – odzywa się Franny.

– W tym czasie Charles Cutler znalazł nowe lokum dla swoich pacjentek – dodaje Lottie. – Żadna z nich nie wróciła do tych paskudnych szpitali w mieście. Mój pradziadek dopilnował tego. Był dobrym człowiekiem, Emmo. Naprawdę dbał o te kobiety. Właśnie dlatego nadal przechowuję ich zdjęcia. To najcenniejsza własność mojej rodziny.

Kołyszę się lekko. Aż dziw, że wciąż trzymam się na nogach. Mam wrażenie, że zdrętwiały, tak jak całe moje ciało. Zbytnio skupiłam się na poznaniu mrocznego sekretu Franny i do głowy mi nie przyszło, że Vivian mogła się mylić.

– Czyli to nie ma nic wspólnego z tym, co stało się z Vivian i innymi dziewczynami?

– Nic a nic – zapewnia mnie Franny.

– Więc czemu trzymałyście to w sekrecie?

– Nie trzymałyśmy – mówi Lottie. – To żadna tajemnica. Tylko stara historia, która z czasem została wypaczona.

– Znamy baśnie o jeziorze Midnight, które dziewczyny opowiadają sobie przy ognisku – dodaje Franny. – Wszystkie te bzdury o klątwach, zatopionej wiosce i duchach. Ludzie zawsze woleli tragedie od prawdy. Jeśli Vivian chciała dowiedzieć się czegoś więcej, wystarczyło, żeby spytała.

Kiwam głową. Nagle czuję się upokorzona. Zupełnie jak wtedy, gdy Vivian zdradziła mnie, zanim zniknęła. Może nawet jeszcze gorzej. Kolejny raz oskarżyłam kogoś z rodziny Harris-White’ów o zrobienie czegoś okropnego.

– Przepraszam – mówię, wiedząc, że zwykłe przeprosiny to w tej sytuacji dużo za mało. – Pójdę już.

– Zaczekaj, Emmo – rzuca pospiesznie Franny. – Zostań, proszę. Napij się herbaty, dopóki nie poczujesz się lepiej.

Wychodzę z pokoju, bo nie jestem w stanie znieść więcej dobroci od tej kobiety. W korytarzu zaczynam biec i wypadam przez drzwi wejściowe, nie zamykając ich za sobą. Pędzę jak szalona, mijając w biegu policjantów, pracownię malarsko-rękodzielniczą i pogrążone w ciemności i ciszy domki. Aż do sanitariatu, gdzie zamierzam zamknąć się w kabinie prysznicowej i udawać, że nie płaczę ze wstydu.

Zatrzymuję się na widok dziewczyny stojącej przed sanitariatem. Jej bezruch przyciąga moją uwagę. Bezruch i lśniąca w świetle księżyca biała sukienka.

Vivian.

Stoi w lesie, który zakrada się pod obóz, kilka metrów od linii, gdzie kończą się drzewa, a zaczyna trawa. Nic nie mówi. Tylko patrzy.

Nie dziwi mnie jej widok. Nie po dniu takim jak ten. Prawdę mówiąc, spodziewałam się jej. Nie sięgam nawet do bransoletki, której i tak przecież nie mam.

To spotkanie było nieuchronne.

Zamiast mówić, Vivian odwraca się i wchodzi głębiej w las. Rąbek jej białej sukienki ciągnie się po ziemi.

Ja również zaczynam iść. Nie oddalam się od lasu, lecz idę ku niemu, przyciągana przez Vivian wbrew swojej woli. Przechodzę przez próg oddzielający obóz od lasu. To punkt, z którego nie ma odwrotu. Pod moimi stopami szeleszczą liście i łamią się patyki. Gałązka pobliskiego drzewa, cienka i wykrzywiona jak palec wiedźmy, boleśnie czepia się moich włosów. Idę jednak dalej, powtarzając sobie, że tak właśnie trzeba. Że to zupełnie normalne.

– Ja nie wariuję – szepczę. – Nie wariuję.

Ależ tak.

Oczywiście, że wariuję.

35

Idę za Vivian do ogrodu rzeźb, gdzie siada na tym samym krześle, na którym kilka dni temu siedziała Franny. Stojące wokół figury patrzą na nas niewidzącym wzrokiem.

– Kopę lat, Em – rzuca Vivian, kiedy ostrożnie przechodzę między dwoma posągami.

– Nie jesteś prawdziwa. Nie masz nade mną władzy.

Vivian odchyla się na krześle, zakłada nogę na nogę i składa dłonie na kolanie. To dziwnie wytworny gest, zupełnie do niej niepodobny.

– Więc czemu tu jesteś? Nie prosiłam cię, żebyś za mną szła. Łazisz za mną jak zagubiony szczeniak.

– Czemu wróciłaś? – pytam. – Całkiem dobrze radziłam sobie bez ciebie. Przez lata.

– Aha, masz na myśli to, że malowałaś nas, a później zamalowywałaś? To według ciebie jest „całkiem dobrze”? Jeśli tak, muszę cię zmartwić. To wcale nie jest dobrze. Szczerze? Jedno zniknięcie powinno ci wystarczyć. Ale nie, ty kazałaś nam znikać raz za razem.

– Już tego nie robię. Przestałam.

– Nie przestałaś, tylko zrobiłaś sobie przerwę – zauważa Vivian. – To co innego.

– To dlatego tu jesteś, tak? Bo przestałam cię malować.

Oto jak przez te wszystkie lata trzymałam ją na dystans. Malując ją. Zamalowując. Robiąc to raz, drugi. I następny. Teraz, kiedy przysięgłam sobie, że więcej tego nie zrobię, wróciła i domaga się mojej uwagi.

– To nie ma ze mną nic wspólnego – mówi Vivian. – Chodzi wyłącznie o ciebie, skarbie.

– Więc dlaczego widzę ciebie, a nie...

– Natalie i Allison? – Chichocze znacząco. – Daj spokój, Em. Obie wiemy, że tak naprawdę masz je gdzieś.

– Wcale nie.

– Ledwie je znałaś.

Vivian wstaje i przez ułamek sekundy myślę, że wyciągnie rękę i mnie pochwyci. Zamiast tego zaczyna przechadzać się między posągami i pieści je niczym kochanków. Wodzi palcami po kamiennych ramionach, muska szyje.

– Znałam je tak dobrze jak ciebie – mówię.

– Czyżby? Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z którąś z nich? Na osobności?

Tak. Wiem, że rozmawiałam. Ale kiedy szukam w pamięci, niczego takiego nie mogę sobie przypomnieć.

– Teraz, kiedy o tym myślę, nie jestem nawet pewna, czy rozmawiałaś z nimi, kiedy mnie nie było w pobliżu – ciągnie Vivian. – Przynajmniej o czymś innym niż o mnie.

Ma rację. To prawda.

– To nie moja wina – bronię się. – Zadbałaś, żeby tak było.

Vivian zawsze była obecna. Rządziła chatką tak, jak królowa rządzi ulem. My byłyśmy tylko trutniami, krążyłyśmy wokół niej, spełniałyśmy jej zachcianki i kaprysy.

– Dlatego ich nie widzisz – wyjaśnia. – Jestem zagadką, którą wciąż pragniesz rozwikłać.

– A jeśli rozwikłam, odejdziesz?

Vivian zatrzymuje się przy posągu kobiety odzianej w togę i trzymającej na ramieniu dzban.

– To zależy. A chcesz, żebym odeszła?

„Tak. I mam nadzieję, że nigdy nie wrócisz”.

Nie mówię tego głośno. Nie mogę. Nie tak. Wypowiadam te słowa w myślach. Szeptem, który unosi się nad polaną niczym pasma mgły. Ale Vivian go słyszy. Wiem to, bo jej usta wykrzywiają się w okrutnym rozbawieniu.

– Już to kiedyś słyszałam – zauważa Vivian. – Wygląda na to, że twoje życzenie się spełniło, co?

Mam ochotę uciec, lecz poczucie winy nie pozwala mi się ruszyć. Jest obezwładniające. Porażające. Zdążyłam się już do niego przyzwyczaić. Czuję je z przerwami od piętnastu lat.

– Przepraszam, że to powiedziałam.

Vivian wzrusza ramionami.

– Jasne. Jak sobie chcesz. To i tak niczego nie zmienia.

– Chcę wszystko naprawić.

– Ależ tak, wiem. Dlatego tu wróciłaś, prawda? Próbujesz dowiedzieć się, co się stało. Węszysz zupełnie jak ja kiedyś. I zobacz, co spotkało twoje nowe przyjaciółki.

Zaskakują mnie jej słowa. Przez chwilę zastanawiam się, skąd o nich wie. I nagle już wiem.

Ona nie jest prawdziwa.

Nie ma nade mną żadnej władzy.

Jestem silniejsza, niż mogłoby się wydawać.

Na tyle silna, żeby zrozumieć, że Vivian nie jest duchem, który mnie nawiedza. Nie jest też halucynacją. Jest mną. Fragmentem mojego biednego mózgu, próbującego dowiedzieć się, co się dzieje. Dlatego patrzę na nią i mówię:

– Wiesz, gdzie one są, prawda? Wiesz, gdzie mogę je znaleźć.

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem prawdziwa – mówi Vivian. – To twoje motto, prawda? Nie mam nad tobą żadnej władzy.

– Po prostu mi powiedz.

Vivian podchodzi do kolejnego posągu i obejmuje go od tyłu, opierając brodę na delikatnym kamiennym ramieniu.

– Zagrajmy w grę, Emmo. Dwie prawdy i kłamstwo. Jeden: wszystko, co musisz wiedzieć, jest w twoim posiadaniu.

– Po prostu powiedz mi, gdzie one są.

Opiera się o drugie ramię posągu i przechyla głowę z fałszywą skromnością.

– Dwa: nie chodzi o to, gdzie są one, ale gdzie jesteśmy my. To znaczy ja, Natalie i Allison.

– Proszę, Vivian.

– Trzy – ciągnie Vivian. – Jeśli chodzi o to, gdzie jesteśmy, nie mogę ci powiedzieć. Ale mogę zdradzić, że jeśli nas znajdziesz, może, ale tylko może, odejdę i nigdy więcej nie wrócę.

Chowa się za statuą, podczas gdy ja czekam po drugiej stronie, aż znów się pojawi. Mija minuta, a jej wciąż nie ma, robię więc kilka kroków w stronę posągu.

– Vivian? – mówię. – Viv?

Nie odpowiada i nic nie wskazuje na to, że nadal tu jest.

Podchodzę bliżej, z każdym krokiem nabierając prędkości. Docieram do posągu i zaglądam za marmurowe ramię.

Nikogo tam nie ma.

Vivian zniknęła.

Wciąż jednak pamiętam jej ostatnie słowa, które unoszą się nad polaną niczym światło księżyca. Te trzy stwierdzenia. Dwie prawdy i jedno kłamstwo.

Nie wiem, co sądzić o dwóch pierwszych. Jak większość z tego, co mówiła Vivian, kiedy jeszcze żyła, trudno odróżnić prawdę od kłamstwa.

Co do trzeciego stwierdzenia, mam nadzieję, że nie jest ono kłamstwem.

Chcę, żeby było prawdą.

Każde słowo.

36

Wracam do Derenia tą samą drogą – idąc zygzakiem między domkami, tak by nikt mnie nie zauważył. Wygląda na to, że załoga helikoptera przerwała na noc poszukiwania. Podobnie jak łodzie. Kiedy spoglądam na jezioro, nie zauważam żadnej aktywności. Przypomina puste, czarne zwierciadło, w którym odbija się światło gwiazd. Inaczej jest z kamerą. Wiem, że czujna tkwi na swoim miejscu, dlatego zakradam się od tyłu do chatki i wślizguję się do środka przez otwarte okno.

Pochrapywanie Mindy podpowiada mi, że narzeczona Cheta wciąż śpi. To dobrze. Nie będę musiała tłumaczyć się z tego, gdzie byłam i co zamierzam.

A zamierzam znaleźć dziewczynki.

Całą szóstkę.

Słowa Vivian – moje słowa – dźwięczą mi w uszach, kiedy schodzę z szafki nocnej na podłogę.

Nie chodzi o to, gdzie są one, ale gdzie jesteśmy my.

Coś, co powiedziała Miranda, nie daje mi spokoju. Słyszałam te słowa, kiedy zasypiałam.

Martwię się o Emmę.

Ta troska mogła skłonić ją do działania. Bezczelną, pewną siebie Mirandę. Miłośniczkę kryminałów i przyszłą panią detektyw, która – podobnie jak Vivian – powiodła swoje koleżanki do lasu w poszukiwaniu odpowiedzi.

Jest jeszcze to, co powiedziała Vivian, że być może w końcu się jej pozbędę, jeśli dowiem się, co się z nimi stało. Może ma rację. Może jedynym sposobem, żeby uwolnić się od poczucia winy, jest odkrycie prawdy.

Mam nadzieję, że nigdy nie wrócicie.

Chryste, nienawidzę siebie za to, że to powiedziałam, ale przecież nie mogłam wiedzieć, że tak się stanie. Natalie i Allison były już za drzwiami, kiedy te słowa padły z moich ust. Pod tym względem Vivian miała rację – tak naprawdę prawie wcale z nimi nie rozmawiałam. To jeszcze jedna rzecz, której żałuję. Powinnam poświęcać im więcej uwagi. Powinnam była traktować je jak oddzielne jednostki, nie jak część świty Vivian. Mimo wszystko jestem wdzięczna, że nie słyszały tego, co jej powiedziałam. Że nie pożegnałam się w ten sposób z całą trójką.

Idę na palcach w drugi koniec domku, unikając skrzypiącej deski. Dobrze pamiętam coś jeszcze, co powiedziała mi Vivian.

Wszystko, co musisz wiedzieć, jest w twoim posiadaniu.

Wiem, co miała na myśli.

Mapę.

Dlatego wróciły do domku po tym, jak zamknęłam drzwi od wewnątrz. Vivian potrzebowała swojej mapy, żeby odnaleźć miejsce, gdzie ukryła pamiętnik. Nadal uważała, że za utworzeniem jeziora i końcem Peaceful Valley kryje się jakaś mroczna historia. Podejrzewam, że chciała obnażyć to, czego dowiedziała się o Franny i rodzinie Harrisów.

Ostrożnie otwieram swój kufer i wyciągam latarkę. Zaraz potem sięgam głębiej i po omacku szukam mapy.

Nie ma jej.

Dziewczynki musiały ją zabrać, co jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że poszły odszukać swoje poprzedniczki.

Dodaje mi to nadziei. Że mam rację. I że nie jest jeszcze za późno.

Przy wtórze chrapania Mindy kolejny raz wychodzę przez okno, a zaraz potem biegnę między drzewami na skraj jeziora. Nad wodą skręcam w lewo i spieszę wzdłuż brzegu do pomostu i stojaków z kajakami. Na trawiastym wzniesieniu stoi Dom – ciężki i ciemny. Tylko w jednym oknie pali się światło. Na drugim piętrze z widokiem na jezioro.

Pięć minut później wypływam kajakiem na jezioro. Wiosłuję silnymi, szybkimi ruchami z nadzieją, że helikopter i łodzie nie wrócą, zanim nie dotrę na drugą stronę. Telefon otwarty na aplikacji „kompas” leży na moich kolanach. Zerkam na niego co kilka sekund, żeby mieć pewność, że płynę w linii prostej.

Wiem, że jestem blisko brzegu, kiedy słyszę upiorne drapanie o dno łódki. To gałęzie podwodnych drzew przypominają o swojej obecności. Włączam latarkę i widzę wyrastające z jeziora dziesiątki martwych drzew. W świetle latarki wydają się szare niczym kości.

Wkładam latarkę między szyję a ramię i trzymam ją, przechylając głowę. Chwilę później zaczynam wiosłować, od czasu do czasu odpychając się wiosłem od zatopionego lasu albo – jeśli kolizja jest nieunikniona – minimalizując siłę uderzenia. Wkrótce drzewa zostają w tyle i jestem bliżej brzegu. Światło latarki prześlizguje się po rosnących na drugim krańcu jeziora wysokich sosnach. Dwie sarny stojące nad wodą zamierają, a zaraz potem umykają w las. W blasku latarki wirują szare drobinki. To insekty garnące się do światła.

Odbijam w lewo i płynę równolegle do brzegu, ze snopem światła skierowanym na ląd po mojej prawej ręce. Widzę kolejne drzewa, jeszcze więcej insektów i rozmazaną biel skrzydeł sowy. W końcu latarka oświetla gnijącą, drewnianą konstrukcję.

Altanę.

Płynę do brzegu i wyskakuję z kajaka, zanim osiądzie na mieliźnie. Chowam telefon do kieszeni i kieruję światło latarki w stronę drzew. Oddycham głęboko, próbując zebrać myśli i przypomnieć sobie wcześniejszą wyprawę i to, jak dotarłyśmy stąd do miejsca oznaczonego X, w którym Vivian ukryła swój pamiętnik. Nie pamiętam, jak daleko zapuściłyśmy się w las ani jak dokładnie znalazłyśmy drogę.

Świecę latarką po ziemi, szukając jakichkolwiek śladów, które mogły zostawić dziewczynki, ale widzę tylko ubitą ziemię, opadłe liście i połamane igły sosen. I nagle dostrzegam coś, co w świetle latarki zdaje się emanować przygaszonym białym blaskiem. Podchodzę bliżej i widzę plamę koloru – jaskrawej żółci, błękitu i czerwieni.

To strona z komiksu. Oto Kapitan Ameryka z całym jego patriotycznym heroizmem. Kartkę przyciśnięto niewielkim kamykiem, który trzyma ją w miejscu.

Dziewczynki tu były.

Niedawno.

Kartka nie znalazła się tu przypadkiem. To ich okruchy chleba znaczące drogę powrotną do jeziora i kajaka.

Przechodzę nad kartką, zaciskam palce na latarce i jak dziewczyny przede mną znikam w lesie.

37

Las nocą nie jest cichy. Wręcz przeciwnie. W miarę jak zapuszczam się coraz głębiej, wciąż przybywa rozmaitych dźwięków. Cykanie świerszczy i kumkanie żab rywalizuje z pokrzykiwaniami nocnych ptaków, kryjących się wśród sosen. Obawiam się, że w całym tym zgiełku nie usłyszę innych odgłosów. Kroków. Trzasku złamanej gałązki sygnalizującego, że ktoś jest blisko. Chociaż nie mam powodu przypuszczać, że ktoś mnie śledzi, nie mogę tego wykluczyć. Zbyt często mnie obserwowano, bym teraz mogła stracić czujność.

Światłem latarki oświetlam sobie drogę. Wodzę nim na prawo i lewo, wypatrując kolejnej kartki wydartej z komiksu Krystal. Dostrzegam ją w miejscu, gdzie teren zaczyna się wznosić. Tą także przyciśnięto kamykiem. Podobnie jak następną, którą znajduję pięćdziesiąt metrów dalej.

Idąc pod górę, znajduję pięć kolejnych kartek. Kapitan Ameryka prowadzi mnie coraz wyżej i wyżej. Następna kartka czeka na mnie na szczycie podejścia, tam gdzie teren się wyrównuje. Przedstawia Kapitana Amerykę, który uniesioną tarczą odbija pociski. W chmurce nad jego głową widnieją słowa: „Nie poddam się”.

Zatrzymuję się na tyle długo, by poświecić latarką dookoła i przyjrzeć się otoczeniu. Promień oświetla brzozy i sprawia, że emanują białym blaskiem. Nad moją głową migocą ławice gwiazd. Jestem na szczycie wzniesienia, kilkanaście metrów od klifu, który opada w stronę jeziora.

Skręcam w lewo i podchodzę do rzędu głazów, za którymi teren znów wznosi się gwałtownie.

Tam również leżą kartki z komiksu, rozłożone na kamieniach i przyciśnięte mniejszymi kamykami. Lawiruję wśród głazów, aż docieram do ogromnej skały. Monolitu. Świecę latarką w górę wzniesienia i przyglądam się ścieżce.

Nie widzę ani dziewczyn, ani kartek z przygodami Kapitana Ameryki. Tylko kamienie, drzewa i usłane liśćmi wzgórze.

Las wokół mnie tętni życiem. Zamykam oczy, próbując ignorować odgłosy przyrody, i wytężam słuch.

Wtedy coś słyszę – głuchy dźwięk, rozbrzmiewający raz i drugi.

– Dziewczynki? – krzyczę, a mój głos wraca do mnie echem. – To wy?

Zgiełk lasu cichnie. Z wyjątkiem tupotu spłoszonego zwierzęcia, które umyka gdzieś po mojej lewej ręce. W tej błogosławionej chwili ciszy słyszę stłumioną odpowiedź:

– Emma?

To Miranda. Jestem tego pewna. Musi być gdzieś blisko. Tak cudownie zwodniczo blisko.

– To ja – odpowiadam. – Gdzie jesteście?

– W domku hobbita.

– Jesteśmy uwięzione – odzywa się ktoś inny. To chyba Krystal.

– Pospiesz się – rzuca rozpaczliwie Miranda.

Z latarką w dłoni biegnę przed siebie. Przeskakuję nad korzeniami. Omijam głazy. W pośpiechu potykam się o złamaną gałąź i upadam na czworaki. Nie podnosząc się, pełznę pod górę, wbijam palce w ziemię i szukam oparcia dla stóp.

Nie zwalniam, nawet gdy moim oczom ukazuje się popadający w ruinę kamienny budynek. Zamiast tego podnoszę się i biegnę w kierunku piwniczki do przechowywania zbiorów. Ktoś zaryglował drzwi od zewnątrz, więżąc dziewczynki w środku. Jakby tego było mało, przed drzwiami leży sięgający mi do kolan kamień.

Ze środka dobiega głuche dudnienie. Drzwi drżą.

– Jesteś tam? – krzyczy Miranda. – Musimy stąd spieprzać!

– Chwileczkę.

Na potwierdzenie walę w drzwi i próbuję dźwignąć rygiel. W końcu ciężka sztaba spada, dzięki czemu Miranda jest w stanie uchylić drzwi. Blokuje je jednak ustawiony przed nimi głaz. Z wnętrza piwniczki dolatuje gęsty, mdlący smród. Woń mokrej ziemi, potu i moczu, od której robi mi się niedobrze. Miranda przyciska twarz do szpary w drzwiach. Widzę nabiegłe krwią oko, zaczerwieniony płatek nosa i rozchylone usta, gwałtownie zaczerpujące powietrza.

– Pomóż nam – jęczy i kolejny raz rozpaczliwie szarpie drzwiami. – Czemu ich nie otworzysz?

– Są dalej zablokowane – mówię. – Próbuję je otworzyć. Co z Sashą i Krystal?

– Kiepsko. Wszystkie jesteśmy w kiepskim stanie. Proszę, wypuść nas.

– Jeszcze chwila. Obiecuję.

Kucam, opieram dłonie na głazie i napieram na niego z całej siły. Jest tak ciężki, że ledwie drgnie. Próbuję jeszcze raz. Tym razem zaciskam zęby i stękam z wysiłku. Głaz ani drgnie.

W świetle latarki próbuję znaleźć cokolwiek, co mogłoby mi pomóc. Chwytam okrągły kamień, który odłupał się od niszczejącej ściany. Zaraz potem dostrzegam leżącą na ziemi długą, grubą gałąź. Wygląda na tyle

solidnie, bym mogła użyć jej jako dźwigni. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wsuwam jeden koniec gałęzi pod głaz, nieco dalej wciskam pod nią kamień, po czym chwytam za drugi koniec drąga i napieram na niego z całych sił. Udaje się i głaz odtacza się odrobinę. Puszczam gałąź, podbiegam do kamienia i odpycham go, dzięki czemu nie blokuje już drzwi.

– Gotowe! – wołam.

Drzwi otwierają się gwałtownie i dziewczynki wybiegają na zewnątrz. Spocone i brudne gwałtownie łapią powietrze, przeciągają się i oszołomione patrzą w niebo. Pozbawiona okularów Sasha mruży oczy. Jej skóra od spuchniętego, fioletowego nosa aż do szyi upstrzona jest drobnymi plamkami w kolorze rdzy. To zaschnięta krew.

– Naprawdę jest noc? – pyta z niedowierzaniem. Szok, głód i odwodnienie zrobiły swoje.

Zamiast ją jednak przytulić, wodzę dłońmi po jej ramionach, szukając jakichkolwiek obrażeń. Głupio mi, że nie wzięłam jedzenia. Ani wody. Ani nawet przeklętej apteczki. Mogę tylko rąbkiem własnej koszulki zetrzeć krew z twarzy Sashy.

– Jak długo tam byłyśmy? – odzywa się Miranda. Kładzie się na ziemi i oddycha z ulgą. – Telefon padł mi przed południem.

– Prawie cały dzień.

Na wieść o tym nogi uginają się pod Krystal. Zatacza się, a zaraz potem siada na ziemi obok Mirandy.

– Cholera – rzuca.

– Powiedzcie mi, co się stało – mówię. – Od momentu, kiedy wyszłyście z chatki.

– Przyszłyśmy tutaj szukać twoich koleżanek – tłumaczy Krystal. – To był pomysł Mirandy.

Miranda siada, zbyt zmęczona, żeby się wykłócać.

– Chciałam tylko pomóc – bąka. – Wczoraj w nocy byłaś taka smutna. Było widać, że chcesz wiedzieć, co się wydarzyło. A ponieważ tutaj znalazłaś ten pamiętnik, pomyślałam, że może natrafimy tu na więcej wskazówek.

– Czemu nic nie powiedziałyście?

– Bo wiedziałyśmy, że nie pozwolisz, żebyśmy przypłynęły tutaj same.

Kończę wycierać twarz Sashy. Zaschnięta krew pozostawia ciemnoczerwoną plamę na mojej koszulce.

– Przyszłyście tu i co?

– Ktoś nas napadł – mówi Miranda. W jej zmęczonym głosie pobrzmiewa strach. Łzy napływają jej do oczu.

– Kto?

– Nie zdążyłyśmy zobaczyć.

– Miranda i Krystal weszły do środka – dodaje Sasha, wskazując głową piwniczkę. – Ja nie chciałam, więc zostałam na zewnątrz. I wtedy ktoś się pojawił. Dosłownie znikąd.

Tłumi szloch, a zaraz potem słowa wylewają się z jej ust wartkim potokiem.

– Uderzył mnie, aż spadły mi okulary i nie widziałam, kto to, a potem wepchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi.

Ktoś szedł tutaj za nimi, zaatakował je i zamiast zabić, zamknął je w piwniczce. To nie ma sensu.

Chyba że ten, kto to zrobił, chciał, żeby żyły.

A to znaczy, że może w każdej chwili wrócić.

Ogarnia mnie strach. Wyciągam telefon z kieszeni, żeby sprawdzić, czy mogę zadzwonić na policję. Nie ma zasięgu. To tłumaczy, dlaczego Miranda nie mogła nigdzie zatelefonować po tym, jak je tu zamknięto.

– Musimy iść – mówię. – Natychmiast. Wiem, że jesteście zmęczone, ale myślicie, że dacie radę biec?

Miranda podnosi się z ziemi i spogląda na mnie z niepokojem.

– Czemu musimy biec?

– Bo nadal nie jesteście bezpieczne. Wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo.

Snop światła uderza mnie w twarz. Światło latarki. Na tyle mocne, żeby uciszyć mnie i oślepić. Osłaniam oczy ręką. Widzę sylwetkę. Wysoką. Męską.

Światło opada. Wzrok mam zamglony, oczy przyzwyczajają się do mroku. Kiedy odzyskuję ostrość widzenia, widzę Theo z latarką w dłoni.

– Emma? – pyta, robiąc krok w naszą stronę. – Co ty tu robisz?

38

Pojawienie się Theo jest niczym trzęsienie ziemi. Grunt pod moimi nogami zaczyna drżeć. Tylko że to ja drżę. Coś wstrząsa moim ciałem. Coś, czego nie jestem w stanie kontrolować.

Bo jego obecność nie może być przypadkowa.

Jest tu z jakiegoś powodu.

– Co się dzieje? – pyta.

– Chciałam zapytać cię o to samo – odpowiadam zduszonym głosem. – Ale chyba już wiem.

Wrócił po dziewczynki.

Zaatakował je, zamknął i czekał do nocy, żeby wrócić. Podejrzewam, że to samo przydarzyło się trzem innym dziewczynom piętnaście lat temu.

Moje oskarżenia, chociaż nieopatrzne, mogły być słuszne. Prawda przebrana za kłamstwo.

Nie chcę myśleć w ten sposób. Liczyłam, że ze wszystkich osób w Camp Nightingale on jeden jest niewinny. Ale podejrzenia nie mijają, podobnie jak drżenie w moim zmęczonym ciele.

Staję przed dziewczynkami, zasłaniając je przed Theo i tym, co może próbować zrobić. Owijam sznurek latarki wokół nadgarstka i mocniej ściskam ją w dłoni. Chociaż to żadna broń, w ostateczności będzie musiała mi wystarczyć. Jeśli zajdzie potrzeba. A rozpaczliwie mam nadzieję, że tak się nie stanie.

– Mirando – mówię, starając się zachować spokój – na brzegu jest kajak. W tym samym miejscu, co poprzednim razem. Weź Sashę i Krystal i biegnijcie tam najszybciej, jak zdołacie. Jeśli Sasha nie da rady, będziesz musiała ją nieść. Myślisz, że dasz radę?

– Czemu? – pyta Miranda. – Co się dzieje?

– Po prostu odpowiedz na moje pytanie. Tak czy nie?

– Tak. – Głos Mirandy podszyty jest strachem.

– Dobrze. Kiedy dotrzecie do łódki, płyńcie na drugi brzeg. Nie czekajcie na mnie. Ani chwili. Wiosłujcie ile sił i wracajcie do obozu.

Theo kolejny raz świeci mi w oczy latarką.

– Emmo, może powinnaś odsunąć się od tych dziewczyn. Zobaczę, czy nic im nie jest.

Ignoruję go.

– Rozumiesz, Mirando? – pytam.

– Tak – powtarza Miranda, tym razem bardziej zdecydowanie, i szykuje się do biegu.

– To dobrze. A teraz idźcie już. Szybko!

Ostatnie słowo i sposób, w jaki je wypowiadam, sprawia, że dziewczynki rzucają się do ucieczki. Miranda ciągnie za sobą Sashę. Biegnąca na końcu Krystal jest nieco wolniejsza, ale równie zdeterminowana.

Theo robi krok, żeby je zatrzymać, ale rzucam się ku niemu i unoszę latarkę gotowa w każdej chwili zadać cios. Widząc to, zamiera i upuszcza latarkę. Unosi ręce, dłonie ma otwarte. Trzymam latarkę nad głową. Muszę zatrzymać go na tyle długo, żeby dać dziewczynkom przewagę.

– Nie waż się biec za nimi – ostrzegam go.

– Emmo, nie wiem, co się dzieje.

– Przestań kłamać! – krzyczę. – Dobrze wiesz, co się dzieje. Co zamierzałeś z nimi zrobić?

– Ja? – Patrzy na mnie zdumiony. – Raczej co ty zamierzałaś z nimi zrobić? Przyszedłem tutaj za tobą, Em. Z okna Domu widziałem, jak wsiadasz do kajaka i płyniesz na drugi brzeg.

To kolejne kłamstwo. Nie może być inaczej.

– Jeśli myślałeś, że to ja, dlaczego nie powiedziałeś policji?

– Bo... – bąka Theo – ... chciałem się mylić.

Ja również. Wyrzuty sumienia, które czułam po tym, jak go oskarżyłam. Cały ten wstyd i skrucha. Wszystko na nic.

– Muszę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś – mówię. – Wtedy i teraz.

– Ja nie...

Zamachuję się latarką, na co Theo się wzdryga.

– Porozmawiajmy o tym – proponuje. – Ale bez latarki.

– Myślę, że leciałeś na Vivian – mówię. – Pragnąłeś jej, a ona cię odrzuciła. Wściekłeś się. I pozbyłeś się jej. Natalie i Allison też.

– Mylisz się, Emmo. We wszystkim.

Robi krok w moją stronę. Nie ruszam się i staram się nie okazywać lęku. Ale ręka mi drży, a światło latarki świeci w niebo.

– Ponieważ raz ci się upiekło, pomyślałeś, że możesz to powtórzyć. Tylko że tym razem chciałeś wrobić w to mnie. Moja bransoletka w kajaku miała posłużyć za dowód.

– Jesteś zdenerwowana, Emmo – mówi, ostrożnie dobierając słowa i uważając, żeby mnie nie obrazić. – Potrzebujesz pomocy. Może więc opuścisz latarkę i pójdziesz ze mną. Nie skrzywdzę cię. Obiecuję.

Robi kolejny krok w moją stronę, lecz tym razem cofam się.

– Mam dość twoich kłamstw – rzucam.

– Nie kłamię. Naprawdę chcę ci pomóc.

Znowu powtarzamy nasze kroki. On do przodu, a ja do tyłu.

– Mogłeś mi pomóc piętnaście lat temu i przyznać się, co zrobiłeś.

Gdyby wtedy to zrobił, może nie czułabym się taka winna.

Może nie widywałabym dziewczyn.

Może byłabym normalna.

– Zamiast tego przez piętnaście lat obwiniałam się o to, co się z nimi stało – ciągnę. – I wyrzucałam sobie, że cię skrzywdziłam.

Robi następny krok w moją stronę.

– Nie winię cię, Emmo – mówi. – To nie twoja wina. Jesteś chora.

I jeszcze jeden.

– Przestań to powtarzać!

– Ale to prawda, Em. Wiesz, że tak jest.

Zamiast kolejnego kroku, Theo robi dwa. Cofam się niezdarnie, a zaraz potem odwracam się i rzucam do ucieczki. Theo biegnie za mną i kilka sekund później dogania mnie. Chwyta mnie za ramię i obraca ku sobie. Mój krzyk niesie się echem po lesie, kiedy biorę zamach i latarką uderzam go w głowę.

Cios jest słaby, ale wystarcza, żeby mnie puścił.

Odpycham Theo, a gdy traci równowagę, zaczynam biec, tym razem w przeciwną stronę. Tam, skąd przyszłam. W kierunku jeziora.

– Emmo! – krzyczy za mną. – Nie!

Nie zatrzymuję się. Serce wali mi jak szalone. Krew dudni w uszach. Mam wrażenie, że zewsząd napierają na mnie drzewa i skały. Niektóre udaje mi się ominąć, na inne wpadam. Mimo to biegnę dalej. Nie zatrzymuję się. Nie mogę.

Bo Theo biegnie już za mną. Słyszę za sobą jego kroki. Jest coraz bliżej. Wkrótce mnie dogoni. Nie zdołam przed nim uciec.

Muszę się ukryć.

Nagle w mroku przede mną coś się wyłania.

Monolit.

Biegnę ku niemu i skręcam gwałtownie w prawo. Oświetlam latarką kamienną ścianę i widzę szczelinę, która otwiera się trzydzieści centymetrów nad ziemią.

To jaskinia, do której wczołgała się Miranda.

Upadam na czworaki i świecę latarką do środka. Widzę kamiennie ściany, ubitą ziemię i ciemną wnękę, biegnącą co najmniej kilka metrów w głąb ziemi. Podmuch chłodnego powietrza sprawia, że drżę mimowolnie.

Głos Theo rozbrzmiewa gdzieś blisko. Za blisko.

– Emmo? Wiem, że tu jesteś. Pokaż się.

Wyłączam latarkę, przypadam do ziemi i wczołguję się do jaskini. Przez chwilę boję się, że się nie zmieszczę, ale daję radę. Z ledwością. Nad głową mam jakieś piętnaście centymetrów przestrzeni i nieco mniej po bokach.

Niebo na zewnątrz rozjaśnia się. To latarka Theo, który dotarł do monolitu.

Wstrzymuję oddech i wsuwam się jeszcze głębiej w szczelinę. Ziemia jest tu nierówna, jakby lada chwila miała opaść w dół.

Plama światła rozkwita nieopodal wejścia do jaskini. Słyszę chrzęst kroków Theo i jego ciężki oddech.

– Emmo? – woła. – Jesteś tu?

Stoi teraz naprzeciw szczeliny. Widzę jego buty odwrócone do mnie tyłem.

Wciskam się głębiej i modlę się, żeby mnie nie usłyszał. Czuję wodę ściekającą ze ścian jaskini. Ziemia zmienia się w błoto, które mlaszcze mi pod palcami.

Mimowolnie ześlizguję się do tyłu. Wszystko przez błoto i nachylenie tunelu. Wbijam kolana i dłonie w rozmokłą ziemię z nadzieją, że zadziałają jak hamulce. Tymczasem ślizgam się jeszcze szybciej.

Wkrótce zjeżdżam w dół, ryjąc brodą w błocie. Kiedy włączam latarkę, której sznurek nadal jest okręcony wokół mojego nadgarstka, widzę tylko morze szarych ścian, brązowego błota i zdumiewająco długą drogę, którą właśnie przebyłam.

Zaraz potem ziemia usuwa mi się spod nóg i nagle jestem w powietrzu.

Spadam.

Bezradnie wymachuję rękami.

Moje krzyki odbijają się echem od kamiennych ścian jaskini i spadają w nicość.

39

Woda łagodzi mój upadek.

Zaskoczona wpadam w nią. Wypełnia mi usta, których nie zdążyłam zamknąć, podczas gdy ja, koziołkując, spadam coraz głębiej i głębiej. Światło latarki tnie głębię, odsłaniając błoto, algi i czmychające w popłochu ryby.

W końcu łagodnie odbijam się od dna, choć obawiałam się, że roztrzaskam się o kamienie. Mimo wszystko jestem przerażona. Odpycham się, woda łaskocze mnie w gardle. Krztuszę się, a z moich ust wypływają na boki pęcherzyki powietrza. Chwilę później wynurzam się na powierzchnię. Strużki wody ściekają mi z nosa. Odkasłuję kilka razy i nabieram tchu. Powoli, głęboko oddycham wilgotnym, podziemnym powietrzem.

Z latarką, którą jakimś cudem nadal ściskam w dłoni, pływam w miejscu i rozglądam się dookoła. Jestem w jaskini zbliżonej wielkością do stołówki w Camp Nightingale. Snop światła omiata czarną wodę, wilgotne skały i pas ziemi otaczający sadzawkę w kształcie półkola. Sadzawka zajmuje połowę jaskini i jest nie większa od basenu za Domem. W świetle latarki widzę w górze skalistą kopułę i zwisające z niej stalaktyty. Kształt jaskini przywodzi na myśl żołądek. Zupełnie jakby połknęła mnie jakaś wielka bestia.

W kącie, gdzie kamienna ściana łączy się ze sklepieniem, zieje ciemna pustka. To dziura, przez którą tu wpadłam. Świecę latarką w górę i w dół,

próbując ocenić wysokość. Wygląda na to, że spadłam z mniej więcej trzech metrów.

Płynę w stronę pasa ziemi, który częściowo otacza sadzawkę. Ziemia jest tu upstrzona kamykami, które wydają się blade w świetle latarki. Wyczołguję się na brzeg, obolała i wycieńczona.

Sięgam do kieszeni, szukając telefonu. Nadal tam jest. Co więcej, wciąż działa. Dzięki Ci, Boże, za wodoszczelne etui.

Nie ma jednak zasięgu. Raczej nie spodziewałam się go tak głęboko pod ziemią. Mimo wszystko dzwonię na numer alarmowy, licząc, że jakimś cudem się połączę. Nic z tego. Wcale mnie to nie dziwi.

Pamiętam, co detektyw Flynn mówił o namierzaniu kogoś po sygnale GPS w telefonie, i zastanawiam się, czy dotyczy to także osób znajdujących się pod ziemią. Wątpię. A nawet jeśli tak, to odnalezienie mnie może potrwać kilka godzin albo nawet kilka dni.

Jeśli chcę się stąd wydostać, muszę to zrobić sama.

Kieruję światło latarki na ścianę jaskini prowadzącą do wyjścia. Jest stroma. Może nie wznosi się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, ale niewiele jej brakuje. Pewnie trzeba będzie ją sforsować, najpierw jednak rozglądam się po grocie, szukając innego wyjścia. Oświetlam każdy zakamarek i każdą szczelinę, lecz widzę wyłącznie wodę, skały i ślepe zaułki.

Nie mam wyjścia – muszę wspiąć się na górę.

Zrozpaczona biegnę ku ścianie. Nie zatrzymuję się, żeby poszukać oparcia dla rąk i nóg. Zamiast tego rzucam się na skałę i chwytam się przypadkowych wypustek. Niecały metr nad ziemią tracę przyczepność i spadam na ziemię.

Próbuję znowu. Tym razem udaje mi się pokonać ponad metr, ale znowu ląduję na ziemi. Upadam na kość ogonową, a potworny ból pleców

paraliżuje mnie na chwilę.

Mimo to niedługo potem podejmuję trzecią próbę. Zwalniam nieco i staram się znaleźć oparcie dla rąk i nóg. Udaje się. Wspinam się coraz wyżej. Na dwa metry. Dwa i pół.

Niespełna pół metra od tunelu uświadamiam sobie, że nie mam się czego chwycić. Wyciągam prawą rękę, ale skała pod palcami jest zimna i śliska. Lewa ręka, która utrzymuje ciężar mojego ciała, boli nieznośnie.

Zaczynam się ześlizgiwać.

Przez sekundę wiszę na ścianie jaskini, a zaraz potem odrywam się od niej i spadam. Prawa stopa wygina się pod nienaturalnym kątem i wydaje mi się, że słyszę trzask. A może tylko mi się zdaje, gdy bezładnie ląduję na ziemi.

Krzyczę z nadzieją, że to uśmierzy ból. Ale tak się nie dzieje. Krzyk nie ustaje. Podobnie jak ból. Patrzę na swoją kostkę i dziwnie wykrzywioną stopę. Koniec ze wspinaczką na dziś.

To mi coś uświadamia.

Nie wydostanę się stąd.

Nikt nie wie, gdzie jestem.

Zaginęłam podobnie jak Vivian, Natalie i Allison.

40

Tuż po czwartej rano pada mi latarka. Wiem, która jest godzina, bo zaraz po tym, jak gaśnie światło, sprawdzam telefon. Żałuję, że to zrobiłam, chociaż niebieskawobiały blask ekranu dodaje mi nieco otuchy. Czas zdaje się wlec w ślimaczym tempie. Zupełnie jakby tu, pod ziemią minuty ciągnęły się w nieskończoność, a każda godzina trwała tyle co trzy tam, na górze.

Chcąc oszczędzać baterię, wyłączam telefon, chowam go do kieszeni i pogrążam się w ciemnościach tak gęstych, że niemal namacalnych. Nie ma tu nic poza czarną pustką.

Kiedy uświadamiam sobie, jak bardzo jest tu zimno, zaczynam drżeć. Sadzawka lodowatej wody nie poprawia mojej sytuacji. Podobnie jak mokre ubrania, które lepią się do ciała. Trzęsę się cała i szczękam zębami.

Mimo to przysypiam przytulona do ściany jaskini z kolanami podciągniętymi pod brodę. Każde mrugnięcie kończy się tym, że zasypiam, a zaraz potem budzę się z krzykiem, gdy kolejny spazm bólu przeszywa moje ciało.

Jestem wycieńczona. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałam. Chyba dziś rano, zanim obudziłam się w Dereniu. Włączam telefon i znów sprawdzam godzinę.

Czwarta trzydzieści.

Kurwa.

Nie mam też zasięgu.

Kurwa. Kurwa.

Wyłączam telefon i na głos odliczam mijające sekundy.

– Raz. Dwa. Trzy.

Kiedy zamykam oczy, nie mogę ich otworzyć.

– Cztery. Pięć. Sześć.

Nagle jestem zbyt zmęczona, żeby mówić. Ale liczę dalej, tym razem w myślach.

„Siedem. Osiem. Dziewięć”.

Zasypiam. Nie mam pojęcia, na jak długo. Kiedy się budzę, czuję przeszywający ból, a z moich spierzchniętych ust dobywa się głos:

– Dziesięć.

Otwieram oczy i zatrzymuję zamglony wzrok na Vivian, która leży przede mną na podłodze jaskini, z głową wspartą na ugiętej ręce. Właśnie tak lubiła grać w dwie prawdy i kłamstwo. Twierdziła, że gdy jest w tej swobodnej pozycji, trudniej zgadnąć, kiedy kłamie.

– Obudziłaś się – rzuca. – W końcu.

– Jak długo spałam? – pytam. Nawet nie próbuję siłą woli zmusić jej, żeby zniknęła.

– Mniej więcej godzinę.

– Byłaś tu przez cały ten czas?

– Pojawiałam się i znikałam. Chyba myślałaś, że się mnie pozbyłaś.

– Chciałabym.

Nie ma sensu jej okłamywać. I tak nie jest prawdziwa.

– Cóż, nie wyszło. – Vivian rozkłada ręce, udając, że jest zachwycona. – Niespodzianka!

– Najwyraźniej cię to bawi – mruczę. Siadam i kręcę głową, aż chrupie mi w szyi. – Teraz ja również zaginęłam.

– Myślisz, że umrzesz tu na dole?

– Niewykluczone.

– To kiepsko – wzdycha. – Chociaż wtedy byłybyśmy kwita.

– Chciałam, żebyście wróciły – mówię. – Wcale tak nie myślałam. Przepraszam. Przepraszam za to, że zamknęłam drzwi domku. To było paskudne i każdego dnia żałuję, że to zrobiłam. To wszystko prawda.

– Ja pewnie zrobiłabym to samo – przyznaje Vivian. – Dlatego cię lubiłam, Em. Kiedy było trzeba, obie byłyśmy sukami.

– To znaczy, że gdybyś nie znikła, nadal byłybyśmy przyjaciółkami?

Vivian nawija na palec kosmyk włosów i zastanawia się.

– Może. Byłoby mnóstwo dramatów. Doprowadzałybyśmy się nawzajem do szału. Ale byłyby i dobre chwile. Byłabyś druhną na moim ślubie. Upijałabyś się ze mną po rozwodzie, do którego na pewno by doszło.

Uśmiecha się do mnie tym swoim uroczym uśmiechem. Uśmiechem Vivian – starszej siostry. Tęsknię za tamtą Vivian. Opłakuję ją.

– Viv, co stało się z wami tamtej nocy? Czy to był Theo?

– Nie wierzę, że jeszcze tego nie rozgryzłaś. Zostawiłam ci tyle wskazówek, Em.

– Czemu po prostu mi tego nie powiesz?

– Bo to coś, do czego musisz dojść sama – odpowiada Vivian. – Twój problem polega na tym, że zaślepia cię przeszłość. Wszystko, co musisz wiedzieć, jest tuż przed twoimi oczami. Wystarczy, że spojrzysz.

Wskazuje w drugi koniec jaskini, gdzie smuga światła niczym wąż pełznie wzdłuż skalnej ściany. Otacza ją kilka innych, które unoszą się i opadają jak fale, upodabniając kamienne sklepienie do dyskoteki.

I nagle już wiem. Widzę.

Ciemność znika zastąpiona ciepłym światłem, które emanuje na całą jaskinię. To niewiarygodne, ale jego źródłem jest sadzawka na środku jaskini. To zabarwiona na różowo złocista poświata, która sprawia, że woda lśni jak hotelowy basen. Sprawdzam telefon i widzę, że jest szósta rano. Wschód słońca.

Pojawienie się światła oznacza tylko jedno – istnieje inna droga wyjścia z jaskini.

– Myślę, że wiem, jak się stąd wydostać, Vivian!

Ale jej już nie ma. I tak naprawdę nigdy jej tu nie było. Jednak tym razem nie mam wrażenia, że w każdej chwili mogłaby wrócić.

Być może odeszła na zawsze.

Dźwigam się z ziemi i utykając, podchodzę na skraj sadzawki. Po mojej prawej stronie światło wydaje się najjaśniejsze. Jego niczym niezmącony blask zdradza, że gdzieś tam istnieje prosta droga wiodąca na zewnątrz. Prawdopodobnie podwodny tunel łączący jaskinię z jeziorem.

Ześlizguję się do sadzawki i staję twarzą do światła. Widzę w wodzie lśniące koło, mniej więcej tak duże, jak to, przez które tu wpadłam. Jeśli na całej długości tunel jest równie szeroki, być może uda mi się wypłynąć z jaskini.

Robię kilka okrążeń wokół podziemnego jeziorka, żeby rozgrzać mięśnie i sprawdzić skręconą kostkę. Boli i jest opuchnięta, przez co ogranicza moje ruchy. Będę musiała jakoś to znieść. Nie mam wyboru.

Nieco rozgrzana ustawiam się naprzeciw podwodnego tunelu. Znowu zaczynam się trząść, tym razem nie z zimna, lecz ze zdenerwowania. Boję się jak diabli i chciałabym, żeby istniało stąd inne wyjście. Ale nie istnieje. To jedyna droga.

Nabieram powietrza, zanurzam się w wodzie, wbijam wzrok w złocistoróżowe światło i zaczynam płynąć w jego stronę.

41

Płynąć.

To wszystko, co muszę robić.

Płynąć i starać się nie myśleć o tym, że tak bardzo boli mnie kostka.

Albo że tunel w każdej chwili może stać się dla mnie zbyt wąski.

Albo że nie pokonałam nawet jednej czwartej drogi.

Jedyne, co muszę zrobić, to płynąć. Ze wszystkich sił i najszybciej, jak się da. W stronę światła, jak ta mała dziewczynka w filmie, przez który w wieku dziewięciu lat miałam koszmary.

Płynąć.

Nie myśleć o tamtym filmie, przerażającym klaunie i śnieżącym telewizorze ani o tym, że mulista woda jeziora przesłania mi widok i piecze w oczy.

Tylko płynąć.

Nie myśleć o tym, że tunel nagle robi się węższy, że moje ramiona ocierają się o skały i zdrapują z nich algi, przez co widzę jeszcze mniej.

Po prostu płynąć.

Nie myśleć o algach ani zwężającym się tunelu, ani o tym, że z każdym ruchem nóg moja stopa eksploduje bólem, ani o ciśnieniu w piersi rosnącym jak balon, który lada chwila pęknie.

Płynę prosto w stronę światła, oślepiona nim. Jego moc sprawia, że zaciskam powieki. Moje płuca krzyczą. Stopa pulsuje bólem. Jeszcze

chwila i sama zacznę krzyczeć. I nagle tunel kończy się, opada z moich ramion, jak rozpięta sukienka. Otwieram oczy i wszędzie widzę wodę. Nie ma jaskini. Ani kamiennych ścian. Tylko błogosławiony przestwór wody skąpany w blasku świtu.

Wypływam na powierzchnię i oddycham głęboko, aż ból w płucach ustaje. Kostka nadal mnie boli. Podobnie jak ramiona. Mimo to mam dość sił, żeby utrzymać się na powierzchni z głową nad wodą. Może nawet po krótkim odpoczynku uda mi się dopłynąć z powrotem do obozu.

Mam nadzieję, że nie będę musiała. Mam nadzieję, że mnie szukają.

Chwilę potem rzeczywiście słyszę w oddali warkot motorówki. Obracam się i widzę ją – to biały skif, jeden z dwóch zwykle przycumowanych do nabrzeża. Przy silniku przyczepnym siedzi Chet i to on steruje łodzią.

Podnoszę rękę, macham do niego i chociaż brakuje mi tchu, krzyczę:

– Chet!

Dostrzega mnie, a jego twarz rozjaśnia się na mój widok. Wyłącza silnik, chwyta drewniane wiosło i płynie w moją stronę.

– Emma? Mój Boże, wszędzie cię szukamy.

Płyniemy ku sobie, a gdy się spotykamy, chwytam się burty motorówki. Chet wciąga mnie na pokład, gdzie leżę, dysząc, zbyt zmęczona, żeby się poruszyć.

– Znaleźliście dziewczynki? – pytam między kolejnymi oddechami.

– Wczesnym rankiem. Są odwodnione, głodne i w szoku, ale nic im nie będzie. Podobno Theo ma zawieźć je do szpitala.

Siadam przestraszona.

– Theo wrócił do obozu?

– Tak – potwierdza Chet. – Powiedział, że znalazł cię z dziewczynkami, że zaatakowałaś go, a potem uciekłaś do lasu.

– Kłamie.

– To szaleństwo, Emmo. Wiesz przecież, prawda?

Ale ja nie przestaję mówić.

– To on skrzywdził te dziewczyny, Chet. Nie można go z nimi zostawić. Musimy wezwać policję.

Sięgam po telefon, który o dziwo wciąż mam w kieszeni i który wciąż działa. Nawet bateria jeszcze nie padła. Zaczynam wybierać numer, gdy nagle jakiś cień pada na ekran.

To odbicie Cheta, zniekształcone, jakby przeglądał się w krzywym zwierciadle.

W dłoni trzyma wiosło. Widzę je – rozmazaną smugę drewna, która chwilę później trafia mnie w tył głowy.

Na moment wszystko zamiera. Moje serce. Mój mózg. Moje płuca, uszy i oczy. Jak gdyby moje ciało potrzebowało czasu na decyzję, jak zareagować.

W tej krótkiej chwili zakładam, że tak właśnie wygląda śmierć. Nie przypomina zapadania w sen ani powolnego sunięcia w stronę ciepłego światła. Jest gwałtowna.

I nagle ból powraca. Dociera do każdego zakamarka mojego ciała, przypominając mi, że wciąż żyję.

Martwi nie czują takiego bólu.

Jest tak wielki, że prawie im zazdroszczę.

Spowija mnie, przemieniając w bezwolną kukłę. Wzrok mam zamglony. W uszach mi dzwoni. Jęczę zaskoczona, telefon wypada mi z ręki i nieprzytomna opadam na dno łodzi.

42

Odzyskuję świadomość, wciąż leżąc na dnie motorówki. Czuję na policzku chropowatą teksturę włókna szklanego. Woń ryb wypełnia mi nos i słyszę chlupot wody.

Łódź płynie. Warkot silnika przywodzi na myśl biały szum. Od czasu do czasu wodna mgiełka skrapia mi twarz.

Upadłam na bok, przygniatając lewą rękę. Prawa drży nieznacznie. Lewe oko mam zamknięte, lewy policzek przyciśnięty do dna. Prawa powieka drga wściekle, a widoczne skrawki nieba i chmur migają jak w starym filmie. Zamiast oddychać normalnie, nabieram gwałtownie powietrza i równie szybko je wypuszczam.

Wciąż jestem obolała, ale ból nie jest już tak obezwładniający. Teraz nie jest to już walenie w cymbałki, raczej miarowe uderzenia bębna. Jestem zdumiona, gdy odkrywam, że jeśli się postaram, mogę się poruszyć. Że drżące prawe ramię zgina się. Że mogę wyprostować obie nogi. Poruszam palcami zadziwiona swoim osiągnięciem.

Jasność mojego umysłu również mnie zdumiewa. Wiem, co się dzieje. Nie jestem oniemiała, głucha ani ślepa. Zakładam,
że Chet nie zamachnął się, zanim mnie uderzył. A może po prostu miałam szczęście. Tak czy inaczej, żyję.

Warkot silnika milknie i łódź zwalnia, a ja obracam się na plecy i z ulgą odkrywam, że widzę również na lewe oko. Chet stoi nade mną. Trzyma

w dłoniach wiosło, choć wygląda, jakby nie mógł się zdecydować: ścisnąć je mocniej czy wypuścić.

– Nie wierzę, że miałaś odwagę tu wrócić, Emmo – mówi. – Chociaż to był mój pomysł, zaskoczyłaś mnie. Nie zrozum mnie źle. Cieszę się, że wróciłaś. Po prostu nie sądziłem, że będziesz aż taka głupia.

– Dlaczego... – Urywam i próbuję przełknąć ślinę z nadzieją, że dzięki temu łatwiej będzie mi mówić. Każda sylaba to dla mnie prawdziwa katorga. – Po co mnie zaprosiłeś?

– Bo pomyślałem, że będzie fajnie – odpowiada Chet. – Wiedziałem, że byłaś szalona. Theo mi powiedział. Chciałem zobaczyć, jak bardzo ci odbije. No wiesz, jak złapię kilka ptaków i wpuszczę je do domku. Namaluję coś na drzwiach, kilka razy pojawię się w oknie. Podejrzę cię pod prysznicem.

Przerywa i puszcza do mnie oko. Na ten widok ściska mnie w żołądku.

– Nie spodziewałem się, że dasz się wkręcić. Myślałem, że będę musiał się nieźle nagimnastykować, żeby wyglądało, że to ty. Ale cała ta gadka o tym, że widujesz Vivian? Już samo to wystarczyło, żeby wszyscy uwierzyli, że jesteś zdrowo walnięta.

– Ale dlaczego?

– Z prawdziwego powodu, dla którego chciałem, żebyś tu wróciła. Dziewczyny z twojego domku znikają, ty jesteś na miejscu zbrodni, a ja podrzucam do kajaka zniszczone okulary jednej z nich i coś, co należy do ciebie, a następnie wypycham łódkę na jezioro. A przy okazji, ta twoja bransoletka była strzałem w dziesiątkę. Kiedy zerwałem ci ją z nadgarstka, gdy wpadłaś na mnie, wychodząc z Domu, wiedziałem, że nada się idealnie.

Posyła mi krzywy uśmiech. To uśmiech szaleńca. Kogoś dużo bardziej szalonego ode mnie.

– Potem musiałem tylko wykasować nagranie, na którym widać, jak kręcę się przy twoim domku, i zmienić nazwę pliku z filmikiem, na którym widać, jak wczoraj rano wychodzisz z Derenia. Zdradzę ci pewien sekret, Em. Dziewczyny nie wymknęły się pięć minut przed tym, zanim się obudziłaś. Nie było ich co najmniej od godziny.

Opieram się na łokciach i siadam. Drżę przez chwilę, po czym prostuję się i obejmuję się ramionami. Ta odrobina ruchu otrzeźwia mnie nieco.

– Nie rozumiem, po co zadałeś sobie tyle trudu – mówię i słyszę w swoim głosie nowo odkrytą siłę.

– Bo omal nie zrujnowałaś nam życia – warczy Chet. – Zwłaszcza Theo. Mój brat próbował się zabić. Oto do czego go doprowadziłaś, Emmo. Niszcząc jego reputację, zniszczyłaś też naszą. Kiedy zacząłem studiować na Yale, połowa ludzi nie chciała ze mną rozmawiać. Mieli mnie za dzieciaka, którego brat uniknął kary za morderstwo, bo jesteśmy obrzydliwie bogaci. A nie jesteśmy. Już nie. Został nam tylko apartament mamy i to zapomniane przez Boga jezioro.

Chociaż głowa pęka mi z bólu, w końcu rozumiem.

To jego zemsta.

Chce zrzucić na mnie winę, tak jak ja zrzuciłam winę na Theo. Żebym żyła w cieniu oskarżenia. Żebym wszystko straciła.

– Nie chciałem cię zabić, Emmo – ciągnie. – Wolałbym patrzeć, jak cierpisz przez kolejne piętnaście lat. Ale musiałem zmienić plany. Zadbałaś o to, kiedy uratowałaś te dziewczyny. Teraz nie mam wyboru i muszę sprawić, że znikniesz.

Chwyta mnie za kołnierzyk koszulki i dźwiga z pokładu. Nie walczę. Nie mogę. Chwieję się tylko niepewnie, kiedy popycha mnie w stronę burty. I tym razem ruch dodaje mi nieco sił.

Teraz, kiedy nie leżę już na dnie motorówki, widzę, że jesteśmy w części jeziora, której nie poznaję. Przypomina zatoczkę. Na brzegu tłoczą się drzewa, otaczając wodę jak ściany fortecy. Przez gałęzie przeświecają smugi światła zbyt słabe, by rozproszyć mgłę kłębiącą się nad wodą.

Coś jest w tej mgle, wystaje z wody kilka metrów od łódki.

Wiatrowskaz z kogutem.

To ten sam wiatrowskaz, który widziałam na zdjęciach, przycupnięty na dachu szpitala dla obłąkanych Peaceful Valley. Tyle że teraz jest zardzewiały i oblepiony pąklami. Budynek, który wieńczył, spoczywa głęboko na dnie jeziora Midnight. Spoglądam w wodę i dostrzegam oblepiony błotem dach.

Nadal tu jest. Tam gdzie zawsze był. Teraz jednak znajduje się pod wodą. Ta część historii Casey jest prawdziwa.

– Wiedziałem, że go rozpoznasz – mówi Chet. – To, że wiesz o tym miejscu, było dla mnie kolejną niespodzianką. Mała, wścibska Emma odrobiła pracę domową.

Sądząc po pasie wyschniętego błota, który ciągnie się wzdłuż brzegu, domyślam się, że stan wody jest zwykle na tyle wysoki, żeby zakryć wiatrowskaz. Teraz widać go tylko dlatego, że jest susza.

– Znalazłem go, kiedy byłem nastolatkiem – ciągnie Chet. – Nikt inny nie wie, że nadal tu jest. Nawet moja mama. Ani Lottie. Myślą, że stary Buchanan Harris zrównał go z ziemią, kiedy kupił tę ziemię. Tymczasem on go zatopił. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby cię tu szukać.

Serce wali mi jak szalone. Krew uderza do głowy, przez co robię się jeszcze bardziej czujna i niespokojna. Zamiast odebrać mi mowę, strach potęguje mój głos.

– Nie rób tego, Chet. Jeszcze nie jest za późno.

– Myślę, że jest, Em.

– Dziewczynki cię nie widziały. Tak mi powiedziały. Jeśli chcesz, zeznam glinom, że ja to zrobiłam.

Słowa są moją jedyną obroną. Nie mam siły, żeby z nim walczyć. A nawet gdybym miała, kolejny cios wiosłem bez trudu zwaliłby mnie z nóg.

– Nikt się nie dowie, że to ty – mówię. – Będziemy o tym wiedzieli tylko my dwoje. A ja nikomu nie powiem. Wezmę całą winę na siebie. Przyznam się do wszystkiego.

Chet przekłada wiosło z ręki do ręki. Zaczynam wierzyć, że jestem w stanie go przekonać.

– Chcesz, żebym cierpiała, tak? Więc wyobraź sobie mnie w więzieniu. Pomyśl, jak bardzo bym cierpiała.

Nagle coś sobie przypominam. Widzę siebie opuszczającą Camp Nightingale piętnaście lat temu. Pamiętam Cheta, który wołał brata, i jego twarz mokrą od łez. Może właśnie wtedy zapałał żądzą zemsty. Jeśli tak, muszę przypomnieć mu o chłopcu, którym był wcześniej.

– Nie jesteś mordercą – zwracam się do niego. – Jesteś na to za dobrym człowiekiem. To ja zrobiłam coś złego. Nie bądź taki jak ja. Nie stawaj się kimś, kim nie jesteś.

Chet unosi wiosło gotów lada chwila znów je opuścić, ale to ja rzucam się na niego, zanim zdąży cokolwiek zrobić. Nagle, nie wiadomo skąd, czuję przypływ sił. Energii wyzwolonej przez strach i rozpacz. Chet potyka się o jedno z siedzeń i upada do tyłu. Wiosło wypada mu z rąk i spada na dno łodzi. Sięgam po nie, ale Chet jest szybszy. Chwyta je jedną ręką, a wierzchem drugiej wymierza mi siarczysty policzek.

Moja twarz eksploduje bólem. Ale cios jest dla mnie niczym zastrzyk adrenaliny. Wystarczająco mocny, żebym zdołała przeczołgać się na dziób motorówki.

Za moimi plecami Chet podrywa się na nogi. W dłoni trzyma wiosło.

Unosi je.

Bierze zamach.

Zamykam oczy i krzycząc, czekam na cios w głowę.

Zamiast tego słyszę huk wystrzału, który niesie się nad zatoczką. Otwieram oczy i widzę, że wiosło rozpada się na tysiące drzazg. Zaciskam powieki, gdy kawałki drewna uderzają mnie w twarz. Pochylam głowę, by się przed nimi zasłonić.

Łódź się przechyla.

A ja razem z nią. Zataczam się w tył i wypadam za burtę prosto do jeziora Midnight.

43

Mój upadek jest krótki. Zdezorientowana wpadam do wody i uderzam w coś, co znajduje się tuż pod powierzchnią. Myślę, że to drewno. Śliskie od mchu, alg i wód jeziora, które podnoszą się i opadają.

Dach.

Z chwilą, gdy to sobie uświadamiam, drewno pode mną załamuje się i znów zaczynam spadać. Wciąż jestem pod wodą, lecz teraz otaczają mnie ściany.

Jestem w środku szpitala dla obłąkanych Peaceful Valley.

Opadam z sufitu na podłogę. Boję się, że i ona załamie się pode mną, ale tak się nie dzieje. Zamiast tego odbijam się od podłogi i płynę ku górze.

Słabe światło przesącza się przez przykryte kożuchem alg okna. Mimo to jest dość widno, żebym mogła zobaczyć oblepiony mułem pusty pokój. Wszystko jest przechylone – ściany, sufit, futryna. Uchylone drzwi wiszą na zawiasach, odsłaniając krótki korytarz, schody i jeszcze więcej światła. Podpływam do nich, z trudem wypływam na korytarz i dalej w dół schodów.

W miejscu drzwi wejściowych zieje dziura, a ich skrzydło leży na dnie jeziora. Po lewej stronie widzę salon. W ścianie jest wyrwa, za którą leży sterta cegieł, przegniłych desek podłogowych i strzępów tapety. Po pokoju pływa skalnik prążkowany. Wypływam na zewnątrz przez otwór po drzwiach, chociaż wszystko to jest częścią podwodnego krajobrazu.

Ból pulsuje w moim ciele. Płuca mi płoną. Potrzebuję powietrza. Potrzebuję snu. Zaczynam płynąć ku górze, ku powierzchni, kiedy coś przykuwa mój wzrok.

Czaszka.

Zbielała.

Brakuje jej żuchwy.

Puste oczodoły wpatrują się w niebo.

Dookoła niej leżą porozrzucane kości. Co najmniej tuzin. Zerkam na łuki żeber, na zaciśnięte kości palców. Nieopodal leży druga czaszka.

Dziewczyny.

Wiem to, bo pośród kości, w mule, odbijając światło, leży złoty łańcuszek z przywieszką w kształcie serca. Jego środek zdobi maleńki szmaragd.

Coś wpada za mną do jeziora. Bardziej to czuję, niż widzę – nagłe falowanie wody. Czyjeś ramię obejmuje mnie w pasie i ciągnie ku górze, z dala od dziewcząt, w stronę powierzchni.

Chwilę potem wynurzamy się z jeziora Midnight. Widzę niebo, drzewa i drugą motorówkę, kołyszącą się na wodzie kilka metrów dalej. Na pokładzie stoi detektyw Flynn, mierząc z broni do Cheta, który wypuszcza z rąk strzaskane wiosło.

Widzę też Theo. Płynie obok mnie, jedną ręką wciąż obejmując mnie w pasie. Woda rozbryzguje mu się na brodzie.

– Nic ci nie jest? – pyta.

Myślę o Vivian, Natalie i Allison spoczywających pod nami.

O wszystkich latach, które przeleżały na dnie jeziora, czekając, aż je odnajdę.

Kiedy więc Theo kolejny raz pyta, czy nic mi nie jest, kiwam głową, powstrzymuję szloch i pozwalam, by łzy popłynęły mi po policzkach.

44

Siedzę na fotelu pasażera w policyjnym sedanie detektywa Flynna i obserwuję we wstecznym lusterku, jak szpital zostaje w tyle. Okazało się, że jestem bardziej posiniaczona i poobijana, niż mi się zdawało. Zdumiała mnie diagnoza lekarzy. Wstrząśnienie mózgu po uderzeniu wiosłem. Skręcona kostka po upadku. Rany szarpane, odwodnienie oraz ból głowy.

Spędziłam w szpitalu dwa dni. Dziewczynki jeden. Byłam w pokoju z Mirandą i na zmianę użalałyśmy się nad sobą, chichotałyśmy i plotkowałyśmy o przystojnym pielęgniarzu z rannej zmiany.

Co chwilę ktoś nas odwiedzał. Sasha i Krystal z pokoju obok. Babcia Mirandy, która to użalała się nad nami, to nas ściskała. Becca podrzuciła mi album ze zdjęciami Ansela Adamsa, a Casey przyszła przeprosić za to, że w ogóle przyszło jej na myśl, że mogłam skrzywdzić dziewczynki. Przyjechał Marc ze stertą brukowców i wiadomością, że on i bibliotekarz Billy wrócili do siebie. Nawet moi rodzice przylecieli z Florydy, co wzruszyło mnie bardziej, niż mogłabym się spodziewać.

Po południu planujemy wrócić na Manhattan. Marc zabierze się z nami. Zapowiada się ciekawa podróż.

Tymczasem mam pewne niedokończone sprawy, o czym przypomina mi detektyw Flynn.

– Oto co prawdopodobnie się wydarzyło – mówi. – Z tego, co Vivian napisała w swoim pamiętniku, wnioskuję, że podobnie jak pani podejrzewała najgorsze w sprawie Peaceful Valley, Charlesa Cutlera

i Buchanana Harrisa. Odkryła, gdzie mieścił się szpital, i wzięła z sobą Allison i Natalie, żeby one również to potwierdziły. Tak jak pani mówiła, łatwo się tam zgubić. Dziewczyny zanurkowały, przez jakiś czas pływały wokół ruin i nigdy już nie wypłynęły. Przypadkowe utonięcie.

Tylko dlatego, że tak właśnie założyłam, wcale nie jest mi łatwiej oswoić się z tą myślą. Nie teraz, kiedy wiem, że Vivian zmarła taką samą śmiercią jak jej siostra. To zbyt tragiczne, bym była w stanie to pojąć.

– Czyli nic nie wskazuje, że to Chet je zabił? – pytam, wiedząc, że to niemożliwe.

Flynn kręci głową.

– Przysięga, że tego nie zrobił. A ja nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć. Miał wtedy zaledwie dziesięć lat. Poza tym na dnie jeziora leży wciąż całkiem sporo kości. Znalezienie ich wszystkich trochę potrwa. Do tego czasu nie możemy mieć pewności, że to szczątki pani przyjaciółek.

Ja jednak już wiem. Tam, na dnie, to Vivian, Natalie i Allison. Przywieszka w kształcie serca jest dla mnie wystarczającym dowodem. Teraz, kiedy o tym myślę, mam wrażenie jakby balon wypełniony smutkiem pęczniał mi w piersi. To uczucie, które towarzyszy mi od dwóch dni.

– Co do drugiej grupy dziewczynek, Chet powiedział, że nie planował ich skrzywdzić – ciągnie Flynn. – Mam wrażenie, że nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Powodowała nim złość i nie myślał o konsekwencjach.

– Gdzie jest teraz?

– Na razie w więzieniu okręgowym. Jutro zamierza przyznać się do wszystkich stawianych mu zarzutów. Stamtąd trafi pewnie na jakiś czas do szpitala psychiatrycznego.

Słysząc to, czuję ulgę. Chcę, żeby Chet otrzymał wszelką potrzebną pomoc. Sama wiem co nieco o szukaniu zemsty. Podobnie jak on pałałam

żądzą zemsty, która spalała mnie od środka. Oboje nosimy jej ślady.

Ale moje rany się zabliźniły. Nie do końca, choć teraz może być już tylko lepiej.

– Wygląda na to, że jestem pani winien przeprosiny – ciągnie detektyw. – Za to, że pani nie wierzyłem.

– Tylko wykonywał pan swoją pracę.

– Ale powinienem był uważniej słuchać tego, co pani mówiła. Zbyt szybko założyłem, że to pani, bo to było najprostsze wytłumaczenie. Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte.

W milczeniu dojeżdżamy do wykonanej z kutego żelaza bramy wjazdowej do Camp Nightingale. Kiedy prostuję się na fotelu, detektyw Flynn zerka na mnie i rzuca:

– Zdenerwowana?

– Nie tak, jak się tego obawiałam – mówię.

Widok obozu budzi we mnie rozmaite emocje. Smutek i żal, miłość i obrzydzenie. I brutalną ulgę. Taką, jaką czuje człowiek, kiedy w końcu poznaje całą prawdę. Kiedy zdrada współmałżonka wychodzi na światło dzienne. Kiedy poznaje oficjalną diagnozę. Poznanie prawdy oznacza, że możesz zacząć pozbywać się brzemienia.

Flynn jedzie samochodem do centrum obozu. Camp Nightingale wydaje się cichy i pusty, jak tamtego ranka, gdy obudziłam się i odkryłam, że dziewczyny zniknęły. Teraz to zrozumiałe. Wszystkie obozowiczki, opiekunki i instruktorki wróciły do domów. Obóz został zamknięty wcześniej, niż przewidywano. Tym razem na dobre.

Choć to smutne, wiem, że należało tak zrobić. Zbyt wiele tragedii łączy się z tym miejscem. Poza tym Franny ma na głowie dość innych spraw.

Kiedy sedan parkuje, przed Domem czeka na mnie Lottie. Ponieważ jestem skołowana od środków przeciwbólowych, a opuchniętą kostkę mam owiniętą grubą warstwą bandaża, Lottie pomaga mi wysiąść. Nie puszcza mojej ręki przez chwilę i ściska ją znacząco. To sygnał, że nie żywi do mnie urazy za to, co powiedziałam. Cieszę się, że mi wybaczyła.

Flynn trąbi i macha mi na pożegnanie. Chwilę później odjeżdża, a ja, wspierając się na Lottie, idę do Domu. W środku nie ma już Mindy. Nie dziwi mnie to. Odwiedzając mnie w szpitalu, Casey wspomniała, że narzeczona Cheta postanowiła wrócić na rodzinną farmę. Powiedziała to z radością, jak gdyby jej zdaniem Mindy dostała dokładnie to, na co zasłużyła. Jeśli to coś lepszego niż bycie z Chetem, jestem gotowa się z nią zgodzić.

– Obawiam się, że mamy mało czasu – informuje mnie Lottie. – Za kilka minut ja i Franny musimy wyjechać. Pracownicy więzienia niezwykle skrupulatnie przestrzegają godzin odwiedzin.

– Rozumiem.

Prowadzi mnie na taras za domem, gdzie Franny siedzi na krześle ogrodowym Adirondack z twarzą zwróconą do słońca. Wita mnie ciepło, ujmuje za rękę i uśmiecha się, jak gdyby lata oskarżeń i krzywd nic nie znaczyły. I może teraz rzeczywiście nic nie znaczą. Może teraz jesteśmy kwita.

– Droga Emmo, dobrze, że jesteś już na nogach. – Wskazuje na ziemię, gdzie obok krzesła stoją moja walizka i pudełko przyborów do malowania. – Tu są twoje rzeczy. Dopilnowałam, żeby Lottie wszystko spakowała. Nie ma tylko pamiętnika Vivian, który zabrała policja, i zdjęcia, które wzięła z Domu. Ono należy do Lottie, nie sądzisz?

– Tak.

– Jesteś pewna, że nie chcesz jeszcze raz zajrzeć do Derenia? – pyta Franny. – Na wypadek, gdybyśmy coś przeoczyły?

– Nie – mówię. – Na pewno.

Dereń to ostatnie miejsce, do którego chciałabym wrócić. Pełno w nim wspomnień, zarówno tych dobrych, jak i złych. Po tym wszystkim, co się wydarzyło – i po tym, czego się dowiedziałam – nie jestem gotowa stawić im czoło. Widok imion wyciętych w drewnie orzesznika i skrzypienie trzeciej deski podłogowej od drzwi prawdopodobnie by mnie złamały.

Franny patrzy na mnie znacząco, jak gdyby doskonale mnie rozumiała.

– Przepraszam, że nie odwiedziłam cię w szpitalu. Ale pomyślałam, że w tej sytuacji lepiej będzie się nie pokazywać.

– Nie masz za co przepraszać – zapewniam ją i rzeczywiście tak myślę.

– Ależ mam. To, co zrobił Chet, jest niewybaczalne. Jest mi niezmiernie przykro z powodu bólu, którego ci przysporzył. Tobie i dziewczynkom z Derenia. Proszę, uwierz mi, nie miałam pojęcia, co planował. Gdybym wiedziała, nigdy nie prosiłabym cię, żebyś tu wróciła.

– Wierzę ci – mówię. – I wybaczam. Chociaż nie zrobiłaś nic złego. Byłaś dla mnie wyjątkowo dobra, Franny. To ja powinnam prosić cię o wybaczenie.

– Już ci go udzieliłam. Dawno, dawno temu.

– Ale nie zasługiwałam na nie.

– Zasługiwałaś – zapewnia mnie Franny. – Bo widziałam w tobie dobro, którego ty sama jeszcze nie dostrzegałaś. A skoro mówimy o wybaczeniu, jest ktoś jeszcze, kto ma w tej kwestii coś do powiedzenia.

Wyciąga rękę, dając mi znać, żebym pomogła jej wstać. Delikatnie pomagam jej podnieść się z krzesła. Opieramy się o siebie i chwiejnym krokiem podchodzimy do balustrady. W dole przed nami rozpościera się

jezioro Midnight, piękne jak zawsze. Na trawie wpatrzony w wodę siedzi Theo.

– Idź do niego – mówi Franny. – Macie sobie wiele do powiedzenia.

Z początku milczę. Dołączam do Theo i podobnie jak on wpatruję się w jezioro. On również się nie odzywa z oczywistych względów. Oskarżyłam go dwukrotnie. Jeśli ktoś zasługuje na jego pogardę, tym kimś jestem ja.

Zerkam na profil Theo, na bliznę na policzku i fioletowy siniec na czole po moim uderzeniu latarką. Sprawiłam mu tyle bólu. I bez tego, co zrobił Chet, ma wszelkie prawo, żeby mnie nienawidzić.

A jednak to on mnie uratował. Detektyw Flynn długo mówił o tym, jak Theo wskoczył za mną do wody. Podobno nie wahał się ani chwili. To dług, którego nigdy nie zdołam spłacić. Mogłabym siedzieć tu i dziękować mu godzinami, błagać o wybaczenie albo przepraszać tyle razy, że straciłabym rachubę. Ale tego nie robię. Zamiast tego wyciągam rękę i mówię:

– Cześć, jestem Emma.

Theo w końcu odwraca się w moją stronę. Podaje mi rękę i odpowiada:

– Theo. Miło mi cię poznać.

Nie musi mówić nic więcej.

Wierci się przez chwilę, wyciąga coś z kieszeni i kładzie mi na dłoni. Nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, że to moja bransoletka. Czuję ciężar trzech metalowych ptaszków.

– Pomyślałem, że chciałabyś ją odzyskać – bąka Theo, po czym dodaje z uśmiechem: – Chociaż dopiero się poznaliśmy.

Zaciskam dłonie na bransoletce. Mam ją od tak dawna. Była moją oddaną towarzyszką przez ponad połowę życia. Ale czas się rozstać. Teraz,

kiedy znam prawdę, nie będzie mi już potrzebna.

– Dziękuję – mówię. – Ale...

– Ale co?

– Myślę, że wyrosłam z niej. Poza tym mam dla niej lepsze miejsce.

Bez zastanowienia wyrzucam bransoletkę w powietrze, pozwalając ptaszkom w końcu wzbić się do góry. Zamykam oczy, zanim spadnie. Nie chcę pamiętać, jak znika. Sięgam po rękę Theo i nasłuchuję, jak bransoletka z cichym pluskiem wpada do jeziora.

Tak to się kończy.

Franny odchodzi w parny wieczór pod koniec września. Nie umiera nad jeziorem, lecz w sypialni swojego apartamentu w budynku Harrisów. Są przy niej Theo i Lottie. Według Theo jej ostatnie słowa brzmią: „Jestem gotowa”.

Tydzień później uczestniczysz w jej pogrzebie. Jest poniedziałek, a w powietrzu unoszą się nitki babiego lata. Przychodzi ci do głowy, że Franny byłaby zachwycona. Po ceremonii ty i Theo idziecie na przechadzkę po Central Parku. Nie widziałaś go od wyjazdu z Camp Nightingale. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, uznaliście zgodnie, że potrzebujecie czasu i przestrzeni.

Teraz waszemu spotkaniu towarzyszą rozmaite emocje. Jest smutek. I radość, że znowu się widzicie. A także inne, dziwniejsze uczucie – niepokój. Nie wiesz, jak potoczą się wasze relacje. Zwłaszcza gdy w połowie spaceru Theo mówi:

– W przyszłym tygodniu wyjeżdżam.

Zatrzymujesz się gwałtownie.

– Dokąd? – pytasz.

– Do Afryki – odpowiada. – Będę znów pracował dla Lekarzy bez Granic. Przez następny rok. Myślę, że dobrze mi to zrobi. Potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Rozumiesz go. Uważasz, że to dobry pomysł. Życzysz mu jak najlepiej.

– Kiedy wrócę, chętnie zjem z tobą kolację – dodaje.

– Masz na myśli randkę?

– Albo zwykłe spotkanie dwójki przyjaciół, którzy mają zwyczaj oskarżania się nawzajem o różne paskudne rzeczy – odpowiada. – Ale chyba wolałbym randkę.

– Ja też – przyznajesz.

Tej nocy znowu zaczynasz malować. Czujesz nagłą potrzebę po tym, jak godzinami leżysz w łóżku, rozmyślając o nastających po sobie porach roku i upływającym czasie. Wychodzisz z łóżka, stajesz przed czystym płótnem i uświadamiasz sobie, co musisz zrobić – namalować nie to, co widzisz, ale to, co widziałaś.

Malujesz dziewczyny w tej samej kolejności. Zawsze.

Najpierw Vivian.

Potem Natalie.

Na końcu Allison.

Zakrywasz je krętymi kształtami w różnych odcieniach błękitu, zieleni i brązu. Zieleń mchu i błękit kobaltowy, grafit i zieleń sosny. Zapełniasz obraz algami, rdestnicami i podwodnymi drzewami, które wyciągają ku powierzchni swoje sękate ramiona. Malujesz budynek zwieńczony wiatrowskazem, zatopiony w zimnych, mrocznych wodach, opuszczony i czekający, aż ktoś go odnajdzie.

Kiedy obraz jest gotowy, malujesz kolejny. I następny. I jeszcze jeden. Odważne płótna pełne ścian i fundamentów ukrytych pod wodą, wśród roślinności i zagubionych w czasie. Każde pociągnięcie pędzla, pod którym ukrywasz dziewczęta, jest jak pochówek, jak pogrzeb. Malujesz nieustannie przez kilka tygodni. Boli cię nadgarstek. Zaciskasz palce nawet wtedy, gdy nie trzymasz w nich pędzla. Kiedy śpisz, śnisz o kolorach.

Twoja terapeutka mówi ci, że to, co robisz, jest zdrowe. Porządkujesz swoje uczucia, radzisz sobie ze smutkiem.

Do stycznia masz gotowe dwadzieścia jeden obrazów. Twoją podwodną serię.

Pokazujesz je Randallowi, który jest zachwycony. Przy każdym płótnie wydaje z siebie stłumiony okrzyk. Nie może się nadziwić, jak przeszłaś samą siebie.

Planuje w pośpiechu twoją kolejną wystawę, chcąc wykorzystać szum, jaki zrobił się wokół jeziora Midnight. Wystawa ma się odbyć w marcu. Powoli zaczyna być już o niej głośno. Piszą o tobie w „New Yorkerze". Twoi rodzice zamierzają przyjechać.

Rankiem w dniu otwarcia wystawy odbierasz telefon od detektywa Nathana Flynna. Informuje cię o tym, co udało się ustalić – kości odkryte w jeziorze należą do Natalie i Allison.

– A Vivian? – pytasz.

– To bardzo dobre pytanie – mówi Flynn.

I dodaje, że nie ma wśród nich kości Vivian. Czaszki Natalie i Allison są pęknięte, co sugeruje, że dziewczyny zostały uderzone czymś ciężkim, zapewne łopatą, którą znaleziono w pobliżu kości.

Mówi też, że zaleziono łańcuchy i cegły, którymi najprawdopodobniej obciążono ciała.

Że kosmyk włosów z plastikowej torebki, którą znalazłaś zakopaną razem z pamiętnikiem Vivian, to tak naprawdę przetworzony poliester używany głównie do robienia peruk.

Że ta sama torebka zawierała również ślady laminatu i kleju używanych do fałszowania dokumentów.

– Co pan sugeruje? – pytasz.

– Dokładnie to, co pani myśli – odpowiada.

Przypominasz sobie ostatnie słowa Vivian, które wypowiedziała, pukając do zamkniętych drzwi Derenia.

Daj spokój, Em. Wpuść mnie.

Mnie.

Tak właśnie powiedziała.

Nie nas.

A to znaczy, że była sama.

Kiedy się rozłączasz, masz wrażenie, że żołądek podchodzi ci do gardła. Jesteś tak oszołomiona, że prawie rezygnujesz z pójścia na otwarcie wystawy. Tylko Marc nie pozwala ci zostać w domu. Przeprowadza cię przez kolejne fazy przygotowań. Każe ci wziąć prysznic. Włożyć seksowną niebieską sukienkę. I czarne szpilki z czerwonymi podeszwami.

W galerii widzisz, że Randall kolejny raz przeszedł samego siebie. Popijasz wino i patrzysz na tartinki z krewetkami poukładane na srebrnych tacach. Rozmawiasz z gościem z Christie's, z kobietą z „Timesa" i aktorką telewizyjną, która niegdyś pchnęła twoją karierę do przodu. Wśród gości są Sasha, Krystal i Miranda. Marc robi zdjęcie całej waszej czwórce, jak stoicie na tle największego z obrazów, Numeru 6, który wydaje się równie wielki jak jezioro Midnight.

Później tego samego wieczoru stoisz przy tym obrazie, kiedy podchodzi do ciebie kobieta.

– Jest piękny – mówi, wpatrując się w płótno. – Tak cudownie dziwny. To pani dzieło?

– Tak.

Zerkasz w jej stronę i kątem oka dostrzegasz rude włosy i elegancką, niemal królewską posturę. Nosi się swobodnie. Ma na sobie czarną sukienkę. Czarne rękawiczki. Czarny kapelusz z opadającym rondem i trencz Burberry. Myślisz, że mogłaby być modelką.

I nagle rozpoznajesz zadarty nos i okrutny uśmiech i nogi uginają się pod tobą.

– Vivian?

Kobieta nie odrywa wzroku od obrazu, a gdy się odzywa, jej głos jest cichy i spokojny niczym szept, którego nie słyszy nikt oprócz was dwóch.

– Dwie prawdy i kłamstwo, Emmo – mówi. – Jesteś gotowa zagrać?

Chcesz powiedzieć, że nie. Ale musisz się zgodzić.

– Jeden: Allison i Natalie były z moją siostrą tamtej nocy, kiedy zginęła – ciągnie. – Namawiały ją, żeby weszła na lód. Widziały, jak wpada do wody i tonie. I nikomu nie powiedziały. Ale ja miałam pewne podejrzenia. Wiedziałam, że Katherine nie zrobiłaby czegoś tak niebezpiecznego, chyba że ktoś ją do tego namówił. Dlatego zaprzyjaźniłam się z nimi, zdobyłam ich zaufanie i udawałam, że ja także im ufam. W ten sposób dowiedziałam się prawdy, wyciągnęłam ją od nich w Dzień Niepodległości. Przysięgały, że próbowały pomóc Katherine, ale wiedziałam, że kłamią. W końcu sama udałam na oczach wszystkich, że się topię. Kiedy młóciłam wodę rękami, tylko Theo rzucił się mi na ratunek. Natalie i Allison nie zrobiły nic. Przyglądały się tylko tak jak wtedy, gdy Katherine się topiła.

Myślisz o dniu, kiedy wróciłaś do domku, a dziewczyny się kłóciły. Teraz rozumiesz, że właśnie wtedy wyznawały sobie prawdę. I choć później udawały, że wszystko między nimi jest tak jak dawniej, nic nie było w porządku.

– Dwa: ponieważ już wcześniej podejrzewałam, co zrobiły Natalie i Allison, poświęciłam rok na przygotowania i planowanie. Poznałam historię jeziora Midnight. Znalazłam miejsce, o którym nikt nie wiedział: zatopiony zakład dla obłąkanych. Podrzuciłam bluzę do lasu, żeby zmylić ekipy poszukiwawcze. Pieprzyłam się z dozorcą i ukradłam klucze do szopy z narzędziami. Następnie zwabiłam Allison i Natalie w owo sekretne miejsce na jeziorze, gdzie nikt nigdy nie zajrzy, i zrobiłam im to, co one zrobiły mojej siostrze.

Teraz rozumiesz, że błędnie zinterpretowałaś jej pamiętnik. Nie szukała Peaceful Valley, żeby pokazać je światu. Szukała go, bo było najlepszym miejscem, by ukryć jej zbrodnię.

Myślisz o łopacie skradzionej z szopy z narzędziami. I o pękniętych czaszkach zalegających na dnie jeziora. O przywieszce w kształcie serduszka, którą Vivian wrzuciła do wody, bo już jej nie potrzebowała, tak jak ty nie potrzebowałaś swojej bransoletki.

– Trzy: Vivian nie żyje.

W ustach masz tak sucho, że nie jesteś pewna, czy będziesz w stanie cokolwiek powiedzieć. A jednak możesz i chwilę później schrypniętym głosem mówisz:

– To trzecie.

– Źle – odpowiada. – Vivian umarła piętnaście lat temu. Niech spoczywa w pokoju, Em.

W pośpiechu opuszcza galerię, stukając obcasami. Idziesz za nią, choć znacznie wolniej, bo nogi masz jak z waty. Na ulicy widzisz odjeżdżający samochód. Przyciemniane szyby nie pozwalają ci zajrzeć do środka. Poza tym okolica jest wyludniona. Jesteś tylko ty i twoje galopujące serce.

Po powrocie do galerii żegnasz się z Markiem, Randallem i gośćmi. Mówisz, że nie czujesz się najlepiej, bo zjadłaś tartinki z krewetkami, których nawet nie tknęłaś.

W pracowni malujesz przez całą noc, aż do świtu. Aż słyszysz warkot śmieciarek i widzisz słońce wschodzące nad budynkami po drugiej stronie ulicy. Kiedy kończysz, stajesz przed gotowym obrazem.

To portret Vivian.

Przedstawia ją nie tak, jak wyglądała wtedy, ale jak wygląda teraz. Jej nos. Broda. Oczy, którym nadałaś barwę ciemnego granatu. Patrzy na ciebie z wstydliwym uśmiechem błąkającym się na ustach.

Nigdy więcej jej nie namalujesz. Jesteś o tym przekonana.

Za kilka godzin, kiedy urząd pocztowy zostanie otwarty, wyślesz obraz detektywowi Flynnowi. Dołączysz do niego liścik z informacją, że Vivian żyje i ostatnio widziano ją na Manhattanie. Poprosisz, żeby obraz został upubliczniony, tak by media mogły z nim zrobić, co tylko będą chciały.

Ujawnisz, kim jest, jak wygląda i co zrobiła.

Nie ukryjesz jej pod warstwami farby.

Nie będziesz jej kryła.

Czas kłamstw dobiegł końca.

PODZIĘKOWANIA

Muszę podziękować wielu osobom, które pomogły mi napisać i wydać tę książkę. Pierwszą z nich jest moja cudowna amerykańska redaktorka Maya Ziv. Dzięki jej delikatnej zachęcie zdołałem przekształcić tę powieść z niepozornej poczwarki w coś, co przypomina motyla. Dziękuję także Madeline Newquist za panowanie nad sytuacją; Andrei Monagle za jej sokoli wzrok; a także zespołowi do spraw reklamy i marketingu – Emily Canders, Abigail Endler i Elinie Vaysbeyn.

W Wielkiej Brytanii pragnę podziękować mojej drużynie marzeń zza oceanu: Gillian Green, Stephenie Naulls i Joannie Bennett. (Ze specjalnymi pozdrowieniami dla Emily Yau).

Dziękuję wszystkim z Aevitas Creative Management, a w szczególności mojej agentce Michelle Brower, która jest na mnie skazana od tylu lat, i Chelsey Heller, która robi świetną robotę na froncie międzynarodowym.

Muszę również podziękować Stephenowi Kingowi za jego hojność; Taylor Swift, której tekst piosenki *Sad Beautiful Tragic* bezwstydnie wykorzystałem; Joan Lindsay i Peterowi Weirowi, których *Piknik pod Wiszącą Skałą* stał się inspiracją do napisania tej powieści; Sarah Dutton za bycie doskonałą czytelniczką i jeszcze lepszą przyjaciółką; oraz rodzinom Ritterów i Livio, za to, że są ze mnie takie dumne.

Mógłbym do końca świata dziękować Mike’owi Livio, a to i tak byłoby za mało. Naprawdę nie dokonałbym tego, gdyby nie jego cierpliwość, spokój i pewna ręka.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

CZĘŚĆ PIERWSZA. DWIE PRAWDY

- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
- Rozdział 19
- Rozdział 20
- Rozdział 21
- Rozdział 22
- Rozdział 23

Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
CZĘŚĆ DRUGA. I KŁAMSTWO
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Podziękowania
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Last Time I Lied*

Copyright © 2018 by Todd Ritter.
Published by the agreement with Aevitas Creative Management, USA and Book/Lab Literary Agency, Poland

Copyright © for the translation by Anna Dobrzańska

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter, Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja i korekta: Atelier 2

Projekt okładki: Magda Gardeła

Fotografia na okładce: Andrey Zvyagintsev (@zvandrei) / Unsplash.
Na zdjęciu modelka Alina Seredina, reprezentowana przez agencję New Fashion Look

ISBN 978-83-8135-874-3

OTWARTE
www.otwarte.eu
Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek